

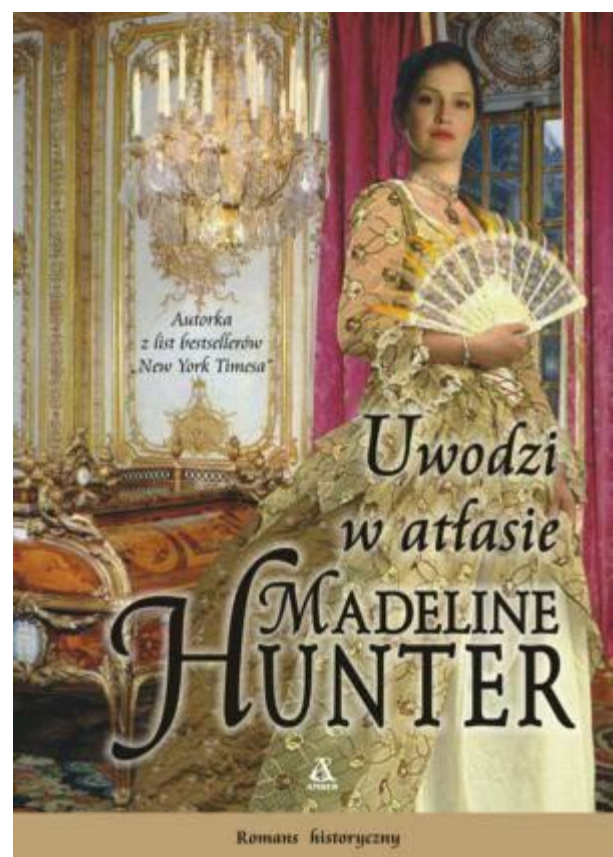
Uwodzi w atlasie

Hunter Madeline

Książka III z Najrzadziej kwitnąca



calibre 0.9.43



Hunter Madeline

Najrzadziej kwitnąca 03

Uwodzi w atłasie

Kształcono ją w sztuce uwodzenia. Tymczasem otrzymała lekcję prawdziwej miłości...

Celia Pennifold, córka osławionej londyńskiej kurtyzany, wychowywała się z dala od matki i jej rozwiązłego towarzystwa.

Spokojne życie kończy się jednak raptownie wraz ze śmiercią matki. Celia dziedziczy jej ogromne długi i skromny dom w Londynie. A wraz z nim...

Jonathana Albrightona, tajemniczego dżentelmena, który wynajmuje tam pokój. Dziewczyna nie wie jeszcze, jak niebezpieczny jest ten mężczyzna o

mrocznej, uwodzicielskiej urodzie. I że ma on własne powody, by znajdować się w pobliżu Celi...

Na pogrzeb ladacznicy nie przychodzi zazwyczaj zbyt wielu żałobników, niezależnie od tego, jak sławni i wysoko postawieni byliby jej protektorzy.

Celia Pennifold nie czuła się więc zaskoczona, że jest ich tak mało na pogrzebie jej matki, Alessandry Northrope. Widziała tam głównie kobiety w kosztownych strojach z czarnej krepy. Zapewne rychło się ich pozbędą już pod koniec dnia. Wszystkie, co do jednej, były kurtyzanami i wiedziały, że Alessandra nie spodziewałaby się po nich dłuższego wytrwania w żałobie niż parę godzin. Zresztą czekali już na ich towarzystwo protektorzy.

Przyszło też jednak i kilku mężczyzn. Nieco dalej stało pięciu młodych elegantów z socjety. Celia mogła odgadnąć po ich lekceważących uśmiezkach i porozumiewawczych szturchańcach, że czterej z nich uważają swoją obecność tutaj za dobry kawał. Piąty jednak wydawał się szczerze żałować odejścia pięknej, fascynującej kobiety, właśnie złożonej do grobu.

Alessandrze często deklarowano miłość i hojnie obdarzano prezentami. Była na tyle uprzejma, by nie ujawniać oczarowanym nią dżentelmenom, że już dawno wyzbyła się wszelkich sentymentalnych złudzeń.

Tak, pomyślała Celia, to jedno można było powiedzieć o tej szczególnej kurtyzanie. Brak złudzeń. Książęta mogli wielbić ją w wierszach, zakochani młodzieńcy wyśpiewywać peany na jej cześć, lecz Alessandra Northrope dokładnie wiedziała, kim jest.

I chciała, by córka również to wiedziała.

- Pięć powozów - szepnęła Daphne, jej przyjaciółka, starając się nie zagłuszyć monotonnej modlitwy pastora. - Ciekawa jestem, kim oni są.

Celia zauważyła wszystkie. Wynajęte i anonimowe, miały w okienkach zaciągnięte zasłonki, chroniące pasażerów przed wścibskimi oczami.

- Pewnie to najważniejsi protektorzy. Albo ci aktualni. Ludzie znani, którzy nie chcą, by ich tu widziano.

Jeśli najważniejsi, to jak dawno temu poznali Alessandrę? Celia, pogrążona w domysłach, przestała skupiać uwagę na odprawianych modłach. Usiłowała nie spoglądać w stronę ciemnych karet, walcząc z przemożną chęcią, by podejść do nich, zajrzeć do środka i przekonać się, kto też postanowił pożegnać Alessandrę w ten konwencjonalny, choć dyskretny sposób.

- W szóstym nie ma żadnego z jej patronów - rzekła Daphne. - Są w nim Audrianna i Verity. Zrobiły to dla ciebie, Celio, chociaż nie chcą się pokazywać.

Celia doceniła starania przyjaciółek. I Audrianna, i Verity poślubiły niedawno mężczyzn z wyższych sfer, więc pozycja społeczna nakazywała im zachować ostrożność. Już sama znajomość z córką Alessandry mogła je skompromitować.

Daphne, kobieta niezależna, była wdową, nie musiała się więc liczyć z opinią ani męża, ani znajomych. A jednak i ona wolała zakryć twarz. Z jej czarnego kapelusza o szerokim rondzie spływała długa czarna woalka, zasłaniając jasne włosy i twarz o nieskazitelnej cerze. Uparła się, by

towarzyszyć Celi, choć tamta odradzała to przyjaciółce.

Celia ponownie spojrzała ku pięciu pojazdom. Dostrzegła, że w dwóch drgnęły lekko zasłonki, nieznacznie się rozchylając. Daremnie usiłowała dojrzeć coś przez powstałą szparę. Pojazdy stały zbyt daleko i zapadał już zmrok.

Daphne dotknęła delikatnie ręki przyjaciółki, chcąc skierować myśli Celi ku modlitwie. W poczuciu winy Celia odwróciła wzrok od pojazdów, ale nie docierało do niej znaczenie wypowiedzianych przez pastora słów.

Ogarnęły ją wspomnienia o matce, to dobre, to bolesne, zwłaszcza z ostatnich kilku tygodni jej życia. Choroba Alessandry zbliżyła matkę i córkę do siebie po pięciu latach rozstania. Żadne żale, wyrzuty czy ból nie miały już większego znaczenia w tych ostatnich dniach.

Z wyjątkiem jednego.

Gdy pogrzeb dobiegał końca, Celia znów skupiła uwagę na pojazdach.

Już odjeżdżały. Każdy odprowadzała wzrokiem zarówno z respektu dla niewidocznego mężczyzny w środku, jak i z chęci dostrzeżenia rysów jego twarzy, by mogła go później rozpoznać.

- Był tutaj - powiedziała do Daphne, kiedy już wszystkie powozy odjechały. - Jestem tego pewna.

- Prawdopodobnie był.

- Może do mnie napisze. Może teraz, kiedy jej już nie ma, ujawni, kim jest.

Daphne ujęła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

- Może tak istotnie uczyni.
- Chcesz mnie tylko pocieszyć, a sama w to nie wierzysz.
- Nie zrobił tego dotąd, nie wierzę więc, żeby zmienił zdanie. Celia przyspieszyła kroku.
- Postąpiła ze mną okrutnie, nie mówiąc mi niczego. Miałam prawo wiedzieć, kto jest moim ojcem, ale jej moje prośby nie wzruszały.
- Na pewno miała swoje powody, Celio. Chyba powinnaś się pogodzić z tym, co uznała za najlepsze wyjście. Może dzięki temu umarła w spokoju.

Celia powstrzymała łzy żalu za matką, której już nigdy więcej nie zobaczy.

- Bez wątplenia uznała, że tak będzie najlepiej. Jak w innych sprawach mnie dotyczących. Ale ja się nigdy nie pogodzę z tym, że nie poznam nazwiska własnego ojca.
- Oczywiście, to były tylko niejasne pogłoski. Sam nigdy nie dawałem im wiary.
- Ale inni uwierzyli? - Jonathan zerknął przez szparę między zasłonkami. Choć jego myśli zaprzętało głównie zadanie zlecone mu przez stryja, nie omieszkał przyjrzeć się smutnej scenie rozgrywającej się nad grobem.
- Może niektórzy. Nie było dowodów, tylko same domysły i zbiegi okoliczności. W ludziach na świeczniku wzbudziły podejrzliwość, bo to były czasy, gdy wszyscy wszystkich podejrzewali. Stąd teraz te obawy. Nikt nie chciał w tamtych latach, by wskutek plotek zbyt ściśle wiązano z nią jego nazwisko, bo postawiłoby go to, całkiem bezpodstawnie, w złym

świetle.

Stryj Edward mówił spokojnym tonem, bez nacisku, co świadczyło, jak niewielką wagę przywiązuje do sprawy. Niemniej jednak dawał Jonathanowi wyraźnie do zrozumienia, że oczekuje od niego wykonania tego zadania, tym razem niezbyt trudnego, w przeciwieństwie do wielu innych w minionych latach.

Jonathan rozsunął nieco bardziej zasłonki. Nad grobem stała grupka kobiet, wszystkie w czerni. Większość z nich była znana każdemu mężczyźnie w Londynie. Niektóre były drogimi utrzymankami, inne kokotami krążącymi wokół mężczyzn z socjety, spośród której wybierały klientów.

Jednak dwie z nich wyraźnie odróżniały się od pozostałych. Jedna, wysoka i smukła, kryła twarz pod gęstym welonem przypiętym do kapelusza. Druga, niższa i jasnowłosa, nie nosiła żadnego nakrycia głowy. Usiłował się przyjrzeć dokładniej jej twarzy. Stała zbyt daleko, by widział ją wyraźnie, ale mogła to być Celia. Czy przyszła tutaj jako kochająca, spełniająca swą powinność córka? Czy też jako następczyni Alessandry, zgodnie z planami matki? Stała dumnie wyprostowana i wcale nie wydawała się zakłopotana towarzystwem jedynych przyjaciółek, jakie mogła mieć jej matka.

- A jeśli te pogłoski odpowiadały prawdzie? - spytał stryja, nie odrywając wzroku od jasnowłosej głowy. - I jeśli odkryję, że Alessandra zdradzała wrogom tajemnice pozyskane od kochanków?

- Wojna dawno się skończyła. Nikt nie chce, żebyś prowadził śledztwo.

Zostaw te sprawy w spokoju. Masz tylko się przekonać, czy nie pozostawiła pisemnych świadectw, które mogłyby zostać podane do publicznej wiadomości. A jeśli znajdziesz, przekaż je mnie. - Stryj się uśmiechnął. Uśmiech był od lat jedynym przejawem serdeczności okazywanej Jonathanowi przez krewnych. - Proste zadanie. Zajmie ci najwyżej parę dni.

Jonathan oderwał wzrok od kobiet i spojrzał bacznie na stryja.

- Dlaczego ja, skoro jest to tak łatwe?

- Przecież ją znałeś. Byliście w zażyłych stosunkach.

Stryj powiedział to z obojętną miną, lecz Jonathan zbyt dobrze wiedział, co się kryje za jego regularnymi rysami i ciemnymi oczami, żeby dać się zwieść.

- Owszem. W przyjacielskich. Nie byliśmy kochankami, jeśli tak sądzisz.

Nie znałem jej sekretów. Nie zauważyłem też niczego, co mogłoby potwierdzać te pogłoski.

- Oczywiście, ale możesz wnikać w jej świat lepiej niż ktokolwiek inny właśnie dlatego, że byliście zaprzyjaźnieni.

Stryj wskazał na kobiety przy grobie.

- Właśnie dlatego wszystkie będą ci ufać. A także dlatego, że ludzie w ogóle okazują ci zaufanie.

Stryj uczynił aluzję do osobliwej cechy Jonathana, który potrafił ją w pełni wykorzystać. Ludzie mu ufali. Z jakiejś nieznannej przyczyny, instynktownie. Sam nie rozumiał dlaczego, ale ułatwiało mu to wykonywanie zleceń stryja Edwarda. Takie postępowanie było w dużym

stopniu nieuczciwe, bez względu na powód, choćby i godziwy.

Nie miał pewności, czy ów nowy powód jest godziwy. I nawet niezbyt go to obchodziło. Od dawna przestał się nad tym zastanawiać. Nie sposób być agentem, opowiadając się po którejś ze stron. Czy wykonywał zlecenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, czy też miał wysledzić miejsce pobytu żony, która uciekła od męża, musiał zachować bezstronność, jeśli chciał zarobić na życie.

Znów wyrztał przez okienko. Czy zdoła zachować bezstronność i tym razem? Alessandra istotnie była jego przyjaciółką i grzebanie w jej przeszłości napawało go wstrętem. Jakby dopuszczał się wobec niej zdrady.

Spojrzał na stryja z ukosa.

- Ktoś inny bardziej by się do tego nadawał.

- Chcemy, żebyś to był ty. Nie wiadomo, co może wyjść na jaw. Nie możemy ufać byle agentowi z Bow Street.

- Nie podoba mi się to. A poza tym miałem zamiar wrócić do Francji.

Edward usiłował zdobyć się na uśmiech, ale wargi, zaciśnięte w cienką linię, świadczyły raczej o niezadowoleniu niż o dobrym humorze.

- Nie powinieneś wyjeżdżać tak szybko. Dokonałem pewnego postępu, jeśli chodzi o zmiękczenie Thornridge'a. Zamierzam osobiście w przyszłym tygodniu wybrać się do Hollycrofta, żeby się przekonać, czy moje starania coś dały. Jeśli tak, powinieneś być tutaj, w Londynie, kiedy cel zostanie osiągnięty.

Edward miał na myśli ciągnącą się od dawna sprawę, dotyczącą osobiście

Jonathana, który coraz bardziej wątpił w jej pozytywne rozstrzygnięcie.

Stryj był jedynym sprzymierzeńcem w walce o uznanie go przez rodzinę.

Gdyby do tego doszło, pozycja społeczna Jonathana, jak dotąd

niejednoznaczna, diametralnie by się zmieniła.

Stryj nie powiedział nic więcej. Nie musiał. Od lat istniało między nimi

porozumienie. Edward pomoże Jonathanowi, jeśli Jonathan pomoże

Edwardowi. To właśnie stryj go zwerbował podczas wojny

i zawsze występował jako pośrednik między Ministerstwem Spraw

Wewnętrznych a nim, kiedy chodziło o zlecenie śledztwa.

Normalnie, na samą wzmiankę o możliwości osiągnięcia niebawem

upragnionego celu, Jonathan pozbyłby się wszelkich wątpliwości. Dziś

jednak tak się nie stało. Nie wiedział dlaczego. Może na myśl, że byłaby

to zdrada przyjaciółki, poczuł się nieswojo. Przynęta, którą posłużył się

Edward, przestała go wabić. Skądinąd zbyt długo już stryj się nią

posługiwał.

A może powodem było to, że znów ujrzał dzisiaj córkę Alessandry.

Zawsze, gdy widział pełną życia, pogodną, młodzieńczą Celię, zaczynał

czuć się ponurakiem i starszy, niż był w istocie.

Edward spowaźniał, wyraźnie zaniepokojony wyrazem twarzy Jonathana.

- No i jeszcze coś.

- Cóż takiego?

- Możliwe - choć nie chciałem ci o tym wcześniej mówić, z uwagi na tę

twoją przyjaźń - że tamten atak na ciebie w Kornwalii jakoś się z tym

wszystkim wiąże. Ale to tylko podejrzenie, trop, którym należałoby

podążyć, nic więcej. Nic konkretnego.

- A ty wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś? Do diaska, przecież wiesz, że mam tam pewien dług do uregulowania! Jeśli masz jakieś informacje o człowieku za to odpowiedzialnym...

- Zapewniam cię, że to wszystko jest bardzo niejasne. Tylko że jeden z jej dawnych protektorów był francuskim emigrantem, jak ci dobrze wiadomo. Są poszlaki, że był z tym wszystkim powiązany. Mamy powody sądzić, że nadal się z nim widywała, aż do jego śmierci dwa lata temu. Prywatnie i po kryjomu.

A więc pogłoski nie były bezpodstawne. Jonathan jednak nie wierzył, by Alessandra świadomie wciągnęła go w zasadzkę grożącą niemal pewną śmiercią. Nie chciał myśleć tak o kobiecie, która traktowała go wręcz po macierzyńsku.

Z drugiej strony w świecie agentów wywiadu osobiste poglądy nie ułatwiają pracy. Agent mający do wykonania tajną misję, której charakter pod względem moralnym wielu uznałoby za godny potępienia, nie może sobie pozwolić na wyrzuty sumienia. Wiedział o tym aż za dobrze.

Pogrzeb dobiegł końca. Kobiety w czerni odeszły. Nad grobem pozostały jasnowłosa dziewczyna i jej zawołowana przyjaciółka.

- No więc zrobisz to? - spytał Edward. - Tym razem musisz się ściśle trzymać rozkazów. Żadnych nieoczekiwanych decyzji, które podjąłeś ostatnim razem na północy. Wynikły z tego same kłopoty.

- Dobrze wiesz, że na północy pojawiły się niezależne ode mnie okoliczności.

- Powinieneś być w jakiś sposób odsunąć od tej sprawy Hawkeswella, kiedy się dowiedziałeś, że coś przeczuwa. Powinieneś być...

- Uprzedzałem cię, że sprawa zanadto śmierdzi, żeby ktoś czegoś nie zwąchał. Nie zwalaj winy na mnie, skoro nawet rząd znalazł się w kłopotcie.

Ich powóz toczył się alejką, zbliżając się do grobu. Jasnowłosa głowa obróciła się ku karetom. Jonathan ujrzał uroczą twarzyczkę Celi, oddaloną od niego zaledwie o parę metrów.

Czarująca, złotowłosa dziewczynka przeobraziła się w piękną kobietę. Wyglądała teraz równie ujmująco jak przedtem, tylko może mniej niewinnie. Patrzyła prosto w zasłonięte okienko, starając się dostrzec niewidocznych pasażerów.

Zapadał już zmrok, a jednak wszystko wokół niej, zdawało się, jaśnieje, jakby promieniowała światłem.

Jonathan odwrócił się od okienka i spojrzał w zniecierpliwioną twarz stryja, który gniewnie marszczył brwi.

- Tak, zrobię.

Celia wyskoczyła z dwukółki Daphne i spojrzała na piętrowy budynek z cegły. Podobnie jak wiele innych domów na Wells Street, wyglądał na dobrze utrzymany. Mógłby w nim mieszkać kupiec lub dobrze prosperujący rzemieślnik.

- Otoczenie sprawia wrażenie porządnego, a Bedford Square jest zaledwie o kilka ulic dalej - zauważyła Daphne. - Nie powinno ci nic tu grozić przez tych kilka dni pobytu.

Celia ściągnęła z dwukółki swój sakwojaż. Nie powiedziała jeszcze Daphne, że pobyt może potrwać dłużej niż kilka dni. Powie później, kiedy już zrealizuje swoje plany.

- Dziwne, że matka nigdy mi o nim nie wspominała. Jest o wiele skromniejszy niż dom na Orchard Street. Przypuszczam, że dostała go od kogoś z protektorów, by z jego wynajmu czerpać dodatkowy dochód.

Daphne zeszła z dwukółki i okręciła lejce wokół słupka.

- Może i ty powinnaś go wynająć, zamiast sprzedawać?

- Zapewne tak zrobię. Nie mogę go sprzedać, póki nie odziedziczę majątku. Mappleton powiedział, że mogą wyjść na jaw jeszcze jakieś długi. Wtedy ten dom przejdzie mi obok nosa, podobnie jak tamten drugi, no i cała reszta.

Wyjęła z torebki klucz i wsunęła go w zamek.

- Dzięki Bogu, jest umeblowany. Bałam się, że będziesz musiała spać na podłodze. - Daphne westchnęła z ulgą, kiedy zajrzały do pierwszego z pokoiów. - Dostaniesz za niego lepszą cenę przy wynajmie.

Celia postawiła na podłodze sakwojaż i obie obeszły parter. Od frontu znajdowała się miła bawialnia, za nią biblioteka. W obydwóch stały porządne tapicerskie meble i solidne stoły, a na podłodze leżały niewyszukane, ale gustowne dywany. Biblioteka była zaopatrzona w książki. Celia przyjrzała się oprawom i uśmiechnęła się na widok tomików poezji. Matka kochała poezję i skompletowała ten księgozbiór w nadziei, że wybrane przez nią książki przyniosą pożytek lokatorom. Weszły na piętro i obejrzały sypialnie. Ta od frontu wychodziła na ulicę.

Daphne uniosła kapę na łóżku.

- Pościel wydaje się czysta. Można by podejrzewać, że ostatni lokatorzy wynieśli się stąd w pośpiechu, tuż przed przyjściem administratora.

Prześcielmy łóżko, żebyś miała pewność, że śpisz na świeżym prześcieradle.

Celia znalazła je w wiklinowym koszu i szybko sobie poradziły ze zmianą pościeli. Rozejrzały się po innych pokojach na piętrze i odkryły drugie schody na tyłach domu.

- Jutro przetrząsnę poddasze - oznajmiła Celia, schodząc na dół. - Wydaje się, że wszystko jest w porządku, Daphne. Czy już się nie obawiasz, że zostawiasz mnie tutaj samą?

- Nie miałam nic przeciwko temu, byś się tu zatrzymała na kilka dni.

- Nic nie mówisz - roześmiała się Celia - ale czytam z twoich oczu, że jesteś temu przeciwna, tylko powstrzymujesz się przed wyrażeniem swej opinii.

Weszły do kolejnej bawialni, dużej, z wyplatanyimi fotelami i sofą.

Prowadziły do niej tylne schody. Przez duże okna widać było ogród. Ten widok przyciągnął uwagę Celi.

- Wychodzi na południe - stwierdziła Daphne. - Znakomity pokój. Nawet teraz, przy zachmurzonym niebie, jest pełen miłego światła, a widok ogrodu działa kojąco.

- Sądzę, że to będzie mój ulubiony pokój - uznała Celia. - Te okna będą dobrze wyglądały w zieleni.

Zaczynał w niej kiełkować pewien pomysł, na który wpadła, gdy

dowiedziała się o istnieniu tego domu.

Obejrzały uważnie kuchnię, a potem Daphne zaczęła się zbierać do wyjścia. Cekał ją jeszcze powrót dwukółką do własnej posiadłości koło Cumberworth w hrabstwie Middlesex. Miała tam firmę ogrodniczą, zaopatrującą w rośliny londyński rynek. Przez ostatnie pięć lat był to również dom Celi.

- Będzie nam ciebie brakowało - rzuciła Daphne już w drzwiach. -Obiecuj mi, że zadbasz o swoje bezpieczeństwo.

- To przyzwoita okolica, Daphne. Nic mi tu nie grozi.

- Chyba nie powinnam dbać o ciebie niczym rodzona matka. Jestem w końcu starsza od ciebie tylko o cztery lata. Pewnie mój niepokój wydaje ci się niemądry.

- Nie, dbasz o mnie nie jak matka, ale jak starsza siostra. Zawsze pragnęłam ją mieć.

Daphne, nadal pełna macierzyńskiej troski, wyszła na ulicę i odwiązała dwukółkę. Celia patrzyła za odjeżdżającą przyjaciółką. Czarny welon przy kapeluszu trzepotał na wietrze.

Jeśli Daphne odnosiła się do niej trochę jak matka, to dlatego, że Celia była jeszcze dzieckiem, kiedy się zetknęły ze sobą. Zagubionym, zgnębnym dzieckiem szukającym azylu u obcej osoby, która - jak Celi powiedziano - miała dobre serce.

Zamknęła drzwi i zaczęła się oswajać z domem, który był jedynym spadkiem pozostawionym jej przez Alessandrę Northrope.

Nie, nie jedynym, Istniało jeszcze coś, do czego ona, Celia, mogła sobie

rościć prawo.

Celia spędziła resztę dnia w pełnej światła bawialni na tyłach domu.

Przyjrzała jej się uważnie i w myślach całkowicie ją przemeblowała.

Zaczął w niej kiełkować pewien pomysł, który z każdą chwilą nabierał coraz wyraźniejszych kształtów.

Gdy się ściemniło, poszła do sypialni. Nie rozpałała ognia w kominku, bo zamierzała niebawem pójść spać. Sypialnię oświetlała jedna tylko świeca.

Włożyła najcieplejszą koszulę nocną i, okutana w dwa grube szale z dzianiny, usiadła przy oknie, zastanawiając się, co zrobi z tym domem.

Miała nadzieję, że wszelkie długi zostaną wkrótce spłacone. Powinna spytać Mappletona, doradcę prawnego matki i wykonawcę jej testamentu, kiedy będzie mogła mieć pewność, że dom należy do niej.

Musi przez jakiś czas na to poczekać, ale inne sprawy czekać nie mogą.

Jutro wysprząta pokój na tyłach domu i przekona się, czy jej plany co do niego mają szanse realizacji. Potem pójdzie do sklepu i kupi żywność na co najmniej cały przyszły tydzień. Kiedy Daphne za trzy dni tu wróci,

żeby ją zabrać do siebie, powie jej otwarcie, że już nie pojedzie z nią do posiadłości pod Londynem, ponieważ zamierza zamieszkać w tym domu.

To się Daphne nie spodoba. Po pięciu latach przebywania ze sobą łączyła je znacznie silniejsza więź, niż sądziła większość osób. Ale nadszedł czas, żeby to zmienić. I żeby samej zająć się własną przyszłością.

Rozejrzała się po sypialni. Zasłony przy oknach i łóżku wyglądały czysto i świeżo, lecz uszyto je ze zwykłego białego muślinu. Sprzęty miały eleganckie kształty, ale bez ozdobnych, rzeźbionych ornamentów. Brak

jawnego luksusu kontrastował z siedzibą matki na Orchard Street, gdzie

Alessandra królowała podczas przyjęć w salonach jako wielka dama półświatka.

Celia uznała, że woli ten dom. Cieszyło ją, że nikt inny w nim nie mieszka i że będzie go miała tylko dla siebie.

Najwyraźniej jednak ostatni lokatorzy wynieśli się z niego stosunkowo niedawno. Na meblach nie było żadnych zakurzonych pokrowców, a w spiżarni zostało nawet trochę żywności, teraz zeschniętej. Nie czuło się tutaj pustki, raczej miłą atmosferę. Domową.

Nagle zamarła. Jej zmysły się wyostrzyły. Zaczęła bacznie nasłuchiwać. Rozległ się szmer tak cichy, że mógł go spowodować przeciąg. Chciała, by właśnie taka była jego przyczyna, mimo to ze strachu zjeżyły się jej włosy na karku.

Ponowny szmer gdzieś na górze. Jakby skradał się kot. Może istotnie zabłąkało się tu jakieś zwierzę?

Szmary ustały. Nasłuchiwała jeszcze przez dłuższą chwilę i niemal już zdołała przekonać siebie samą, że niczego nie usłyszała. Przecież upewniła się, że wszystkie drzwi są pozamykane na klucz. Nikt nie mógłby tutaj wejść.

Schody prowadzące na poddasze zatrzeszczały. Na odgłos kroków omal nie wyskoczyła ze skóry. Nie mogła się dłużej łudzić. Znów kroki. Ktokolwiek był na górze, wcale nie starał zachowywać się cicho. A poza tym zbliżał się już do drzwi sypialni!

Struchlała ze zgrozy. Przez jedną straszną chwilę nie była w stanie

wykonać najmniejszego ruchu, lecz potem zaczęła się gorączkowo zastanawiać nad możliwością obrony. Zerwała się, chwyciła pogrzebacz sprzed zimnego kominka, prześlizgnęła się cicho pod ścianą i stanęła koło drzwi. Miała nadzieję, że intruz opuści dom tą samą drogą, którą się do niego dostał, a jeśli nie, to... Uniosła pogrzebacz, kurczowo ściskając go oburącz.

Ktoś doszedł do podestu i się zatrzymał. Modliła się w duchu, żeby zszedł na dół i się stąd wyniósł.

Ku przerażeniu Celi skierował się jednak w stronę jej sypialni i stanął tuż przy drzwiach. Niech stąd odejdzie! Niech odejdzie!

Drzwi się otwarły. Serce podeszło jej do gardła. Wstrzymała oddech i stała bez ruchu.

Do sypialni wszedł mężczyzna. Wysoki. Skierował kroki w głąb pokoju.

Dojrzała ciemny płaszcz, długie buty, biały kołnierz koszuli i halsztuk.

Mignął jej profil i ciemne oko, twarz o zdecydowanym wyrazie, a także ciemne włosy zebrane z tyłu w niemodny już harcap. Dojrzała to wszystko w przyćmionej poświacie odległej świecy.

Intruz wlepił wzrok w migoczący płomyk, świadczący, że nie jest w tym domu sam. Zesztywniał, nagle czujny. Celia, zebrawszy całą odwagę, podkradła się do niego cicho od tyłu, gotowa do zadania ciosu pogrzebaczem.

Odwrócił się gwałtownie, gdy miała go właśnie uderzyć, i chwycił pogrzebacz, a wraz z nim również i ją, po czym okręcił nią wkoło i rzucił na łóżko. Obydwa szale z niej opadły. Runęła na materac.

Bez tchu, pełna grozy, wlepiła w niego wzrok. On również nie odrywał od niej oczu, nadal ściskając w ręku pogrzebacz.

Ledwie mogła złapać oddech w pełnej napięcia ciszy. Powiódł wzrokiem po jej nocnej koszuli, spod której wystawały bose stopy.

Wykonał nieznaczny ruch do przodu. Sprężyła się, gotowa do walki, gdyby musiała ją stoczyć. Teraz znalazł się jednak w kręgu słabego światła świecy, które padało na jego twarz. Dostrzegła znajome rysy i strach ustąpił miejsca gniewowi.

- Panie Albrighton, i po cóż było się zakradać tutaj? O mało nie umarłam ze strachu!

- Przepraszam, panno Pennifold - mruknął. Groźny wyraz jego twarzy nieco złagodniał. - Nie wiedziałem, że pani tu jest. Nie zauważyłem, żeby się gdzieś świeciło. Skądinąd to dość dziwna pora jak na oględziny domostwa.

'- Dziwna pora? Już raczej pańska obecność wydaje mi się dziwna. W końcu ten dom należy do mnie. Po co pan tu przyszedł? Żeby kraść?

- Gdzież tam, panno Pennifold. Tak się składa, że ja tutaj mieszkam.

Albrighton dorzucił drewno do kominka w bibliotece. Potem podszedł do małego sekretarzyka i wyjął z niego butelkę jakiegoś trunku. Nalał go do małego kieliszka i podał Celi, która siedziała na sofie, owinięta znów w swoje szale.

Od razu wyprosiła go z sypialni. Przeszli do biblioteki - on w ubraniu wyjściowym, ona nadal w nocnej koszuli, z czego aż za dobrze zdawała sobie sprawę.

- Nie potrzeba mi niczego na wzmocnienie nerwów, panie Albrighton.

Nie jestem głupią gęsią, która mdleje z byle powodu.

Wzruszył ramionami i sam wychylił kieliszek, po czym usiadł w fotelu przy kominku. W tym oświetleniu wyglądał bardzo korzystnie, ale wydawał się jeszcze bardziej tajemniczy i groźny - czy chciał tego, czy nie.

Zawsze był dla niej postacią enigmatyczną. Nie zdradzał swoich myśli, nie okazywał emocji, gdy go spotykała na przyjęciach wydawanych przez matkę. Innych można było bez trudu zasufladkować, poznać ich osobowość, odgadnąć zamiary, nikt jednak nigdy do końca nie wiedział, kim właściwie jest pan Albrighton. Miał zaledwie dwadzieścia kilka lat, ale w Celi zagadkowość tego człowieka budziła niepokój. Odnosiła wrażenie, że zachowuje się on niczym aktor na scenie.

Wyczuwało się w nim jednak przyjazne ciepło, skłaniające do bliskiego, niemal intymnego kontaktu, co zresztą jeszcze bardziej zbijało z tropu. W głębi jego oczu kryło się zrozumienie czyichś zgryzot, doznanych krzywd, nawet takich, którymi nikt inny by się nie przejął. Ale potrafił też być twardy i bezwzględny. Jeszcze jako dziewczynka Celia uznała, że jest on zbyt skomplikowaną osobowością i zbyt ją denerwuje. W rezultacie rzadko ze sobą rozmawiali, nie licząc zdawkowych pozdrowień.

A teraz siedział w fotelu blisko niej, jakby miał prawo przebywać w tym domu! Wciąż jeszcze nie mogła się otrząsnąć z szoku wskutek jego wtargnięcia do jej sypialni, on zaś rozpierał się swobodnie w fotelu niczym jakiś ziemianin po powrocie z polowania. W dodatku śmiał

twierdzić, że ma do tego prawo!

I wierzyła mu, i nie wierzyła. W tym właśnie był cały problem z Jonathanem Albrightonem. Nigdy się nie wiedziało, kim on właściwie jest. Milczenie zaczynało być krępujące. Dla niej, nie dla niego. Najwyraźniej zamierzał tu siedzieć i nic nie mówić, bo tak mu się podobało, i tylko od czasu do czasu spoglądał na nią. Odblask świecy migotał na jego wyczyszczonych do połysku butach.

- Wygląda pan na całkiem zadowolonego - zaczęła. - Ale doradca prawny matki mówił mi, że w tym domu nie ma już lokatorów, kłamie pan zatem, twierdząc, iż tu mieszka.

- Najpierw nazwała mnie pani złodziejem, a teraz kłamcą. Całe szczęście, że nie jestem obraźliwy.

- Nie zamierzam świadczyć panu uprzejmości. Dla mnie jest pan przestępcą i nie zmienię zdania, póki nie przekona mnie pan, że się mylę.

- No, a teraz zostałem przestępcą.

Nie wiedziała, czy poczuł się naprawdę urażony, czy też nie, ale niewiele ją to obchodziło.

- Nie wynająłem całego domu - wyjaśnił. - Tylko jeden pokój na poddaszu. Nie korzystałem z niego zbyt często, ale zapewniam panią, że to zgodna z prawem umowa najmu na dziesięć lat.

Była skłonna mu uwierzyć, że rzadko z tego lokum korzystał. Pamiętała, że często wyjeżdżał z Londynu. Zniknął na kilka miesięcy, kiedy przez jeden jedyny rok mieszkała z matką, i pojawił się ponownie na krótko przed opuszczeniem przez Celię matczynego domu. Dowiedziała się od

matki, że znów wyjechał niedługo potem.

- Nie było już pani w Londynie, kiedy zawarłem z pani matką tę umowę, i wątpię, że uważała ją za wartą wzmianki, gdy znów się spotkałyście - dodał po chwili.

- Wynajął pan ten pokój od mojej matki?

- Tak. Była moją serdeczną przyjaciółką. Niczym więcej, jeśli to panią dziwi.

- Nie - odparła, choć trochę ją to jednak zaskoczyło. Jak zresztą chyba każdego. Pan Albrighton był przystojny na swój mroczny sposób, wysoki i dobrze zbudowany. Alessandrze, nieobojętnej na męską urodę, z pewnością przebywanie z nim sprawiało przyjemność. - Wiem, że nie był pan jednym z jej protektorów. Widziałam pana na kilku przyjęciach w trakcie tego roku, który z nią spędziłam, ale dobrze wiedziałam, jakie są jej standardy.

- A czy są to również pani standardy?

W jego pytaniu nie było żadnej zniewagi. Zadał je tak, jakby pytał o zdrowie.

Nie chciała przed nim niczego udawać. Nie było warto. Na pewno wiedział o wszystkim. Dlaczego spędziła cały rok w domu na Orchard Street i czemu go opuściła.

- Mimo że odeszłam od matki, ceniłam nauki, których mi udzielała. Jej standardy stałyby się moimi, gdybym miała nadzieję osiągnąć podobną sławę i powodzenie w profesji, którą uprawiała.

Wysłuchał tej odpowiedzi spokojnie, właśnie tak, jakby rozmawiali o jej

zdrowiu. Twarz - uprzejma, mimo że blask ognia podkreślał twardość rysów i surowość spojrzenia głęboko osadzonych oczu - nie zdradzała żadnej reakcji. Celia czuła jednak jego zainteresowanie. Wytwarzał nastrój osobliwej poufałości, która zachęcała do zwierzeń. Nie spuszczał z niej wzroku. Drgnęła, lekko podekscytowana. Podobnie reagowała na niego przedtem, jeszcze jako młodzianka dziewczyna, balansując na krawędzi przeczcucia niebezpieczeństwa i strachu. Była wtedy za młoda, żeby rozumieć, co to oznaczało. Sądziła, że zmysły kobiet rozpalają pocałunki, pochlebstwa, wyznania miłości. Dopiero gdy dorosła, pojęła, jak ważne są w miłosnych sprawach delikatność, dystans, nawet milczenie.

On taki był. Alessandra nauczyła ją dostrzegać w mężczyznach te cechy, nawet jeśli były ukryte. Uprawiana przez nią profesja wymagała rozpoznania mężczyzny, w którym budziła zainteresowanie, nawet jeśli ów mężczyzna nie chciał się przed samym sobą do tego przyznać.

Celia, usiłując nie zważać na to, jak działa na nich wzajemna obecność i jak pod wpływem tego zmieniało się wszystko, nawet oświetlenie i atmosfera biblioteki, powróciła do jedyne go istotnego teraz dla niej tematu.

- A więc twierdzi pan, że wynajął pokój na górze? Po cóż był panu potrzebny, skoro przez kilka ostatnich lat rzadko pan z niego korzystał?

Kto jeszcze mieszkał w tym domu?

- Alessandra. Nie wiedziała pani o tym? Nie. Nie wiedziała.

- Chroniła się tu, kiedy była zmęczona. Najczęściej na kilka dni.

Najwyżej zaś na kilka tygodni, późnym latem, kiedy Londyn pustoszeje.

Celia spojrzała na niego gniewnie. Drażnił ją spokojny ton jego głosu, jakim wyjawiał sekrety jej matki. A wiedział o Alessandrze więcej niż ona, rodzona córka! Uznała, że to nie w porządku. Jak mógł ten mężczyzna, prawie zawsze przebywający poza Londynem - nawet nie kochanek! - znać Alessandrę lepiej niż jej córka?

Opanowała gniew, zrodzony chyba z żalu, z poczucia winy i wyrzutów sumienia. Nie mieszkała z Alessandrą wystarczająco długo, żeby dowiedzieć się o niej wszystkiego. Dzieciństwo spędziła na wsi, nie w Londynie, do którego przyjechała dopiero jako szesnastolatka. Były razem bardzo krótko.

- Chciałabym zobaczyć pańską umowę najmu.

- Mam ją w kufrze. Przyniosę najszybciej, jak się tylko da.

- Czyż pański kufer nie jest na górze?

- Dopiero co wróciłem do Londynu. Zostawiłem kufer u przyjaciół i jeszcze go nie odebrałem.

- Jeśli to jest pańskie mieszkanie w Londynie, dlaczego zostawia pan swoje rzeczy u przyjaciół? Opowiada mi pan głodne kawałki. Czy zdaniem pana jestem aż tak głupia, że nie odróżnię prawdy od kłamstwa?

Nie wierzę, że pan tu mieszkał. Ani ona! Sądzę, że dzisiejszej nocy szukał pan tu czegoś, a teraz kłamie, żeby mnie odwieść od zamiaru zasięgnięcia informacji u sędziego.

- A czy jest tutaj coś, czego warto szukać? Nie potrafię sobie wyobrazić, co by to mogło być! Życie pani matki było niczym otwarta księga.

Bardziej niż większości kobiet.

Czarujący, dyskretny uśmiech tak ją rozbroił, że niewiele brakowało, a umknęłoby jej uwagi, iż niczemu nie zaprzeczył! Przypomniała sobie, że miał prawdziwy talent do eleganckich uników. Nie odpowiadał wprost na pytania i wykręcał się od odpowiedzi tak zręcznie, że niemal się tego nie zauważało.

- Czy był pan w ostatnich dniach również w domu na Orchard Street?

- Nie miałem żadnego prawa tam wchodzić. Dlaczego mnie pani pyta?

I znowu nie zaprzeczył.

- Bo ktoś już tam był, może dzisiaj w czasie pogrzebu, a może wcześniej.

Wybrałam się do tego domu po południu razem z wykonawcą testamentu.

Papiery matki były starannie poukładane. Zbyt starannie. Nigdy nie widziałam takiego porządku w jej szufladach.

- Najpewniej ułożył je doradca prawny podczas sporządzania inwentarza.

Prawnicy z natury lubią porządek w papierach.

Było to dobre wyjaśnienie, tylko że prawda przedstawiała się całkiem inaczej. Jeszcze zanim Mappleton zaczął przeglądać papiery, zauważyła ten zadziwiający porządek, i to on powiedział jej, że czegoś w nich brakuje. Wątpiła jednak, by Albrighton przyznał się, że wszedł tam bezprawnie, jeśli nawet to uczynił. Czego zresztą miałby szukać, pomyślała.

W bibliotece od płonącego w kominku ognia zrobiło się gorąco. Chętnie by zrzuciła z siebie oba szale, ale pozwoliła sobie tylko na ostrożne zsunięcie z ramion jednego, po upewnieniu się, że pozostały szczelnie ją

okrywa.

Spokojnie ją obserwował. Mimo to, czując na sobie jego wzrok, miała wrażenie, jakby uczyniła coś skandalicznego, ryzykownego i świadomie prowokacyjnego.

- Panie Albrighton, może i ma pan tę umowę najmu, ale nie pozwolę tu panu zostać. Dom należy do mnie, a ja nie chcę tu żadnych lokatorów, zwłaszcza mężczyzn. Jestem pewna, że pan mnie rozumie i zgodzi się ze mną.

- Zapewne rozumiem, ale się nie zgodzę. Jak powiedziałem, zawarłem umowę. Zapłaciłem z góry.

- Zwrócę panu pieniądze.

Miała nadzieję, że suma nie będzie zbyt duża. Wolałaby nie naruszać oszczędności, które zdołała odłożyć.

- Nie chcę pieniędzy. Potrzebuję tymczasowego lokum w Londynie i zawarłem umowę z właścicielką spokojnego domu na spokojnej ulicy. Oczekuję, że będę mógł z niego korzystać, bawiąc w mieście. A teraz właśnie w nim bawię.

- Niepotrzebnie komplikuje pan sytuację. Nie życzę sobie pana obecności.

- Nie zależy mi na pani życzliwości. Zależy mi na miejscu, gdzie mógłbym przenocować.

- Jeśli spojrzy pan na to z mojego punktu widzenia, zrozumie pan, że nie mogę...

- Nie zauważy pani nawet mojej obecności. Wchodzę wejściem od

ogrodu i idę do siebie na poddasze tylnymi schodami. Nie mam wygórowanych potrzeb i jestem bardzo dyskretny. Założę się, że większość sąsiadów nigdy mnie nie zobaczy.

- Wystarczy, że niektórzy zobaczą.

- W tej okolicy często wynajmuje się pokoje w domach podobnych do tego. Nie ucierpi na tym pani reputacja, jeśli tego się właśnie pani obawia.

Moja obecność na poddaszu będzie miała taki sam charakter jak podczas mieszkania tutaj pani matki.

Czyżby chciał jej dać do zrozumienia, że jego obecność nie pogorszy reputacji kobiety będącej córką Alessandry, a więc i tak już napiętnowanej? Jeśli nawet taka była jego intencja, nie mogła go za to winić. Była to szczerza prawda, a po śmierci matki szybko rozeszłaby się wieść o córce słynnej kurtyzany, i nawet w wiejskim domku Daphne, gdzie żyła w ukryciu, niebawem by ją wypatrzone.

- Pamiętam, że pańskie pobyty w Londynie były najczęściej krótkie. Czy tym razem przyjechał pan na dłużej?

- Najwyżej na dwa tygodnie. A pani, panno Pennifold, zamierza tu długo zostać? Czy też wróci pani tam, gdzie żyła dotąd?

- Zamierzam osiąść tu na stałe. Zajmę się prowadzeniem interesu.

- Sama?

- Spodziewam się, że za jakiś tydzień pojawi się tutaj kilka kobiet. Niech pan nie liczy na spokój i prywatność, na których panu tak zależy. To już przeszłość.

Chciała uchodzić w jego oczach za kobietę światową, niedbającą o to, co myślą o niej inni.

- Spodziewam się również wizyt wielu gości. Może tu być bardzo głośno, nawet na poddaszu. Zwłaszcza nocą. Z pewnością nie spodobają się panu te zmiany.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, nie komentując jej słów. Miała nadzieję, że pomyśli sobie jak najgorzej o tym jej interesie i dalszy pobyt tutaj uzna za jak najbardziej niewłaściwy. Wręcz niemożliwy.

- Nie tego matka oczekiwała od pani - powiedział w końcu. - Choć sądzę, że prowadzenie owego interesu byłoby dość praktycznym, lecz i dość ryzykownym zajęciem. Kiedy pani zamierza zacząć?

- Już wkrótce. Niech więc pan nie traci czasu i poszuka nowego lokum. Najmądrzej byłoby...

- Nie zrozumiała mnie pani. Ciekaw jestem, jak długo będę czekał na ten dzień. Dopiero wtedy się stąd wyniosę.

- Doprawdy? Będzie pan czekał? Sądziłam, że zachęci to pana do wyprowadzenia się, a nie do pozostania!

- A jednak nie mogę się oprzeć chęci zostania tu, przynajmniej do czasu, aż rozkręci pani ów interes. I skłonny jestem podejrzewać, że ma on wiele wspólnego z tą uroczą stopką widoczną spod rąbka nocnej koszuli.

Zerknęła na dół, choć akurat własna stopa najmniej ją obchodziła. Nigdy się po nim nie spodziewała, że okaże jej tak jawne zainteresowanie.

Jednak tak się stało. A teraz w bibliotece, gdzie oboje się nieoczekiwanie znaleźli, powietrze drżało, poruszane potężnymi fluidami, jakie przepływają między mężczyzną a kobietą.

Poczuła się nagle słaba. Słaba i bezbronna. I naga. Przenikał ją na wskroś

wzrokiem. Wstała, żeby odzyskać przynajmniej swobodę ruchów, a jeśli okaże się to konieczne, sposobność ucieczki. Choć wątpiła, by groziło jej tego rodzaju niebezpieczeństwo z jego strony.

Niestety, on również wstał. Owinęła się ciasno szalem, w geście obrony, osłaniając się nim niczym puklerzem, i spróbowała przybrać groźną postawę. Ależ wdepnęła!

- Jak już mówiłam, panie Albrighton, stosuję standardy mojej matki w ocenie mężczyzn. Pozycja społeczna i zamożność to główne kryterium.

Obszedł ją wkoło, nie przejmując się jej słowami. Był wysoki, o wiele za wysoki. Poczwała lęk. Obracała się, nie chcąc stracić go z oczu. Zatrzymał się niedaleko od niej, tuż przy ścianie, o którą wsparł się niedbale łokciem, w bardzo swobodnej pozycji.

- Gdyby miała pani nadzieję osiągnąć podobną sławę i powodzenie. To pani własne słowa. A przecież dopiero co była mowa o dyskretniejszej formie tej profesji. A może źle panią zrozumiałem?

Czy się z nią drażni? Uważa, że ona blefuje? Podejrzewała to, ale nie miała pewności. Nie była w stanie mu odpowiedzieć, częściowo dlatego, że stał tak blisko i patrzył na nią ciepło, z poufałością, wręcz prowokując do zwierzeń. Zbyt dobrze panował nad sobą, by rzucać na nią pożądlive spojrzenia. Chociaż wolałaby, żeby je rzucał. Wtedy od razu by mu pokazała, gdzie jego miejsce.

Usiłowała zachować chłodną obojętność, jaką demonstrowała w takich wypadkach matka.

- Niezależnie od tego, jaką wybiorę formę i jaką profesję, pańska

obecność tutaj nadal będzie niepożądana. I nic pan nie zyska, próbując mnie uwodzić.

- Nie zgadzam się. Przez ostatnie pięć minut robiłem to i już coś uzyskałem.

- Nie wiem, co by to mogło być, oprócz zirytowania mnie.

- Doprawdy?

Uśmiechnął się leciutko. A może tylko jej się zdawało, że to był uśmiech.

Odsunął się od ściany. Z trudem zdołała opanować chęć ucieczki i ukryć strach, który pozbawił ją tchu. Nie, nie strach. Podniecenie.

- Zyskałem pewność, że nadal uwodząc, zyskałbym jeszcze więcej, niezależnie od tego, jak odpowiednio czy też nieodpowiednio bym się zachował.

Wyciągnął nagle rękę i położył dwa palce na jej ustach. Przeszły ją ciarki.

Czuła, jak jej wargi pulsują pod tym delikatnym dotykiem.

- Nie jest pani tak wyrafinowaną kobietą, panno Pennifold, za jaką chciałaby pani uchodzić. I tego, co widzę, nie nazwałbym irytacją.

Może są dżentelmeni, którzy nie zastanawialiby się nad wykorzystaniem okazji, jakie daje ten pokój dziś wieczorem, ale ja do nich nie należę.

Z każdym jego słowem narastało w niej owo szczególne napięcie.

Powiedział, co o niej myśli, bez ogródek, ale Celia uznała, że lepiej

będzie pominąć to milczeniem. Spojrzenia ich spotkały się ponad jego

wyciągniętą ręką i wpatrywali się w siebie. Zbyt długo. Bała się, że on ma rację, niestety. Że naprawdę nie jest aż tak wyrafinowana, by ukryć

wewnętrzne wzburzenie.

Ręka pana Albrightona opadła. Uśmiechnął się tym razem do siebie samego.

- A teraz panią zostawię. Zamknę na klucz drzwi od ogrodu, nim pójdę na górę. Dobrej nocy, panno Pennifold.

Podejrzenia Celi, że ktoś przeszukał drugi dom Alessandry, nie były dla Jonathana dobrą wiadomością. Jak również jej oświadczenie, że postanowiła zamieszkać w domu przy Wells Street. I to niezależnie od satysfakcji, jaką mu sprawiła drobna słowna z nią utarczka. Wstając następnego dnia rano z łóżka, zastanawiał się nadal, w jakiej mierze mogłoby mu to przeszkodzić w realizacji jego zadania.

Był już w tamtym domu na Orchard Street, zanim się udał tutaj, i zauważył ów wyjątkowy porządek, o którym mówiła Celia. Jeśli miała rację i tamten dom ktoś już przed nimi spenetrował, być może chodziło o informacje, których poszukiwał Edward. Ów ktoś mógł mieć mniej niewinne intencje niż upewnienie się, że przeszłość Alessandry pozostanie przeszłością. Byle głupiec, liczący na to, że uda mu się szantażować jej protektorów, mógł zaryzykować nielegalne wtargnięcie do tego domostwa, by poznać ich nazwiska.

Możliwe też - choć Jonathan wzdragał się na samą myśl o tym, ale musiał zakładać i taki wariant, że istotnie chodziło o zdradę, a człowiek, który się jej dopuścił, chciał się upewnić, że Alessandra nie pozostawiła żadnych wskazujących na niego dowodów.

Piętro niżej spała urocza jasnowłosa młoda kobieta. Zdesperowani ludzie dokonują desperackich czynów. Gdyby Celia natknęła się przypadkiem na intruza szukającego ukrytych dowodów zdrady lub gdyby ktoś uznał, że wie ona za dużo o poczynaniach matki, groziłoby jej poważne niebezpieczeństwo. W takim razie dobrze się stało, że tu zamieszkał.

Mogła nie życzyć sobie jego ochrony, ale mogła jej wkrótce potrzebować.

I był jeszcze jeden, niezwiązany z tamtymi, możliwy powód zainteresowania się przez kogoś papierami Alessandry. Ktoś chciał się przekonać, czy nie ma w nich czegoś, co, gdyby wpadło w ręce Jonathana, pozwoliłoby mu się zemścić za wydarzenia w Kornwalii, do których doszło przed pięciu laty. Nie ulegało wątpliwości, że Jonathan zrobiłby użytek z uzyskanych w ten sposób informacji.

Spoępniał, jak zawsze, kiedy wspominał ten fatalny epizod i jego tragiczny finał. Dziś wspomnienie dręczyło go ze szczególną siłą, bo obraz wypadków z tamtej nocy znów powrócił z całą ostrością w koszmarnym śnie. Bez wątpienia przyczynił się do tego Edward, napomykając w powozie o owym zdarzeniu. Zdrada, której się ktoś dopuścił, odcisnęła na Jonathanie trwałe piętno: życie stracił niewinny chłopiec, który zgodził się za kilka szylingów poprowadzić Jonathana przez nieznany mu fragment morskiego wybrzeża.

Nieraz już w swoim życiu zabijał. Widział też śmierć innych ludzi, również swoich towarzyszy. A mimo to nie był przygotowany na spojrzenie w oczy matce tego chłopca, kiedy przyniósł jej ciało martwego syna. Zobaczył rozpacz tak głęboką, że na nic by się zdały wszelkie usprawiedliwienia.

Ktoś powinien jednak drogo zapłacić za tę noc. Jonathanowi było wszystko jedno, czy znajdzie listę kochanków Alessandry, czy też znajdzie ją ktoś inny i ujawni ją. Zgodził się wykonać to w gruncie rzeczy błahe zlecenie tylko dlatego, żeby wreszcie wyrównać stare rachunki.

A dom przy Wells Street był kolejnym miejscem do przeszukania, jakże miał to jednak robić tuż pod nosem Celi? Ostatniej nocy przejrzał pospiesznie większość pokoi na poddaszu, ale jeden z nich był zamknięty na klucz. Nie mógł się tam włamać, bo Celia od razu by się domyśliła, kim jest włamywacz.

Przed drzwiami jego pokoju, gdy je rano otworzył, nikt nie postawił dzbanka z wodą do umycia się. Nie spodziewał się też, by gospodyni tego domu zatroszczyła się o pościel na jego łóżku. Celia nie kiwnie palcem, by zapewnić wygody niechcianemu lokatorowi, bez względu na to, co zaszło między nimi w bibliotece zeszłej nocy. Domyślał się, że chęć uprzykrzenia mu pobytu nie była jedynym tego powodem.

Nie wiedział, gdzie się podziewała przez te kilka lat po opuszczeniu matki, nic jednak nie świadczyło, że poszła do kogoś na służbę.

Najwyraźniej nie miała żadnego pojęcia o prowadzeniu domu.

Musiał więc sam o siebie zadbać. Zszedł na dół tylnymi schodami. Z jej pokoju na pierwszym piętrze nie dobiegał żaden dźwięk, gdy go mijał.

Niżej też było cicho. Dopiero po zejściu na parter zobaczył Celię.

Siedziała w skąpanej promieniami słońca bawialni na tyłach domu ze szkicownikiem na kolanach, przypatrując się to oknom, to wnętrzu bawialni, pochłonięta rysowaniem.

Miała na sobie jasnożółtą suknię. Suknia, blond włosy i jasna cera zdawały się jeszcze bardziej rozjaśniać całe pomieszczenie. Już zeszłej nocy, w poświacie kominka, wydała mu się piękną, ale teraz jej uroda wprost zapierała dech.

Prowadzenie burdelu to nie dla niej. Zmarnowałyaby się. Przypuszczał jednak, że napomykając w nocnej rozmowie o takim zamiarze, miała jedynie na celu skłonienie go do jak najszybszego wyniesienia się z tego domu.

Drgnęła, zaskoczona, kiedy ją pozdrowił. Spojrzeniem błękitnych oczu omiotła jego postać od stóp do głów, ale nie odezwała się ani słowem, widząc, że pojawił się, zresztą niezamierzenie, w niekompletnym stroju, tylko w spodniach i koszuli, nieogolony. No cóż, pomyślał, nic dziwnego. Ciągle miał w pamięci tamtą złotowłosą, młodziutką dziewczynę w domu Alessandry i domyślał się, jakich nauk udzielała córce matka przez rok wspólnego mieszkania. Nieokazywanie zmieszania na widok nieubranego mężczyzny było zapewne jedną z nich.

- Przyszedłem po wodę do mycia.

Usprawiedliwienie zabrzmiało głupio nawet w jego uszach. Co się stało jeszcze bardziej oczywiste, kiedy wrócił z ogrodu z wziętym stamtąd wiadrem.

- Czyżby pan oczekiwał, że mu ją przyniosę? - W głosie Celi brzmiała autentyczna ciekawość.

- Oczywiście, że nie. Nie jest pani służącą.

- Nie jestem. Zwłaszcza pańską.

- Zwykle jednak wynajmuje się pokój razem z pościelą. Początkowo nie zamierzał domagać się tego od niej, ale urażony jej nieuprzejmością, zmienił zdanie.

- Mówiłem, że nie mam wygórowanych potrzeb, ale przydałyby mi się

prześcieradła.

Rzuciła na niego okiem i znów zajęła się rysowaniem. Jonathan powędrował do studni i nabrał w wiadro wody. Wracając, zastanawiał się, czy zdoła wymyć się w zimnej wodzie, czy też będzie tracić czas na zagrzanie jej przy kominku.

- Wychodzi pan dzisiaj? - Pytanie padło, gdy już miał wejść na schody.

- Chyba tak. Za jakąś godzinę.

- W porządku.

Nie podniosła głowy znad rysunku.

To rzucone zdawkowo „w porządku” go zirytowało. Odstawił wiadro i podszedł do Celi, żeby obejrzeć rysunek tak bardzo ją absorbujący.

Przedstawiał bawialnię, ujętą w dobrej perspektywie, wraz z całym systemem półek przy oknach i tacami na podłodze.

- Odziedziczyła pani talent po matce - powiedział, ale jego wzrok szybko zatrzymał się na jej złotych włosach, upiętych w kunsztowną fryzurę.

Pochyliła głowę, dzięki czemu odsłoniły się nieposłusznie wymykające się z fryzury kosmyki włosów, podobne delikatnym ptasim piórkom spływającym po jej smukłej szyi. Stał tak blisko, że czuł zapach lawendy i widział, jak te kosmyki delikatnie powiewają, poruszane jego oddechem.

Ołówek Celi się zatrzymał. Uniosła głowę na tyle szybko, by zauważyć, że wpatrywał się teraz nie w rysunek, tylko w nią.

Zarumieniła się lekko. Przez moment patrzyła mu prosto w oczy.

Badawcze spojrzenie, akceptujące jego obecność. Nie była zaskoczona ani skonsternowana. A on, jak poprzedniej nocy, nie starał się ukryć

podziwu i zainteresowania, choć zwykle nie demonstrował własnych uczuć.

W jego głowie zaczęły się roić myśli o tym, co może się teraz zdarzyć.

Myśli przyjemne. Erotyczne. Szybko je porzucił. Była piękna, godna pożądaniami i również - to pewne - nim zainteresowana, choć okazywała obojętność. Bez względu jednak na to, czy poszłaby w ślady matki, czy otworzyłaby dom publiczny, czy też żyła w cnotliwym odosobnieniu, nie była dla niego.

Ponownie zajęła się rysowaniem, jakby i ona doszła do takiego samego wniosku.

- Znał ją pan dobrze, skoro pan wie, że miała talent. Ja dopiero pod koniec jej życia przekonałam się o tym.

- Wystarczyło zobaczyć jeden jej rysunek, żeby wiedzieć, iż to utalentowana malarka.

- Widział pan tylko jeden? Czy może więcej?

Zawahał się. Od dawna nawykł do oszczędnego wypowiadania się na temat większości spraw, zwłaszcza jeśli dotyczyły kogoś innego lub były związane z jego pracą. Nawet przypadkowa wzmianka o czymś mogła spowodować kłopoty. Im mniej słów, tym lepiej.

- Lubiła rysować i malować, kiedy tu przebywała - odparł. - Dlatego miałem okazję widzieć ich więcej.

- Czy te rysunki są tutaj?

- Sądzę, że tak.

Rozejrzała się po bawialni i odruchowo skierowała wzrok także w stronę

pozostałych pokoi na górze i na dole.

- Może jakieś znajdę, kiedy będę miała czas na przeszukanie tego domu.

Ale najpierw muszę się zająć innymi sprawami. Chociażby tą bawialnią.

Już chciał spytać, co zamierza zrobić z bawialnią i z tymi wszystkimi półkami, ale się powstrzymał. Dźwignął wiadro z wodą i wszedł na górę.

Przeszukanie. Użyła dziwnego w jej ustach słowa. Jakiegokolwiek miała powody, lepiej byłoby, gdyby najpierw zrobił to on.

Odgłos kroków na schodach stopniowo cichł. Jej uciążliwy lokator sam wnosił wodę do swojego pokoju na poddaszu.

Miała nadzieję, że pan Albrighton wyniesie się stąd od razu, jak tylko się przekona, że ona absolutnie nie zamierza zadbać o jego wygodę, i poszuka sobie lokum, gdzie będzie miał zapewnione przynajmniej podstawowe usługi. Nic na to jednak dzisiejszego ranka nie wskazywało, a poza tym nadal interesował się nią bardziej, niż wypadało.

Obawiała się, że jeśli zbyt jawnie będzie się starała go zniechęcić do pozostania tutaj, gotów się uprzeć i właśnie zostać. Mógł to uznać za próbę sił, którą oczywiście, jego zdaniem, on musi wygrać.

Zapewne nic nie wskórała nieuprzejmym potraktowaniem go dzisiejszego ranka, a może nawet sprowokowała do niewłaściwego zachowania się. Powinna być nieco miłsza.

Nie lubiła być niegrzeczna wobec innych i, jak podejrzewała, nie potrafiła. Z pewnością nie udało jej się to tego ranka. Trudno jednak odgrywać komedię przed kimś, kto sprawia, że w jego bliskości puls przyspiesza, a ciepło jego oddechu przyprawia o słodki dreszcz.

Widziała go w wyobraźni, czekającego w klitce na poddaszu, aż podgrzeje się woda. Od jak dawna tym razem tu mieszka? Domyślała się, że od niedawna, skoro nie miał tam pościeli ani ręcznika.

Odłożyła na bok rysunek i poszła na górę do swojego pokoju. Z wiklinowego kosza wyjęła stos prześcieradeł i ręczników. I tak powinna przykryć prześcieradłami wszystkie materace w tym domu. Nie chciała też mieć pozalewanej wodą podłogi. Zaniesienie mu pościeli nie było równoznaczne ze zgodą na jego obecność w jej domu, ani też z usługiwaniem mu. A jeśli przez nią jego pokój nie będzie się różnił od więziennej celi, to będzie tam również śmierdziało jak w celi.

Weszła na górę frontowymi schodami, nie na palcach, ale starając się nie robić hałasu. Chciała zostawić bieliznę pod drzwiami i odejść, nim on się zorientuje.

Przez poddasze ciągnął się długi korytarz, na który z jednej strony wychodziło troje drzwi, z drugiej dwoje. Troje drzwi stało otworem.

Nadstawiała uszu, czy nie dochodzą stamtąd jakieś dźwięki.

Żadnych. Szła cicho, zmierzając do końca korytarza, gdzie naprzeciwko siebie znajdowało się dwoje zamkniętych drzwi. Przecho-
dząc koło otwartych pokoi, zerknęła do środka. Stały w nich tylko skromne łóżka i szafy. Gdyby chciała przyjąć więcej lokatorów, miała dla nich sporo miejsca.

Zbliżyła się do tylnych schodów i dopiero wtedy zauważyła, że jedne z zamkniętych, jak jej się wydawało, drzwi były leciutko uchylone. Sączyła się przez nie wąska smuga światła. Ze środka wionęło chłodne powietrze.

Poza tym żadnego dźwięku. Żadnego ruchu.

Zajrzała przez szparę w drzwiach, przechylając głowę. Dostrzegła otwarte okno i zavalony papierami oraz książkami stół. Ale jej uwagę bez reszty przykuł pan Albrighton.

Stał tyłem do niej, twarzą do okna, nagi do pasa, z rozpuszczonymi włosami. Wodziła wzrokiem wzdłuż wyraźnie zarysowanej linii jego ramion, torsu, bioder, nie mogąc oderwać oczu od silnego, szczupłego ciała, którego nie okrywało odzienie.

Ramiona rozłożył szeroko, prostopadle do torsu. W każdej ręce trzymał dużą, ciężką książkę. Mięśnie, napięte z wysiłku, stwardniały, i wyglądały jak wyczelowane dłutem rzeźbiarza. Zaciśnięte dłonie świadczyły o sile, z jaką dźwigały ciężar.

Zapomniała, że miała położyć pod drzwiami pościel i ręczniki i wycofać się chyłkiem. Zapomniała o wszystkim i patrzyła na niego, zafascynowana. Od jak dawna tak stał? Jak długo zamierzał pozostać w tej pozycji? Książki musiały mu przecież coraz bardziej ciążyć. Były wyjątkowo duże i zapewne każda z nich ważyła co najmniej dwadzieścia funtów.

Powoli unosił wyprostowane ramiona, póki obydwa tomy nie zetknęły się ponad jego głową, a potem równie powoli, z widocznym bólem, je opuścił. Muskły ramion napięły się jak struny, również mięśnie pleców, nawet bioder. Mimo otwartego oka i chłodnego powiewu jego skóra pokryła się cienką warstwą potu.

Wyglądał wspaniale, męsko. Był doprawdy bardzo piękny. Zarumieniła

się tak mocno, że nawet zimne powietrze jej nie ostudziło. Rozpalały się w niej coraz silniejszym płomieniem iskry podniecenia.

Ponownie uniósł do góry oba tomy i znów opuścił ramiona, aż książki znalazły się tym razem na wysokości ud.

Odwrócił się.

Zobaczył ją oczywiście. Żeby lepiej go widzieć, podeszła pod same drzwi. Spojrzał na nią i, rzecz jasna, od razu wiedział, że go obserwowała.

A także, dlaczego. W jego oczach zamigotało rozbawienie. I jeszcze coś się w nich kryło - świadomość, że jest nim zauroczona. Niemalże słyszała, jak się zastanawia, co ma teraz zrobić.

Zapomniała o zażenowaniu. Zapomniała, że powinna coś powiedzieć.

Stała, trzymając naręczce bielizny, i patrzyła na niego. Mimo że już nie był obciążony książkami, jego ciało nadal zachwycało zdecydowanym, twardym zarysem silnej klatki piersiowej i ramion.

- Proszę wejść - powiedział, odkładając książki na łóżko. Zauważyła, że leży na nim koc. - W końcu to pani dom.

- Ja... ja przyniosłam trochę... - Uniosła ręce.

Nie podszedł, żeby wziąć od niej bieliznę. Stał, półnagi, i patrzył na nią.

Co chciał zobaczyć?

Oprzytomniała na tyle, by wydawać się bardziej opanowaną, niż w istocie była. Weszła do pokoju i rzuciła pościel na łóżko.

- Ale musi pan posłać sobie łóżko sam.

- Oczywiście.

Powinna teraz wybiec stąd. Pędem. Ale on stał tak blisko i, o niebios,

ciągle na nią patrzył. Czuła, że z jakąś niepojętą siłą przykuł ją do miejsca, pozbawiając zdolności wykonania choćby jednego kroku.

Rozejrzała się po pokoju, bo w końcu była przecież właścicielką tego domu, jednak w polu widzenia nieustannie miała jego półnągą postać.

Znów zobaczyła stertę książek i papierów, ale tym razem dostrzegła także i pistolety. Trzy z nich leżały rzędem na stole wraz z przyborami do czyszczenia broni. Po co komuś były potrzebne trzy pistolety gotowe do strzału? Zauważył jej zaniepokojenie.

- Nie są naładowane.

- Dobrze, że mi pan to powiedział. Gotowa byłam pomyśleć, że zamierza pan kogoś zabić.

- Nie dzisiaj.

Żartował. Przynajmniej taką miała nadzieję. Może zresztą wcale nie były to żarty.

- Z mojej strony nic pani nie grozi - zapewnił, jakby się domyślał, co ją niepokoi.

Była zaniepokojona, żeby się powstrzymać od uszczypliwości.

- Naprawdę? Bo ja uważam, że pan jednak mi zagraża.

- Może istotnie zagrażam. Ale nie w ten sposób. - Wskazał na pistolety.

Nie. Nie w ten sposób. Usiłowała wyzwolić się od tej przedziwnej, paraliżującej ją siły, jaką na nią wywierał. Nie będzie wtedy już jej zagrażał w żaden sposób. Czuła się tak, jakby wspinała się wysoko po linie.

- Powinien pan narzucić na siebie choćby koszulę, kiedy mnie pan

zobaczył.

Podszedł do niej blisko. Gdyby mogła się ruszyć, wyskoczyłaby ze skóry!

Ujął ją pod brodę silnymi, nieco szorstkimi palcami i spojrzał głęboko w

oczy. Zbyt głęboko. I dobrze wiedział, co się z nią dzieje. Z jego

ciemnych oczu promieniowało ciepło. Było to bezlitośnie i zarazem

subtelnie uwodzicielskie spojrzenie.

- Spędziła pani cały rok w domu Alessandry i nie jest niewiniątkiem.

Proszę nie oczekiwać, że się będę bawił w ceregiele, i nie spodziewać się,

że potraktuję panią jak naiwne dziecko, a nie jak wzbudzającą pożądanie

kobietę.

Zadrżała pod dotykiem jego dłoni. Mrowie przebiegło jej po karku.

Milczała. Mogła jedynie patrzeć w te ciemne oczy, tak blisko jej oczu. Na

pewno zaraz ją pocałuje! Powinna się cofnąć i odepchnąć go. Powinna...

Opuścił rękę. Odszedł pod kominek i uniósł wiadro z wodą.

- Może pani tu zostać, jeśli chce, albo uciec, jeśli sądzi, że musi. Nalał

wodę do miednicy i obejrzał się na Celię przez ramię.

- Powinienem jednak panią ostrzec. Jeśli nie wyjdzie stąd pani, zanim

skończę się myć, to nie pozwolę pani stąd prędko odejść.

Zrozumiała i wyszła. Ale nie na tyle szybko, żeby nie dostrzec, jak ze

zwilżonego ręcznika spływają na jego ciało strużki wody.

„W porządku”. Usłyszawszy tę lakoniczną odpowiedź Celi, gdy oznajmił

jej, że zamierza niebawem wyjść z domu, Jonathan postanowił odłożyć

poszukiwania na później. Cieszyła się, jak przypuszczał, że wreszcie

zostanie w domu sama.

Być może w ogóle nie chciałyby go oglądać, gdyby nadal swoim zachowaniem dawał jej do zrozumienia, że stara się ją uwieść. Z jego strony nie było to częścią z góry przyjętej strategii, chociaż sam siebie chciał przekonać, że tak właśnie jest. W istocie powodowały nim instynkty, nad którymi nie potrafił zapanować. Co, prawdę mówiąc, ułatwiało wykonanie zadania, którego się podjął.

Gdy godzinę później wyjechał konno, kierując się na zachód Londynu, przekonał się, że jego przypuszczenia co do planów Celi na ten dzień okazały się błędne. Ujrzał przed sobą kabriolet zaprzężony w kasztanka. Jasnowłosa kobieta, która nim powoziła, miała na sobie pod liliową pelisą suknię w bladożółtym kolorze, tę samą co rano.

Mimo chłodu nie włożyła kapelusza ani czepka. Złote loki wprawna ręka upięła we fryzurę bardzo podobną do tej, jaką widział dzisiejszego ranka. Zwolnił tempo jazdy i podążył za nią, ciekaw, gdzie też się ona udaje, choć wiedział, że powinien zawrócić i wykorzystać jej nieobecność w domu. Jednak nie zrobił tego. Nie mógł oderwać oczu od blond włosów i całej sylwetki. Podziwiał jej wdzięczną pozę i śliczny profil, przelotnie ukazujący się, gdy kabriolet zakręcał na rogach ulic.

Jechała bocznymi uliczkami i w końcu dotarła do stajni leżących na zachód od Hanover Square. Stał na ich skraju i obserwował, co będzie dalej. Zatrzymała powozik, rzuciła lejce jakiemuś mężczyźnie i zniknęła w ogrodzie.

Przejechał powoli wzdłuż stajen, aż do miejsca, w którym wysiadła z kabrioletu. Zdziwił się, zobaczywszy ogród. Znał tę posiadłość bardzo

dobrze i nie spodziewał się, że jej właściciele są skłonni przyjmować córkę Alessandry.

- Cóż to, śledzisz mnie, Albrighton?

Pytanie padło z ust mężczyzny, który właśnie wyszedł z wozowni znajdującej się naprzeciwko stajen. Wycierał ręce chustką, a jego błękitne oczy patrzyły na Jonathana wyczekująco.

- Gdybym cię śledził, Hawkeswell, nie wiedziałbyś o tym.

- Przeceniasz swoje umiejętności. Co ty, u diabła, robisz w ogrodzie na tyłach mojego domu?

Był to jeden z tych razów, kiedy im mniej się mówi, tym lepiej.

- Skracałem sobie drogę.

Hrabia Hawkeswell uśmiechnął się, co niezbyt złagodziło surowy, krytyczny wyraz jego twarzy. Patrzył na Jonathana z potępieniem.

- Teraz z kolei mnie nie doceniasz. Nie zapytałeś, dlaczego bawię się w stajennego, zamiast zlecić służącemu zajęcie się kabrioletem i koniem, podejrzewam więc, że wiesz, kto przyjechał. Mam powody do zachowania dyskrecji, ale nie takie, jak myślisz.

Nie wiedzieć czemu, Jonathana zirytowały insynuacje Hawkeswella, że ktoś mógłby uważać wizytę Celi za umówioną schadzkę z hrabią.

- Wcale tak nie myślę - odparł po chwili, gdy zdołał pohamować irytację.

- Zapewniam cię, że po prostu przejeżdżałem obok.

- Akurat! - Hawkeswell otworzył furtkę. - Uwiąż konia i chodź ze mną.

Moja żona uwięziła mnie w małym saloniku. Zapraszam cię na kawę.

Jonathan zeskoczył z konia, przywiązał lejce do słupka i wszedł za

Hawkeswellem do ogrodu. Ścieżki wiły się pośród porośniętych atrakcyjnymi roślinami ustronnych zakątków, oferujących schronienie przed okiem ciekawskich. Minęli cieplarnię i weszli po schodkach na taras okazałej rezydencji hrabiego. Gospodarz przepuścił go pierwszego w drzwiach do wspomnianego saloniku.

Kawa już czekała. Rozsiedli się wygodnie w wyściełanych fotelach i pili ją niczym dwaj starzy przyjaciele, którzy spotkali się po latach. Nie byli jednak w przyjacielskich nastrojach.

- Nasz gość to przyjaciółka Verity, mojej żony - przerwał ciszę

Hawkeswell. - A także Audrianny, żony Summerhaysa. Wszystkie trzy mieszkały przedtem w Middlesex w domu pewnej kobiety, Daphne Joyes.

Teraz są w bibliotece i rozprawiają o najnowszej modzie i tym podobnych głupstwach.

- Rozumiem więc, dlaczego zależy ci na dyskrecji. Nie całkiem to w porządku, ale taki już jest ten świat.

- A więc wiesz, o kogo chodzi. Niech to licho, ja się dowiedziałem, kim ona jest, całkiem niedawno. Nawet Verity nie znała jej historii, aż do śmierci Alessandry Northrope. Wyobraź sobie nasze zaskoczenie, kiedy w jednej z bulwarówek wspomniano o córce Alessandry, Celi Pennifold. Byłbym nalegał, żeby Verity zerwała z nią znajomość, tylko że... - Wzruszył ramionami.

Tylko że hrabia Hawkeswell zanadto kochał żonę, żeby tego od niej żądać, a jego żona zanadto kochała Celię, żeby z nią zrywać. Jonathan nigdy nie zetknął się z lady Hawkeswell, jej lojalność wobec przyjaciółki

dobrze jednak o niej świadczyła, nawet jeśli była przejawem braku
rozwagi.

- Jestem zdania, że nie ma powodu sądzić, iż panna Pennifold poszła w
ślady matki - ciągnął Hawkeswell konfidencjonalnym tonem, podobnie
jak wielu innych.

Wiedział jednak, kim jest człowiek, któremu to mówi. Razem studiowali
na uniwersytecie, a Hawkeswell w studenckich czasach był jednym z
nielicznych przyjaciół Jonathana. Czas, okoliczności i obowiązki
sprawiły, że więzy przyjaźni stopniowo osłabły, ale dla Jonathana pamięć
o niej wciąż jeszcze wiele znaczyła.

- To bardzo szlachetne z twojej strony, że pozwoliłeś żonie, by nie
zrywała przyjaźni.

- Szlachetne? Pozwoliłem? - Hawkeswell się roześmiał. - Do licha, mało
wiesz, czym jest małżeństwo!

- Czym jest udane małżeństwo, przyznaję, nie wiem. Hawkeswell zmienił
temat. Instynkt Jonathana po latach praktyki
natychmiast obudził w nim czujność.

- Nie spodziewam się, żebyś mi wyjawiał, dlaczego za nią jechałeś.

- Jeśli już musisz wiedzieć, powiem ci. Piękna kobieta potrafi mężczyźnie
pomieszać szyki.

Skądinąd mówił szczerą prawdę. Hawkeswell uznał jego słowa za
wymijające.

- To jedna z twoich odpowiedzi, które niczego nie wyjaśniają. Rozumiem,
że musi istnieć jakiś bardzo ważny powód. Czyżby jedno z twoich zadań?

- Śmiechu warte.

- Rzeczywiście. Co nie znaczy, że się mylę! Ale jesteś teraz w Londynie, a nie na północy kraju, w Staffordshire. Z pewnością również z jakiegoś powodu.

- Zatręskniłem za miejskim życiem podobnie jak ty.

- I dlatego zatrzymałeś się tutaj? Nie oczekuję zresztą, że podziękujesz mnie, Summerhaysowi i Castlefordowi za pomoc.

Hawkeswell miał na myśli niedawno zakończone przez Jonathana zadanie. To, w którym, zdaniem stryja Edwarda, wykazał się nadmierną niezależnością w działaniu. Niespodziewany przyjazd Hawkeswella jesienią do Staffordshire o mało nie zniweczył prowadzonego od miesiący dochodzenia. Jonathan nie uważał, by Hawkeswellowi z przyjaciółmi udało się ostatecznie rozwikłać tę tajemnicę wnikliwiej niż jemu. Nie mógł wyjawić, że pracuje dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ani nawet przyznać się, że prowadził w Staffordshire dochodzenie.

- To właśnie wy trzej odkryliście prawdę i zdemaskowaliście intrygę?

Oczywiście, jestem wam wdzięczny.

- Jakbyś o tym nie wiedział! - Hawkeswell, na szczęście, wreszcie porzucił ten temat. - Jak długo zostaniesz w Londynie?

- Może jakiś miesiąc.

- W takim razie wszyscy spotkamy się któregoś dnia na obiedzie.

Opowiemy ci, jak my, spryciarze, zdemaskowaliśmy to przestępstwo, a ty będziesz udawał, że o niczym nie wiedziałeś.

I znów to samo! Czas było pożegnać gospodarza. Jonathan odstawił filiżankę i wstał.

- Muszę już iść. Miło było cię spotkać, nawet tak nieoczekiwanie.

- Albrighton, jeśli jeździsz po Londynie w ślad za panną Pennifold, to być może znów się nieoczekiwanie spotkamy.

Tego samego popołudnia Celia weszła do wytwornie urządzonego salonu matki na Orchard Street, w luksusowej dzielnicy Mayfair. Zażywny, łysy pan Mappleton, wykonawca testamentu, teraz miał ją szczegółowo zapoznać z niepomyślnymi wiadomościami, o których jedynie wspomniał wczoraj, tuż przed pogrzebem.

- Jak już mówiłem, ten dom trzeba sprzedać, żeby spłacić jej długi. Dom i jego wyposażenie powinny pokryć większość długów. Również powóz musi być sprzedany, ale dla pani pozostanie kabriolet i kasztanka.

- A dom na Wells Street? - spytała, modląc się w duchu, żeby i tego nie trzeba było się pozbywać.

- Wydaje mi się, że można go ocalić. Jeśli jednak wyjdą na jaw jakieś inne długi... wtedy, no cóż, jak już mówiłem...

Mappleton wytarł czoło chusteczką. Informowanie spadkobierców, że odziedziczą niewiele, zawsze wprawiało go w przygnębienie.

- Obawiam się, że niewiele więcej zostanie. Jako doradca prawny pani matki, uprzedzałem ją, i to wiele razy, że należy ograniczyć ekstrawaganckie wydatki. Chciałbym, żeby pani o tym wiedziała.

- Proszę się nie winić za zaistniałą sytuację, skoro nie miał pan na to wpływu. I, proszę, niech pan nie sądzi, że matka lekceważyła pańskie rady. Jej profesja wymagała tych ekstrawagancji. Zachowanie pozorów jest równie ważne dla kobiety takiej, jaką była moja matka, jak i dla księżny.

Celia spojrzała na kosztowne jedwabne kotary na oknach i meble w stylu

klasycznym. Starannie dobrana kompozycja błękitu i kremowej bieli oraz każdy przedmiot świadczyły o dobrym guście, więc odwiedzający matkę dżentelmeni mogli się czuć tu jak u siebie w domu. Należało podtrzymać te złudzenia.

Nic się nie zmieniło w salonie, odkąd opuściła ten dom, i matkę, pięć lat temu. Wprawdzie spotykały się okazjnie od czasu do czasu, ale nigdy tutaj. Celia ponownie weszła do tego domu dopiero w ostatnich dniach życia Alessandry.

- Panie Mappleton, czy posiadłość jest już w rękach handlarza nieruchomościami?

- Zajmę się tym później. Przyjdę tu jutro, żeby sporządzić inwentarz, i wtedy oszacuję, ile wszystko jest dokładnie warte.

Celia zatrzymała się przy mahoniowym stole z chińską wazą. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stała wtedy, gdy Anthony stanowczo, choć łagodnie powiedział jej, że źle zrozumiała jego intencje.

Sądziła, że chodzi mu o małżeństwo, kiedy mówił, że pozostaną ze sobą na zawsze. Sądziła, że ją uratuje. Jakże była głupia.

Nie, nie głupia. Młoda i zakochana, lecz nie głupia. Niewinna mimo nauk dawanych jej przez matkę. I to wszystko. Nie można nauczyć kogoś prawdy o ludzkiej naturze ani o bezwzględności świata, która wymusza kompromisy.

Zamknęła oczy i czekała, aż powróci pamięć rozpacz i osamotnienia, jakie ją ogarnęły tamtego dnia. Powróciło tylko słabe ich echo. Dawno temu wyleczyła doznane rany. W domu Daphne koło Cumber-worth

miała dość czasu, całe pięć lat, żeby dorosnąć.

Nie obwiniła już Anthony'ego. Z biegiem czasu zrozumiała, że młodzieniec z porządnej, zamożnej rodziny nie poślubiłby córki Aleksandry Northrope. Takie były reguły. Celia nie tylko je teraz znała, ale także akceptowała.

- Skoro dom jeszcze nie został wystawiony na sprzedaż, chciałabym przeszukać osobiste rzeczy matki dokładniej niż wczoraj. Nie chcę stąd zabierać niczego cennego, ale zatrzymałabym dla siebie prywatne listy matki lub podobne papiery. Czy to jest dozwolone?

- Jeśli da mi pani słowo, że nie weźmie żadnych wartościowych rzeczy, można tak zrobić.

Mappleton zdobył się na słaby uśmiech i dodał:

- Wciąż nie mogę znaleźć książki rachunków domowych między papierami, które czekały na przejrzenie w bibliotece. Jeśli pani na nią natrafi, proszę ją położyć na widocznym miejscu, żebyśmy mogli sprawdzić wszystkie wydatki.

Obiecała, że zwróci baczną uwagę na wszelkie rachunki.

- Czy koniecznie musi mi pan towarzyszyć? Chciałabym pożegnać ją w samotności. Pogrzeb był dla mnie dziwnym i obcym doświadczeniem. Tutaj spędziła swoje życie, tutaj wydała ostatnie tchnienie i tu jeszcze unosi się jej duch.

Mappleton spojrział na nią wzruszony.

- Myślę, że nie powiniennem przeszkadzać w tym pożegnaniu. Niech mi wolno będzie powiedzieć, panno Pennifold, że pani matka była cudowną,

błyskotliwą kobietą. Nie brałem wprawdzie udziału w pogrzebie, ale nie wątpi pani, mam nadzieję, że darzyłem ją szacunkiem.

- Rozumiem, dlaczego pana tam nie było, i nie żywię o to urazy. Ona też by jej nie żywiła. Dziękuję panu za życzliwe słowa.

Mappleton odszedł. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, weszła do sypialni matki.

Opanowała ją nostalgia na widok tak dobrze znanego jej miejsca. W powietrzu unosił się znajomy zapach. Matka uczyła ją życia przeważnie tutaj, w zaciszu prywatnego apartamentu. Leżała swobodnie rozciągnięta na szezlongu pokrytym złotawym jedwabiem i wtajemniczała córkę w reguły rządzące światem, a także w wiele innych spraw. W rozmowie w naturalny sposób przechodziła od pouczeń, jak się ubierać i jak zabawiać mężczyzn, do bardziej intymnych tematów.

Dawne wspomnienia zostały jednak przesłonięte tymi z ostatnich tygodni. To w tym pokoju matka leżała, złożona ciężką chorobą. Nie rozmawiały już wtedy wiele ze sobą, ale Alessandra, choć coraz słabsza, zdobyła się jednak na kilka ostatnich pouczeń i dała wyraz pragnieniu, by córka zajęła jej miejsce. Mówiła jej o sławie, triumfach i popularności. Wymogła na niej, że Celia przynajmniej rozważy, co odrzuca, nim wróci ostatecznie tam, gdzie na nią czekano.

Wysunęła szufladkę stoliczka do korespondencji. Zawartość jej nie była interesująca, ale już wczoraj Celię zastanowił panujący tam porządek, gdy wraz z Mappletonem poszukiwali pospiesznie rachunków.

Alessandra nigdy by tak nie ułożyła listów i papierów. W kufrach,

szafach i rozmaitych pomieszczeniach, których nie powierzyła opiece służącej, panował zwykle bałagan.

Celia wsunęła listy do torebki, przeszła do garderoby i otworzyła szafę.

Wspaniałe stroje Alessandry, wszystkie od najlepszych kraw-cowych, roztaczały tęczę barw, lśniąc niczym kwiaty w świetle południa.

Podobnie jak wszystkie inne wartościowe przedmioty, miały zostać sprzedane.

Na gotowalni również zastała nienaturalny ład, lecz matka nie korzystała z tego mebla od wielu tygodni. W jego kilku szufladach też panował porządek, czego się raczej nie spodziewała. Przyjrzała się uważnie biżuterii. Czy któryś z klejnotów mógł być darem jej nieznanego ojca?

Żadna ze szkatulek jej tego nie wyjaśniła.

W całym apartamencie nie znalazła nic, co by świadczyło o jego tożsamości. Zapuściła się aż na poddasze. Ku jej rozczarowaniu były tam tylko pomieszczenia wypełnione głównie starymi meblami. Jeden kufer zawierał wyłącznie suknie modne przed dwudziestu laty. Ona zaś miała nadzieję, graniczącą z pewnością, że w tym domu znajdzie jakieś dokumenty, papiery lub przedmioty, dzięki którym pozna historię życia matki.

Zeszła do biblioteki i usiadła przy eleganckim, intarsjowanym sekretarzyku.

Przejrzała jego szuflady, ale nie było w nich nic ciekawego poza plikiem rycin z nieaktualnymi już strojami, ale i tam panował ten zaskakujący ład.

Czy był dziełem matki, która pragnęła uporządkować swoje sprawy?

Może nie chciała, żeby jej prawnik grzebał w papierach, sporządzając pośmiertny inwentarz. Było to jakieś wyjaśnienie, i wyglądało na prawdopodobne. Porządek musiał być jednak zrobiony, zanim Celia tu przybyła, co oznaczałoby, że matka czuła, iż zbliża się kres jej życia. A jeśli to nie matka poukładała papiery? Celia zachodziła w głowę, dlaczego jeszcze ktoś, poza Mappletonem i nią, wszedł do tego domu po śmierci matki i przeglądał jej osobiste rzeczy.

Może jej ojciec? Jeśli nie chciał, by jego tożsamość została ujawniona, mógł zrobić to sam lub wysłać tam kogoś, by się upewnić, że żadnego dowodu w tym domu już nie ma. Zasmuciła ją myśl, że włożył tyle wysiłku w próbę usunięcia wszelkich świadectw prawdy. Zapewne sądził, że Celia, wiedząc, kim on jest, zażąda od niego pieniędzy lub skompromituje jego nazwisko. A ona pragnęła tylko wypełnić pustkę w duszy, dręczącą ją przez całe życie.

Przeszukiwała nadal szuflady i zakamarki sekretarzyka. Gdy sięgnęła głębiej, palce jej natrafiły na złożoną w kilkoro kartkę papieru.

Wyciągnęła ją i zobaczyła wypisane na niej swoje imię.

Zaciekawiona, rozłożyła kartkę.

Droga Celio,

jeśli znalazłaś ten list, bez wątpienia szukałaś pieniędzy, klejnotów lub może nazwiska ojca. Mogę ci oszczędzić czasu. Nie znajdziesz tu niczego wartościowego, a poznanie tego nazwiska nie opłaciłoby ci się wcale.

Konieczność utrzymania się na odpowiednim poziomie znacznie uszczupliła moje zasoby finansowe. Jak ci nieraz powtarzałam, twoim

prawdziwym spadkiem jest twoja edukacja, a nie pieniądze. Jesteś dużo

ładniejsza ode mnie, sympatyczniejsza i śpiewasz jak anioł. Dowiodłaś

już, że potrafisz zatroszczyć się o siebie. Czy będziesz umiała to zrobić w przyszłości, zależy tylko od tego, jak sobą pokierujesz. Nie martwię się o ciebie, co jest dla mnie wielką pociechą.

Dowiedz się, że, poza moją nieszczęsną pomyłką sercową, byłaś jedyną osobą, którą kochałam. Mam nadzieję, że wrócisz do domu, nim choroba zabierze mnie z tego świata, ale zrozumie cię, jeśli tego nie uczynisz.

Twoja matka

Spojrzała na list i przesunęła końcami palców po papierze. Charakter pisma matki również był elegancki, jak ona sama. Żal, któremu od kilku dni nie chciała się poddać, przepelnił serce Celi. Oczy zaszkliły się łzami.

Tak, wróciła w końcu do domu, ale na krótko. Jak straszne okazałoby się czytanie tego listu, gdyby nie powróciła.

Wsparła głowę na dłoniach trzymających kartkę i oblewała łzami swoje pożegnanie z matką.

- Musisz przyznać, Daphne, że mój plan jest dobry. Pozwoli rozkwitnąć firmie i i zaoszczędzi ci jednocześnie kłopotów - powiedziała Celia dwa dni później.

Daphne rozważała ofertę. W jej szarych oczach widniał niepokój, ale delikatna twarz o nieskazitelnej cerze pozostała pogodna.

- Rozumiem, na czym on polega. Po prostu nigdy nie myślałam o szukaniu partnera do prowadzenia firmy Najrzadsze Kwiaty, i tyle. Sądziłam też, że przywiozłam cię tutaj tylko na kilka dni, żebyś zdecydowała, co zrobić z tym domem. Okazuje się jednak, że zamierzasz osiąść tu na stałe.

Stały obie w bawialni na tyłach domu przy Wells Street. Światło słoneczne, wyjątkowo intensywne w tym położonym od południowej strony pokoju, podkreślało nieskazitelność śnieżnobiałej cery Daphne. Nawet w pochmurne dni będzie tu jasno. A także, jak Daphne zauważyła już pierwszego dnia i co później dostrzegła Celia, dzięki dużym oknom i południowej wystawie to pomieszczenie wprost idealnie nadawało się dla roślin.

W ostatnim roku firma Daphne, Najrzadsze Kwiaty, prosperowała doskonale. Kilka najznamienitszych domów w Mayfair zawarło z nią kontrakt na regularne dostawy roślin i kwiatów z jej ogrodu i oranżerii, znajdujących się niedaleko od Cumberworth.

Transport takiej ilości roślin do Londynu stawał się jednak coraz trudniejszym zadaniem. Gdyby powstała filia firmy w Londynie, gdzie by przechowywano przez jakiś czas dostarczoną zieleń, łatwiej byłoby podołać zamówieniom.

- W tym pokoju będzie dość ciepło, żeby przetrzymać w nim rośliny przez kilka dni, nawet zimą. Cięte kwiaty można zaś umieścić w chłodnej spiżarni, a latem w piwnicy - zaproponowała Celia.

- Zgadzam się, że ten dom odpowiada naszym potrzebom. A jeśli się waham, to tylko dlatego, że obawiam się związanego z takim partnerstwem ryzyka - odparła Daphne. - Możemy przecież w końcu robić to wszystko, nie będąc partnerkami.

- Wolalabym, żebyś przyjęła pieniądze, które zaoszczędziłam jeszcze za życia matki, i uczyniła mnie swoją partnerką. Nawet gdyby nie przyniosło

mi to wielkiego dochodu, byłby wystarczający, żebym tu mogła mieszkać. Ty miałabyś pożytek z tego domu, a ja pilnowałabym dostarczonych roślin.

Daphne zagłębiła się w jednym z wyplatanych foteli. Zwykle nie traciła panowania nad sobą i jej piękna gładka twarz nie wyrażała żadnych emocji, lecz teraz zmarszczyła czoło i patrzyła zatroskana na Celię.

- To nie jest tak, że odrzucam twoją ofertę, Celio, bo rozum podpowiada mi, że jest dobra. Ale moje serce... - Spojrzała na nią ze smutkiem. -

Zamierzasz opuścić nas na dobre, prawda?

Celia nachyliła się, objęła ją i przytuliła policzek do chłodnej twarzy przyjaciółki.

- Zbyt długo byłam zależna od ciebie. Jeden rok przeciągnął się w trzy lata, a trzy lata - w pięć. Zawsze będę ci wdzięczna za to, że zapewniłaś mi dom, ale czas już, żebym poszła własną drogą.

- W istocie odchodzisz od nas z powodu plotek. Nie dbam o to, co ktoś mówi, i nie pozwolę, żebyś...

- Nie zmienisz ludzi, Daphne. Twojej firmie by zaszkodziło, gdybym mieszkała i pracowała razem z tobą. Nasze partnerstwo byłoby zaś dyskretną formą współpracy i zapewniło spokój firmie, nie narażałoby też na uszczerbek reputacji domu, którego mi użyczyłaś.

Daphne nie odpowiedziała. Celia wiedziała, co nadal martwi przyjaciółkę. Daphne nie chciała pogodzić się na jawną niesprawiedliwość.

- Mam dwadzieścia trzy lata, Daphne. Mam też ten dom i mogę powrócić

do świata. Zrobiłabym tak, nawet gdyby w nekrologach nie wymieniono
mojego nazwiska obok Alessandry. Nadal my dwie pozostaniemy blisko
ze sobą związane.

- Jeśli firma Najrzadsze Kwiaty upadnie, możesz stracić ten dom.

- Nie upadniemy. Rozkwitniemy.

Daphne położyła dłoń na obejmującym ją ramieniu serdecznej
przyjaciółki. Celia nie mogła dostrzec, jak wypogadza się twarz Daphne,
ale poznała to po tym geście.

- Będzie nam dużo łatwiej zgromadzić tu wszystkie te rośliny, a potem je
rozwozić - przyznała Daphne.

Celia obiegła wkoło fotel, ujęła Daphne za rękę i poderwała ją do góry.

- Nie będziesz żałować tej decyzji. Ani ja. Możesz za wniesione przeze
mnie pieniądze zbudować drugą cieplarnię, a wyhodowane w niej poza
sezonem owoce będziemy sprzedawać za śmiesznie niską cenę.

Będziemy też mogły odsprzedawać nadmiar kwiatów dziewczętom z
Covent Garden. Będziemy mogły...

Daphne pogładziła ją po policzku.

- Najpierw opuściła mój dom Audrianna, potem Verity, a teraz ty. Boję
się zostać sama, Celio, i właśnie to jest największą przeszkodą w
realizacji twojego planu, muszę przyznać, całkiem sensownego.

- Ależ będziemy się widywać równie często jak przedtem, a poza tym
zostanie ci przecież Katherine i pani Hill.

- Pewnie masz rację. - Daphne uniosła torebkę. - Powinam już do nich
wracać. Napiszę do mego doradcy prawnego o tym partnerstwie i

przystanę na nie, jak tylko skończy się inwentaryzacja majątku twojej matki.

Celia odprowadziła ją do drzwi frontowych. Daphne zatrzymała się przy nich na chwilę.

- Zgadzam się z tobą, że powinnaś w tym domu zamieszkać, ale nie podoba mi się, że będziesz sama, Celio. Następnym razem przywiozę ci mój pistolet i zostawię go tutaj.

- Nie pozostanę sama zbyt długo. Nie obawiaj się, nic mi tu nie grozi.

Celia poczuła się trochę winna, że nie powiedziała Daphne o lokatorze.

Ujawnienie tego pociągnęłoby jednak za sobą jeszcze więcej pytań, na które musiałyby odpowiedzieć.

Daphne odeszła, ucałowawszy ją na pożegnanie. Celia patrzyła, jak wsiada do dwukółki.

Podejrzewała, że wkrótce w siedzibie Najrzadszych Kwiatów będą mieszkać nie tylko Katherine i pani Hill. Daphne miała zwyczaj wynajdywania i przyjmowania do własnego domu kobiet o niejednoznacznej reputacji i przeszłości.

Bez wątpienia znajdzie ich wkrótce więcej, choć Celia myślała niekiedy, że byłoby lepiej, gdyby tak się nie stało. Uważała, że nadszedł już czas, żeby dwudziestosiedmioletnia Daphne porzuciła swój azyl.

- Czy jest pani pewna, że chce mieć taką właśnie półkę, panno Pennifold?

Będzie trochę dziwna.

Piętnastoletni Thomas podniósł jedną z desek przygotowanych do wykonania drugiej już półki i ze zmarszczonym czołem zastanawiał się

nad wielopiętrową konstrukcją przyszłego mebla. Półka miała stać przodem do okna, a nie do wnętrza pokoju. Dziwiło go to, mimo że Celia wyjaśniła mu wszystko i pokazała rysunek.

- Tak ma być, Thomasie. Dzięki temu większe rośliny nie będą zabierać ciepła i światła mniejszym.

Chłopak wzruszył ramionami i przybił gwoździami deskę w odpowiednim miejscu.

W kilku ostatnich dniach Celia stała się znana w okolicznych sklepach. Dokonywała w nich rozmaitych zakupów i napomykała, że miałyby robotę dla chłopca, który zna się na stolarce. Ojciec Thomasa, właściciel sklepu bławatnego, chętnie przysłał go jej do pomocy.

Teraz Celia zauważyła, że Thomas zużył do zbijania półek znacznie więcej gwoździ, niż zaplanowała. Kupiła ich za mało. Kiedy usiłowała policzyć, ile gwoździ jeszcze będzie potrzebnych, usłyszała szmery na poddaszu. Pan Albrighton już się tam kręcił.

Wmawiał jej, że prawie nie zauważy jego obecności. Okazało się jednak, że nie można było nie zauważyć, iż tu mieszka. Nie widywała go wprawdzie często, ale wiedziała, że jest w domu.

Wiedziała na przykład, że przez większą część dnia przebywa w swoim pokoju na górze. Słyszała jego kroki. To jej przypominało, że nie może liczyć na całkowitą prywatność i całkowite odosobnienie.

A gdy go widziała, doświadczała uczucia bliskości, którego nie dało się uniknąć. Mieszkali przecież w jednym domu. Byli w nim obecni duchem, choćby nawet rzadko spotykali się w jednym pokoju. No i dwa razy jej

dotknął. Ten dotyk odczuła jak spadnięcie na skórę kropli oleju, którego nie da się nigdy niczym całkowicie usunąć.

Każdego ranka około dziesiątej schodził na dół, żeby zaczerpnąć wody ze studni. Nad słuchiwała odgłosu jego kroków na schodach. Z wyjątkiem pierwszego dnia nigdy już nie pokazał się w niekompletnym stroju, ale też nigdy nie był zapięty na ostatni guzik. Bez halsztuka, oczywiście, bo nie mając wody, jeszcze się nie zdążył ogolić. I bez kamizelki. Narzucał jednak na siebie surdut, więc nie mogła go oskarżyć, że ją całkowicie lekceważy.

Kiedy się pojawiał na dole o dziesiątej, widać było, że dopiero co wstał. Długie włosy miał zmierzwione i niezwiązane w harcap, szyję odsłoniętą, na twarzy cień świeżego zarostu. Celii nie satysfakcjonowały nawet bardzo uprzejme słowa powitania. Jego wygląd uprzytamniał jej, jak blisko niej jest ten mężczyzna nocą, gdy w swojej sypialni szykowała się do snu. Z jednej strony jego obecność dawała jej poczucie bezpieczeństwa, z drugiej zaś przerażało ją, że tej obecności jest tak bardzo świadoma.

Kroki na górze stały się nieco głośniejsze. Niebawem pan Albrighton powędruje, jak co dzień, do ogrodowej studni. Nie okazywał już jednak niezadowolenia z warunków, w jakich przyszło mu tu mieszkać. Jej nadzieje, że zmusi go tym do odejścia, okazały się płonne.

- Potrzebne są gwoździe, Thomasie. Nie sądziłam, że tyle ich zużyjesz.

Idź i kup jeszcze dwadzieścia u pana Smitha.

Thomas odłożył młotek i wyciągnął pokrytą odciskami dłoni po pieniądze,

po czym galopem wybiegł z pokoju, niczym rozbrykany żreback.

Ledwie zniknął, kroki rozległy się na schodach. Celia usiłowała się skupić na kolorze półek. Jak je pomalować? Na zielono? Na biało?

Zmuszała się, żeby nie myśleć o tym, że jej krew coraz gwałtowniej pulsuje w miarę zbliżania się kroków.

Mimo wszystko zdecydowała się rzucić okiem na Albrightona, gdy za chwilę dokona się jedna z rzadkich materializacji jego osoby. Chciała, żeby nie wszedł do bawialni, i zarazem nie chciała. Chyba nie była zbyt rozczarowana, że nie dał się stąd przepędzić, choć ukuła w tym celu małą intrygę. Lubiła te krótkie z nim rozmowy i to, jak zmysłowo, jak niebezpiecznie wyglądał, zanim się przygotował na wyjście do miasta.

Zaśmiała się z samej siebie. Takie głupie wyczekiwanie świadczy tylko o tym, że kobieta czuje się samotna. Będzie musiała wkrótce rozejrzeć się za jakąś gospodynią do prowadzenia domu, bo w przeciwnym razie zacznie jej zależeć na takich mało znaczących spotkaniach jak to.

- Widzę, że pani zajmuje się stolarką. - Stał na progu, patrząc na dwie niższe półki. Podszedł do nich i podniósł młotek.

- Sama je pani zbija?

- Wynajęłam chłopca. Właśnie posłałam go do sklepu po gwoździe. Czy zbudził pana stuk młotka?

Kazała Thomasowi zacząć pracę o świcie specjalnie po to, żeby dokuczyć Albrightonowi.

- Nie. Ja wstaję wcześniej.

- No i co pan wtedy robi?

- Jeśli to panią interesuje, proszę przyjść i zobaczyć. Chyba pani noga tam nie powstała od tamtego pierwszego ranka.

Na samo wspomnienie owego poranka poczuła, że jej twarz oblewa fala gorąca. Nie zapomniała, jak idiotycznie się wtedy zachowała, zahipnotyzowana widokiem półnagiego ciała.

- Jestem zajęta. - Wskazała na półki.

- Aha. Myślałem, że panią przestraszyłem.

- Dlaczego miałabym się pana bać? Wzruszył ramionami.

- Niektóre kobiety się boją.

Może się bały dlatego, że patrzył na nie tak jak na nią w tej chwili. Serce zaczynało jej bić szybciej, gdy widziała wpatrzone w nią jego oczy.

Nie, pan Albrighton nie wyprowadzi jej dziś z równowagi, a na tym mu właśnie zależało. Z wyraźną satysfakcją drażnił się z nią, przypominając jej tamten ranek.

- Być może wpadają w przerażenie na widok pańskich włosów, zwisających w niechlujnych strąkach. Długie włosy u mężczyzn wyszły z mody.

- Mam je obciąć? Nie chcę, żeby mnie pani uważała za niechlujka.

- Oczywiście, że powinien się pan ostrzyć. Ale nie dla mnie. Fryzura lokatora mało mnie obchodzi. Mam ważniejsze sprawy na głowie. Daję słowo, że jeśli je pan nawet obetnie, to w ogóle tego nie zauważę.

- Rani mnie pani, panno Pennifold. A ja roiłem w marzeniach, że każdego ranka czeka pani, żeby mnie przywitać.

Poczuła, że policzki znowu zaczynają ją palić. A on, po wyprowadzeniu jej z równowagi, co było jego zamierzeniem, wyszedł z wiadrem do ogrodu po wodę. Miał rację. Unikała wchodzenia na poddasze, bo on tam był. A swoją drogą, niech on nie będzie taki zarozumiały! Właśnie że pójdzie tam, na poddasze, skoro to jest jej dom. Musi wreszcie sprawdzić, czy są jakieś rzeczy matki w tych pokojach obok pokoju pana Albrightona. Patrzyła, jak idzie w głąb ogrodu, kierując się ku zarośłom, skrywającym wygodkę. Potem dostrzegła jego ciemne włosy przy studni. Z wiaderkiem w ręku, stąpając tak płynnie, że nie uronił ani kropli wody, wracał ogrodową ścieżką, pogrążony w myślach.

Był przystojny, to pewne. I niebezpieczny, w jakiś sobie właściwy, nieuchwytny sposób. A jednak w jego ciepłym spojrzeniu i żartobliwym pokpiwaniu z niej było coś z poufałości starego przyjaciela. Potrafił to świetnie wykorzystywać, bo musiała sobie samej ciągle przypominać, że przecież ten człowieka jest dla niej obcy.

A przy tym, choć ciepłe, jego spojrzenie nie zdradzało niczego, co kryło się w jego umyśle.

Nie, jednak coś zdradzało. Dostrzegała w nich płomień pożądania, stłumiony, ale nie gasnący. Nie tylko jej serce biło szybciej, gdy ich oczy się spotykały.

Potrafił ukryć ten płomień, ale nie przed nią. Zawsze umiała rozpoznać oznaki męskiego pożądania. Wyczuwała je, tak jak niektórzy wyczuwają nadchodzącą ulewę.

Pobierała nauki u eksperta w tych sprawach. Dzięki matce wiedziała

wszystko o męskich żądzach. Także i to, jak spożytkować tę wiedzę.

Pół godziny po wyjściu Albrightona na ulicy przed domem Celi wybuchła awantura. Krzyki i gwizdy zakłóciły panujący na niej dotąd spokój.

Celia wbiegła do frontowej bawialni i wyjrzała przez okno. Thomas, czerwony twarzy i cały spięty, stał otoczony bandą wyrostków. Trudno było zgadnąć, czy chce się z nimi bić, czy też za chwilę się rozpłacze.

- Jesteś u niej na służbie? - dogryzał mu jeden z napastników. - A jakie jej świadczysz usługi? - Zaśmiał się donośnie z własnego żartu, a reszta mu zawtórowała.

- A toś sobie nieźłą dziewczuchę dorwał, Tomciu - zakpił drugi. - Matka, jak słuchy chodzą, sporo sobie za to liczyła. Stać ją było na powozy i inne meczyje, a jakże! Nie wiem, czy tej nastarczysz, może trza ci będzie kogoś do pomocy? - Zarechotał.

Szydzili, nie pozwalając Thomasowi wydostać się z ich kręgu. Celi ścisnęło się boleśnie serce.

Widocznie ktoś w sąsiedztwie dowiedział się, kim ona jest, i wieść szybko się rozniosła. Teraz każdy już wiedział, że córka osławionej Alessandry Northrope mieszka między nimi. Wszystko się zmieni.

Przymknęła oczy i starała się opanować przepelniający ją żal. Od lat wiedziała, że z racji swego pochodzenia może być podejrzewana o jak najgorsze i narażona na obelgi, choć nigdy jej dotąd one nie spotkały. Na pewno nie wtedy, gdy mieszkała z Daphne.

I nawet nie wtedy, gdy mieszkała z matką. Pamiętała, że coś niemiłego się

wydarzyło, gdy jechały razem karetą matki przez park, ale co dokładnie, tego nie wiedziała. Matka ostrzegła ją wtedy, że i ona, jej córka, może kiedyś usłyszeć słowa jawnej pogardy. Celia nie spodziewała się jednak, iż rzeczywistość okaże się aż tak dojmująco bolesna.

Czy Alessandra mieszkała tutaj pod innym nazwiskiem, i pod takim ją znano? Przecież chyba robiła w okolicznych sklepach zakupy?

A może nigdy nie pojawiała się w tej dzielnicy między ludźmi i nie wychodziła z domu?

Młodociani chuligani zaczęli Toma poszturchiwać, a potem rzucili się na niego z pięściami. Słyszała odgłosy bicia. Powinna mu była tego oszczędzić. Żałowała, że go zatrudniła. Napastników było zbyt wielu, by sobie mógł z nimi poradzić, i daremnie usiłował się im wyrwać.

I wtedy kątem oka dostrzegła, że ktoś się do nich zbliża. Nie był to żaden z okolicznych mieszkańców, lecz dżentelmen, sądząc po ubraniu.

Wysoki. Pan Albrighton szybkim krokiem zmierzał do owej grupki, na pozór jak przypadkowy przechodzień.

Zatrzymał się, mijając ich, wyraźnie zaciekawiony, co to za krzyki. W tejże chwili najzuchwalszy z łobuzów wysforował się naprzód i podbiegł pod drzwi Celi. Jego kompani, zostawili Toma i podążyli za prowodyrem.

Nagle tego na ich czele unieruchomił czyjś żelazny uchwyt.

- Gdzie idziesz, młodzieńcze?

- Tam, gdzie mam interes. Puść mnie, bo mi rękę złamiesz!

- Nie masz żadnego interesu w tamtym domu. Nie jest twój. Zabieraj się

stąd.

- To ty się zabieraj! My tu przybłądów nie lubimy. Co, szukasz guza?

Spieszno ci może do tej wywłoki?

Albrighton puścił jego ramię i łobuz z szyderczym uśmiechem zdążył zrobić jeszcze jeden krok naprzód, ale ręka Albrightona znów go zatrzymała.

Celia nie widziała dokładnie, co się stało, bo ta ręka jedynie spoczęła na barku chłopaka, ale oczy zuchwalca wyszły z orbit, kolana ugięły się pod nim, a twarz wykrzywił grymas bólu.

W następnej chwili przeleciał bezwładnie przez całą szerokość ulicy i wylądował między kompanami niczym szmaciana lalka upuszczona przez dziecko. Tamci podtrzymali go, zanim odzyskał równowagę. Z pobladałą twarzą i wyszczerzonymi zębami spoglądał na mężczyznę, który poradził sobie z nim jedną ręką.

- Przeklęta dziwka! - wycharczał. - Moja forsa nie gorsza od twojej, a ja...

- A ty już nigdy więcej nie ubliżysz osobie, która mieszka w tym domu.

Wynoś się stąd, a jak się ośmielisz tu wrócić, znów się spotkamy.

Smarkacze wzięli nogi za pas. Tom podbiegł do wejścia, położył na pierwszym stopniu schodków kupione gwoździe i kilka drobnych monet z reszty, i też uciekł. Albrighton podniósł gwoździe i monety, po czym zapukał do frontowych drzwi.

Celia przełknęła upokorzenie i otworzyła drzwi. Dostrzegła, że łobuzy obserwują ich z końca ulicy.

- Ktoś to zostawił dla pani. - Uśmiech Albrightona miał świadczyć, że nie

potraktował on incydentu poważnie, lecz dojrzała też w nim cień współczucia, co zażenowało ją jeszcze bardziej. Również i ona zdobyła się, choć z trudem, na uśmiech, by nie pokazać po sobie, jak bardzo się tym wszystkim przejęła.

Wzięła od Albrightona gwoździe i spojrzała na przyczajonych w pewnej od nich odległości chłopaków.

- Najwyraźniej wszyscy są zdania, że jestem nieodrodną córką swojej matki.

- Pani lokator wcale tak nie uważa. A także, w odróżnieniu od uliczników, nie osądza pochopnie czyichś życiowych wyborów, obojętnie, jakiegokolwiek by one były.

Wyjął spod płaszcza bilet wizytowy i podał jej w taki sposób, by tamci to widzieli.

- Jeśli będą z nimi jeszcze jakieś kłopoty, proszę dać mi znać. Obróciła kartonik w palcach, tak by nie uszło to uwagi jej prześladowców. On zaś skłonił się i zawrócił w boczną uliczkę.

Spojrzała na wizytówkę. Widniało na niej tylko jego nazwisko. Bilet wizytowy, choć elegancki, niczego nie ujawniał. Podobnie jak mężczyzna, który go jej przed chwilą podał.

Kawiarnia niedaleko od Gray's Inn była w południe pełna ludzi. Prawnicy i aplikanci z pobliskich biur czytali gazety i palili cygara. Brzęk odstawianych na spodki filiżanek akompaniował szmerowi rozmów.

Jonathan wypatrzył Edwarda na kanapce stojącej przy ścianie na końcu sali i przysiadł się do niego. Stryj, milcząc, powitał go uniesieniem brwi, oznaczającym nieme pytanie.

- W zleconym mi zadaniu pojawiło się kilka nieoczekiwanych elementów - zaczął Jonathan. - Córka osiadła w siedzibie przy Wells Street. Rzadko stamtąd wychodzi. Pewnie dopiero za kilka dni zdołam dokładnie przeszukać to, co Alessandra tam zostawiła.

Edward nie wiedział o wynajętym pokoiku na poddaszu. Nikt zresztą nie wiedział. Jeszcze gdy trwała wojna, Jonathan z ostrożności nie zdradzał miejsca zamieszkania, co mu weszło w nawyk i pozwalało zachować prywatność. Wolał spotykać się z ludźmi na ich terenie, a nie na własnym.

- Innymi słowy, nie zrobiłeś postępów.

- Przejrzałem większość pokoi na poddaszu. Nie znalazłem nic ciekawego.

- A ten drugi dom?

- Byłem tam w noc po pogrzebie, ale mnie wyprzedzono. Córka i, jak ona twierdzi, jeszcze ktoś. Jeśli jej przypuszczenia są słuszne, nie dowiemy się już, kto to był. Brak prywatnych dokumentów wskazuje jednak moim zdaniem na nią. Albo też Alessandra żadnych takich papierów nie zostawiła. Wiedziała, że dom zostanie przeszukany przez wykonawcę

testamentu, jeśli nie przez kogoś innego.

Edward, popijając gęsty czarny płyn z filiżanki, zmarszczył brwi.

- Kto to mógł być, jak sądzisz?

Jonathanowi stanęła przed oczami postać światowej kurtyzany, z którą nieraz rozmawiał. Podobnie jak inni. Alessandra zwierzała mu się czasami, ale nic z tego, o czym mu opowiadała, nie wiązało się z jego obecnym zadaniem.

- Sądzę, że czuła zbliżający się kres życia, i albo spaliła, albo głęboko ukryła wszystko, co mogło wyjawić prawdę o niej. Zniknęła nawet, według córki, księga rachunków domowych, jeśli taką istotnie miała.

- Córka musi w końcu opuścić ten drugi dom, ale ty oczywiście nie możesz rozbić namiotu w ogrodzie i czekać na tę chwilę. Dziwne, że postanowiła tam zamieszkać. Myślę teraz, że uważa swoją dawną ucieczkę od matki za błąd. Zapewne mogłaby bardzo szybko zająć jej miejsce. Jest bardzo piękną dziewczyną. Mężczyźni nie mogli się doczekać chwili, kiedy matka wprowadzi ją do zawodu. Ustawiali się już w kolejce.

- Sporo o niej wiesz.

Edward zaczerwienił się aż po nasadę włosów.

- Daj spokój. Wszyscy o niej sporo wiedzą, łącznie z tobą. Alessandra przez cały rok wystawiała córkę na pokaz, licząc na to, że dostanie za nią od jej pierwszego protektora istną fortunę. A kiedy uciekła... to znaczy ta córka...

- Ma na imię Celia.

- O, właśnie. A więc kiedy w ostatniej chwili uciekła, tylko o tym rozprawiano w moim klubie. - Edward odstawił filiżankę. - Mówisz, że wróciła? Założę się, że wkrótce wszyscy będą rozprawiali i o tym. Kilku najbardziej wtedy zainteresowanych prawdopodobnie interesuje się nią nadal, choć już nie jest młodziutką dziewczyną.

- Dom jest skromny. I nie wygląda wcale na to, że ona zamierza obrać profesję matki. Z tego, co widziałem, można sądzić, że chce żyć spokojnie.

Kłamał. Celia przecież mówiła o sprowadzeniu tam innych kobiet.

Dawała do zrozumienia, że otworzy dom publiczny. W końcu jednak doszedł do wniosku, że chciała go tym skłonić do wyprowadzenia się. Ale pewności nie miał.

- Nim minie rok, pokaże się cała w jedwabiach w teatrze, wystawiając na sprzedaż swe wdzięki.

- Nie jest to zła profesja dla kobiet, jeśli się ją uprawia tak jak Alessandra.

- Zapominam ciągle, że ty na wszystko patrzysz inaczej. Nawet na ladacznice.

- Jako synowi kochanki ważnej osobistości trudno mi potępiać inne kochanki.

- Jasne. Ale nie chciałem przez to powiedzieć, że... - Edward znów się zaczerwienił i wypił kolejny łyk kawy.

- A jeśli już mowa o ważnych osobistościach, to kiedy zobaczysz się z hrabią?

Edward usiłował ukryć zmieszanie, ale Jonathan znał odpowiedź, zanim jeszcze zadał pytanie.

- Thornridge znów mnie odprawił z kwitkiem. Domyślił się, jaki temat miałem zamiar poruszyć, i nie chciał o niczym słyszeć.

- No i nigdy nie będzie chciał. To nic nowego. Musisz mu jasno uświadomić, że mnie nie chodzi o pieniądze.

- Nie uwierzy mi. Obydwaj wiemy, dlaczego nie chce uznać, że jesteś bękartem ostatniego hrabiego. Podejrzewa, że to tylko wierzchołek góry lodowej. Nie wierzy, że poprzestaniesz na tym.

Jonathan, choć nie dał tego po sobie poznać, wpadł w furję. Opór Thornridge'a był czymś niewybaczalnym, zwłaszcza że ten człowiek znał prawdę i wykonał ostatnią wolę hrabiego co do edukacji Jonathana. Była nawet mowa o wypłacaniu Jonathanowi jakichś pieniędzy, ale Jonathan odmówił ich przyjęcia całe lata temu, bo zgoda na to oznaczałaby rezygnację z wszelkich innych roszczeń. Thornridge zaś był zdecydowany za wszelką cenę sprzeciwić się uznaniu go za potomka hrabiego, co nawet synowi z nieprawego łoża znacznie ułatwiłoby życiowy start.

Edward był jedynym członkiem rodziny, który uznał Jonathana za swego bratanka, ale jego akceptacja pozostawała sprawą prywatną. Stanowiła zaledwie pierwsze posunięcie w toczącej się od dawna rozgrywce.

A toczyła się ona naprawdę od bardzo dawna.

- Może nie powinienem się przejmować tym wierzchołkiem góry lodowej, stryju? Może powinienem pójść na całość i postawić sprawę

otwarcie?

Edward się skrzywił.

- Jestem pewien, że właśnie tego chcesz. Ale ja nadal prowadzę dochodzenie w twojej sprawie. Jeśli podejrzewasz, że tego nie robię, jesteś w błędzie.

- Żałuję, że dochodzenie, które sam prowadzę, nie dało rezultatów. Przez ostatnie osiem lat stałem się ekspertem w podobnych sprawach.

- Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś się nim nie stał. Gdy on zacznie podejrzewać, że poszukujesz świadków ostatniej woli ojca, zniszczy cię. A ja nie zdołam go powstrzymać.

- Nie ma aż tak wielkiej władzy. Żaden człowiek nie ma.

- Ty najlepiej wiesz, że są tacy ludzie. Jesteś ich agentem i nieraz świadczyłeś im usługi.

Ponownie ogarnął go gniew, a zarazem znużenie tą rozmową.

- Tylko w dobrej sprawie.

Przeważnie w dobrej sprawie. Ale nie zawsze.

- Inni nie mają tylu skrupułów. Nie prowokuj go. Bądź cierpliwy i pozwól mi działać po mojemu.

Jonathan wstał, by odejść, nim wyczerpią się wszystkie zapasy jego dobrej woli.

_ W takim razie żegnam. Byłoby jednak dobrze, gdyby gora lodowa wkrótce się wynurzyła cała.

Wyszedł w złym humorze. Nie zdołał zdusić w sobie gniewu, który zawsze w nim wzbudzała bezwzględność hrabiego Thornridge'a.

Rozsądny człowiek dawno by już zrezygnował, przyznał się do klęski - i zaznał trochę spokoju.

Tuż za drzwiami kawiarni o mało nie zderzył się z lokajem w ozdobnej liberii, który czekał przed wejściem. Na widok Jonathana przybrał odpowiednią dla sługi postawę.

- Czy pan Jonathan Albrighton?

Jonathan skinął głową. Lokaj podał mu list. Jonathan przyjrzał się uważnie papierowi i pieczęci, po czym złamał ją, zaskoczony. *Wtorek, punkt ósma. Wist. Castleford*

Następnego dnia Celia po przebudzeniu się ujrzała całkowicie zachmurzone niebo i stwierdziła, że spała dłużej, niż zamierzała. A tyle miała do roboty! Nie powinna się długo wylegiwać w łóżku.

Nałożyła szlafrok i owinęła się najcieplejszym szalem. Pan Albrighton sam sobie nosił wodę, ale ona też musiała to robić. Nie miała wcale ochoty na wyprawę do ogrodu, gdzie wiatr huczał tak, że aż się trzęsły okiennice.

Gdy otworzyła drzwi, ujrzała stojące pod nimi wiaderko z wodą.

Wystarczyło jej na solidne umycie się. Zbadła temperaturę wody palcem. Wiaderko stało pod drzwiami na tyle długo, że woda straciła studzienny chłód.

Mogła się tu znaleźć tylko w jeden sposób. Celia uznała, że to gest zarówno życzliwy, jak i zaskakujący. Skąd pan Albrighton wiedział, że jeszcze nie wstała? Rozbawiła ją myśl, że pewnie rozglądał się za nią rankiem, kiedy schodził na dół. Jak ona za nim.

Ubierając się, słyszała odległy, rytmiczny stuk młotka. Jakiś stolarz pracował widocznie w sąsiedztwie. Przypomniała sobie, że musi znaleźć kogoś, kto zastąpi młodego Toma. Po wczorajszym zajściu chłopiec już nie wrócił. Był to kolejny punkt na liście spraw wymagających dzisiaj załatwienia.

Uczesana, z kapeluszem i pelisą w rękę, schodziła frontowymi schodami. Z każdym krokiem stukot stawał się głośniejszy. Zrozumiała, że dochodzi z tyłu jej domu.

Skierowała się w tamtą stronę. Gdy się zbliżała do bawialni, doleciał ją kobiecy głos:

- Powinna była od razu zatrudnić fachowca.
- Myślała, że gwoździe wystarczą. - To był głos pana Albrightona.
- Jeśli się ich używa jak należy - padła uprzejma, ale cięta replika. Verity.

Czemuż, u licha, przyszła tutaj bez uprzedzenia, i to wtedy, gdy on był akurat w domu?

Celia weszła do bawialni. Pan Albrighton stał tam w koszuli i kamizelce, z młotkiem w rękę. Budowa półek znacznie się posunęła naprzód. A obok, dając mu rady, ubrana w szafirowy strój wyjściowy, siedziała przyjaciółka Celi, Verity, żona hrabiego Hawkeswella, z rysunkiem planu pokoju na kolanach. Verity dostrzegła ją.

- Ach, to ty? Zobaczyłam, że furтка od ogrodu jest otwarta, i weszłam, żeby wreszcie zobaczyć twój nowy dom. Stolarz powiedział mi, że wyszłaś na jakiś czas, więc pomagałam mu, czekając na ciebie.

Celia objęła ją i ucałowała.

- Mam nadzieję, panie Albrighton, że się zanadto nie wtrącała. Chyba pan sobie nie życzył tej pomocy.

- Sądząc z opinii pani przyjaciółki, nie bardzo się do tej pracy nadaję - odparł, przybijając kolejną deskę z energią sugerującą, że Verity pomaga mu już od dłuższego czasu.

- Tylko zachęcałam do lepszej pracy. Byle kto potrafi zbić dwie deszczułki na krzyż, jeśli ma dwadzieścia gwoździ do dyspozycji.

Widzę, że wbija pan je bez umiaru. Szkoda marnować trud kowala i pieniądze Celi.

Jonathan uśmiechnął się, słysząc tę naganę. Leciutko. Celia się spodziewała, że on wyjaśni Verity, że wcale nie zatrudnił się tu jako stolarz, tylko stara się zrobić dobry uczynek.

Jednak nie wyprowadził Verity z błędu.

- Ma pani rację, madame. Zarzut nadmiernego użycia przeze mnie gwoździ jest jak najbardziej słuszny.

- Zapewne chce pan ją usprawiedliwić, ponieważ jest moją drogą przyjaciółką, panie Albrighton? Pana krytykiem jest lady Hawkeswell, a hrabiny, żeby tak rzec, czepiają się drobiazgów.

- Najmocniej przepraszam, madame. - Skłonił się przed Verity. -

Oczywiście jako hrabina przywykła pani do bardziej fachowych usług niż moje.

- Jako hrabina nie dostrzegłabym różnicy między fachowcem a amatorem. A jeśli przywiązuje wagę do drobiazgów, to tylko dlatego, że znalazłam się teraz w świecie całkowicie różniącym się od świata mojego

dzieciństwa i wczesnej młodości.

Jonathan sięgnął po kolejny gwóźdź.

- Jeszcze pół godziny i wszystko będzie tu, jak należy. Panno Pen-nifold, nie będę miał nic przeciwko temu, by zechciała pani zabawić lady Hawkeswell gdzieś poza tą bawialnią.

Celia uznała to za świetny pretekst do zakończenia rozmowy. Włożyła kapelusz i zawiązała mocno wstążki pod brodą, żeby go nie porwał wiatr.

- Przejdźmy się po ogrodzie, Verity, żeby nie słyszeć tego stukotu młotka.

Zaprowadziła Verity w głąb ogrodu, gdyż stukot zaczął się rozlegać znowu. Verity obejrzała się przez ramię na dom.

- Chodź i i poradź mi co do tej rabaty przy krzakach - zachęcała ją Celia i odciągała jak najdalej od domu.

- Ten stolarz jest nie najlepszy - stwierdziła przyjaciółka. - Powinnaś była do mnie napisać, ja bym ci poleciła innego. Czy zatrudniłaś go tylko dlatego, że jest taki przystojny?

- Całkiem zapomniałam, kto i kiedy mi go polecił. Naprawdę. Spójrz tutaj. Myślę, że cebulki trzeba zasadzić właśnie w tym miejscu, prawda?

Verity znów obejrzała się za siebie. Zmarszczyła czoło i spojrzała na Celię, a potem jeszcze raz na dom.

- Ma bardzo ładne buty, jak na stolarza. Koszula i kamizelka także są w dobrym gatunku...

- Chyba nie masz nic przeciwko mężczyźnie, który dba o swój wygląd?

- Bardziej mnie dziwi, że takiego partacza stać na podobną odzież. Chyba nie powinniśmy zostawiać go samego. Może to jeden z tych, co podają

się za domokrażców po to, żeby wejść do domu i coś ukraść?

- Nazbyt jesteś podejrzliwa. Patrz, myślę, że właśnie w tym miejscu, pod drzewami, trzeba zasadzić cebulki wiosennych kwiatów, bo drzewa po wypuszczeniu liści ocieniłyby późniejsze kwiaty. Chciałabym dosadzić kilka nowych jesienią. Poradź mi jakie.

Verity spojrzała na drzewa, a potem prosto w oczy Celi.

- Nie sądzę, żebym była nazbyt podejrzliwa. Może się jednak mylę, biorąc go za stolarza?

Celia spuściła głowę i wbiła wzrok w gliniastą ziemię. Przesunęły się jej w myśli rozmaite wytłumaczenia, każde lepsze niż pomysł, że pan Albrighton jest stolarzem.

- Kim jest ten człowiek dla ciebie, Celio?

Celia wyczuła w tonie przyjaciółki lekkie rozbawienie. Spojrzała na Verity. Śliczna twarz przyjaciółki już się rozchmurzyła, a w jej niebieskich oczach igrały wesołe iskierki.

- Nie tym, co masz na myśli.

- To jeszcze gorzej.

- Verity!

Verity roześmiała się, zdziwiona własną reakcją.

- A co mam powiedzieć? Przystojny mężczyzna, który potrafi coś samodzielnie zrobić - nawet jeśli nie za dobrze, jak w tym przypadku - zawsze przyciąga moją uwagę, chociaż kocham tylko Haw-keswella. - Jeszcze raz spojrzała za siebie. - No, mów. Musisz, bo inaczej nie wiadomo, co sobie pomyślę.

- To lokator. I tylko tyle. Niepożądany i uciążliwy intruz. Odziedziczyłam go, niczym jakiś mebel, a on nie chce się stąd wyprowadzić, choć nie szczędzę wysiłków, żeby go do tego zmusić.

- Może to go właśnie tutaj trzyma? Wydaje mi się, jak się teraz nad tym zastanawiam, że gdy weszłaś do pokoju, zaczął emanować jeszcze większym urokiem. Wręcz zniewalającym.

A więc Verity też zauważyła ową ekscytującą energię, która się pojawiała tam, gdzie on był. Celia sądziła, że tylko przez nią przeszedł delikatny, miły dreszczyk, kiedy ujrzała Jonathana stojącego w bawialni z podwiniętymi rękawami koszuli, odsłaniającymi nagie przedramiona, w kamizelce i wąskich spodniach podkreślających jego zgrabną sylwetkę. Verity wzięła ją pod ramię, zapraszając do spaceru po ogrodzie.

- Stanowczo musi w tym domu zamieszkać z tobą jakaś starsza kobieta.

- I ja o tym myślałam. Ale to nie moja wina, że dostałam w spadku dom wraz z lokatorem. Ten mężczyzna już tu mieszkał.

- Nie twoja. Musisz jednak zachować większą ostrożność niż większość kobiet, które znalazłyby się w twojej sytuacji.

Celii stanęły przed oczami sceny, które rozegrały się na ulicy przed jej domem poprzedniego dnia.

- Zaczynam wątpić, czy sama ostrożność wystarczy i czy w ogóle jest konieczna. To ładnie z twojej strony, że nie od razu zaczęłaś podejrzewać, iż jest moim kochankiem. I ładnie z jego strony, że nie skomentował faktu, iż weszłaś tutaj przez furtkę ogrodową, a nie drzwiami od frontu.

Nie da się jednak ukryć, że powody do wchodzenia do mojego domu

tylnym wejściem istnieją. Myślę, że moja reputacja niewiele się zmieni, bez względu na to, czy pójdę w ślady Alessandry, czy nie.

Verity zarumieniła się, a w jej błękitnych oczach załśniły łzy.

- Ani przez chwilę nie podejrzewałam, że jest twoim kochankiem, Celio.

Tylko zażartowałam. A co do mojego wejścia tutaj, przepraszam cię najmocniej. Powiem Hawkeswellowi, że będę witać się z tobą na spacerze w parku i spotykać się jak z każdą inną przyjaciółką. To nie jest w porządku, żeby...

- Nie, nie chcę. Nie chcę ściągnąć hańby na ciebie ani na twojego męża.

Uwierz mi, proszę. Zawsze wiedziałam, że tak się stanie. Nie gniewam się o to na ciebie ani nie czuję się urażona. Czasem ogarnia mnie zniechęcenie, gdy zdaję sobie sprawę, że niewiele zyskam, pozostając uczciwa. Jest mi wtedy przykro. To wszystko, co mam do powiedzenia. Już i tak utraciłam dobrą reputację, chociaż nie zgodziłam się, mając siedemnaście lat, na protektora. Miał być pierwszym.

Od razu pożałowała swojej szczerości. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że Verity wcale nie była skonsternowana jej słowami i jedynie przyspieszyła kroku.

Znalazły się przy kępie krzewów blisko studni. Celia przypomniała sobie o wiaderku wody stojącym pod jej drzwiami. Pan Albrighton był bardzo uprzejmy, że przyniósł jej wodę, gdy się zorientował, że jeszcze nie wstała z łóżka. Okazał się bardziej uprzejmy wobec niej niż ona wobec niego. Prawdopodobnie zrobiło mu się jej żal, gdy banda łobuzów nazwała ją dziwką.

Verity w końcu zainteresowała się rabatą przed kępą zarośli.

- Wiosną, gdy się okaże, co tutaj rośnie, postanowimy, jakie nowe odmiany dosadzić.

- Teraz obchodzą cię cebulki, Verity? Nic mi nie odpowiesz na to, co w przyplýwie szczerości ci wyznałam, może nawet zbyt szczerze?

- Ciągle jeszcze to, co teraz wiem o tobie, jest dla mnie nowością. Muszę się do niej przyzwyczaić.

- Wiedziała tylko Daphne. Jeśli ktoś jeszcze znał prawdę, to zupełnie przypadkowo.

- Nie mam ci za złe, że się nam nie zwierzyłaś. Jestem ostatnią osobą, która miałaby do tego prawo, skoro i ja nikomu niczego o sobie nie mówiłam. To był mój sekret.

Verity miała na myśli ich wspólne życie u Daphne, w Najrzadszych Kwiatkach. Obowiązywała tam reguła, że nie wtyka się nosa w cudze sprawy. Daphne twierdziła, że kobiety mają nieraz uzasadnione powody, by zostawić swoją przeszłość za sobą, i twierdzenie to odnosiło się, w mniejszym lub większym stopniu, do każdej z nich.

A Verity nie wyjawiała im nawet, kim naprawdę jest. Podawała się za osobę, którą nie była. Ze zdumieniem dowiedziały się zeszłego lata, że najspokojniejsza i najbardziej rozważna z nich miała najwięcej do ukrycia. Odetchnęły z ulgą, gdy już przeszłość Verity stała się im znana, że Verity nie tylko pogodziła się z losem, ale także spotkało ją ogromne szczęście.

- I ponieważ jest nowością - ciągnęła Verity - zmienił się mój punkt

widzenia. Jesteś dla mnie tą samą Celią, jaką byłaś, droga przyjaciółko, ale sytuacja, w jakiej się znalazłaś, jest inna niż uprzednio. A poza tym... - przygryzła wargę i wzruszyła ramionami - poza tym twoje słowa wcale mnie nie zszokowały. Nie zszokowały też, jak sądzę, Daphne. Reakcji innych osób nie potrafię przewidzieć.

Celia zaśmiała się gorzko.

- Sama nie wiem, czy mnie pocieszyłaś, czy obraziłaś.

- Nie obraziłam, mam nadzieję. Nie jestem zszokowana, bo choć tyle w tobie optymizmu, zawsze miałaś rzeczowe podejście do życia. -Verity znów wzięła Celię pod ramię i szły teraz przytulone do siebie. -A kobieta rzeczowa bez złudzeń ocenia swoje możliwości. Jak ty.

Celia przystanęła i spojrzała jej w oczy. Nie było w nich potępienia. W Najrzadszych Kwiatkach nauczyły się kochać siebie nawzajem bez zastrzeżeń i osądu i nic się pod tym względem nie zmieniło.

- Niewiele widzę dla siebie możliwości i nie są one zbyt miłe, Verity.

Rozmyślałam nad nimi przez pięć lat. Mogę pozostać w azylu Daphne, z dala od świata i jego wzgardy, ale też z dala od życia, w dodatku narażając każdą kobietę, która by ze mną zamieszkała, na utratę reputacji. Mogę też wyjechać gdzieś daleko, zmienić nazwisko i mieć nadzieję, że moja przeszłość nigdy mnie nie dopadnie. A nawet, jeśli zwiode jakiegoś uczciwego człowieka, mogę wyjść za mąż.

- Albo możesz wieść takie życie jak twoja matka, które, jak przypuszczam, miało swoje uroki. - Verity uśmiechnęła się życzliwie. -Czy odrzuciłaś takie życie jako młoda dziewczyna, ponieważ uznałaś je za

złe?

- Odrzuciłam je, ponieważ wymagało robienia tego, do czego nie mogłam się zmusić w wieku siedemnastu lat. A także dlatego, że nie chciałam dawać memu ojcu, obojętne, kim on jest, jeszcze jednego powodu do odrzucenia mnie.

Naszły ją przykre wspomnienia. Spojrzała na krzewy, drzewa i niebo.

- No i dlatego, że w takim życiu nie ma miejsca na miłość. Na afekt - tak.

Ale uczucie większe niż afekt kończy się złamaniem serca.

Verity, zakreślając łuk ramieniem, wskazała na dom i ogród.

- A więc moja radosna, szczęśliwa Celia wybrała inną możliwość. Jakie to do ciebie podobne.

- To prawda. - Celia się roześmiała. - Nie mogę się wprost doczekać, kiedy wzejdą tu rośliny - oznajmiła i nagle zaczęła nasłuchiwać. - Stukot ustał. Pewnie pan Albrighton skończył robotę.

Verity wzniosła oczy do góry.

- Lepiej wróćmy tam i obejrzymy jego dzieło. Twój Albrighton ma dobre chęci, ale ja bym wymogła na nim, żeby oddał mi młotek, bo sama poradziłabym z tą robotą lepiej niż on.

Wychodziły już z ogrodu, gdy Verity nagle się zatrzymała.

- Albrighton! Już wiem, czemu to nazwisko wydało mi się znajome.

Przyszedł niedawno z wizytą do Hawkeswella. Tego dnia, kiedy odwiedziłaś mnie razem z Audrianną. Hawkeswell wspomniał potem o tym. Jakiś Albrighton był sędzią pokoju w Staffordshire, tam gdzie wydarzyła się ta fatalna historia. Ciekawe, czy to krewny twego lokatora.

- Chyba to ten sam człowiek.

Jonathan przyszedł tego dnia z wizytą do Hawkeswella? Byli, ona i on, w tym samym czasie w domu Verity? Czyżby się tam znalazł, bo ją śledził? Nie miał żadnego powodu. A jednak byłby to szczególny zbieg okoliczności.

- Ten sam? Ojej! - Verity mówiła przyciszonym głosem, jakby się bała, że ktoś w domu ją podsłuchuje. - Nic dziwnego, że ma takie ładne buty. Nie tylko nie jest stolarzem, ale on nawet nie jest zwykłym dżentelmenem, Celio. Wiem od mojego męża, że Albrighton to nieślubny syn ostatniego hrabiego Thornridge'a. Wyznał mu to, gdy obaj studiowali razem na uniwersytecie.

Jonathana już nie było w bawialni, kiedy wróciły do domu. Młotek leżał na jednej z najniższych półek, którą właśnie wykonał. Wzruszyło ją, że poświęcił swój czas na tę niewdzięczną pracę, wzruszyło o wiele bardziej niż wiaderko z wodą przed drzwiami. Przecież wcale nie musiał zbijać tej półki. Dżentelmeni nie zajmują się robotą, po której ma się odciski na dłoniach. Syn hrabiego, nawet nieślubny, powinien bardziej dbać o własne dłonie.

- Popatrzmy na ogród przez to ładne okno - zaproponowała Verity. - Zdecydujemy wówczas, które rośliny trzeba z niego usunąć, żeby widok ogrodu z tego okna bardziej cieszył oko.

Celia dołączyła do niej, ale wciąż jeszcze zaprzętała jej myśli rewelacyjna wiadomość o pochodzeniu Albrightona. Jakieś dziwne uczucie ścisnęło jej serce i zepsuło nastrój.

Rozczarowanie. To właśnie teraz czuła.

A sądziła, że... Prawdę mówiąc, wcale nie sądziła. Tyle że w jego obecności krew żywiej płynęła w jej żyłach i ogarniała ją nieznana dotąd ekscytacja. Wzajemnie się przyciągali, wiedziała o tym. I bardzo jej się to podobało.

Teraz zaś wszystko się odmieni. Jeśli jest nieślubnym synem Thornridge'a, to na pewno ma nadzieję na osiągnięcie wyższego statusu niż przypisany mu dotąd. Ile znaczy pochodzenie, przekonał się, już na uniwersytecie. To z racji pochodzenia był przyjmowany w takich domach, jak dom hrabiego Hawkeswella.

Pan Albrighton nie zechce więc zrobić niczego, co mogłoby przeszkodzić w osiągnięciu wyższej pozycji społecznej i przekreśliło szanse, które się przed nim rysowały. Nie zechce odrzucić reguł obowiązujących w wyższych sferach.

Gdyby więc do czegokolwiek doszło pomiędzy nimi, gdyby nie milczącego porozumienia miała się przeobrazić w silniejsze więzy, nie powinna oczekiwać, że byłoby to dla niego czymś więcej niż przelotnym romanssem, a ona kimś więcej niż kobietą, którą dżentelmen bierze sobie dla rozrywki.

W najlepszym razie mogła się spodziewać tylko tego, co zrobił Anthony, w najgorszym - czegoś o wiele bardziej okrutnego. I podobnie jak wtedy, z Anthonym, na wszystko, co wydarzyłoby się między nią a panem Albrightonem, decydujący wpływ miałyby pochodzenie ich obojga.

Zaczęła dzień późno, a wizyta Verity jeszcze bardziej opóźniła realizację jej dzisiejszych planów. Zbliżała się już czwarta po południu, gdy ubrała się do wyjścia - włożyła kapelusz i wełnianą pelisę w kolorze miedzi.

Przeszła przez ogród i skierowała się ku wozowni i stajni, gdzie trzymała klacz.

Poleciała zaprząć ją do kabrioletu i akurat wtedy wrócił z miasta pan

Albrighton. Zsiadł z konia i czekał, aż stajenny odejdzie, po czym ruszył krok w krok za Celią.

- Czy to rozsądne wyjeżdżać o tak późnej porze kabrioletem, panno Pennifold?

- Nie mniej rozsądne niż jazda konno, panie Albrighton.

- Koń jest szybszy niż powóz, a jeździec w siodle mniej narażony na niebezpieczeństwo niż osoba w małym, otwartym ekwipażu.

- Ma pan rację i, jestem pewna, jak najlepsze intencje. Jednak muszę dziś koniecznie załatwić pilną sprawę. Będę bardzo ostrożna.

Nie zawrócił do stajni, choć na to czekała, i dalej szedł za nią.

- Proszę mi pozwolić na towarzyszenie pani. Ostatnio na ulicach Londynu o żadnej porze nie jest bezpiecznie, a pani nie powinna znaleźć się tam sama po zachodzie słońca.

- Nie mogę prosić pana o taką fатыgę. Już i tak poświęcił pan cały ranek na zbijanie półek. Jeśli znów straci pan czas z mojego powodu, zbyt wiele będę panu dłużna.

Jak na syna hrabiego, zachowanie tego człowieka było niekon-

wencjonalne. Rano wziął do ręki młotek, nie martwiąc się o odciski i poobijane palce, a teraz najwyraźniej nie przejmuje się tym, że go zobaczą w jej towarzystwie w publicznym miejscu. Może uważa, że zostanie to uznane za afiszowanie się związkim z kolejną boginią półświatka. Tak, właśnie o to mu chodziło.

- To żadna fatyga, panno Pennifold. Nalegam, by przyjęła pani moją pomoc. Dobrze pani wie, że powinna ją przyjąć.

Zatrzymali się przy wozowni.

- Gdzie pani się wybiera?

Spojrzała przed siebie. Stajenny prowadził już konia.

- Na Covent Garden.

- Tym bardziej nalegam, żeby pozwoliła mi pani sobie towarzyszyć. Nie chcę słyszeć sprzeciwu. Wczoraj doszło tam nad rzeką do zamieszek, a w biedniejszych dzielnicach nadal wrze.

Sprzeciwu nie usłyszał. Dziesięć minut później, siedząc obok niej w kabriolecie, ściągnął trzymane w ręku wodze. Ruszyli.

- Gdzie się pani chce zatrzymać na Covent Garden?

- Jeszcze nie wiem. Zacznę od placu.

Czyżby na jego twarzy pojawił się grymas dezaprobaty? Chyba tak. Miała mimo to nadzieję, że pan Albrighton nie przysporzy jej kłopotów.

- To nie jest okolica, po której można krążyć bez celu, panno Pennifold.

- Nie będę krążyć bez celu. Osoba, której szukam, musi przebywać w jednym z trzech miejsc. Po prostu nie wiem, w którym.

- Nie szuka pani miejsca, tylko osoby?

- Właśnie. Kiedy tam zajedziemy, pan zostanie w kabriolecie, a ja wsiądę i zacznę poszukiwania na piechotę. Tak będzie lepiej.

Chyba go nie przekonała, lecz nie wypytywał już więcej, póki nie dojechali do placu targowego. Celia poprosiła, żeby się tu zatrzymał, wysiadła i zaczęła rozglądać się wśród tłumu, który wciąż jeszcze się tam kłębił.

- Mogę spytać, kogo pani szuka, panno Pennifold? Przyjrzała się uważnie kobiecej twarzy widocznej obok odległego straganu z kwiatami.

- Jednej z dziwek.

- Pomogę pani, jeśli wolno. Trochę jeszcze za wcześnie, ale... o, widzę już jedną, cztery metry od nas. O tam, ma na sobie...

- Ja szukam konkretnej dziwki. Z pewnością nie dziwi pana, że córka ładacznicy ma przyjaciółki wśród dziwek.

- Czyli zdaniem pani powinienem uznać to nie tylko za oczywiste, ale również za nieuniknione. Wcale tak nie jest, zwłaszcza że owa córka przyjaźni się z hrabiną. Dlaczego chce pani dzisiejszego wieczoru znaleźć tę konkretną dziwkę?

- Mam zamiar poprosić ją, żeby ze mną zamieszkała. Milczał. Spojrzała na niego.

- Teraz jest pan zdumiony.

- Bynajmniej. Myślałem, że pani żartowała tamtej pierwszej nocy, ale jeśli mówiła pani poważnie, rozumiem, dlaczego.

- Naprawdę tak pan uważa? Chyba nikt inny poza panem tego nie rozumie.

- Jedynymi ludźmi, którzy mogą nie doceniać wagi bezpieczeństwa i wygody, są ci, którzy mają zapewnione i jedno, i drugie. To zrozumiałe, że poddaje pani rewizji swą wcześniejszą decyzję odrzucenia tej części swojego dziedzictwa.

- Jest pan człowiekiem bez uprzedzeń.

- Jestem ostatnim człowiekiem, który by osądzał obraną przez panią życiową drogę. Ale mam dla pani radę, niezwiązaną z tym, o czym mówimy. Dotyczy standardów, o których wspomniała pani podczas naszej nocnej rozmowy w bibliotece. Nie zdoła pani podnieść do swego poziomu dziwki, której pani szuka, to ona pociągnie panią w dół. Z pewnością matka ostrzegła panią przed tym.

Oczywiście, zrobiła to. Podobnie jak wyjaśniła Celi, że pozycja społeczna jej pierwszego protektora zadecyduje o tym, czy będzie uprawiać swój proceder w luksusowych salonach, czy też pod mostem. Zastanawiając się nad słowami pana Albrightona i jego zadziwiającą szczerością, ponownie spojrzała na stragany z kwiatami. Czekał na jej decyzję, być może. Czekał, żeby powiedziała, że luksus, bezpieczeństwo i wygoda warte są tej decyzji. Czy wtedy zaproponowałby jej układ, bo i on wyczuwał owo ekscytujące napięcie pomiędzy nimi, również teraz, gdy stoją tak blisko siebie? Czy też, przeciwnie, wie, że standardy, o których napomknęła tamtej nocy, oznaczają, iż nigdy tego nie zrobi, nawet jeśli w jego żyłach płynie hrabiowska krew?

- O, jest. Widzę ją. Proszę tu poczekać - powiedziała i uniosła suknię, wysiadając z kabrioletu.

Dłoń Albrightona spoczęła na jej ramieniu i Celia nagle opadła na siedzisko powoziku.

- Zaprowadzę panią do niej i zaczekam tam, gdzie nie stracę pani z oczu.

Jest już dosyć późno i niebezpieczne typy nie będą się dłużej kryły po kątach.

Jego opiekuńczość była miłym gestem, przyznała w duchu, i zarazem zbędna. Dobrze znała te okolice i wiedziała, jak odstraszyć owe typy.

Manewrował kabrioletem, jadąc skrajem placu, póki nie powiedziała mu, gdzie ma stanąć. Uparł się, by jej pomóc przy wysiadaniu, ale nie próbował towarzyszyć jej w drodze do straganów. Poszła do nich sama i stała przed jednym z nich przez dobrą minutę, nim zajęta klientami rudowłosa kobieta ją zauważyła.

- Celio? Myślałam, że wzrok mnie myli!

Kobieta wyszła zza straganu i uścisnęła ją serdecznie, po macierzyńsku.

- Miło mi cię widzieć, Marian. Wiem, nie było mnie tu przez ładne parę miesięcy.

Marian zbyła owe „parę miesięcy” lekceważącym machnięciem dłonią.

- Jeśli przywiozłaś mi trochę kwiatów, to boję się, że dzisiaj już na nie za późno. Sama widzisz, że sporo mi ich zostało do sprzedania, a czas ucieka.

- Nie przyjechałam z kwiatami, Marian, tylko z propozycją.

W zielonych oczach Marian błysnęło zaskoczenie, a potem rozbawienie.

- Dobra z ciebie dziewczyna, że o mnie pomyślałaś, ale jestem za stara i zanadto sterana, żeby ją przyjąć, jeśliś się zdecydowała na to życie i

szukasz innych gołąbeczek do towarzystwa. Przyjmij wyrazy

współczucia z powodu śmierci mamy. Poszłabym na jej pogrzeb przez
wzgląd na dawne czasy, ale...

- Dziękuję za życzliwość, Marian, nie zamierzam jednak zrobić tego, o
czym myślisz. Oddałaś mi dużą przysługę pięć lat temu, mówiąc o panie
Joyes i jej dobrym sercu. Chciałabym ci się teraz odwdziżyć.

Marian wskazała na stragan.

- Już to zrobiłaś, no nie? Za pieniądze, które mi dałaś, mogłam zacząć ten
handel, a kwiatami, które czasami przywoziłaś, więcej mi pomogłaś, niż
myślisz. Mam teraz święty spokój i mogę zostać tutaj, gdzie wszystko
znam od urodzenia.

Celia obawiała się, że przywiązanie Marian do starych śmieci stanie na
przeszkodzie w przyjęciu przez nią propozycji. Nie wierzyła też,
że Marian całkowicie poniechała uprawiania nierządu, a w każdym razie
nie rzuciła go na zawsze. Gdyby dochód z handlu kwiatami nie
wystarczał na opał i żywność, łatwo przysłoby jej sprzedawać coś
innego, na co zawsze istniał popyt. Choć nie pierwszej młodości, była
przystojną kobietą, która mogła wpaść w oko mężczyźnie szukającemu
płatnej miłości.

- Moja propozycja wymaga, żebyś z tego miejsca odeszła, choć niezbyt
daleko. Mogłabyś je nieraz odwiedzać. Potrzeba mi kogoś, komu
mogłabym ufać, a któż lepiej się nadaje do tego niż kobieta,' która okazała
mi życzliwość, kiedy byłam osamotniona i przegrana.'

- Nie przegrana, moja miła, ale mimo łez w twoich oczach widziałaś

wyraźnie, że to nie miejsce dla takich jak ty.

Miała wtedy łzy w oczach nie tylko z powodu grożących jej niebezpieczeństw, ale i tego, co właśnie uczyniła. Ucieczka była konieczna, ale też niemądra, skoro Celia nie wiedziała, gdzie pójść ani co ze sobą zrobić po porzuceniu matki. „Moja miła, te ulice byłyby dla ciebie prawdziwym piekłem. Raj-furzy czyhają tu wszędzie na takie jak ty, a za twoją buźkę i włosy dobrze by im zapłaciła każda bajzelmama, co by cię kupiła. Mam trochę forsy, wynajmiemy powóz i wrócisz do domu”.

Właśnie to powiedziała jej ruda kobieta po odpędzeniu wyjątkowo natrętnego stręczyciela. Kiedy zaś Celia kategorycznie odmówiła powrotu do domu, Marian dała jej adres pięknej wdowy, która niekiedy odwiedzała handlujące kwiatami na Covent Garden kobiety. Przekazywała najbiedniejszym z nich te wyhodowane przez siebie kwiaty, na które danego dnia nie znalazła odbiorców wśród swoich klientów

- Odziedziczyłam teraz dom, Marian, i zamierzam być partnerką Daphne.

Potrzebny mi jest ktoś, kto by ze mną zamieszkał, od razu więc pomyślałam o tobie. Mam nadzieję, że będzie to bezpieczne życie, i wiem, że ty byś się do tego doskonale nadawała.

W oczach Marian błysnęło zaciekawienie, kiedy Celia wyjawiała jej swoje zamiary. Pod koniec rozmowy ściemniło się zupełnie i Marian wyrzła na plac.

- Jest jedna młoda niewiasta, co by ci się lepiej nadała - powiedziała. - Ta kobieta, Bella - zaraz ją zawołam - przymiera głodem. Niedługo znajdzie jednak sposób, żeby się najeść do syta.

Celii ścisnęło się serce. Znów objęła Marian.

- Nie chcę jej zamiast ciebie, ale przyjmę ją razem z tobą. Jeśli tak cię obchodzi jej los, że zachwalasz mi ją zamiast siebie, to, jak się spodziewam, poświęcisz się i przeniesiesz się z tych zaułków nieco dalej.

Marian zamgliły się oczy. Widać było, że lęka się zmiany, ale w jej wzroku Celia dostrzegła także rozpaczliwą nadzieję.

- Nie będzie to nieprzyzwoicie, żebyś miała taką babę jak ja na służbie.

- Nikt nie pozna twojej historii, Marian. Będziesz po prostu kobietą, która gotuje jedzenie dla córki Alessandry Northrope. Jeśli ktoś będzie okazywał pogardę mieszkańcom tego domu, to raczej z mojego powodu.

Marian wyprostowała się. Wyglądała teraz wręcz groźnie, jak tamtej nocy, kiedy przepędzała stręczyciela.

- A czy tak się dzieje? Już ja to ukróczę, jak usłyszę coś podobnego! Zaraz zrobię porządek z tymi, co się ośmielają na ciebie wygadywać!

- Ale musisz w tym celu zamieszkać u mnie, chyba więc przyjmiesz moją ofertę, prawda? - Celia ujęła Marian za rękę, a potem zakręciła się z nią wkoło z radości, póki Marian także nie zaczęła się śmiać. Potykały się o kubelki z kwiatami, ale tańczyły, aż bez tchu padły sobie w ramiona.

- Idź po swoje rzeczy i po rzeczy Belli także - poleciła Celia. - Mam tu blisko kabriolet i powożącego, który nam pomoże. - Wskazała na kabriolet i Jonathana.

Marian spojrzała na niego z ukosa.

- Czy za dnia jest tak samo przystojny, jak o zmroku?

- Jeszcze bardziej.

- Wygląda na dżentelmena. Czego on od ciebie chce? Celia przynagliła ją do wyjścia.

- Niczego. Wyjaśnię ci wszystko później. On po prostu nie chciał, żebym tu przyjechała sama, bez ochrony. I tyle.

Marian spojrzała na nią spod oka.

- Wierz mi, moja miła, że czegoś on tam musi chcieć. Poznałam to po tym, jak na ciebie spojrzał chwilę wcześniej!

Jonathan stanął przed drzwiami pałacu od strony zachodniego krańca Piccadilly Street kwadrans po dziewiątej. Nad nim wznosiła się kamienna fasada, z wysokimi oknami jarzącymi się światłem.

Służący w perukach, pończochach i spodniach do kolan oraz liberii

Castlefordów czekali już na niego. Jeden z nich otworzył przed nim

drzwi, gdy tylko Jonathan się tam zjawił, a drugi odebrał od niego

kapelusz i rękawiczki. Trzeci, we fraku wyszywanym złotem, co

świadczyło o jego wysokiej randze wśród służby, wskazał mu schody.

Wysoko w górze wznosiły się nad nim sufity pokryte złoconymi stiukami

i plafonami, na których igrały greckie bóstwa. Jeszcze więcej malowideł

zdobiło ściany. Jakby chcąc podkreślić, że książę Castleford był jednym z

najbogatszych ludzi w Anglii, olejny obraz pędzla Tycjana,

przedstawiający Zeusa i Ariadnę - a dzieło to mogłoby być chlubą

większości rodowych kolekcji - wisiał w ciemnym załomie klatki

schodowej. Oznaczało to, że galeria i salony są pełne jeszcze lepszych

prac renesansowych mistrzów.

Służący poprowadził go przez jeden z tych salonów, przyozdobionych,

podobnie jak i liberie sług, w stylu popularnym za pierwszych lat panowania obecnego króla. Książę niewiele zmienił w dekoracji po odziedziczeniu tytułu i pałacu. Nie dlatego, by mu to było obojętne, choć jego zwyczaje mogły budzić takie przypuszczenie. Castle-ford lubił nadmierny przepych tego wspaniałego pomieszczenia oraz aluzje do królewskości i przywilejów, jakie zdawały się emanować z tego wnętrza. Dwóch służących otwarło szeroko podwójne drzwi na końcu salonu, ceremonialnie zapraszając tym gestem do wejścia do kolejnej, mniejszej komnaty, o znacznie skromniejszych złoceniach. Duże okna w trzech ścianach świadczyły, że był to przybytek dający wytchnienie podczas gorących letnich nocy. Z okien rozciągał się za dnia piękny widok na panoramę miasta i na Tamizę.

Służący pozostawili go tam samego. Jonathan pożałował, że spóźnił się tylko o kwadrans, zamiast o pół godziny. Jego wysiłki, żeby dać Castlefordowi do zrozumienia, jak bardzo nie znosi jego towarzystwa, mogły spełznąć na niczym.

List - raczej wezwanie niż zaproszenie - był równie arogancki jak człowiek, który go wysłał. Już samo wysłanie listu było dla Jonathana zaskoczeniem, choć nie jego władczy ton. Pewne sprawy między Jonathanem a Castlefordem nie zostały doprowadzone do końca, a żadna z nich nie była przyjemna. Nigdy by się nie spodziewał, że książę go jeszcze kiedykolwiek zaprosi do siebie.

Zajęty był właśnie oglądaniem malowideł w tym pokoju. Klasyczne w stylu i niedawno wykonane, zapewne nie zostały odziedziczone po

przodkach. Mimo całej ekstrawagancji książę preferował właśnie te dzieła sztuki, o kompozycji określonej ścisłymi regułami, które sam wybrał i kupił.

- Spóźniłeś się, Albrighton.

Jonathan odwrócił się gwałtownie. Tristan St. Ives, książę Castleford, stał przy kominku. Za jednym z malowideł musiało się więc kryć wejście.

Castleford zawsze zdawał się szydzić z własnej pozycji społecznej i z bogactwa, chociaż z obu korzystał w całej pełni. Poza, jaką przybrał, świadczyła i o znudzeniu, i o uprzywilejowaniu, jak też o oczekiwaniu na okazanie mu szacunku, chociaż książę utrzymywał, że to go irytuje.

Miał na sobie szykowny surdut, który kosztował zapewne setki funtów, a modnie rozwichrzona grzywa kasztanowatych włosów i złociste oczy o iście szatańskim wyrazie dawały do zrozumienia, że pośród praw należnych księciu jest też prawo do wszystkiego, czego się cholernie pragnie, a jeśli komuś się to nie podoba, może iść do diabła.

Z tego, co mówiono o Castlefordzie, Jonathan wiedział, że książę cholernie pragnął dziwek i trunków. Tego wieczoru wyglądał jednak na trzeźwego.

- Ależ ja przyszedłem za wcześnie, Wasza Książęca Wysokość, a nie za późno. List mówił o wiście. Dwóch innych graczy jeszcze się nie zjawilo, chyba że życzysz sobie, by do kart zasiedli z nami major-domus i stajenny.

- Dwaj inni mają przyjść o wpół do dziesiątej. Tobie wyznaczyłem inną porę.

- To dla mnie wielki honor.
- Nie było moim zamiarem przyjmować cię z honorami.
- To oczywiste.
- No więc po co to powiedziałaś?
- Żeby być uprzejmym.

- Myślałem, że te nudne rytuały nas nie dotyczą.

- W takim razie powiedziałem to, żeby uniknąć sporu. Chciałbym tylko, żeby ci inni goście pojawili się tu jak najwcześniej.

Castleford osunął się leniwie w miękko wyściełany fotel. Jego ruchy były ociężałe, ale wzrokiem przeszywał Jonathana na wskroś. Jonathan uznał, że to i tak lepsze, niż gdyby książkę był pijany.

- Hawkeswell się spóźni. Zawsze się spóźnia, celowo, żeby zaznaczyć, że jego tytuł jest starszy od mojego o całe dwieście lat, a ja na nim nie robię żadnego wrażenia. Summerhays jest z was wszystkich najbardziej punktualny, oczywiście jeśli nie przychodzi razem z Hawkeswellem.

- To miłe z twojej strony, że zechciałeś, byśmy się wszyscy spotkali w tym wspaniałym pałacu o tej samej porze.

- No cóż, przecież już od lat się spotykamy od czasu do czasu. A ostatnio wszyscy byliśmy zamieszani w tę historię na północy. Trzeba uczcić nasz sukces.

Jonathan miał nadzieję, że nie był to prawdziwy cel tego wieczornego spotkania. Tamci trzej się od razu domyślili, że zlecono mu prowadzenie śledztwa w Staffordshire, gdy Hawkeswell natknął się tam na niego kilka miesięcy temu. Rzeczywiście prowadził, ale nie chciał im o tym mówić.

- Słyszałem, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ma wobec ciebie

dług wdzięczności - odparł. - Powiadają, że dzięki twojej pomocy

rozwikłano tę sprawę o wiele szybciej.

- Chcesz powiedzieć, że wskutek wtrącenia się przez nas. Podejrzewam,

że skończyłoby się to inaczej także i dla nas. Nie sądzę, żeby cię tam

wysłano w celu wykrycia prawdy, lecz raczej po to, byś ją ukrył. Co ty na

to?

- Możesz sądzić, co ci się żywnie podoba. Wątpię, byś zmienił zdanie, bez

względu na to, co powiem.

- I tak niczego by to nie wyjaśniło, jak widzę. To całkiem typowe dla

ciebie. Nawiasem mówiąc, jeden z szanownych członków Izby Lordów z

tego regionu przed tygodniem palnął sobie w łeb. Oczywiście, można to

uznać za wypadek. Ostatnia rzecz, z którą należało zrobić porządek w tej

brudnej sprawie przed odjazdem do Londynu, co, Albrighton?

- Myśl o mnie, co chcesz, ale nie jestem mordercą.

- Żołnierze też nie są nimi. A jednak ludzie giną wskutek ich działań. Nie

zrozum mnie źle, nie robię ci zarzutu z powodu tego ostatniego zdarzenia.

Ktoś musiał mu przypomnieć o jedynym honorowym wyjściu z sytuacji.

Pojechałbym sam na północ, gdyby się to okazało konieczne.

- Więc czemu nie pojechałeś? Castleford stłumił ziewnięcie.

- Nie sądziłem, że się zdobędzie na odwagę i zrobi to, co powinien. I co

wtedy? Musiało się tak stać dla dobra Anglii, ale nie widziałem siebie w

roli jednego z tych żołnierzy, gdyby mu trzeba było dopomóc. Całe

szczęście, że zdołał to zrobić sam.

Tylko że wcale nie zdołał, i Castleford się tego domyślał.

Człowiek, o którego chodziło, nie był zdolny popełnić samobójstwa i oczekiwał, że Jonathan to załatwi, tak jak załatwił już wiele innych spraw w tym nieszczęsnym zadaniu. Najwyraźniej Castleford i wielu innych również tak uważało. Są jednak granice, których nikomu nie wolno przekroczyć, a ich przekroczenia usprawiedliwić, bez względu na to, jak ważne byłyby powody. Nawet ktoś o najbardziej mrocznej duszy miewa chwile moralnej czystości.

Jonathan odmówił. Nie chciał mieć z tą śmiercią nic wspólnego, a jego odmowa była szokiem dla tchórza, który chciał umrzeć wskutek „wypadku” i zachować po śmierci dobre imię. Jonathan nie wiedział, kto w końcu pociągnął za spust, kiedy zostawił tego człowieka z pistoletem w bibliotece, ogarniętego strachem i grozą. Domyślał się, że zrobił to współczujący sługa czy może nawet żona.

- A więc powiadasz, że wszystko dobre, co się dobrze kończy, nieważne, jak ten koniec wygląda? - Sam był zniechęcony tonem własnego głosu.

Słyszał w nim znużenie i gorycz. - Bardzo się cieszę, że kazałeś mi przyjść wcześniej, by mnie zapewnić, iż zyskałem twoją aprobatę.

Książę wbił w niego wzrok. Z jego twarzy znikł uśmiech. Zrozumiał sarkazm.

- Rzeczywiście chciałem cię tu widzieć wcześniej, żeby ci oznajmić, że nie winię cię za to, co się zdarzyło we Francji dwa lata temu. Nie miałem sposobności, żeby ci o tym powiedzieć wcześniej.

- Chcesz powiedzieć, że przestałeś mnie winić?

- Do diabła, nigdy cię nie obwinałem.

- Mam nadzieję, że nie obwiniasz z kolei samego siebie. Nie było wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór - warknął Castleford. Po czym, nagle

odprężony, wzruszył ramionami. - Ale obowiązek jest obowiązkiem, i tak dalej.

- Owszem. I tak dalej.

Na szczęście przyszedł wreszcie Summerhays, rzeczywiście bardzo punktualnie. Castlefordowi, gdy go zobaczył, od razu poprawił się humor.

- Mam nadzieję, że jesteś przy forsie, Summerhays. Zamierzam zagrać w parze z Albrightonem, a jak pamiętam, on nigdy nie pije przy kartach, więc zachowa przytomność umysłu.

- Niestety, nie zagra sam, lecz mając za partnera ciebie, a ty grasz jak noga - dociął mu Summerhays, witając się serdecznie z Jonathanem. Nie widzieli się od lat. Lord Sebastian Summerhays, również przyjaciel Jonathana z lat uniwersyteckich, był bratem markiza i ważnym członkiem Izby Gmin. Z tej racji od dawna wiedział wystarczająco dużo o działalności Jonathana, by unikać pytań o nią.

- Słyszałem, że już prawie rok temu wróciłeś z Francji - zaczął.

- Tak, do Anglii. Rzadko jednak bywam w Londynie.

- Ale zostaniesz tu przez jakiś czas?

- Owszem. Przez jakiś czas.

Summerhays posłał mu uśmiech, na którego widok kobiety mdlały, a mężczyźni mocniej zaciskali wargi.

- Musisz mnie odwiedzić i poznać moją żonę, Audriannę. Pytała o ciebie.

Jonathan nie miał pojęcia, dlaczego. Jego zdziwienie musiało być

widoczne, bo Summerhays dodał:

- Audrianna jest najlepszą przyjaciółką lady Hawkeswell, która wie co nieco o tobie. Chyba więcej ode mnie, sądząc z zaciekawienia twoją osobą, jakie wzbudziła w mojej żonie.

Summerhays spodziewał się, że Jonathan zaspokoi i jego zaciekawienie.

Jonathan zaś się zastanawiał, co też lady Hawkeswell powiedziała - lub nie powiedziała - o swojej wizycie w nowym domu Celii.

Pełne zakłopotania milczenie przerwał Castleford.

- Ach, otóż i Hawkeswell, siadajmy więc do gry. Ty, Hawkeswell, i

Summerhays oszczędźcie nam wszystkim czasu i od razu włóżcie swoje sakiewki do mojej skrzynki na pieniądze.

Hrabia Hawkeswell zagwizdał bardzo niegrzecznie.

- Albrighton, jeśli chcesz, możemy być parą. Nie godzi się zmuszać ciebie do partnerowania mu i skazywać przez to na przegraną, bo alkohol odbierze mu całkiem rozum.

- Wydaje się dość trzeźwy. Zaryzykuję.

- Dziękuję, Albrighton - odparł Castleford i spojrzał wyniośle spod przymkniętych powiek na Hawkeswella.

- Dziś jest wtorek, czy o tym zapomniałeś?

- Ooo, wtorek! - powtórzył ironicznie Hawkeswell, otwierając szeroko oczy.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zdziwił się Jonathan. Summerhays wziął

kieliszek brandy podany mu przez służącego

i usiadł przy stoliku do gry w karty.

- Tristan nie pije już we wtorki, tylko stara się być wówczas jak najprzytomniejszy i koncentrować się na obowiązkach. A przez resztę tygodnia... - wzruszył ramionami.

- Nie myśl, że to coś zmienia - dodał Hawkeswell. - Przez resztę tygodnia urzyna się tak gruntownie, że ten jeden dzień trzeźwości niewiele znaczy.

I tak gra wtedy fatalnie i przegrywa mnóstwo pieniędzy. Stanowczo powinieneś zażądać, żebyśmy ciągnęli karty i losowali partnerów.

Castleford przyjął tę prowokacyjną uwagę bez obrazy. Fatalna reputacja zawsze sprawiała mu satysfakcję.

Jonathan siadł w fotelu naprzeciw gospodarza.

- Jak pamiętam, nawet połowa jego mózgu bywała czasem lepsza niż cały u większości innych ludzi, a zatem zaryzykuję. Dobrześ zrobił, wyznaczając to spotkanie na wtorek, Castleford, bo może będę miał przynajmniej szansę się do cna nie zrujnować.

- Och, on nie wybrał wtorku z twojego powodu - mruknął Summerhays, rozdając karty - tylko z powodu dziwek.

- Wtorek to jedyny dzień, kiedy ich tu nie ma - wyjaśnił Hawkeswell, patrząc w swoje karty. - Każdego innego dnia gość może w tym domu natknąć się tu i tam na co najmniej jeden goły, gotów do usług damski tyłek, obok którego nasz przyjaciel nie przejdzie obojętnie. A skoro Summerhays i ja jesteśmy już żonaci, musielibyśmy mu odmówić, gdyby zaprosił nas na wieczór każdego innego dnia niż wtorek.

Castleford z żalną rezygnacją spojrział na siedzącego po jego prawej stronie Summerhaysa, potem na Hawkeswella po lewej i w końcu przed siebie, na Jonathana.

- Mam na końcu języka wyjątkowo ciętą ripostę, jeśli chodzi o żony i gołe tyłki. Niestety, nie ośmielę się jej wypowiedzieć na głos, bo...

- Bo mógłbyś zostać wyzwany na pojedynek - dokończył Summerhays.

Castleford westchnął dramatycznie.

- Widzisz? Stali się tak nudni, że cudem z nimi wytrzymuję. Prawda zaś wygląda następująco: zapraszam ich, by się trochę rozerwać, tylko we wtorki, bo wówczas ja bywam nieco nudnawy.

Uśmiechnął się, diabeł wcielony, z satysfakcją rozpoznający materiał na podobnego sobie demona w kimś drugim.

- Ty jednak jesteś tu mile widziany. Przychodź, kiedy tylko zechcesz.

Jonathan nie spodziewał się, że ta stara, choć chwiejna przyjaźń w ogóle zostanie odnowiona, a co dopiero tak szybko i łatwo. Wydało mu się to nieco podejrzanym. Spojrzenia, jakie między sobą wymienili Summerhays i Hawkeswell, świadczyły, że i oni nabrali podobnych podejrzeń.

- Czuję się zaszczycony. Sam nie wiem, co mam powiedzieć.

- To, co już powiedziałeś, zupełnie wystarczy. A teraz zbierz siły, byśmy starli na pył tamtych dwóch.

A więc wszystko ustalone! - oznajmiła Marian. - Ja będę się zajmować kuchnią, a Bella sprzątać, pomagać ci przy ubieraniu i tak dalej.

Spojrzała pytająco na Bellę, czekając na potwierdzenie ustaleń.

Celia również spojrzała na młodą kobietę. Bella prawie się nie odzywała od czasu, gdy obie zeszły do piwnicy pod sklepem sprzedawcy materiałów piśmiennych. Wysiłki Belli, żeby przemienić tę norę w mieszkanie, nie zdały się na nic. Nadal było tu ciemno i wilgotno. Sama Bella bez protestów spełniła polecenie Marian, żeby spakowała to, co chce zabrać ze sobą, i poszła z nimi.

Szczupła brunetka, wymizerowana, niewątpliwie z powodu niedojadania, posłusznie zrobiła to, czego od niej zażądano, bez radości, ale też bez niechęci. Pan Albrighton, który zszedł do tego lochu, wyświadczył jej grzeczność, zabierając węzełek z odzieniem, i uspokajał ją łagodnie, jakby czuł, że Bella tego potrzebuje.

Siedziała teraz na zydlu przy kominku, zachwycona ciepłem, o czym świadczyła jej mina. Nie brała udziału w rozmowie na temat prowadzenia domu, ale skinieniem głowy potwierdziła, że zgadza się na ustalony przez Marian podział pracy.

- Teraz obie pójdziemy na górę - zwróciła się do niej Marian. - Jest tam spory pokój, w którym możemy razem mieszkać, na końcu korytarza.

Tam, gdzie mieszka ten dżentelmen.

Marian była zdziwiona, że pan Albrighton mieszka w domu Celi. Nie ufała żadnemu mężczyźnie, więc zapewne chciała wziąć na siebie

również obowiązki przyzwoitki.

- Nim to zrobicie, chciałabym was zaznajomić z kilkoma regułami obowiązującymi w tym domu - oznajmiła Celia. - Mogą się wam wydać trochę dziwne, ale z własnego doświadczenia wiem, że zapewniają kobietom spokój we wspólnym życiu. Wszystkie się do nich stosowałyśmy, mieszkając u Daphne.

Marian kiwnęła głową z aprobatą.

- Skoro dobre były dla pani Joyes, to będą dobre i dla nas.

- Pierwsza reguła głosi, że nie wolno się wzajemnie pytać ani o przeszłość, ani o teraźniejszość. Co znaczy, Bello, że jeśli nie będziesz mi chciała nic mówić o swojej rodzinie ani o tym, czemu zostałaś samotna, to ja cię o to nigdy nie będę pytać.

Bella przechyliła głowę na bok zaskoczona, że wolno jej niczego nie wyjawiać.

- Każda z nas będzie się w domu czymś zajmować. Wyście się już na to zgodziły, ofiarowując mi pomoc w jego prowadzeniu. A jeśli któraś wyjdzie stąd i zamierza nie wracać dłużej niż zwykle, musi powiedzieć o tym innym, żeby się o nią nie niepokoiły.

- To brzmi rozsądnie - uznała Marian i znów kiwnęła głową.

- Jako samodzielne kobiety musimy wspólnie dbać o nasze bezpieczeństwo, a każda z nas nauczy się też dbać o własne - dodała Celia, wyjaśniając drugą ważną regułę, która przez pięć lat normowała jej życie u Daphne.

- Nie ma sprawy. Ja tam potrafię zadbać o siebie, Bella też. Prawda,

Bello?

- A zatem zgadzamy się co do podstawowych reguł - uznała Celia. - Jest jeszcze kilka innych, mniej ważnych, o których powiem później.

Marian wstała.

- Przygotuję teraz dla nas kąpiel w kuchni. Lepiej zmyć z siebie przeszłość, tak żebyśmy rano mogły zacząć wszystko na nowo.

- O, świetnie - odezwała się Bella, po raz pierwszy włączając się do rozmowy. Celia miała nadzieję, że dziewczyna wreszcie przezwyciężyła w sobie strach.

Bella ruszyła ku drzwiom w ślad za Marian, lecz nagle zawróciła, ujęła Celię za rękę i uniosła ją do ust.

Mocno zacisnęła powieki, całując jej dłoń, a potem pobiegła, żeby dogonić Marian.

Hałasy w kuchni ustąpiły miejsca chichotom i odgłosom kroków na tylnych schodach. Celia, czytająca w bibliotece książkę, zamknęła ją i nadśluchiwała. Marian i Bella udawały się właśnie na poddasze, do swego wspólnego pokoju.

Oprócz ich pokoju i pokoiku pana Albrightona na poddaszu znajdowało się jeszcze kilka innych. Jeden z nich służył jako skład. Celia zajrzała do niego, gdy pokazywała wszystkie pomieszczenia Marian, żeby ta któreś sobie wybrała. Musiała otworzyć go kluczem, a w mroku dostrzegła tylko tyle, że stał tam stary kufer.

Chciała do niego wrócić później i sprawdzić, co matka w nim zostawiła.

Może znajdzie coś, co pomoże jej poznać nazwisko ojca?

Był to dzień pełen wrażeń i Celia wiedziała, że nadeszła pora na odpoczynek. Pan Albrighton jeszcze nie wrócił, ale zapewnił ją, że po powrocie pozamyka na klucz drzwi wejściowe.

Była zbyt przejęta tym, co przeżyła w ciągu dnia, żeby zasnąć. Dom, w ostatnim czasie pusty, miał teraz nowych mieszkańców. Celia zdjęła płaszcz z kołka, okryła się nim szczelnie i wyszła, żeby przejść się po ogrodzie przed snem.

Podeszła do kępy krzewów i do nieobsadzonej jeszcze rabaty przed nią.

Verity zapewne wystarczyłby jeden rzut oka, żeby wiedzieć, co w tym miejscu zasiać na wiosnę. W Najrzadszych Kwiatkach Verity zdobyła ogromną wiedzę o kwiatach i ich uprawie, najpierw ucząc się od Daphne, a potem czerpiąc informacje z książek i pism oraz eksperymentując samodzielnie. Uprawa kwiatów okazała się jej powołaniem. Mąż pozwolił jej nadal się tym zajmować i lady Hawkeswell korespondowała teraz z ekspertami od ogrodnictwa z całej Anglii.

Verity wyraziła się zbyt łagodnie, mówiąc, że ogród jest zaniedbany.

Matka, rzadko w tym domu mieszkająca, bez wątpienia nie miała okazji, by zająć się jego regularną pielęgnacją. Na wiosnę będzie tu mnóstwo roboty.

Zadumała się nad ogrodem i nad ulepszeniami, jakie chciała w nim wprowadzić. Po chwili jednak wróciła myślami do matki. Przypomniała sobie tamten drugi dom, salony, które matka lubiła urządzać we francuskim stylu, i prozowane obiady, podczas których polecała Celi śpiewać.

Wszyscy słuchacze byli ludźmi dobrze urodzonymi i zamożnymi,

obojętne, czy mieli arystokratyczne tytuły, czy nie mieli. Powinna była o tym pamiętać. Oczywiście Jonathan też musiał być dobrze urodzony i zamożny, skoro się tam pojawiał.

Usiłowała odegnąć od siebie smutek, jaki ją znów ogarnął na myśl o tym.

Cóż za głupota, tak reagować. Prawie go przecież nie znała. Poczucie bliskości, zrodzone dzięki mieszkaniu w tym samym domu, szybko przeminie. Ekscytacja nie będzie tak żywa, tak radosna. W świecie, do którego wkraczał, gdy wychodził z tego domu, obowiązywały ściśle określone reguły. Człowiek w jego sytuacji prawdopodobnie zważa nieustannie na każdy swój uczynek, na każdy uśmiech, mając na względzie owe reguły.

Znów wróciła myślami do wydawanych przez matkę przyjęć. Pojawiali się na nich różni mężczyźni, niektórzy z nich stale. Spróbowała przypomnieć sobie ich twarze. Którzy mogli tam bywać od lat? Czy jej ojciec był wśród nich? Może go spotkała podczas któregoś z tych przyjęć?

Wracając z ogrodu do domu, usiłowała wyłowić coś konkretnego z tych wspomnień. Gdy zbliżała się do drzwi ogrodowych, dostrzegła cień przy ławce. Podeszła bliżej. Na ławce siedział pan Albrighton.

- Jest zbyt chłodno, by przesiadywać w ciemnym ogrodzie - zauważyła, przywitawszy go.

- Jest zbyt chłodno, żeby po nim chodzić ciemną nocą.

- Dopiero teraz pewnie pan wrócił? - Spojrzała na okna poddasza. - One

już na pewno śpią, więc niech się pan nie obawia hałasu, którego mogłyby

narobić, podekscytowane przewodzą do nowego domu. To ich pierwsza noc tutaj.

- Wróciłem już jakiś czas temu. Minęła mnie pani, wychodząc, zatopiona we własnych myślach, nie chciałem więc pani przeszkadzać.

Usiadła przy nim na ławce i otuliła się płaszczem.

- Nie pochłaniały mnie one bez reszty. Często spacerowałam nocą w ogrodzie tam, gdzie przedtem żyłam. Tamtejszy ogród był dużo większy, jak zwykle na wsi, mimo że leży ona niedaleko od Londynu.

Hodowałyśmy tam kwiaty i rośliny na sprzedaż. Posiadłość należy do Daphne, mojej przyjaciółki, ale wszystkie pomagałyśmy jej w miarę sił i umiejętności.

- Czy tam właśnie mieszkała pani po porzuceniu domu matki? Skinęła potakująco głową.

- A potem, przez ostatnie dwa lata, dołączyła do nas Verity. Także Audrianna, dziś żona lorda Sebastiana Summerhaysa, mieszkała z nami przed zamążpójściem. Jeśli dziwi pana, dlaczego żona hrabiego składa mi wizyty, niech to wystarczy za wyjaśnienie.

Zacząła mu nagle opowiadać o cieplarni, ogrodzie Daphne i osobliwej rodzinie, jaką tam wszystkie stworzyły.

- A teraz wszystkie stamtąd odeszłyście. Dwie wyszły za męż... A pani? Zaśmiała się, słysząc, że zawiesił na moment głos.

- Nie mrugnął pan nawet okiem, kiedy przyprowadziłam dziś do domu Marian i jej przyjaciółkę, ale musi pan się zastanawiać, po co. Pewnie zaczął pan żywić najgorsze przypuszczenia. Proszę się nie martwić. Nie

będzie pan mieszkał nad burdelem.

- Wcale się nie martwię.

Co nie znaczyło, że nie brał pod uwagę takiej ewentualności.

- Będę partnerką Daphne. Wszystkie te półki są przeznaczone na kwiaty.

Powiedziała mu, jakie ma plany. Słuchał jej z wielką uwagą.

Przyjemnie jej się z nim rozmawiało. Bez skrępowania. Przedstawiła mu

wszystkie plany co do tego domu i zwierzyła się, że pragnie sama

decydować o własnym życiu.

- Kiedy zamieszkałam u Daphne, byłam bardzo młoda. Teraz jestem

dorośła, nadszedł więc czas, żeby stamtąd odejść. Myślę, że ona to

rozumie, nawet jeśli wolałaby, żebym z nią została.

- Dobrze uczyniła, przygarniając panią. Zapewne ujrzała w pani urocze

dziecko, ale mimo wszystko tylko dziecko potrzebujące pomocy.

- Właśnie tak pan o mnie wtedy myślał? Jak o dziecku?

- Tak. Niewinnym, pięknym dziecku. Dziewczynie zbyt dziecinnej jak na

to, co zamierzała z pani zrobić matka.

- W wieku siedemnastu lat byłam jednak dojrzałsza niż wiele młodych

kobiet uprawiających tę profesję. Podobno jest to również odpowiedni dla

dziewczyny wiek do zamążpójścia.

- Wiele dziewcząt, które zostają wtedy matkami lub kochankami, jest

zbyt dziecinnych. Inne nie są. To nie jest kwestia wieku.

Zarumieniła się. Wiedziała, dlaczego to powiedział.

- Pamięta pan, że płakałam tamtego dnia. Płakałam dlatego, że spotkało

mnie rozczarowanie, a nie dlatego, że byłam zbyt dziecinna.

Wpadła prosto na niego, uciekając od Anthony'ego. Pan Albrighton wychodził chyba od jej matki. Z oczami pełnymi łez, nie prawie nie widząc, biegła przed siebie i zakręciło się jej w głowie od biegu.

Zdążył ją schwycić, nim upadła, posadził na schodach i spytał, dlaczego płacze. A ona powiedziała jemu, obcemu, który mimo to w jakiś niepojęty sposób skłonił ją do zwierzeń. Wyznała mu wtedy wszystko, a on przyglądał się jej uważnie tymi swoimi oczami o niezwykłej głębi. Nie udawał teraz, że nigdy się coś podobnego nie zdarzyło ani że nie pamięta owego incydentu.

- Można zrozumieć powód tego rozczarowania, niezależnie od pani wieku, panno Pennifold.

- Matka przez cały rok pouczała mnie, żebym nie miała złudzeń, i skarciła surowo za to, że zapomniałam o najważniejszej z jej nauk.

- Gdyby pani wówczas niczego nie czuła, znaczyłoby to, że jest pani bezduszna. Istnieje ogromna różnica między bezdusnością a oglądem świata oczami dziecka.

- Czy widzi pan wciąż we mnie to dziecko? Odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz.

- Bynajmniej. Widzę piękną i godną pożądania kobietę, która samotnie przechadza się po ciemnym ogrodzie. W świetle księżyca wyłania się pani z mroku nocy niczym biały kwiat. Widać panią wyraźnie w nocy nawet wśród krzewów.

- Patrzył pan na mnie przez cały czas, siedząc tutaj? Dlaczego?

- Pani wie dlaczego.

Istotnie, wiedziała, a to, że sam o tym powiedział, nadało ich intymnej rozmowie nowy wymiar. Znow pojawiło się to ekscytujące zmysłowe napięcie, podniecające i zarazem niemające prawa się pojawić.

- Być może pan żałuje, że nie mam w planach prowadzenia innego interesu - zażartowała, chcąc lekką złośliwością rozproszyć nagle powstały nastrój, pulsujący zapowiedzią uwodzenia. Wciąż też się zastanawiała, czy pan Albrighton sprawdza, być może, jak daleko się ona posunie w akceptacji swojego dziedzictwa, podobnie jak sprawdzał owej pierwszej nocy.

- Może i żałuję.

No właśnie. Nie mogłaby twierdzić, że nie została ostrzeżona. Chociaż teraz, gdy zwierzyła mu się tak szczerze i gdy okazał jej tyle serdeczności, nie wydawało się to mieć większego znaczenia. Emanował urokiem, jak się wyraziła Verity, tak nieodpartym, że się już dłużej nie chciała nad tym zastanawiać.

Znow zwrócił ku niej głowę i ujrzała, że jego uśmiech nabrał teraz innego wyrazu - takiego, od którego przechodził ją całą niezwykły dreszczyk.

Delektowała się i tym dreszczem, i wszystkimi innymi subtelnymi przejawami reakcji jej ciała na płynącą od niego potężną siłę.

Z ulgą przekonała się, że tej potężnej siły nie zniszczyły wypadki ostatniego dnia. Pod względem pozycji społecznej mogła dzielić ich przepaść, ale ta siła zdawała się teraz ją pokonywać i łączyć ich dwoje.

Jego ręce drgnęły i niepewnie wyciągnęły się ku niej. Dotknął jej policzka

ciepłą, suchą dłonią. Zaparło jej dech, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo ten rzeczywisty kontakt zintensyfikował tamto doznanie łączącej ich niewidzialnej siły.

„Zawsze każ im się prosić. Nigdy nie pozwól im na pewność, że cię zdobyli. Zwłaszcza przy pierwszym pocałunku”.

Zignorowała nauki matki. Poczwała, że on ją zaraz pocałuje, i nie kazała mu się prosić, bo nie chciała, żeby padły jakiegokolwiek słowa.

Dotknął ustami jej warg. Serce w niej wykonało gwałtowny skok, a wszystkie oznaki podniecenia zlały się w jeden potężny nurt. „Czerp przyjemność z tego, co czuje twoje ciało. Delektuj się tym. Nie stawiaj oporu, niech to będzie pełna błogości gra, a nie przykry obowiązek”. Nie stawiała oporu, przed niczym się nie uchylała, jeśli tego właśnie pragnęła. Nie musiała się koncentrować na odczuwaniu rozkoszy, bo rozkosz ją wprost zalewała.

Pocałunek był długi. Dłuższy niż musiał być, jak na całusa skradzionego w ogrodzie. Potem poczuła dotknięcie. Ta dłoń na jej policzku prowadziła ją i subtelnie kontrolowała. Obecność tego mężczyzny, mroczna, głęboka, nieznana, przepełniała ją i okalała, żądała też odzewu.

Wiedziała o tym. Wiedziała, że on nie posunie się dalej, mimo że jej ciało stało się nagle niezwykle wrażliwe i oczekiwało na kolejne doznania.

Mimo że ją hipnotyzował, wiedziała, że ten pocałunek nie był impulsywny i przypadkowy. Był wykalkulowanym pierwszym krokiem. Tylko pierwszym krokiem - i może też ostatnim.

Nie zaskoczyło jej to, do czego doszło, i to, do czego nie doszło.

Pocałunek skończył się, tak jak się zaczął, powoli, uwodzicielsko i bez słów. Dłoń wciąż jednak dotykała jej twarzy, a on wciąż patrzył jej w oczy.

Cieszyło ją, że nic nie mówił i że oszczędził jej słów przeprosin, które mężczyźni zwykle mówią przyzwoitym kobietom, jakby to miało jakieś znaczenie. Ulżyło jej, bo nie udawał, że uważa ją za inną niż w istocie była, ale także nie zachował się tak, jakby ten pocałunek przypieczętował jej potępienie.

Odszedł i zostawił ją tam, siedzącą w tym samym ogrodzie, gdzie siedział również i on. Starła się jak najdłużej zatrzymać w sobie to odczucie szczęścia i ciepła, patrząc na ciemne krzewy i zastanawiając się, czy światło księżyca rzeczywiście wydobywa jej postać z mroku nocy.

Jonathan obudził się w złym humorze. Ten jeden pocałunek nękał go jeszcze długo w nocy.

Słyszał, jak Celia w końcu wróciła z ogrodu i weszła do domu tylnymi schodami. Nadśluchiwał każdego jej kroku, choć całe jego ciało pragnęło, by przyszła pod jego drzwi. Wiedział, że tego nie zrobi, ale nie powstrzymało go to od zaciskania szczęk jeszcze długo po tym, jak kroki Celi skierowały się ku jej sypialni.

Był to, jak uznał o samym świecie, najbardziej nierozważny pocałunek w całym jego życiu. Tylko że Celia zauroczyła go bez reszty, gdy w mroku ogrodu mówiła mu o miejscu, gdzie wcześniej żyła, i o swoich planach, by sprzedawać kwiaty hodowane przez Daphne.

Podziwiał jej próby stworzenia sobie w tym domu własnego świata i

uzyskania dochodów, które zapewniłyby jej niezależność. Dobrze o niej świadczyło, że szczerze cieszyła się z tych planów. On zaś w rezultacie stracił rozum i pocałował ją, bo po prostu tego pragnął. A także potrzebował.

Podbiła go świeżością i radosną satysfakcją z tego zwyczajnego pocałunku. Nie pamiętał, by kiedykolwiek całował kobietę tak wyzuta z poczucia winy, z rozterek, lęku, oczekiwań i żalu. Wątpił, by i ona przez pół nocy nie spała, rozmyślając, czy postąpiła mądrze. Miał pewność, że gdyby nawet tak było, nie doszłaby do wniosku, że popełniła błąd. Nie myślała w ten sposób. Nie była wychowywana w taki sposób jak inne kobiety.

Znalazł ciepłą wodę pod drzwiami, kiedy je otworzył. Choć nie była wystarczająco gorąca, to jednak lepsza od dźwiganej przez niego zimnej wody ze studni. Ciekaw był, czy to oznacza, że Celia wreszcie pogodziła się z jego obecnością w domu.

Sięgając po wiaderko, spojrział ku drzwiom po drugiej stronie korytarza. Miały potężny zamek. Bił się z myślami, czy go nie otworzyć wytrychem. Nieobecność Celi pozwoliła mu przeszukać pokoje na dole. Nie znalazł tam żadnych papierów, rachunków ani niczego innego, co by wskazywało, że Alessandra sporządziła wykaz swoich kochanków.

Jednak ów pokój na poddaszu zapewne służył jako składzik. Nie wykona należycie misji, póki się nie przekona, co w nim jest.

Klucz do tego pokoju miała Celia. Nie sądził, by zbyt dokładnie przeglądała jego zawartość, ale pewnie przynajmniej raz go otworzyła,

żeby zobaczyć, co kryje jego wnętrze. Pewnie któregoś dnia będzie chciała znów tam wejść, może ze swymi dwiema nowymi służącymi, żeby go wysprzątać. Stanowczo powinien się nim wcześniej zająć on sam.

Ruda Marian wyrzała zza drzwi swego pokoju na drugim końcu korytarza. W ręku trzymała mokrą szmatę.

- Woda już teraz trochę wystygła. Czy wstaje pan zwykle o tej porze?

Niełatwo utrafić z ogrzaniem wody lokatorowi, jak się nie zna jego nawyków.

A więc wody nie przyniosła mu Celia. Oczywiście, że nie. W końcu to był tylko jeden pocałunek.

- Wstałem jakiś czas temu. Nie spodziewałem się, że ktoś mi przyniesie wodę.

Przywykł już do tego, że sam szedł do studni o dziesiątej, żeby nie przeszkadzać rano Celii.

- Czy o ósmej będzie w sam raz? Bo ja to wstaję o świcie. Nie nawykłam do takiego jasnego pokoju jak ten tutaj. - Podeszła do niego. - Bella i ja zmienimy panu później pościel. Prześcielimy łóżko, jeśli pan sobie życzy, a można je też wystawić przed drzwi, gdyby pan nie chciał, żebyśmy wchodziły do środka. Nam tam wszystko jedno.

- Można wejść, jeśli pani chce, tylko proszę nie ruszać stołu i nawet go nie odkurzać. Mogłoby mi się coś zgubić, gdyby zostało przełożone gdzie indziej.

Przyjrzała się mu, a potem zajrzała do pokoju. Na stole naprzeciw okna

piętrzył się stos książek i papierów.

- A, to pan jest z tych, co zawsze są pilni w nauce?

- Bardziej jestem jej ciekaw niż pilny. Obejrzała krytycznie i jego, i pokój.

- Nie ma pan służącego? Kto by pomyślał.

- Często wyruszam w podróż. Służący by mi ją opóźniał.

Żaden służący nie zgodziłby się nigdy na warunki podczas niektórych z tych podróży podejmowanych przez ostatnie osiem lat. Służący mają swoje wymagania.

- Spodziewam się, że wynajmie pan jakiegoś na czas tych wyjazdów -

odparła Marian. - A Bella i ja możemy się o pana troszczyć tutaj, jeśli pan chce. Opierunek i tak dalej. Służący byłby lepszy, rzecz jasna, bo my nie możemy pomagać przy kąpeli czy goleniu, ale za parę pensów możemy pracować i prasować te ładne pańskie koszule.

- Lepsze to niż żebym musiał nosić je gdzie indziej. Uzgodnili w końcu wszystko co do prania i innych usług, a gdy skończyli, pod domem nagle dał się słyszeć zgiełk.

Marian zawiesiła mokrą szmatę na klamce zamkniętego pokoju i wytarła rękę w fartuch.

- Pewnie przywieźli kwiaty. Zaraz zobaczę, czy pannie Pennifold nie trzeba pomóc.

Rośliny, wszędzie rośliny! Celia spojrzała ku tylnej bawialni, uradowana, że jej plany się urzeczywistniają.

Cały podest tylnych schodów zapełniały donice z drzewkami. Palma

wysoka jak Celia znalazła się przy wejściu. Verity, w bardzo twarzowym szkarłatnym stroju, harmonizującym z jej ciemnymi włosami i jasną cerą, przyjmowała doniczki z rąk Marian i starała się wybrać dla nich odpowiednie miejsce na półkach przy oknach.

Daphne stała pośrodku pokoju, z otwartym rejestrem w ręce. Przyjechała razem z pierwszą partią towaru, chcąc mieć pewność, że wszystko pójdzie dobrze. Wysoka, smukła i śnieżnolica, pilnowała odpowiedniego ustawiania roślin, notując coś jednocześnie w rejestrze.

Rozległ się stukot buciorów. Robotnik wnosił właśnie do środka drzewko cytrynowe w potężnej donicy, uginając się pod jego ciężarem.

- Musimy wyładować je natychmiast - uznała Daphne. - Jakże ty stąd wyniesiesz to drzewko, Celio?

- Mówiłaś, że Robertsonowie chcą je otrzymać w przyszłym tygodniu, a nie w tym. Będzie mi potrzebna pomoc, Daphne. Nie zdołam udźwignąć go sama.

Mężczyzna otrzepał dłonie.

- To już ostatnie, pani Joyes. Jeszcze tylko kwiaty.

- Proszę je zanieść do frontowego pokoju - powiedziała Celia. - Jest tam na tyle chłodno, żeby wytrzymały jeden dzień. Kiedy zrobi się cieplej, możemy je przenieść do zimnej spiżarni koło kuchni.

Mężczyzna, szurając nogami, poszedł po kwiaty.

Celia zawróciła, żeby rozstawić doniczki na świeżo zainstalowanych półkach, przez cały czas nie spuszczać z oka Daphne. Jak na złość transport z Najrzadszych Kwiatów przyjechał akurat wtedy, gdy Jonathan

był w domu.

Verity spojrzała porozumiewawczo na nią, potem na sufit, i uniosła brwi.

Celia kiwnęła przecząco głową. Nie, jeszcze nie mówiła z Daphne o tym, że ma lokatora. Może zrobiłaby to teraz, gdyby Jonathan pozostał w swoim pokoju przez jakąś godzinę, co czasami się zdarzało. Bywało, że nie wychodził z niego wcale. Może...

Ale na schodach rozległy się kroki. Nie będzie żadnego „może”.

Verity nagle zaczęła bardzo głośno mówić i kręcić się po pokoju, a Marian niezwykle donośnym głosem pytała, co podać na obiad. Niestety, mimo rozgwaru kroki wybijały rytm równy i głośny niczym uderzenia bębna.

Wśród całego rozgardiaszu tylko Daphne zachowała milczenie, niczym jakaś wysepka ciszy. Przeniosła wzrok z rejestru na drzwi i, zaniepokojona, spojrzała na schody.

Ukazał się na nich Jonathan w stroju do konnej jazdy. Wyglądał wręcz zabójczo przystojnie. Daphne najpierw długo mierzyła go spojrzeniem, a potem utkwiała wzrok w Celi.

- Chyba zatarasowałyśmy wyjście tymi drzewkami, panie Albri-ghton - odezwała się Celia.

- Żadnego nie wywrócę, obiecuję - odparł i zrobił zgodnie z obietnicą kilka ostrożnych kroków, po czym dość szybko wyłonił się zza donic.

Celia poprosiła, żeby do nich dołączył. Wszedł, pozdrowił uprzejmie Verity i rozejrzał się po ich „wewnętrznym ogrodzie” oraz roślinach ustawionych na półkach.

- Daphne, to pan Albrighton, mój lokator. Panie Albrighton, to moja przyjaciółka, pani Joyes.

- To jeden z przyjaciół Hawkeswella - wtrąciła szybko Verity. - Co za niezwykle zbieg okoliczności! Mój mąż jest bardzo dobrego zdania o panu.

- Dziękuję, madame. Czuję się zaszczycony.

Daphne uśmiechnęła się łaskawie, ale Celi to nie zmyliło. Widziała, że przyjaciółka taksuje Jonathana spojrzeniem od stóp do głów i że budzi on w niej pewne podejrzenia, niezależnie od tego, czy przyjaźni się z nim jakiś tam hrabia.

- Lokator, Celio? Okazałaś się bardzo przedsiębiorcza.

- Niestety, odziedziczyła mnie razem z tym domem - wyjaśnił Jonathan.

- No i wolał pan w nim pozostać, jak widzę. Przeprowadzka jest kłopotliwa, prawda? Choć wynajął pan sobie dosyć dziwne lokum jak na mężczyznę pańskiego pokroju. Położone na uboczu i niezbyt eleganckie.

Czy wygodne mieszkanie w Albany nie odpowiadałoby panu bardziej?

- Nie tak często bywam w Londynie, żeby mieć własne mieszkanie i żeby to mnie skłaniało do wyboru lepszego adresu. Ta okolica mi odpowiada, dziękuję jednak za okazane mi zainteresowanie.

- Spokój, odosobnienie i anonimowość odpowiadają panu?

- Podobnie jak wielu innym osobom, pani Joyes. Obojętne, czy chodzi o Bedford Square, czy o małą posiadłość w Middlesex, istnieje wiele powodów, by niektórzy z nas woleli wycofać się na jakiś czas ze świata.

Daphne spojrzała na niego ostro, a jej bladą twarz pokrył lekki rumieniec.

Zaskoczył ją tym frontalnym atakiem. Celia nigdy przedtem nie widziała, by Daphne się rumieniła.

- Oczywiście mam na myśli pannę Pennifold - dodał. - Łączy nas właśnie to pragnienie usunięcia się w zacisze.

Daphne odzyskała panowanie nad sobą.

- Najwyraźniej łączy was również ten dom.

Celia pomyślała, że oboje z Daphne zaczną się zaraz kłócić. Verity najwyraźniej uważała tak samo.

- Pani troska jest godna podziwu - powiedział łagodnie Jonathan. - Panna Pennifold przyzwyczała się jednak do mojej obecności. Skoro chce ją pani przed nią chronić, proszę wziąć pod uwagę, że przy mnie jest bardzo bezpieczna i nie musi się martwić, że coś lub ktoś jej zagrozi, jak wielu żyjącym samotnie kobietom.

Po czym uklonił się, pożegnał i znikł na ogrodowej ścieżce. Daphne śledziła jego odejście spod przymrużonych powiek.

Wreszcie odwróciła się od okna i znów otworzyła swój rejestr.

- Nie dziwię się już, Celio, że nie chciałaś dłużej mieszkać na wsi.

- Nie przeniosłam się tutaj z jego powodu, jeśli to masz na myśli.

Naprawdę go odziedziczyłam! Byłam całkowicie zaskoczona, że on tu mieszka, a jego obecność przeszkadza mi nieznośnie.

- Nie wątpię, że była to dla ciebie niespodzianka. - Daphne się uśmiechnęła. - Naprawdę. - To nieślubny syn ostatniego hrabiego

Thornridge'a - pospieszyła z wyjaśnieniem Verity.

- Verity, skoro pokochałaś hrabiowskiego syna, wydaje ci się, że są oni wszyscy ludźmi pełnymi zalet charakteru. Niestety, z moich doświadczeń wynika, że hrabiowski tytuł niekoniecznie jest gwarancją, iż noszący go człowiek jest przyzwoitym ojcem i godnym szacunku synem. Jeśli jednak Celia uważa go za porządnego człowieka i sądzi, że mając tu Marian oraz Bellę, jest bezpieczna, to najważniejsze.

- Jestem bezpieczna. A choć bywa uciążliwy, jednak nie jest natrętny, czego się obawiałam. Zresztą prawie nigdy go tu nie ma.

- Bardzo to stosowne.

- Sporządził te półki - wtrąciła Verity, próbując znów wstawić się za nim.

- Pewnie dlatego tyle w nich gwoździ. Wygląda na człowieka, który chce wszystko umacniać.

- Już mam dość tego mówienia o nim - oznajmiła Celia. - Dziś zaczynamy nasze partnerstwo, Daphne, a to dużo bardziej interesujące. Verity, chyba mogłybyśmy przenieść te wysokie rośliny trochę niżej.

Daphne patrzyła, jak Celia i Verity przestawiają rośliny, zastanawiając się nad jak najodpowiedniejszym ułożeniem każdej z nich. Celia przez cały czas czuła jednak jej wzrok na sobie.

- Czy on próbował z tobą flirtować, Celio? - spytała Daphne pół godziny później.

- Flirtować? Kto?

- Jakbyś nie wiedziała, o kim mówię.

- Och, masz na myśli pana Albrightona? Skądże. Nie jestem głupia, Daphne. Dzieckiem też nie jestem.

- To prawda. Nie jesteś głupia ani nie jesteś dzieckiem, tylko młodą kobietą, która zawsze zapatrywała się na życie z niemal bezwzględną uczciwością. Pytałam wyłącznie z ciekawości, nie żeby cię krytykować, osądzać lub choćby dawać dobre rady. Byłam tylko ciekawa, czy ten przystojny mężczyzna z tobą flirtował.

- No cóż, nie robił tego.

Celia nie była pewna, co Daphne rozumie przez flirtowanie, ale uznała, że jeden pocałunek to jeszcze nie flirt.

- W takim razie szkoda - mruknęła Daphne, notując coś w rejestrze. - Bo się spodziewałam, że flirt z nim byłby całkiem przyjemny.

Celia oniemiała. Spojrzała na Verity i obie spojrzały na Daphne, zdumione. A potem wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem.

Celia wspinała się na poddasze z wielkim kluczem w ręce. Stała na najwyższym podeście.

Drzwi, które chciała otworzyć, znajdowały się naprzeciwko pokoju pana Albrightona. Było to jedyne pomieszczenie w domu, którego zawartości dokładnie nie przejrzała. Teraz, gdy już przywieziono rośliny, a ona wynajęła wóz, by rozwieźć je w następnym tygodniu do domów odbiorców, miała dość czasu, żeby dopełnić i tego obowiązku.

Musiała przyznać, że zaniedbała go nie tylko z braku czasu. I bała się, i zarazem bardzo chciała się przekonać, co tam zachowano, a lękała się także rozczarowania. Może, jak miała nadzieję, pozna teraz tożsamość ojca, a może niczego się nie dowie. Nie zniósłaby tego, zwłaszcza że nie miała pojęcia, w jaki sposób mogłaby poznać prawdę, jeśli rzeczy pozostałe po matce nie wyjawią jej tego.

Pokój pachniał stęchlizną i kurzem, jak zwykle na strychach. Chłodne powietrze, który przenikało przez nieszczelne okienko i dach, nie zdołało rozproszyć tej woni.

Zostawiła drzwi uchylone, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, a potem zaczęła przeglądać złożone tam rzeczy. Było ich dużo więcej, niż się spodziewała, poza kuframi, które dostrzegła poprzednio.

Na podłodze leżał zwinięty dywan. Odchyliła jeden z jego rogów, żeby dojrzeć deseń, i rozpoznała dywan z Aubusson, który niegdyś zdobił prywatny gabinet Alessandry na Orchard Street. Matka była z niego bardzo dumna.

Dwie duże, oprawne akwarele stały za nim, oparte o ścianę. One też kiedyś wisiały w tamtym domu. Obydwie były prezentami od kochanków, frywolnymi dziełami francuskich artystów popularnych w końcu poprzedniego stulecia. Jedna z nich przedstawiała akt kobiety bardzo podobnej do młodej Alessandry.

Okrążyła kilka krzeseł stojących obok, żeby zbadać zawartość największego z trzech kufrów zagracających ciasne wnętrze. Uniosła wieko. Na stosie innych strojów leżał wspaniały, podbity futrem płaszcz. Już po pobieżnym przejrzeniu przekonała się, że kufer zawierał o wiele cenniejszą garderobę niż ta, która została w drugim domu Alessandry. Podeszła do następnego kufra. Było w niej więcej ubrań niż w poprzedniej, ale mniej wytwornych, poza tym sporo drobnych, dekoracyjnych przedmiotów z porcelany i szkła, a także innych osobistych rzeczy, być może mających uczuciowe znaczenie dla kobiety, do której należały.

Trzeci kufer zaskoczył ją najbardziej. Przyjrzała się temu, co w nim leżało, z melancholią i zarazem ze zdumieniem.

Były tam jej rzeczy, garderoba tak starannie wybierana tamtego roku, którą nosiła w parku i w salonie, porządnie poskładana. Wśród niej znalazła też suknie nigdy przez nią nie noszone, zamówione u krawcowych na debiut młodej kobiety w bardzo szczególnym towarzystwie.

Przypomniała sobie, jak uważnie przyglądała się rycinom w żurnalach mód i wybierała tkaniny u kupców bławatnych. Wyciągnęła suknię, która

niegdyś była jej ulubioną, strój do obiadu. Podczas ostatniej przymiarki wyobrażała sobie, że wystąpi w niej na przyjęciu jako żona Anthony'ego, a wszystkie twarze wokół niej, prócz jego twarzy, zleją się w bezkształtną plamę.

Jakiś szmer wyrwał ją z tych wspomnień. Spojrzała ku drzwiom. Stał tam pan Albrighton, z dłonią na klamce.

Wszedł do środka, a jego wzrok szybko prześliznął się po tym, co w nim stało.

- A więc to jest składzik? Myślałem, że chce pani wynająć ten pokój innemu lokatorowi lub umieścić tu kolejnych służących.

Złożyła suknię, gładząc powierzchnię atłasu końcami palców.

- Był już najwyższy czas, żebym zobaczyła, co się znajduje za tymi drzwiami. Spodziewałam się jednego kufra lub dwóch, ale nigdy nie sądziłam, że znajdę tutaj to wszystko - odparła, wskazując na oddalony kąt, którego nie było widać, kiedy tu przelotnie zajrzała.

Jonathan stanął przy niej i spojrzał na suknię. Widziała, jak przygląda się uważnie atłasowi, który gładziła.

- To są moje rzeczy - powiedziała, choć nie musiała tego wyjaśniać. - Nie było ich w tamtym domu, sądziłam więc, że matka je sprzedała lub oddała komuś.

- Co za niezwykły płowy kolor. Niczym sierść najjaśniejszej łani. Określił go precyzyjniej i lepiej, niż by ona sama zdołała.

- To jedna ze skromniejszych sukni, w której można pokazać się publicznie.

- A czy są jakieś inne?

- O, tak. Nie miałam przecież zostać panną młodą. Wiedziałam o tym, a jednak ciągle łudziłam się, że może będzie inaczej. Jak pan zresztą wie.

Łagodny uśmiech przypomniawszy jej tamto okrutne rozczarowanie.

Spojrzała w jego głęboko osadzone oczy. Zatonęła w nich na długą chwilę.

- O, na przykład ta. - Odwróciła od niego wzrok, wyciągnęła z kufra jedwabną suknię w kolorze różowego geranium i rozłożyła ją.

- Śmiały kolor, ale elegancki i nie ma w nim nic skandalizującego. A jednak... - Celia uniosła suknię tak, że widać było teraz jej dekolt. - Góra jest z samej koronki. Tylko głupiec mógłby nie odgadnąć, jaka przyszłość czeka właścicielkę takiej sukni, której matka kupiła coś takiego. Jak pan myśli?

- Myślę, że myli się pani, uważając koronkę za coś niestosownego, niezależnie od tego, jakie życie wiodłaby właścicielka tego stroju. Nie wszyscy mężowie traktują swoje żony jak spłonione rumieńcem wstydu dozgonne dziewice.

Zaśmiała się i odłożyła suknię.

- Może więc dam ją Verity albo Audriannie. Mam powody sądzić, że żaden z ich mężów nie byłby nią zaszokowany.

- Hawkeswell i Summerhays? Zapewniam panią, że ani jeden, ani drugi.

Podniosła się z klęczek, żeby zajrzeć głębiej do kufra.

- Każdej dam po jednej. Na pewno znajdzie się tu druga, podobna.

Pan Albrighton przyklęknął na jednym kolanie obok niej i wyciągnął

ręce, tak żeby mogła kłaść luksusowe tkaniny na nich, a nie na podłodze.

Spiętrzyły się w stos sięgający aż pod jego brodę, nim znalazła perłowoszarą suknię, której szukała. Wstrząsnęła nią lekko, chcąc się przyjrzeć bardzo wyciętemu dekoltoowi i bardzo przezroczystemu stanikowi.

- W tej byłoby, jak sądzę, do twarzy Verity - powiedziała. - Nie uważa pan?

- Wolałbym sobie nie wyobrażać lady Hawkeswell w tym stroju. To niestosowne.

- Mógłby pan przynajmniej przyznać, że w tym kolorze byłoby jej do twarzy.

- Ja uważam, że nadawałaby się bardziej dla pani. Spojrzała na niego i zobaczyła w jego oczach siebie samą w tej sukni, na tle jedwabnych poduszek i zasłon, a także wysokiego, tajemniczego bruneta, podziwiającego stworzoną przez nią erotyczną scenerię.

Twarz zaczęła ją piec, zresztą nie tylko twarz. Skupiła się na tym, żeby dokładnie złożyć suknię. Znow pojawiło się między nimi pełne wyczekiwania napięcie.

Sięgała już po stos ubrań złożonych na jego rękach, gdy coś jeszcze w kufrze zwróciło jej uwagę. Pod pelisą z szaroniebieskiej wełny odkryła tekę leżącą na samym dnie. Otworzyła ją.

- To jej malunki i rysunki - powiedziała. - Jaka gruba! Pewnie zawiera wszystkie prace przez nią wykonane.

Nachylił się nad Celią zaciekawiony, przez co znaleźli się bliżej siebie.

Tak blisko, że poczuła zapach jego mydła i dostrzegła, jak długie ma rzęsy. Serce zabiło jej mocniej i poczuła, że gotowa się zacząć jąkać niczym uczennica.

Wzięła od niego stos sukien i pospiesznie włożyła je z powrotem do kufra. Spojrzała na resztę rzeczy w pokoju, usiłując nie myśleć o tym, że on nadal klęczy na jednym kolanie, stanowczo zbyt blisko niej. Wyobraziła sobie, jak dotyka jej ponownie, jak ją całuje po raz drugi i...

Co za myśli! A w dodatku jakie głupie. On nie był dla niej ani ona dla niego, a przynajmniej nie w żaden godny szacunku sposób. A jednak jej ciało nie dbało o to za bardzo, myśli zaś nie były zbyt przyzwoite, bo wyraźnie przypominała sobie pewne nauki matki. Niektóre z nich po raz pierwszy w życiu wydały się jej pociągające.

Siliła się, żeby przegnać te skandaliczne obrazy ze swoich myśli.

- Chyba powinnam powiadomić wykonawcę testamentu o tych rzeczach.

Dywan jest bardzo cenny, a w jednej z tych skrzyń znajdują się jej futra.

Wzruszył ramionami.

- Proszę mu posłać ten dywan, skoro miałoby panią nękać poczucie winy.

Co do reszty, to używane stroje, które wyszły już z mody, nie-

wiele są chyba warte. A przynajmniej nie tyle, żeby to wiele znaczyło.

Zresztą to pani jest właścicielką ubrań z tego kufra, nie wchodzi on zatem w ramy spadku.

- Nie wiem, czemu się tu znalazły. Spodziewałabym się ich raczej w tamtym domu.

- Może matka chciała w ten sposób ocalić to, co - jak uważała - będzie miało największą wartość dla pani. Skoro wykonawca testamentu nie wiedział, że mieszkała tu od czasu do czasu, nigdy by nie myślał o zinwentaryzowaniu zawartości tego domu.

Czy mogło to być prawdą? Czy Alessandra świadomie chciała jej coś przekazać prócz wątpliwej reputacji i bardzo szczególnej edukacji?

- Sądzę, że muszę zrobić własny inwentarz, ale jest tutaj na to zbyt zimno.

Przeniosę te kufry do mojego pokoju i posortuję wszystko w dogodniejszej chwili.

Pan Albrighton wstał i opuścił wieko kufra.

- Proszę pozwolić, żebym ja to zrobił. Byłyby dla pani za ciężkie, nawet przy pomocy Marian.

Zszedł za nią do jej pokoju i postawił tam kufer.

- Chyba będzie pani je przeglądać po jednym? Gdyby tu postawić wszystkie trzy kufry naraz, miałyby pani za mało miejsca dla siebie w tym pokoju i nie mogłaby zrobić kroku.

Uznała, że miał sporo racji. Sypialnia nie była duża, a kufry całkiem spore.

- Rzeczywiście, tak będzie najlepiej. Dziękuję panu.

Inwentaryzował wzrokiem również zawartość jej pokoju. Podczas jego ostatniej bytności było tu zbyt ciemno, by wiele mógł zobaczyć. Uderzyło ją, że przed nim żaden mężczyzna nie przebywał jeszcze w jej sypialni, nawet gdy była dzieckiem. Ten zaś wszedł, tak męski i tak przystojny, a jego wejście nadało pokojowi jakiś intymny urok.

- Nie spodziewałem się tego po pani matce - rzekł, przyglądając się białym muślinowym zasłonom w oknach i przy łóżku.

- Może pan myślał, że powinny być z czerwonego ałtasu? - spytała ironicznie. Głos się jej przy tym nie załamał, choć strach ją ogarniał na myśl, że mógłby zabrzmieć piskliwie.

- Nie, ale oczekiwałem czegoś bardziej miejskiego, a mniej wiejskiego. Ujęła w palce skromną tkaninę.

- Prostota tych zasłon uspokaja mnie częściowo dlatego, że nie świadczą o jakimś szczególnym guście. Są też bardziej praktyczne, niż by się wydawało. Można je prać tak jak męską koszulę.

Wzrok Jonathana prześliznął się po zasłonach okiennych, a potem po tych przy łóżku. Wreszcie zatrzymał się na niej. Ściany pokoju zdawały się wręcz chwiać, tak zdominowała go jego obecność.

- Sądzi pani, panno Pennifold, że ten pokój nic nie mówi o jego obecnych lokatorach? A ja uważam, że sporo powiada o mieszkającej w nim kobiecie.

Nie miała pewności, czy prawi jej komplement, czy też nie, choć patrzył na nią tak, jakby komplementował.

Stali tam dłużej, niż musieli, a między nimi z kolei stał kufer pełny pozostałości po spędzonym przez nią razem z matką roku. Może zresztą nie trwało to wcale długo? Może zdawało się jej tylko, że tak jest, gdyby sądzić po przyspieszonym biciu serca?

- Zdecydował się pan już pocałować mnie po raz drugi? - spytała.

- A czy pani chce, żebym to zrobił?

- Oczywiście, że nie.

- Oczywiście? Czy wmówiła sobie pani, że to nie było bardzo przyjemne?

A już myślałem, że jest pani jedną z rzadkich kobiet, które nie kłamią pod tym względem.

Stał tam razem z nią. Pospiesznie zaprzeczyła, co było głupie, zważywszy, jak bardzo ten pocałunek ją oczarował. Nie mogło to umknąć jego uwagi.

- Miałam na myśli tylko to, że nie zachęcam do kolejnego. Zaśmiał się z cicha, rozbawiony tym, że straciła głowę.

- A więc być może sprawił on pani przyjemność, lecz nie chce pani, żebym to zrobił po raz drugi?

- Tak... nie... nie mam pewności - przyznała. - Choć chciałabym. To był miły pocałunek.

- W takim razie nie zrobię tego po raz drugi, póki pani tej pewności nie nabierze.

Wzruszyła ramionami i zapragnęła wyglądać jak osoba doświadczona, a nie jak głupia pensjonarka, którą się teraz poczuła.

- To był tylko jeden pocałunek. Drugi nie znaczyłby dużo więcej, nawet gdybym nie miała tej pewności.

Wyciągnął rękę i dotknął dłonią jej policzka, jak wtedy w ogrodzie.

Przesunął kciukiem po jej wargach, a po całym jej ciele rozeszło się mrowienie. Pożądał jej. Poznała to po zeszywniałych rysach jego twarzy i również ona poczuła w sobie nieznane dotąd podniecenie.

Jeszcze jeden pocałunek. Teraz. On chciał...

- Nie będzie kolejnego pocałunku, Celio, bo nie skończyłoby się na jednym. Proszę nie udawać, że pani o tym nie wie.

A potem wyszedł. Pokój nie stał się jednak z powrotem taki jak przedtem.

Tak jakby pozostawił w nim woń, która długo nie chciała się rozwiać, jakby meble i ściany wchłonęły coś z jego energii i potem nią długo promieniowały, przypominając jej, że ma nabrać całkowitej pewności.

Spojrzała na zasłony, proste i świeże. Co mu o niej mówiły? O jej dziewictwie? Te nieprzejrzyste, białe zasłony, podobne do jego biletów wizytowych?

Może ujrzał w nich jedynie symbol kobiety wciąż jeszcze niezdecydowanej, jakie barwy i desenie ma nadać własnemu życiu.

Celia nie opuściła domu przez następne dwa dni. Jonathan był tego pewien, ponieważ i on go nie opuszczał. Siedział w swoim pokoju, czekając, żeby wezwała kabriolet, by pojechać z wizytą do przyjaciół lub wybrać się gdziekolwiek indziej. I żeby się tak szczęśliwie złożyło, że Marian i Bella poszłyby wtedy na targ, a on zyskał sposobność przeszukania domu bez obawy, że ktoś mu w tym przeszkodzi.

Miał wreszcie czas na przeczytanie dokumentów i gazet, których zebrało się mnóstwo podczas jego nieobecności w Londynie. Wiedział, że robi niemądrze, prenumerując aż tyle czasopism, skoro brakowało mu zwykle okazji, żeby się oddać ich lekturze. Ale we Francji pisma, ciekawe i na swój sposób pouczające, zamieszczały zaledwie drobne notki dotyczące wydarzeń w Anglii i Szkocji, zawsze więc cieszył się, że po powrocie do kraju może zapoznać z dokładniejszymi relacjami.

W sklepie z rycinami, na którego adres przysyłano mu pocztę, z wyraźnym zadowoleniem wydano mu nagromadzony stos pism. Teraz piętrzył się on w jego pokoju, a Jonathan systematycznie się przez niego przekopywał. Większość prenumerowanych przez niego czasopism opisywała eksperymenty chemiczne i procesy zachodzące w przyrodzie, niektóre omawiały nowe gatunki roślin i zwierząt odkryte podczas dalekich podróży, kilka zaś przedstawiało rozwój przemysłu.

Wolał dociekania z dziedziny czystej nauki, ale interesowały go również sposoby ich zastosowania w praktyce. Zawsze pewność przemawiała do niego bardziej niż niejasność, a postęp w rozumieniu praw natury go fascynował. Rzetelność nauki, małe, lecz sprawdzone odkrycia, których prawdziwości można było za każdym razem dowieść, znacząco kontrastowały ze wszystkim innym w świecie, który on znał.

Trzeciego dnia przedzierał się właśnie przez długi, źle napisany traktat. Zwykle czytanie takich elaboratów go nie zniechęcało, teraz jednak myśli jego błądziły wokół Celi ubranej w przejrzystą jedwabną suknię.

Bez trudu ją sobie w niej wyobrażał, ze złotymi włosami zebranymi w gęsty węzeł, który zdawał się błagać o rozluźnienie; widział też miękki połysk jedwabiu podkreślającego jej pastelową urodę. Jedwab opinał jej piersi o stwardniałych brodawkach. Męska ręka - jego ręka - sunęła po nim, a piersi stawały się coraz cięższe, twardsze i wrażliwsze. Tęczówki ciemniały z rozkoszy, lśniły w nich miliony iskierek, a ona...

Donośne dźwięki wyrwały go z marzeń. Usłyszał, jak Marian, stojąc na frontowych schodach, wzywa Celię, żeby natychmiast zeszła na dół i

spojrzała na ulicę.

Dziwne, ale odłożył lekturę i wstał, żeby samemu spojrzeć. Na schodach dały się słyszeć kobiece kroki. Jego pokój wychodził na ogród, wszedł więc do tego naprzeciwko. Kiedy znosił kufer do pokoju Celi, zapomniała zamknąć drzwi na klucz, a on jej o tym nie przypomniał.

Gdyby akurat wyszła z domu, dokończyłby raz dwa swoje zadanie.

Na dole, przed domem, stała wielka kareta, pojazd, którego celem było wywieranie wrażenia. W Londynie rezydowało zimą najwyżej kilkaset rodzin, mających takie powozy. Konie, pięknie dobrana para, parskały i grzebały kopytami, hamowane przez woźnicę w liberii.

Otworzył okno, żeby lepiej widzieć. Lokaj opuścił schodki. Z powozu wysiadł jasnowłosy mężczyzna o germańskim typie urody i nałożył na głowę kapelusz. Nim rondo przesłoniło mu twarz, Jonathan go rozpoznał.

Do Celi przyjechał z wizytą Anthony Dargent.

Celia szybko zdjęła fartuch i przyglądała włosy, po czym siadła na sofie w bawialni od frontu, przybierając wdzięczną pozę.

Weszła Marian z biletem wizytowym. Celia spojrzała jej w oczy.

Dostrzegła w nich troskę, ale też zaciekawienie.

- Wprowadź go, Marian. To stary znajomy.

Kiedy Marian poszła spełnić polecenie, Celia nerwowo rozejrzała się po pokoju. Obicia wyglądały w świetle dziennym na dość wypłowiałe. Nie zauważyła tego przedtem. Umeblowanie było bardzo skromne, w porównaniu z drugim domem Alessandry.

Serce zaczęło jej uderzać mocniej wraz z każdym usłyszonym krokiem.

Pięć lat! Upłynęło sporo lat jej życia, odkąd wybiegła z tamtego salonu ze złamanym sercem i pozbawiona złudzeń.

Anthony stanął na progu. Uspokoiła się na jego widok. Utracił sporo z poprzedniej chłopięcej świeżości. Przez pięć lat wydorósł, co niezwykle mu posłużyło, i wyglądał nawet przystojniej niż przedtem. Również dzięki włosom, które ściemniały, tak że były teraz raczej złote niż żółtawe.

Trudno ją jednak winić, pomyślała sobie, za chęć, by jego uroda choć nieco przybladła, a twarz nie miała wciąż tak regularnych i pięknie wyrzeźbionych rysów.

Powitał ją ukłonem. Zawsze zachowywał się wobec jej matki i niej jak dżentelmen.

A potem nagle ruszył przed siebie i stanął tuż przy niej, ze wzrokiem tak

intensywnie w nią utkwionym, że aż ją przestraszył.

- Celio. - Wymówił jej imię tak, jakby zbyt długo tłumił je w sobie.

Niespodziewanie ujął jej dłoń w obie ręce i ucałował.

Uwolniła się z tego uścisku najdelikatniej, jak mogła.

- Anthony, co za miła niespodzianka. Proszę, siadaj. Zamierzał usiąść tuż koło niej. Dostrzegła to i wskazała mu dłonią fotel w pobliżu. Dostosował się do jej życzenia.

- Jak mnie znalazłeś?

- Domyśliłem się, że musiałaś przyjechać do Londynu, żeby objąć spadek po matce, poszedłem więc do Mappletona, żeby spytać o ciebie. Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy mi powiedział, że zamieszkałaś w tym domu.

Rozejrzał się wokoło, najwyraźniej niezbyt zachwycony tym, co zobaczył.

- Gdzie byłaś przedtem? Pytałem twoją matkę, ale powiedziała tylko tyle, że nie ma cię tutaj. Nigdy mi nie wyjaśniła, czy to znaczy, że wybrałaś się na kontynent, czy też że jesteś gdzie indziej w Anglii albo może i w samym Londynie.

- Nie odjechałam daleko, a nawet czasami odwiedzałam Londyn w ostatnich latach. A ty, Anthony? Czy wiele czasu spędzasz w mieście?

- Moje obowiązki wymagają długich pobytów na wsi. Odziedziczyłem posiadłość.

- No i ożeniłeś się. Czytałam o tym. Przyjmij moje najlepsze życzenia.

Bez wątpienia twoja małżonka to doskonała partia.

Zmienił się na twarzy. Anthony nigdy nie potrafił zbyt dobrze ukrywać myśli ani uczuć. Właśnie dlatego była pewna, że ją kochał. Cóż innego mogła oznaczać ta bolesna, przejmująca, widoczna na jego twarzy tęsknota?

Poczerwieniał i znów nabrał chłopięcego wyglądu.

- Owszem, to znakomita partia, pod każdym względem. Tylko że... - poczerwieniał jeszcze mocniej - nigdy nie przestałem o tobie myśleć, Celio. Czasami w nocy wspominałem, jak śpiewałaś, kiedy Stratton tamtego wieczoru po raz pierwszy wprowadził mnie do salonu twojej matki. Porównywałem urodę wszystkich kobiet z twoją i zawsze każdej czegoś brakowało. Przez całe pięć lat nadal mnie urzekałaś, choć nie było cię w moim życiu.

Była to piękna przemowa, zwłaszcza jak na Anthony'ego, niezbyt znanego z elokwencji. Celia uznała, że podobna perora brzmiałaby bardzo ładnie jako wstęp do oświadczeń.

Tylko że Anthony nie mógł się już nikomu oświadczyć.

- Bardzo mi pochlebiasz. - Upewniła się, że jej uśmiech jest miły, ale czysto grzecznościowy. - Za bardzo jednak, jeśli urzekła cię wcześniej godna szacunku kobieta, która jest twoją żoną.

- To nie to samo. Szanuję ją i jestem do niej przywiązany, ale ona... nie jest taka jak ty.

- Po pięciu latach nieprawdopodobieństwem jest, byś wiedział, jaka jestem, Anthony. Jeśli jednak miło mnie wspominasz, nie ma w tym nic złego. Możemy sobie na to pozwolić, nieważne, jakie są teraz twoje zobowiązania.

Nachylił się ku niej, by zmniejszyć dystans między nimi, który narzucił mu wskazany przez nią fotel.

- A ty, Celio? Czy także miło mnie wspominasz?

Miała trochę takich wspomnień, ukrytych głęboko, zbyt gorzkich, by je rozpamiętywać po tym, co później nastąpiło. Teraz powróciły, gdy spojrzał na nią z takim przejęciem. Ale to te wspomnienia ją wzruszyły, nie jego spojrzenie. Oczy Anthony'ego, niegdyś takie jej bliskie, wydawały się jej dziś oczami obcego człowieka.

Zrozumiała nagle, że istotnie jest jej obcy. Pięć lat okazało się długim okresem w życiu obojga. Żadne z nich nie było już tą samą osobą, co niegdyś. A już na pewno ona nie była tamtym dzieckiem.

- Wspomnienia te trochę się zatarły, bo dotyczą zamkniętego rozdziału w moim życiu. Miło mi jednak, że mnie odszukałeś i odwiedziłeś w Londynie. Zawsze jest dobrze mieć przyjaciół w mieście, żeby móc się do nich zwrócić w razie kłopotów.

Uśmiechnął się wyrozumiale i uprzejmie. Tak samo uśmiechał się wtedy, gdy jej wyjaśniał, jak bardzo się pomyliła w ocenie jego intencji.

- Nie odszukałem cię tylko po to, by złożyć ci wizytę po twoim powrocie do Londynu, Celio. Chyba o tym wiesz. Inne kobiety, które miały inne matki, mogą udawać cnotliwe, ale to nie w twoim stylu.

Nagle poczuła, że przeszkadza jej zbytnia jego bliskość. Wstała i cofnęła się nieco. On również unosił się już z fotela.

- Nie, zostań tam, gdzie siedzisz - odparta. - Przestrzegajmy etykiety.

Lepiej nie ruszaj się z tego fotela. Wspomniałeś o mojej matce i zrobiłeś

też aluzję do mnie. Wiesz jednak, że opuściłam jej dom i odrzuciłam jej plany co do mnie. Co ci kazało sądzić, że zmieniłam swoje nastawienie do nich i udaję teraz cnotliwą?

Uśmiechnął się i ostentacyjnie rozejrzał po pokoju.

- Bo to nie jest miejsce dla ciebie. Powinnaś mieszkać w May-fair, nie tutaj. Powinnaś też mieć porządny powóz i zaprzęg, a nie kabriolet, którym sama powozisz. Powinnaś chodzić w jedwabiach, a nie w wełnianych sukienkach. Nie jesteś już młodą dziewczyną. Z pewnością teraz rozumiesz, że małżeństwa zawiera się z przyczyn ekonomicznych. Miłość wymaga innych układów.

O mało się nie roześmiała, lecz zdołała stłumić ironię.

- Twoja opinia o luksusie, na jaki zasługuję, doprawdy mnie zachwyca. A zdanie, jakie masz o miłości, tak samo. Czy sądzisz, że ostatnie pięć lat spędziłam, usychając z tęsknoty za tobą? - Uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Trafnie jednak zauważyłeś, że muszę się pogodzić z regułami tego świata. Nie mam do ciebie pretensji o to, co się zdarzyło. To, czego pragnęłam od ciebie i, jak sądziłam, czego pragnąłeś również ty, było naiwne. Jeśli chcesz miłości, będziesz zapewne musiał sobie poszukać jakiegoś pełnego nadziei dziecka.

Nie przyjął tego dobrze. Zresztą żaden mężczyzna by nie przyjął. Matka ostrzegła ją, że wielu mężczyzn, na przykład tego rodzaju co on, uważa, iż wyrządzają wielką łaskę kobietom jej pokroju, jeśli okazują im zainteresowanie.

Spuścił oczy i spytał z irytacją:

- Zbyt długo czekałem, żebym się dał łatwo zniechęcić.

- Nie powinienesz być wcale czekać.

- Nie miałem wyboru, musiałem. Przecież ty uciekłaś. I to po tym, kiedy zapłaciłem twojej matce należność za koszty twojego utrzymania przez pierwsze dwa lata! Pozbawiła mnie i ciebie, i pieniędzy, aż w końcu zrozumiałem, że nigdy nie dostanę ich z powrotem. Co do ciebie jednak...

- Dałeś jej pieniądze, a ona ich nie zwróciła ci po mojej ucieczce?!

Poczuła się tak, jakby dostała w twarz. Jej opanowanie pod wpływem szoku prysło jak bańka mydlana.

- Powiedziała, że jest pewna twojego powrotu. „Chodzi tylko o krótką zwłokę, nic więcej”. Tak się wyraziła.

Anthony spojrzał na nią z całą szczerością.

Poczuła gwałtowny skurcz żołądka. Och, Boże! Czy znajdzie książkę rachunków domowych matki, czy nie, na jej majątku zaciążył jeszcze jeden dług. Nic dziwnego, że przybył tu z taką śmiałością, demonstrując swoje prawa do niej niczym do nowo nabytego kapelusza, i bez większych ceregieli dał do zrozumienia, czego się spodziewa.

Znów rozejrzał się krytycznie po pokoju.

- Po trzech miesiącach będziesz miała dość tego domu i sąsiedztwa.

Urodziłaś się do czegoś lepszego. Zajmę się tobą, Celio. Niczego ci nie zabraknie. Urządzi się wszystko tak, jak powinno było być od dnia twoich narodzin.

Dał tylko jawnie wyraz temu, co sądziła większość ludzi. Poczuła, że twarz zaczyna ją piec, bo czasami myślała podobnie i ona sama.

- Urodziłam się jak wszyscy inni, Anthony. Naga i niewinna. Córka

ladacznicy nie ma piętna ani na ciele, ani na duszy. Nie dziedziczy się

nierzędu jak koloru włosów.

- A czy nadal jesteś niewinna, Celio? Kiedy po raz ostatni rozmawiałem z

Alessandrą, wierzyła, że nią pozostałaś.

- Co takiego? Pytałeś ją o... - Rozprawiali oboje o niej, od początku do

końca, jak o przedmiocie, który można kupić! - Jak śmiałeś wypytywać

ją, żeby się upewnić, czy ktoś już nie korzystał z twojego opłaconego

towaru, całkiem jakbym była... Nie, tego już nie wytrzymam. Muszę

zażądać, żebyś stąd wyszedł.

- Wysłuchaj mnie najpierw we własnym interesie.

- Nie masz prawa uważać, że wiesz, co jest w moim interesie!

- Niemądrze robisz, ubliżając mi. Twoja niewinność została mi dana w

zastaw dawno temu, trudno się więc dziwić, że ciekaw jestem, czy

przetrwiała. Przypisuję twoje postępowanie zaskoczeniu, że znów mnie

ujrzałaś. Może byłem trochę niecierpliwy, ale po pięciu latach należy mi

to chyba wybaczyć.

Zdumiało ją jego poczucie, że ma do niej prawo.

- Nalegam, żebyś natychmiast wyszedł.

Wstał, lecz wcale nie zamierzał wychodzić. Ku jej przerażeniu nadal

zbliżał się do niej, aż przyparł ją do ściany. A potem poczuła, że ujął jej

twarz w ręce i zamierza ją pocałować. Uchyliła się najdalej, jak mogła, i

jego usta trafiły na policzek.

- Przestań, Anthony! Zostaw mnie, żądam tego! - krzyknęła. Jego uścisk

przybrał na sile. Chciał przemocą zwrócić jej twarz

ku sobie.

- Ta dama mówiła, żebyś stąd wyszedł, Dargent. Jeśli jesteś dżentelmenem, z pewnością nie zechcesz jej nadal denerwować i zrobisz to, czego sobie życzy.

Poczuła, że jest wolna, a Anthony cofnął się o kilka kroków. Celia spojrzała w kierunku, skąd niespodziewanie rozległ się ten głos.

Pan Albrighton stał przy drzwiach, ubrany od stóp do głów na czarno prócz nieskazitelnie białego halsztuka i koszuli. Anthony spoglądał na niego w napięciu, poczerwieniały z gniewu i oburzenia, nie wiadomo, z którego powodu bardziej.

Ton głosu pana Albrightona był spokojny, ale Celia zdała sobie sprawę, jak bardzo jego obecność zmieniła atmosferę panującą w bawialni.

Anthony sprawiał wrażenie kogoś, komu grożą, choć nie padły żadne słowa groźby.

- To pan Jonathan Albrighton - powiedziała - a to...

- Wiem, kim on jest - wycedził Anthony. - Co pan tu robi?

- Jestem przyjacielem rodziny i przyszedłem do panny Penni-fold, żeby jej złożyć kondolencje po śmierci matki. - Jonathan, jakby przypadkiem, znalazł się tuż przy Anthonym. - Proszę mi pozwolić, żebym pana odprowadził, Dargent.

Zirytowany, ale przyparty do muru, Anthony podszedł do drzwi. Spojrzał na nią z wściekłością, a potem na Jonathana.

- Przyjaciel rodziny! No pewnie, skoro obydwójecie jesteście tej samej

maści!

Jonathan towarzyszył Dargentowi do samych drzwi karety. Z trudem powstrzymał się od wepchnięcia go do środka własnoręcznie. Upewnił się, że powóz odjechał, nim wrócił do domu.

Celia nadal była w bawialni. Stała przy oknie i obserwowała odjazd Anthony'ego. Jonathan przez chwilę się nie odzywał.

Chciał wyczytać z jej twarzy żal, a może nawet rozpacz, po mężczyźnie z jej przeszłości. Wyglądała jak zawsze, ale w jej oczach błyszczały łzy i płynęły też po policzkach.

Nie patrzyła na niego. Milczała. Wycierała łzy ręką, ale zaraz pojawiała się jeszcze więcej nowych łez. Wzruszył go ten bezgłośny płacz.

- Dziękuję panu za uratowanie mnie po raz drugi - powiedziała powoli głosem nabrzmiałym uczuciem. - Byłoby doszło do żenującej sceny.

A zapewne też do sceny niebezpiecznej.

- Miał szczęście, że nie podkusiło mnie, by go nauczyć lepszego zachowania.

- Nie uwierzyłby, że winien mi jest lepsze zachowanie. Jeśli zachowuje się uprzejmie względem takich jak ja, to z łaski, a nie dlatego, że tak wypada. Teraz już to wiem, ale przed laty nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Takich jak ja. Pożałował szczerze, że nie rąbnął tego łajdaka.

- Wybacz pani za wiele. To pyszałkowaty dureń i zawsze nim był.

Znowu wytarła oczy i odetchnęła głęboko.

- Wyglądał, jakby się pana bał.

- Wiedział, że zachował się podle i zasługiwał na solidne rąbniecie pięścią. Zaskoczony w podobnej sytuacji, bałby się każdego innego mężczyzny.

Odwróciła się w końcu ku niemu. Ujrzał w jej wzroku konsternację, świadczącą, że wizyta zraniła ją do głębi.

- Mówi pan jak niedoświadczony chłopak, panie Albrighton. Obydwoje wiemy, że przyjechał tu, by mi zaproponować pospolity w podobnych przypadkach układ. Takie pertraktacje są zazwyczaj szczerze i brutalne, a nawet nie wykluczają fizycznego kontaktu, a namowy mają kobietę skusić. Podejrzewam, że pokusy wielu kobietom potrafią zawrócić w głowie.

- I pani też?

Zmarszczył czoło, kiedy nie odpowiedziała od razu, że nie. Sama myśl, że mogłaby odejść z Dargentem, doprowadzała go do furii.

- Luksus kusi mnie jak większość kobiet - odparła w końcu. - No i uczono mnie, że miłość fizyczna wiele ułatwia. W domu Alessandry Northrope cnotliwość nie była cenioną cnotą.

Zaśmiała się z cicha, rozbawiona grą słów, ale też trochę smutna.

Jej śmiech zabrzmiał jak muzyka. Zimne światło dnia stało się złociste, gdy iskierki błysnęły w jej oczach. Okazała się silniejsza od Dargenta, a jego upokarzające zakusy doznały klęski. Jonathan widział jednak, że pod tą wesołością kryją się ból i zażenowanie. Powinien był teraz odejść.

Zamiast tego przeszedł przez pokój, wziął ją w ramiona i mocno pocałował.

Gdy ją całował, zalała go jasność, niezwykła, świetlista i prawie bolesna.

W tej chwili pragnął Celi tak mocno, że musiał zacisnąć zęby, żeby nie dać się ponieść impulsowi.

Wyraz jej twarzy zdumiał go. Zniknął z niej wszelki smutek, cała promieniała, a oczy mówiły o podnieceniu tak silnym, że wręcz zwiśla mu w ramionach. Pocałował ją znowu, wiedząc, że akurat teraz nie powinien tego robić. Trwało to za długo i było zbyt błogie, by mu nie odebrało rozumu. Nie wiedział, w jaki sposób powrócił mu zdrowy rozsądek, ale oparł się jej chętnym ustom i przerwał pocałunek.

Gdy chciał wypuścić ją z objęć, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Wiem, co pan myśli - powiedziała, a jej oddech musnął mu szyję. - Ze ryzykuje pan znieważenie mnie czynem w sposób gorszy niż on słowami.

Ale to nie to samo.

- Bardziej to samo, niż pani sądzi. Pożądanie jest pożądaniem, nieważne, czy obiekt pożądania jest molestowany, czy nie.

Zaśmiała się cicho, melodyjnie, jak przedtem, ale w tym śmiechu nie było już smutku. Twarz jej znajdowała się ledwie parę centymetrów od jego twarzy, nosami niemal się stykali. Otoczył ją ramionami, bo nie dojrzał żadnego sprzeciwu w błękitnych oczach, które spoglądały na niego tak szczerze.

- To coś całkowicie odmiennego - rzekła. - Przez niego poczułam się głupia, jakbym zasługiwała na jego zniewagi. A pan sprawia, że czuję się pełna życia. W cudowny sposób.

Z rozbawieniem przesunęła końcem palca po brzegu jego warg. Potem

zręcznym paluszkiem dotknęła lekko jego podbródka i koniuszka ucha.

Nauczyła ją tego matka. Łatwo mu przyszło zapomnieć, czego ją uczono i dlatego Dargent tu dzisiaj przybył, ale ten błahy gest przypominał mu o tym aż za dobitnie.

Dobrze jej było w jego ramionach. Czuła się ciepła, miękka i bardzo kobieca. Inny mężczyzna byłby rad z tego sam na sam i miałby nadzieję, że ona zapomni przy nim o niedawnej wizycie. Gdy jednak uniosła ku niemu usta, zapraszając go do kolejnego pocałunku, wiedział, że takim mężczyzną nie jest.

Znów wzbudziła się w nim namiętność. W niej także. Przywarła do niego, rozchylając usta, żeby mógł w nie wniknąć, zachęcała do większego zapału i agresji. Ręce jej zacisnęły się kurczowo na jego barkach, potem na ramionach. Przyciągała go do siebie i lgnęła do niego całym ciałem. Czas stanął w miejscu, zniknęło otoczenie, a oni poszybowali gdzieś wysoko wśród pocałunków i gorących oddechów.

Musiał się w nią wczuć, poznać ją. Objął ją jednym ramieniem, a drugą ręką gładził cudownie wciętą kibić i pełne biodra. Potem pieścił perfekcyjnie krągłe piersi, a ona cicho jęczała z rozkoszy.

Cały rozgorączkowany, zapragnął, żeby zatraciła się w tym wszystkim jak on. Pragnął tego aż do bólu, silniej niż za młodu. Dawał jej rozkosz i zarazem brał, balansując na granicy braku wszelkiej litości.

Przesunął znów dłonią po jej piersiach, żeby odczuła tę pieśczołę mocniej. Potarł ich twardniejące czubki. Przymknęła oczy i rozchyliła usta.

- Gdyby zdołał sprawić, że czułabym coś podobnego, to pewnie

okłamałabym samą siebie co do reszty - wyszeptała.

Jej wzmianka o Dargencie sprawiła, że oprzytomniał. Nie całkiem
wprawdzie, ale wystarczająco.

- A jeśli w tym nie ma żadnych kłamstw?

- Ludzie zawsze wymyślają rozmaite opowiadki na temat rozkoszy.

Opowiadki o małżeństwie, o miłości albo ostatecznie o kupnie i
sprzedaży.

- Nie zawsze... Niekiedy jest tylko to. Nic więcej.

- Tak jak teraz?

Tak jak teraz. Tylko że i teraz wchodziła w grę opowiadka, a on nie mógł
udawać, że jest inaczej. Łącząca się z wizytą Dargenta.

Zaprzestał pieszczot i objął ją mocno. Spróbowała go pocałować, ale nie
pozwolił na to.

- Proszę mi wybaczyć, Celio. Wykorzystałem pani przygnębienie. Puścił
ją i się cofnął. Jej uśmiech, rumieniec i rozradowanie sprawiły, że omal
jej nie pochwyił w objęcia po raz drugi.

- Jeżeli pewnego pięknego dnia dojdzie pani do wniosku, iż cnota nie jest
cnotą, to mam nadzieję, że dowiem się o tym pierwszy.

I odszedł od niej, nim jej oczy zdążyły go nakłonić do zmiany zdania.

- A jeśli ten szubrawiec pokaże się tu jeszcze raz lub w jakikolwiek
sposób znów pani ubliży, muszę o tym wiedzieć.

Celia rozejrzała się po pokoju wypełnionym niedawno roślinami.

Nieliczne pozostałe wydawały się zagubione na półkach. Transportu kolejnych spodziewała się wkrótce, ale teraz nie było tu już dla niej prawie nic do zrobienia.

Po trzech dniach wytężonej pracy nie bardzo miała się czym zająć. Poszła do biblioteki, żeby napisać do Daphne, jak się rozeszła pierwsza partia. Powinna była też zapewnić ją, że pan Drummond, którego wzięła do pomocy, okazał się bardzo sympatycznym i zasługującym na zaufanie pracownikiem.

Cisza w domu wydała się jej zaskakująca, gdy pisała list, ważąc słowa.

Pan Drummond doniósł jej, że Jonathan zszedł na dół, gdy ona na zewnątrz układała rośliny w wozie tak, by jak najbezpieczniej przetrwały krótką podróż. A więc opuścił jej dom. Była z tego raczej zadowolona.

Przynajmniej nie będzie zmuszona szukać pretekstów, by go dziś unikać.

Może powinna napisać list i do niego?

Drogi panie Albrighton,

dziękuję panu za wczorajszą pomoc. Z pewnością zrozumie pan, że nie byłam całkiem przytomna po wizycie pana Dargenta. Wiem, że jako człowiek światowy nie będzie pan przywiązywał większej wagi do kilku pocałunków, które z panem wymieniłam w chwili krańcowego przygnębienia, fest mi to w zasadzie obojętne, lecz utrudniło obecną sytuację w moim domu. Z pewnością nie będzie się już pan czuł w nim dobrze. Nie zdziwi mnie więc, jeśli zechce pan go opuścić i poszukać sobie innego mieszkania.

Poczyniłam nawet pewne kroki, by panu w tym

pomóc. Proszę przeczytać ogłoszenia w gazecie, którą załączam do listu,

a to, które zakreśliłam, mówi o apartamentach do wynajęcia.

Ułożyła ten list z niejakim zadowoleniem, mimo że wcale go nie napisała.

Podobał się jej wytworny ton, tak różny od jej zachowania i odczuć, kiedy

widziała Jonathana po raz ostatni.

Gdy minął wstrząs spowodowany wizytą Anthony'ego, coraz mocniej

zaczęła odczuwać upokorzenie z powodu tego, co Jonathan usłyszał i

zobaczył, a także z powodu swego zachowania względem samego

Jonathana. Ciągle ją to nękało.

Nękało ją również wspomnienie tego, jak niewybaczalnie się zachowała,

gdy wrócił po wyrzuceniu Anthony'ego z domu. Skręcała się w duchu ze

wstydu, przygnębiona i przerażona. Musiała się odwołać do wszystkich

nauk Alessandry, by uspokoić się i oprzytomnieć.

Czy on to dostrzegł? Czy dlatego wziął ją w objęcia? Czy miał zamiar ją

pocieszyć, czy tylko pozwolił sobie wykorzystać jej rozzalenie?

Co on musiał o niej myśleć, skoro sobie pozwolił na taką śmiałość i w

dotąd zachęcał ją do śmiałości, chociaż dał wyraz swemu oburzeniu z

powodu awansów czynionych jej przez Anthony'ego?

„To tylko to”. Tak mówił o namiętności! Jeszcze jedna zagadka więcej,

jakby i tak nie był kimś zagadkowym.

Może tak jest u mężczyzn. Kobietom jednak wmawia się różne fantazje

dotyczące zmysłowości, jeśli któraś nie jest na tyle odważna, by tworzyć

własne. A w przypadku Jonathana Albrightona nie mogło być mowy o

żadnych fantazjach, miała co do tego niewzruszoną pewność. Nigdy by tego nie robiła względem człowieka o jego pozycji, a on nigdy by nie robił tego względem niej, obojętne, jaką drogę obrałaby w życiu.

Wstała nagle i poszła do bawialni na tyłach domu. Zdjęła z kołka szarą pelisę, włożyła ją i zapięła energicznymi ruchami.

Skończyła na razie z roślinami. Nie chciała dłużej kryć się przed Jonathanem, obojętne, co myślał, ani przed nikim innym. Nie pozwoli też, by kiedykolwiek jeszcze dała się komuś tak upokorzyć, jak Anthony'emu podczas jego wizyty.

Chciała skorzystać z pięknej pogody i przejść się po parku. Jeśli ktoś ją zauważy i zacznie wytykać palcami lub szeptać, że to córka tej osławionej Northrope, zignoruje go z podniesioną wysoko głową, jak robiła zawsze.

W Hyde Parku nie było zbyt tłoczno, ale sporo osób przychodziło tam koło południa, żeby cieszyć się słońcem i lekkim wietrzykiem. Celia znalazła miejsce, gdzie mogła uwiązać konia i zostawić kabriolet, a potem zaczęła wysiadać z powoziku.

Czyjaś obciążnięta rękawiczką dłoń sięgnęła po wodze.

- Niech mi pani pozwoli sobie pomóc, jeśli łaska.

Mężczyzna, do którego te dłonie należały, szybko sobie poradził z przywiązaniem konia, a potem podał jej rękę, pomagając wysiąść.

Okazał się uprzejmy i życzliwy wobec kobiety bez lokaja i bez przyzwoitki. Celia wiedziała jednak, że nie zrobił tego jedynie z dobrego serca. Gdy stanęła na ziemi, ujrzała zainteresowanie w jego wzroku.

Czy ją rozpoznał? Może i nie. Mógł po prostu żywić nadzieję, że była kobietą, która nie będzie w takiej sytuacji zważać na przyzwoitość. Kto wie, co mogłoby wyniknąć z rozmowy, gdyby ją nawiązali.

Często widywała przedtem w męskich oczach to wyczekiwanie. Nawet gdy mieszkała u Daphne. Nawet u mężczyzn, którzy nie mieli pojęcia, kim była jej matka, budziła tego rodzaju zainteresowanie. Daphne zawsze mówiła, że powodem jest po prostu jej uroda, ale dziś Celia czuła się tak, jakby istotnie przysła na świat z piętnem na czole, choć wobec Anthony'ego obstawała, że tak nie jest.

Nie chciała żadnego towarzystwa, a już najmniej takiego. Podziękowała więc temu mężczyźnie i odeszła, żeby cieszyć się spacerem po parku samotnie.

Wkrótce słońce zaczęło przygrzewać silniej i poczuła, że jej nastrój się poprawia. Szła ścieżką wiodącą do stawu. Pierwsze wiosenne kwiaty wypuszczały już zielone kielki z ziemi. Przyglądała się przejeżdżającym powozom i sukniom wedle najnowszej mody na damach z socjety, które parami spacerowały po parku.

Teraz, gdy miała więcej spokoju niż w ostatnich dniach, wróciła myślami do wizyty Anthony'ego. Nie do obelg i fatalnego zakończenia, lecz do tego, co jej mówił i co mogło mieć znaczenie dla jej przyszłości.

Pogrążyła się w tych myślach, gdy jakiś cień przesłonił słońce.

Towarzyszył jej już od pewnego czasu, nim uniosła wzrok, żeby zobaczyć, co jest tego przyczyną.

Wysoki brunet dosiadający dużego siwka patrzył na nią z góry, jadąc

powolnym truchtem obok niej.

- Pan Albrighton? Co za zbieg okoliczności, że się tu spotykamy.

- Niezwykle dziś ładna pogoda jak na tę porę roku. Postanowiłem jej nie zmarnować. Zdaje się, że mamy podobne zdanie.

- Albo istotnie tak jest, albo też pan pojechał za mną.

- Po cóż miałbym to robić? - spytał, zsiadając z konia. Podeszedł do niej z czarującym uśmiechem, prowadząc wierzchowca za wodze.

- Chyba to nie zaprzeczenie, tylko jedna z pańskich słownych sztuczek.

Szła przed siebie, ale on postępował w ślad za nią. Dała mu do zrozumienia ostrym spojrzeniem i głębokim westchnieniem, że nie życzy sobie jego towarzystwa. Nic sobie z tego nie robił.

- Pojechałem za panią - przyznał. - Wiedziałem, że w publicznym miejscu trudniej pani będzie mnie unikać niż we własnym domu. O to pani chodziło, prawda? Żeby mnie unikać?

- Jest pan bardziej zarozumiały, niż sądziłam, jeśli pan tak uważa.

- Co nie znaczy, że to nieprawda. Nie tylko ja stosuję sztuczki.

Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Owszem, chciałam pana unikać. Tamtego dnia straciłam panowanie nad sobą. Pańska obecność mnie teraz krępuje. Prócz tego przyszedłam tu, żeby przemyśleć pewne bardzo dla mnie ważne sprawy, a nie spacerować w pana towarzystwie.

- Czy chce pani powiedzieć, Celio, że żałuje tego wybuchu namiętności?

Jeśli tak, uszanuję to i jeszcze raz przeproszę za wykorzystanie sytuacji.

Westchnęła. Nie chciał jej dać spokoju. Patrzył jednak na nią zbyt

życzliwie i zbyt poważnie jak na tę sprytną replikę. Pomyślała, jak zwykle, że jest przystojnym mężczyzną. Zmysłowa euforia, jakiej z nim doświadczyła, nie przestawała zaprzętać jej myśli przez ostatnie trzy dni mimo całego zażenowania. Zdawała się unosić w powietrzu między nimi, stłumiona, lecz wciąż obecna.

- Wpojono mi, że tylko głupcy żałują tego, co zrobili, więc nie ma mowy o żalu, przyzna pan? Wiem jednak, że już nic między nami nie będzie.

Nie spierał się z nią o to. Oczywiście, że nie. Kontynuowała spacer.

Przecież nie będzie mu tego wyjaśniać ze szczegółami. Och, żebyż sobie poszedł! Może wyniesie się też z domu na dobre. To byłoby najlepsze.

Na tę myśl poczuła w sobie pustkę i posmutniała. Upomniała się w duchu za taką reakcję. Doprawdy, potrafi być czasem bardzo niemądrą dziewczyną.

Przeszła już kilkadziesiąt metrów, gdy ponownie dostrzegła obok siebie jego buty. Koń parsknął w tyle za nimi, kiedy razem spacerowali w słońcu.

- Co zaprzęta pani myśli, jeśli nie ja? - spytał.

- Zastanawiam się nad moją przyszłością i nad tym, jak nieostrożnie poczytałam sobie z innymi ludźmi. Odkryłam istnienie długu, który może zniweczyć wszystkie moje starania. W rezultacie moja niezależność nie potrwa zapewne długo.

- Czyżby pani po kryjomu uprawiała hazard, Celio? Jeśli nie, to nie wierzę, by chodziło o bardzo duży dług.

- Jestem pewna, że to dług zbyt duży, żebym go mogła spłacić.

Dowiedziałam się, że matka była winna Anthony'emu Dargentowi

ogromną sumę pieniędzy. Jeśli mu ich nie zwrócę, z pewnością stracę swój dom.

Celia szła nadal przed siebie, zatopiona w myślach o tym odkrytym niespodziewanie długi. Nie czuła się już skępowana jego obecnością i zaprzestała ostentacyjnych narzekań na nią. Jonathan był jej za to wdzięczny.

„Nic już między nami nie będzie”. Miał całkowitą pewność, że wie, co przez to rozumiała. Nauki matki sprawiły, że świat wydawał się jej bezlitosny. Dałby wiele za to, żeby była kobietą mniej wrażliwą.

Stanęli na skrzyżowaniu alejek. Celia zdecydowała się pójść tam, gdzie było mniej ludzi. Cekał na to, że w mniej uczęszczanym miejscu, bez świadków, będzie skłonna powiedzieć mu szczegółowiej o tym długi.

- Gdy dobiegał końca rok mego pobytu z matką w Londynie, postarała się znaleźć mi pierwszego protektora. Może pan wie? - powiedziała, jakby w odpowiedzi na to, że nie pytał jej o nic.

Wiedział. Wszyscy młodzieńcy z londyńskiej socjety też wiedzieli i wielu z nich, prócz takich jak on, ostrzyło sobie na nią zęby. Edward miał całkowitą rację, gdy mówił, że Alessandra całymi miesiącami prowokowała mężczyzn z socjety w sprawie wylansowania Celi.

Alessandra domyślała się, że tego nie pochwalał, i w odwecie zaczęła mu dokuczać na temat jego skrupułów. Wydawało mu się grzechem wpychanie młodej, niewinnej dziewczyny na taką drogę życiową.

Alessandra wyjaśniała mu - cierpliwie, biorąc pod uwagę to, że mówi z młodym człowiekiem, którego te sprawy wcale nie musiały obchodzić -

że właśnie młodość i niewinność zapewnią Celi triumf.

- Owszem. Wiedziałem o jej zamiarach względem pani.

- Ano cóż, wybrańcem został Anthony. Właśnie wtedy doszło do tamtej okropnej rozmowy w domu matki. Tej, po której opuściłam ten dom.

Oznajmił mi z wielką radością, że doszedł z nią do porozumienia co do mnie. Wtedy zrozumiałam, że wcale nie miał na myśli małżeństwa.

Nie wiedział, że wybrańcem był Dargent. Słowa Celi po wyjściu

Dargenta nabrały teraz sensu. Jednakże...

- Był dostatecznie bogaty, ale spodziewałbym się, że Alessandra wybierze dla pani jakiegoś para lub dziedzica tytułu.

- Wolałaby, ale uważała, że moje zdanie też powinno się liczyć.

Wiedziała, że go kocham, przyjęła więc jego propozycję, bardzo zresztą szczerą.

- Odpowiadało jej, że pani pokochała któregoś z akceptowanych przez nią kandydatów. Przypuszczam, że nigdy by się nie pogodziła z pani wyborem, gdyby zakochała się pani w człowieku bez przyszłości.

- Alessandra przez wiele miesięcy mi wyjaśniała, że ani kochankiem, ani protektorem nie może zostać ktoś bez pieniędzy.

I dlatego, rzecz jasna, niczego między nim a Celią być nie może.

- Kiedy Anthony tu do mnie przyszedł, powiedział, że te negocjacje postępowaly dużo szybciej, niż sobie wyobrażałam, i że zapłacił Alessandrze z góry za pierwsze dwa lata mojego utrzymania.

- Czy zwróciła mu te pieniądze po pani ucieczce?

- Mówił, że nie.

- A więc to jest ten dług, który panią gnębi? Skinęła głową.

- Za bardzo się chyba pospieszyłam z tymi roślinami i sprowadzeniem do domu Marian wraz z Bellą. A teraz albo stracę dom, gdy on zgłosi pretensje do spadku po Alessandrze, albo czeka je inne życie, niż im obiecałam. Nie takie, jakiego się spodziewały.

- Czy jest pani przekonana, że nie ma innego wyjścia prócz spłacenia długu?

Pożałował od razu swego ostrego tonu, ale jej wahanie zdenerwowało go. Nie miał zresztą prawa do wyrażania własnego zdania, niestety. Niemalże słyszał, jak ona rozważa, co ma teraz zrobić, i dochodzi do bardzo rzeczowych wniosków.

Zatrzymała się, urażona.

- Próbuję dokonać wyboru, obojętne, dobrego czy złego.

Do diabła, nie ma mowy, żeby pozwolił jej na powrót do tego durnia.

- Nie wiem, czy pani w pełni zdaje sobie sprawę z dobrych i złych stron tego, co on proponuje. Zabezpieczenie przyszłości, owszem. Luksus, owszem. Lepszy dom i więcej służby, a nawet pewien status w wielkim świecie. Z pewnością matka wyjaśniła pani to wszystko.

- Nie robiła nic innego.

- A czy wyjaśniła też, co się stanie, kiedy po zdjęciu jedwabnych strojów zostanie pani bezwolną nałożnicą mężczyzny?

Spojrzała na niego gniewnie.

- Nie jestem ignorantką. Alessandra nie zaniedbała tej części mojej edukacji. Nauczyła mnie, jak nie tracić wtedy godności.

O mało się nie roześmiał. Rzecz jasna, Alessandra nie rozwodziła się z nadto nad tym, co się może stać, kiedy sprawy przyjmą zły obrót.

- Chciała pani rady, więc proszę mnie wysłuchać teraz, gdy się pani zastanawia nad wyborem. Niektórzy z mężczyzn będą podsycać złudzenia, że ma pani nad nimi kontrolę, ponieważ cieszą się z góry na satysfakcję, jaką im sprawi znęcanie się nad panią. Nie wszyscy dżentelmeni są w tej dziedzinie dżentelmenami. O czym pani zresztą wie.

- Dziękuję za naukę, panie Albrighton.

Odwróciła się i ruszyła w tym samym kierunku, skąd przyszli. Milczała.

Bez trudu mógł ją powstrzymać. Czuł się jednak znużony jej pełnym wrogości milczeniem i powtarzał sobie, że zdobył się na brutalną szczerłość nie ze względu na siebie, ale po to, by ją ostrzec.

Tylko że częściowo uczynił to właśnie ze względu na siebie. Myśl, że ona może stać się łupem Dargenta, i to z własnej woli, budziła w nim chęć zabicia tego człowieka.

Poza tym należało jej uświadomić, że nie jest zobowiązana do spłacenia tego długu. Nim jednak zdążył otworzyć usta, zaczęła się przed nimi rozgrywać spektakularna scenka. Ścieżką szła w ich kierunku kobieta, którą rozpoznał. Wysoka, ciemnowłosa, w zielonym stroju spacerowym - aksamitnej pelisie z obramowaną futrem pelerynką. Towarzyszyła jej druga, skromniej ubrana, zapewne służąca.

Brunetka zatrzymała się nagle na widok jego i Celi. Natychmiast zaczęła wpatrywać się w trawę po drugiej stronie ścieżki, jakby się chciała szybko wycofać. Gdy zdała sobie sprawę, że zejście ze ścieżki wyglądałoby

niemądrze, wyprostowała się sztywno i z kamienną twarzą zaczęła iść ku nim.

Jonathan z niestosowną wręcz satysfakcją śledził, jak zmniejsza się odległość między nimi, i wyraźnie patrzył wprost na nią, mimo desperackich wysiłków damy, żeby uniknąć jego wzroku. W rezultacie spojrzała wprost na niego i na Celię, a potem ostentacyjnie uniosła głowę i przedefilowała obok nich z nosem zadartym wysoko do góry.

Celia zarumieniła się, ale w jej oczach pojawił się jednocześnie lodowaty błysk. Nie odezwała się ani słowem, póki Jonathan nie odprowadził jej do kabrioletu.

- Zastanowię się nad pańskimi radami, nawet jeśli uważam je za niepotrzebną lekcję, jaką można by dać dziecku.

- Nie zamierzałem przemawiać do pani jak do dziecka, lecz jak do kobiety rozważającej przyszłe zyski i straty.

- W takim razie ostentacyjny afront ze strony tej damy przypomni mi, że ponoszę straty, nie otrzymując w zamian żadnych zysków.

Pomógł jej wsiąść do kabrioletu, po czym odwiązał swego konia.

- Ten ostentacyjny afront nie dotyczył wcale pani. Ona zapewne nie ma pojęcia, kim pani jest.

- Czy to znaczy, że potraktowała pana w tak obraźliwy sposób rozmyślnie? Czy pan ją zna?

- Całkiem dobrze. To moja kuzynka.

- Chciałbym się czegoś dowiedzieć, stryju - powiedział Jonathan. - Może to mieć wpływ na moje poszukiwania.

Siedzieli w bibliotece stryja, przed kominkiem, który przypiekał im buty.

Żona Edwarda po obiedzie wycofała się do swoich pokoi, jak zawsze podczas wizyt Jonathana. Nie mogła odmówić żądaniu męża, by go przyjmować w ich domu, ale nigdy nie wychodziła poza ramy sztywnej etykiety, która w jej wypadku istotnie była bardzo sztywna. Dawno już musiała dojść do wniosku, że lepiej być w łaskach u Thorn-ridge'a niż u własnego męża.

Jonathan nie dbał o to zanadto. Te bardzo prywatne obiady znaczyły dla niego dużo mniej niż prowadzone po nich rozmowy. Z trudem można było dostrzec u Edwarda familijną serdeczność, za którą Jonathan tak tęsknił jako chłopiec, ale cóż - stryj taki był.

- O co chodzi? - spytał Edward, sięgając po butelkę, by nalać sobie portwajnu.

- O Anthony'ego Dargenta. Co ci o nim wiadomo?

Edward wzruszył ramionami.

- Pochodzi z dobrej rodziny osiadłej w Midlands. Ma mnóstwo pieniędzy. Jego dziadek dużo więcej zarobił na handlu, niż się do tego przyznawał, i nieźle nabił sobie kabzę. Wełna, bawełna, a może też niewolnicy. Dargent ma chyba dochód rzędu siedmiu tysięcy funtów rocznie.

Więcej niż trzeba, by utrzymać kochankę w wielkim stylu. Alessandra spodziewała się królewskiej zapłaty za Celię, a niewielu młodych ludzi mogło sobie na to pozwolić. „Uważała, że moje zdanie powinno się liczyć”, powiedziała Celia. Jakże wygodnym dla Alessandry, a także zapewniającym przyszłe szczęście dla Celi, jak się jej początkowo

zdawało, wybrankiem okazał się kandydat, którego stać było na spełnienie wymagań Alessandry.

Ciekaw był, czy Alessandra chciała zachować dla siebie tę sumę.

Prawdopodobnie nie, ale kiedy córka uciekła, pieniądze zapewne z czasem się rozeszły.

- Czy nic złego się nie wiąże z jego nazwiskiem?

- O ile wiem, to nic. Jest zacnym, zrównoważonym i względnie nudnym mężczyzną. Poślubił córkę równie zacnego i nudnego człowieka, który z kolei ożenił się z siostrą jakiegoś wicehrabiego. Przypuszczam, że trochę to polepszyło pozycję Dargenta w towarzystwie.

- A jego ojciec? Czy też był zacny i nudny?

- Trochę mniej. - Edward zapalił cygaro i obserwował unoszący się z niego dym. - Ale to nie to, o czym myślisz.

Jonathan o niczym jeszcze nie pomyślał. I wcale zresztą nie zamierzał zdradzać się ze swoimi myślami Edwardowi.

- Jesteś pewien?

- Ten jego ojciec był bardzo bogobojny. Wręcz niezwykle. Pomysł, że mógł w jakiś sposób związać się z Alessandrą Northrope, jest absurdalny.

Jonathanowi wcale nie przyszedł taki pomysł do głowy. Najwyraźniej jednak komuś przyszedł, co stanowiło ciekawy trop.

- Czy robił coś dla rządu podczas wojny? To znaczy ten ojciec.

- Nieoficjalnie. Spędził za młodu trzy lata we Francji, bawiąc się w misjonarza francuskich wieśniaków, którzy niezbyt chętnie go słuchali. W końcu mieli własnych księży. Ale poznał bardzo dobrze

warunki naturalne terenu w niektórych prowincjach. Armia konsultowała się z nim od czasu do czasu. Znasz takie pytania: czy ta rzeka wiosną wylewa? Czy ten szlak na mapie jest na tyle dobrą drogą, żeby mogły tamtędy przejechać działa? - Wzruszył ramionami. - Nić specjalnie ważnego.

Tylko że te pytania mogły mieć znaczenie dla potencjalnych dyslokacji oddziałów. Armia zadawała dwadzieścia pytań, chcąc poznać odpowiedź na jedno, a robiła to w celu ukrycia tych dla niej ważnych. Każdy jednak, komu były znane ruchy wojsk na kontynencie, mógł się zapewne domyślić, które z pytań jest ważne.

Może ojciec Dargenta był zbyt nabożny, żeby się wiązać z panią Northrope, ale jego syn nie troszczył się zapewne tak bardzo o swoją duszę. Może Alessandra miała jakiś inny powód, by połączyć w parę Celię z Dargentem, prócz skłonności ku niemu córki i oczekiwań młodzieńca. Być może zamierzała zrobić z Celi i dodatkową parę oczu i uszu wykorzystującą miłych chłopców, skłonnych do zwierzeń, kiedy im się należycie dogodziło. Mogła nawet zaznajomić Celię z Dargentem, mając właśnie taki cel.

- Widziałem dziś Mirandę - powiedział Jonathan, zmieniając temat, jak to zwykle bywa podczas pogawędek przy kominku.

Rysy Edwarda zeszywniały.

- Tak? Gdzie?

- W parku. Niemalże wpadliśmy na siebie.

- Pozdrowiła cię?

- Jeśli ostentacyjny afront można tak nazwać, to owszem.

- Nie udawaj, że poczułeś się tym zdziwiony czy nawet szczerze urażony.

- Ależ skąd. Tylko że ona rzadko zjawia się w Londynie, jeśli jej brat również tam nie przyjeżdża. Czy Thornridge jest w mieście?

Edward wydmuchnął wielki kłęb dymu z cygara i westchnął głęboko.

- Myślę, że jest.

- Chciałbym, żeby mnie przyjął.

- Nie byłoby to dobre dla nas.

- Dla ciebie?

Edward zaczął się wyraźnie irytować.

- Dla nas obydwu.

- Nie zgadzam się z tobą. Według mnie już dawno powinienem z nim pomówić. Chyba mógłbym go po prostu odwiedzić?

- Nie przyjmie cię.

- Postaram się o pretekst. Powiem, że przychodzę z polecenia

Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i przesłuchuję wszystkich wpły-

wowych ludzi z rządu w sprawie wizyt składanych przez nich podczas

wojny pewnej pięknej damie. Był u niej co najmniej parę razy. Widziałem go tam.

Edward westchnął z rezygnacją.

- Jeśli tak zrobisz i wdrzesz się do niego przemocą, nic nie osiągniesz.

Jeśli będziesz insynuować, że dopuścił się choćby cienia zdrady, zniszczy cię z kretesem.

- Pozwól, żebym sam decydował, na jakie ryzyko mam pójść.

- Ani myślę! Chcesz, żebym i ja nadstawił pierś do ciosu? Jonathan zawsze był ciekaw, czy Edward boi się Thornridge'a.

Od dawna podejrzewał, że stryj posługuje się skwapliwie swoim nieślubnym bratankiem, żeby chronić innego bratanka, którym był hrabia.

Teraz z zalem doszedł do wniosku, że jego domysły były słuszne.

Obojętne, czy ze strachu, czy też z wyrachowania, stryj Edward nigdy zapewne nie powie ani nie zrobi dla Jonathana niczego, co mogłoby rozgniewać Thornridge'a.

No, bo cóż by mu z tego przyszło?

Edward wyglądał na znużonego i zgnębionego. Słaby, pojednawczy uśmiech poprzedził zmianę tematu.

- Gdzie się teraz zatrzymałeś?

- Wynająłem pokój na czas mego pobytu w Londynie.

- To nieznośne, że nie masz prawdziwego domu. A co się stanie, jeśli będę się musiał z tobą szybko porozumieć?

- Po prostu przyślesz mi wiadomość przez posłańca.

Edward wydmuchnął wielki kłęb dymu cygarowego. Jonathan również.

Obydwa dymy zawisły w górze nad nimi, a potem, gnane prądem powietrza, poszybowały w dwóch różnych kierunkach.

Ja tylko powiedziałam, że niezwykle się interesujesz panem

Albrightonem, Celio. Niczego innego nie miałam na myśli - wyjaśniła

Daphne, ale jej uśmiech dawał wiele do myślenia.

- Nie interesuję się nim samym, tylko tą kobietą, która wyrządziła mu taki afront. A zresztą dlaczego nie miałby mnie interesować? Gdyby nawet, choć wcale tak nie jest. W końcu mieszka u mnie na poddaszu.

- Jeśli jest jego kuzynką, może to być lady Chesmont - wtrąciła się Verity.

- To osoba na tyle pyszałkowata, żeby tak postąpić, ale skądinąd raczej miła. Jest trochę nudna i wyszła za wicehrabiego, który niczym się nie wyróżnia poza tytułem.

Verity zajechała po Celię na Wells Street i tym razem nie weszła furtką od strony ogrodu. Przyjechała co prawda wynajętym, anonimowym powozem, ale kazała się zatrzymać przed frontowymi drzwiami.

Rozsiadły się teraz w wychodzącym na ogród saloniku Daphne w

Cumberworth, skąpanym promieniami światła słonecznego, które padało

z okna za sofą. Celia widziała przez to okno oranżerię, a w niej Katherine nachyloną nad kilkoma doniczkami.

Katherine była najnowszą rezydentką Daphne, ale nie pokazywała się,

gdy do Daphne przychodzili goście. Wiedziała, że dawne mieszkanki tego domu lubią powspominać dawniejsze czasy wraz z Daphne.

- Ale wracając do twojego nim zainteresowania, przypominam, że mieszkałam tu, u Daphne, w pokoju obok ciebie, a ty wcale nie interesowałaś się mną za bardzo - dodała Verity.

- Co za bzdury! Oczywiście, że się tobą interesowałam, ale nigdy cię o nic nie pytałam, bo wszystkie zgodziłyśmy się, żeby tego nie robić. Nie mam takich względów wobec pana Albrightona i, jeśli chcesz wiedzieć, jest on wart zainteresowania się nim.

- Jak zresztą każdy przystojny mężczyzna. - Daphne dorzuciła polan do ognia, a potem wróciła na sofę i popatrzyła Celi prosto w oczy.

Celia poczuła, że się rumieni pod tym przenikliwym spojrzeniem.

- Nie z powodu jego powierzchowności, tylko zagadkowości. Przyjaźni się z mężami Verity i Audrianny, jest wykształcony, a Verity powiedziała, że to nieślubny syn jakiegoś hrabiego. Nie wiadomo, skąd się tu wziął, co robił, czy ma jakąś rodzinę. Nie zajmuje się handlem, ale też nie wygląda na zamożnego. Nic dziwnego, że tych tajemnic wydaje mi się za dużo.

- Chętnie będę nadal o nim rozmawiać, jeśli sobie tego życzysz - odparła Daphne - przedtem jednak wspomnę tylko, Verity, że pani Hill upiekła wczoraj nowy rodzaj ciasteczek. Śmietankowo-cytrynowe!

- Brzmi to bardzo apetycznie - przyznała Verity. - Uwielbiam ciasteczka, muszę więc poprosić o przepis.

- Może jednak wrócimy do poprzedniego tematu? - przerwała im energicznie Celia.

Verity wraz z Daphne parsknęły śmiechem, po czym Daphne ujęła Celię za rękę.

- No dobrze, mówmy dalej o przystojnym i zbyt tajemniczym panu Albrightonie, ale chyba nie dowiesz się od nas o nim niczego poza

nazwiskiem jego kuzynki. Tak samo nic o nim nie wiemy, jak i ty.

- Doprawdy? Jestem innego zdania. Widzę, że jedna z nas unika tego tematu jak ognia.

I Celia spojrzała pytająco na tę osobę. Daphne i Verity również.

Owa osoba siedziała w nieco sztywnej pozie tuż przy kominku. Zielone oczy lady Summerhays przypominały teraz oczy dziecka, które przyłapano na kradzieży kostki cukru.

- Czy Celia się nie myli, Audrianno? Wiesz coś ciekawego na temat pana Albrightona? - spytała Verity.

Audrianna przenosiła kolejno wzrok z jednej przyjaciółki na drugą i zarumieniła się jak zwykle ze zdenerwowania.

- Może i tak - mruknęła - ale chyba nie powinnam o tym mówić, Celio.

Pan Albrighton mógłby się poczuć urażony. Sebastian też tak uważa.

- Czy zabronił ci mówić? - Verity ciągnęła wypytywanie.

- Nie zabronił, ale uważał, że lepiej byłoby, żebym nie powtarzała tego, co powiedziała mi jego matka.

- Nie miał racji - uznała z rozbawieniem Celia, nachylając się ku niej. - No i co ona mówiła? Przestań się ze mną przekomarzać i mów!

Audrianna po chwili ustąpiła.

- Za jego edukację płacił hrabia Thornridge. Albrighton powiedział o tym Sebastianowi, kiedy razem studiowali, ale nie zdradził mu nic więcej.

- No cóż, to wszystko wyjaśnia - uznała Celia. - Rodzina wzięła na siebie pewną odpowiedzialność za niego. Uznali, że jego roszczenia nie są bezpodstawne. A jednak kuzynka potraktowała go wyjątkowo

niegrzecznie z całą premedytacją.

- Ostatni hrabia Thornridge zmarł, nim Albrighton przyszedł na świat - wyjaśniła Audrianna. - Ale jego matka była już wtedy brzemienna, ojciec postarał się więc jakoś zabezpieczyć syna. Stąd ta edukacja. Widzicie jednak, że nie brak tu niejasności. Tytuł przeszedł na bratanka hrabiego, który wypiera się pokrewieństwa z Albrightonem.

- Musi to bardzo nękać pana Albrightona - uznała Daphne. - Niełatwo żyć ze świadomością, że na czyjeś skinienie może się odmienić cały twój los. Gdyby jednak został uznany przez rodzinę za nieślubnego syna hrabiego, wiele drzwi stanęłoby przed nim otworem.

Celia zaczęła się nad tym zastanawiać, podczas gdy jej przyjaciółki rozważały, jakie by to mogły być drzwi, gdyby kiedykolwiek doszło do takiego uznania.

Ta informacja wiele wyjaśniała. I nieuprzejme zachowanie kuzynki, i to, że Jonathan wydawał się pozbawiony własnego miejsca w świecie. Brak uznania przez rodzinę musiał go naprawdę boleć. Na pewno tego pragnął, nawet gdyby mu to wcale nie otworzyło żadnych drzwi. Każdy by tego chciał, obojętne, jaka byłaby ta rodzina. Ludzie nie chcą żyć pozbawieni wszelkich więzi rodzinnych, to nie jest sytuacja normalna.

- Może w pewien sposób został uznany i jedne drzwi się otworzyły - powiedziała w zadumie Verity. - Myślę o tym, co się zdarzyło na północy, niedaleko mego dawnego domu. Sprawował tam urząd sędziego pokoju. Nie jest to stanowisko, które by się uzyskiwało przypadkowo, zwłaszcza jeśli chodzi o kogoś nowo przybyłego. Ktoś musiał tu użyć swoich

wpływów.

Rozmowa się urwała. Celi też uzyskanie tego urzędu przez Albrightona wydawało się dziwne. Zwłaszcza że nie pozostawał sędzią pokoju zbyt długo.

- Pewnie dlatego Sebastian uważał, że panu Albrightonowi może się nie podobać, jeśli będę rozpowiadać, co wiem o jego pochodzeniu -

stwierdziła Audrianna. - No i patrzcie, jak szybko rozwikłaliśmy zagadkę! Najwyraźniej zależy mu na tym, żeby nie wnikać za bardzo w jego przeszłość.

- Może damy temu dżentelmenowi spokój i zaczniemy mówić o czym innym? - zaproponowała Daphne. - Audrianno, kiedy odpisałaś, że do nas przyjedziesz, wspomniałaś o jakichś nowinach. Zdradź je nam.

Audrianna zarumieniła się i uśmiechnęła jak mała dziewczynka.

- Mam dobre nowiny. Sebastian i ja oczekujemy pewnego szczęśliwego wydarzenia na początku lata.

Zapanowało wśród nich takie ożywienie, że zupełnie zapomniały o panu Albrightonie, a rozmowa zaczęła się toczyć wokół niemowląt, dobrego zdrowia i przygotowań do rozwiązania. Celia się do niej włączyła, jednak nie mogła przestać myśleć o tym, co usłyszała.

Jonathan nie ukrywał tożsamości swojego ojca. Już przed laty powiedział o tym lordowi Sebastianowi i Hawkeswellowi. Nie rozgłaszał jednak tego faktu. Nie mógł, skoro rodzina mu uznania odmawiała. Musiał to boleśnie odczuć, co zresztą było całkiem zrozumiałe.

Czy poruszał w Londynie jakieś sprężyny, żeby owo uznanie osiągnąć?

Czy wychodził wieczorami właśnie po to, by przekraczać próg któregoś z nielicznych drzwi stojących przed nim otworem, podczas kiedy inne pozostawały zamknięte? Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto pogodziłby się ze swoim położeniem.

O tak, miał wielkie nadzieje, niekoniecznie zresztą takie, jakich się spodziewała. Nie był człowiekiem, który chciałby wkraść się w łaski socjety po to, by zapewnić sobie drobne przywileje z racji pochodzenia, nawet z nieprawego łoża. On będzie do utraty tchu walczył o wszystko, co mu się należy. Miał więcej do zyskania, i więcej też do stracenia, niż przypuszczała.

Nic dziwnego, że nie oponował, gdy powiedziała, że między nimi nic być nie może. W tym momencie żadne z nich nie było odpowiednim partnerem dla drugiego. A jeśli poszłaby w ślady Alessandry, nigdy nie zostałaby jej protektorem, nawet gdyby osiągnął wszystko, co miał nadzieję uzyskać.

Tak, taka była rzeczywistość, dość przygnębiająca. Choć nie rozpamiętywała dłużej tego wszystkiego, śmiechy i plotki przyjaciółek przestały ją obchodzić, stały się czymś odległym, a nawet błahym. I po cóż było spotkać na swej drodze mężczyznę tak atrakcyjnego i zarazem wiedzieć, że nic z tego nie wyniknie.

Dopiero w powozie Verity, którym wracały do Londynu wieczorem, melancholia ustąpiła i Celia przyznała w głębi ducha, że niemądrze zrobiła, zaprzatając sobie głowę pochodzeniem Jonathana.

Inne informacje o nim, zwłaszcza ów epizod z urzędem sędziego pokoju,

miały w istocie dużo większe znaczenie. Pan Albrighton mógł być dla niej znacznie użyteczniejszy, niż przypuszczała. Z pewnością by jej pomógł, gdyby poprosiła go o to we właściwy sposób. Tylko że zapewne nie powinna tego robić.

Z drugiej strony, choć między nimi nic być nie mogło, dyskretny flirt wydawał się rzeczą wybaczalną, gdyby go nawiązała w dobrej sprawie.

List znalazł rankiem koło wiaderka z ciepłą wodą. Zaadresowany czytelnie, kobiecą ręką, był zaproszeniem od Celi. Czy pan Albrighton nie zechciałby zjeść kolacji z panną Pennifold o dziewiątej wieczór?

Zaintrygowany odpisał, że się zgadza.

Wieczorem ubrał się tak, jakby to miała być kolacja na dwadzieścia osób w Mayfair, najbardziej eleganckiej dzielnicy Londynu. Zawiązał halsztuk jak najstaranniej i zastanawiał się, czy ona włoży z tej okazji którąś ze swoich jedwabnych sukien. Oczywiście mogła to być całkiem nieoficjalna kolacja i wtedy Jonathan wypadłby trochę śmiesznie. Zaryzykował jednak, licząc na to, że Celia będzie wiedziała, jak się w takich okolicznościach zachować.

Oczywiście zaprosiła go nie bez ukrytego zamiaru. Chciała od niego czegoś. Wolno mu było domyślać się powodu. Byłoby miło, gdyby doszła do wniosku, że cnotliwość nie jest cnotą, i zapragnęła teraz czegoś więcej niż kradzionych pocałunków.

Zaczął schodzić frontowymi schodami, natrzęsając się w duchu z siebie samego, i zatrzymał się przed drzwiami pokoju Celi. Dolatywały zza nich kobiece szepty. Pod wpływem impulsu zapukał.

Wewnątrz zapanowała cisza. Potem drzwi uchylono i wysunęła zza nich głowę Bella.

- Proszę powiedzieć panie Pennifold, że przyszedłem odprowadzić ją na kolację.

Bella obejrzała się przez ramię. Wkrótce w półotwartych drzwiach

stanęła Celia. Bella wycofała się pospiesznie.

- Ach, jakiż z pana dżentelmen, panie Albrighton! - zawołała Celia. Miała skomplikowaną fryzurę przetykaną wstążkami, a ubrana była właśnie w tę płową, jedwabną suknię z kufra, której się przyglądała, kiedy zastał ją w pokoiku na poddaszu.

Wyglądała olśniewająco. Wytwornie, elegancko, bardzo kobieco, a jej strój mógł mężczyźnie zawrócić w głowie. Stanowczo chciała czegoś od niego.

On również chciał czegoś od niej, lecz bynajmniej nie tego, co ona.

Rozwagał w myśli strategię uwodzenia, tak by pod koniec tego wieczoru obojgu chodziło dokładnie o to samo.

- Bello, mój szal!

Ręce Belli pojawiły się z tyłu za Celią. Trzymała w nich wenecki szal z ciemnobłękitnym deseniem kwiatowym na kremowym tle. Celia nie miała na sobie żadnej biżuterii. Zaczął się zastanawiać, czy gdyby sprzedał wszystko, co ma i zadłużył się na resztę życia, byłoby go stać, żeby ozdobić szafirami tę gładką skórę poniżej jej szyi.

Czekała w milczeniu, stojąc z boku. Oprzytomniał wreszcie i podał jej ramię.

- Gotuje tu Marian, niech się pan więc nie spodziewa francuskich przysmaków - uprzedziła go, gdy schodzili na parter. Ałasowa suknia falowała wokół niej, ocierając się o nogi. Odczuł to dotknięcie wręcz namacalnie na własnej skórze, choć jego strój wcale nie był uszyty z tkaniny gładko ślizgającej się po ciele.

- Jestem pewien, że i tak wszystko będzie lepsze niż moje zwykłe obiady.

- Czy wyżywienie zagwarantowano panu w umowie, a ja tego zaniedbałam? Jeśli tak, to bardzo przepraszam. Nie wiedziałam o tym, skoro nigdy nie widziałam owego dokumentu.

Uniosła znacząco jedną brew.

- Przyniosę ją pani jutro.

Jadalnię przystrojono niektórymi z roślin i kwiatów pozostałych po dostawie z Cumberworth. Świece paliły się tylko w dwóch kandelabrach przy czekających już nakryciach. Celia zadała sobie sporo trudu, żeby stworzyć miły nastrój.

Podawały Bella i Marian w czystych fartuchach, jak dwie stateczne służące. Zupa żółwiowa była zapewne całkiem dobra, ale nie zwrócił na to uwagi. Celia wyglądała w świetle świec przepięknie. Oczy jej wydawały się jeszcze większe i głębsze; zdawało mu się, że mógłby przez nie zajrzeć w głąb jej duszy.

- Słyszałam plotki o panu - powiedziała, kiedy czekali na następne danie.

Nalewał sobie właśnie bardzo dobrego wina, które - jak wyjaśniła - znalazła na poddaszu. Wpatrzył się w czerwony płyn.

- Nie jestem na tyle znaną osobistością, żeby krążyły o mnie plotki - odparł.

- W związku z tamtą damą w parku, pańską kuzynką, która wyrządziła panu afront. Jest siostrą hrabiego Thornridge'a, prawda? Nazywa się lady Chesmont.

Weszła Marian z rybą w apetycznym sosie cytrusowym. Najwyraźniej

zerwano kilka pomarańczy z drzewka, które potem wyekspediowano do Robertsonów.

- Czy rozmawiała pani z Summerhaysem? A może z Hawkeswel-lem? -

Nigdy ich nie prosił, żeby nie rozpowiadali o jego pokrewieństwie z rodziną Thornridge'ów, a jednak zawsze go zaskakiwało, gdy to robili. -

Czy z ich żonami?

- A więc to prawda. Co za okrucieństwo z ich strony, żeby pana nie uznać.

- Przypuszczam, że mają swoje powody. No i nie jest to okrucieństwo. Z pewnością natomiast kłopot.

Twarz Celi złagodniała.

- Ale przynajmniej wtedy, gdy był pan dzieckiem, postąpili okrutnie.

- Być może. Nie pamiętam tego.

Tylko że właśnie pamiętał. Odrzucenie go przez tę rodzinę nie było czymś, co mógłby zapomnieć.

- A więc oni wszyscy o panu wiedzą?

- O, tak. Wiedzą.

Powinien był poprzestać na tym, ale jej błękitne oczy zachęcały do zwierzeń, a wino i jej obecność skłaniały do niedyskrecji.

- Tylko raz było to okrutne. Miałem wtedy dziewięć lat. Dawne dzieje.

- Co się wtedy stało?

Nie odpowiadał. Czekwała, bardzo poważna, bardzo zainteresowana.

- Matka zabrała mnie do Hollycroft, posiadłości Thornridge'ów. Zażądała rozmowy z moim kuzynem, który właśnie zyskał pełnoletność. Nie chciał jej widzieć. Przyjechaliśmy z daleka, nie mogła więc znieść tej odmowy.

Siadła przed jego domem i oznajmiła, że nie ruszy się stamtąd, póki albo się z nią nie rozmówi, albo ona nie umrze. Siedziałem tam razem z nią.

Na twarzy Celi pojawiło się przerażenie.

- Tylko niech mi pan nie mówi, że on jej pozwolił umrzeć z głodu!

- Niezupełnie, choć nie wpłynęło to dobrze na jej zdrowie już i tak wątle.

Siedzieliśmy tam trzy dni i trzy noce. W końcu Thornridge ustąpił.

Spodziewał się przyjazdu gości na przyjęcie i nie życzył sobie żadnych kłopotów.

- A więc spotkał go pan?

- Jeden jedyny raz w moim życiu. Niewiele z tego pamiętam. Był zimny

jak gład. Ona go oskarżała, on jej ubliżał. Wreszcie uzyskała od niego

zgodę na opłacenie mojej edukacji. Przez kilka lat otrzymywałem

niewielką pensję, pod warunkiem że nie będę rościć żadnych pretensji do pokrewieństwa.

Powrócił do jedzenia, dając jej do zrozumienia, że nie będzie o tym mówił

bardziej szczegółowo. Pamiętał jednak więcej z tego spotkania matki i

kuzyna, niż powiedział. Przez całe lata bolesne wspomnienia wracały,

zwłaszcza to, co wtedy mówiła matka, i żądania, z jakimi wystąpiła. Nie,

nie żądania. Groźby.

Celia przyglądała mu się z uwagą, kiedy jadł rybę. Coś ją zaintrygowało.

Zmarszczyła czoło.

- A z czego pan żył, kiedy ta pensja się skończyła? Nie widzę, żeby miał pan jakieś zajęcie.

- Jest pani bardzo dociekliwa. Dlaczego?

- Jestem zadowolona. To wszystko.

- Dlatego że panią pocałowałem?

- Dlatego że mieszka pan w moim domu. No i z powodu tej sprawy na północy, a pan był tam sędzią pokoju. Bo ja sporo o panu wiem.

Zapamiętałam pańskie nazwisko z artykułu w gazecie, który kilka miesięcy temu pokazała mi Verity.

A więc dodała już dwa do dwóch. Udawał, że tego nie zrobiła, i czekał, co będzie dalej. Obserwował zmiany w jej spojrzeniu i wyrazie twarzy, a także sposób, w jaki światła rzucały zmienne refleksy na jej skórę.

- Pomyślałam, że jacyś oficjale mogli panu umożliwić objęcie tego urzędu - wyjaśniła. - Nigdy pan przecież w tej okolicy nie mieszkał, jak mi się zdaje. W takim razie ktoś wpływowy musiałby pana zarekomendować lokalnym władzom. A potem przypomniało mi się, jak pan nagle zniknął i nieoczekiwanie znów się pojawiał w latach wojny, kiedy mieszkałam tam z matką. Mam pewną teorię na ten temat.

Uśmiechnęła się z satysfakcją i posłała mu złośliwe spojrzenie.

- Jeśli tej teorii zawdzięczam zaproszenie na kolację, do której włożyła pani atłasową suknię, jest mało prawdopodobne, bym ją uznał za niesłuszną.

- Nie chce pan jej poznać?

- Niespecjalnie. Myślę jednak, że mi ją pani i tak przedstawi. Nadąsała się uroczo, kiedy odmówił udziału w grze. A potem, jak się spodziewałam, przedstawiła mu ją i tak.

- Myślę, że jest pan jednym z tych ludzi, którzy pracowali dla wywiadu,

podczas wojen z Francją. Co pan na to?

- Ulżyło mi, bo pani teoria przynajmniej nie znudziła mnie z kretesem.

- Myślę też, że wysłano pana na północ, żeby sprawdzić, co się tam

wydarzyło. I że zrobili to ważni ludzie. A teraz czeka pan, żeby go wysłali gdzie indziej w podobnym celu.

- Ma pani żywą wyobraźnię.

- I jeszcze coś. Sądzę, że objął pan to stanowisko, bo ktoś ważny też usłyszał całe lata temu jakieś pogłoski i otworzył przed panem pewne drzwi, podczas gdy inne pozostały zamknięte.

Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na niego wyniośle.

- No, i co pan teraz myśli o mojej wyobraźni?

Marian wniosła dziczyznę w gęstym sosie. Kiedy wyszła, Jonathan dołąił Celi wina.

- Byłem we Francji tylko kilka razy. Większość moich zadań dotyczyła Anglii. Przeważnie jej wybrzeża. Nie myli się pani też co do ostatniego przypuszczenia. Pewien ważny człowiek otworzył przede mną pewne drzwi.

Uniósł kieliszek z winem, jakby chciał wypić za czyjeś zdrowie.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Czy to znaczy, że miałam rację? Że domyśliłam się trafnie wszystkiego?

- Większości.

Była tak zdumiona, że pożałował swojej otwartości. Jedno odpowiednie zagranie z jego strony i zapewne porzuciłaby całkowicie ten temat.

Tylko że nie bardzo mu się chciało kłamać lub odciągać od siebie jej

uwagę, skoro rozszyfrowała wszystko tak dobrze. To, że się tak tym przejęła, pochlebiało mu, a może też otworzyło jakieś jego drzwi, mówiąc jej stylem.

Patrzyła na niego tak szczerze! Tak jasne i czyste było to spojrzenie!

W oczach jej zamigotało rozbawienie, ale nie było w tym wzroku nic dzieciennego.

- A czy teraz też pan szpieguje? Mnie?

Nie spodziewał się tego. Do diaska, była dużo bystrzejsza, niż przypuszczał. Pokrył zaskoczenie śmiechem.

- Zrozumiała pani, kim naprawdę jestem. Prezesi angielskich towarzystw ogrodniczych złożyli na ręce księcia regenta petycję, żeby mnie wysłał w celu odkrycia pani sekretów co do uprawy roślin.

Zaśmiała się. Melodyjnie.

- Miło mi słyszeć, że wynajęto pana w celu wyświeślenia tak błahej sprawy, bo, widzi pan, ja też chciałabym pana wynająć.

Znowu go zaskoczyła. Czujność jego osłabła wskutek wina i kobiecej urody. Oczywiście, było to częścią jej planu i powodem zaproszenia go na kolację.

- Będę musiał odmówić, panno Pennifold.

- Przecież nie wie pan nawet, czego bym chciała.

Nie zawróciła mu w głowie aż tak bardzo, żeby nie wiedział, jakich kłopotów sobie mógł napytać.

- Nie może mnie pani wynająć. Za dużo by to panią kosztowało.

- Niemożliwe, żeby pańskie usługi były aż tak drogie. W końcu mieszka

pan tutaj, a nie na Park Lane, w apartamentach dla bogaczy. Mógłby pan przynajmniej przed odmową wysłuchać, o co mi chodzi.

Skinął głową, zrezygnowany.

- Proszę mi wybaczyć. Byłem zbyt bezwzględny. Niech pani mówi.

- To bardzo proste. Chcę, żeby pan wykrył, kto jest moim ojcem.

- W jakim celu? Wzniosła oczy do góry.

- A czy muszę mieć cel? Po prostu chcę się tego dowiedzieć. Czy pan by tego nie pragnął? Jest pan nieślubnym dzieckiem, ale wie, kim był pański ojciec, a ja nie wiem.

- Mój ojciec uznał mnie, choć jego krewni nie. Jeśli pani ojciec wolał tego nie robić, to zapewne miał powód i nie przyjmie życzliwie żadnego wtrącania się w jego sprawy.

„A ja nie wiem”. A więc ta kwestia wciąż nie była rozstrzygnięta.

- Nie mogę wyczarować informacji z niczego. Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś z jej papierów i rzeczy osobistych, ale ona usunęła wszystko, co mogłoby mnie naprowadzić na jego ślad.

Miała zgnębioną minę. Cała jej postawa mówiła: „Chcę tylko poznać jego nazwisko, żeby połowa mnie samej nie była pustką. Nieładnie postąpiła, postanawiając, że nigdy go nie zobaczę, nawet w zatłoczonym parku”.

Już to było bardzo wymowne. Alessandra nigdy by nie zachowywała się tak ostrożnie, gdyby chodziło o tożsamość człowieka bez znaczenia. A człowiek taki nigdy by nie miał władzy, która wymagałaby takiej dyskrecji.

Celia spojrzała na niego z przejęciem. Kiedy o tym mówiła, opuszczała ją

wszelka chęć do flirtu. Rozumiał ją. Miała rację. On był bękartem, ale przynajmniej wiedział czyim. Spróbował sobie wyobrazić, jak wyglądałaby jego sytuacja, gdyby nie wiedział.

Celia miała dwadzieścia trzy lata. Alessandra urodziła ją w początkach swojej kariery. Ojcem mógł być ten francuski emigrant, o którym wspominał stryj Edward. Albo nawet jakiś Anglik, wczesny kochanek, który miał powody, żeby w tych sprawach być dyskretny.

Mógłby wykryć nazwisko jej ojca podczas tamtej swojej misji...

Zrobiła niezadowoloną minę z powodu jego milczenia. W jej oczach pojawiła się determinacja. Wstała powoli, a w świetle świec płowy kolor jej sukni nabrał cieplejszych odcieni. Atlas falował wokół jej ciała, gdy okrążyła stół.

Stała przy jego krześle. Poczł zapach lawendy, atlas dotknął jego ręki.

Ujęła jego twarz w gładkie, miękkie dłonie i pocałowała go.

Zrobiła to świadomie. Z wprawą. Po mistrzowsku. Język jej wśliznął się w jego usta, bawił, drażnił, podniecał. To nie był impuls, jak tamtego dnia, kiedy Dargent przyjechał z wizytą. Celia robiła to z radością i smutkiem zarazem.

Tego wieczoru córka Alessandry Northrope obdarzyła go względami.

Jeśli zamiarem jej było doprowadzenie go do szaleństwa, to go osiągnęła.

Jego ciało zareagowało z całą gwałtownością. Ten spektakl był wykalkulowanym, kontrolowanym, szyderczym żartem kurtyzany. Do diabła, nie da się na to nabrać.

Posadził ją sobie na kolanach, objął ramionami. Wystudiowana mina

Celii ustąpiła miejsca zdumieniu i zaskoczeniu. Cofnęła się nawet, gdy zaczął ją całować, ale gdy tylko ich usta się zetknęły, zarzuciła mu ręce na szyję.

Dorównała mu kunsztem w tym pocałunku, dając, biorąc, balansując między brakiem hamulców a powściągliwością. Aksamitnie gładkie usta, ciepło ciała, odruchowe ocieranie się o niego biodrami, miękkie lgnięcie do niego, gdy był już w stanie erekcji, sprawiły, że tracił przytomność.

Nic się już dla niego nie liczyło poza Celią, poza chwytaniem przez nią gwałtownie powietrza i jękami rozkoszy.

Pachniała kwiatami i piżmem. Jej usta i język dręczyły go. Zahipnotyzowany, wątpił, czy ona wie, jak go rozpałiła. Piersi, tak miękkie i kobiece pod atłasem, pęczniały pod jego palcami, jakby boleśnie pragnąc jego dotknięcia, i wypełniały mu dłonie. Ciało jej poruszało się, wciąż poruszało, wdzięcznie wygięte, doprowadzając go do szaleństwa, gdy obydwójce zagubili się w tych doznaniach. Otaczało go i wypełniało jasne, świeże światło, które czyniło rozkosz radosną i perfekcyjną.

Nie myślał. Na nic nie zważał. Pieścił jej piersi, a ona wydawała ciche westchnienia, pełne pożądania, wtulona twarzą w zagłębienie jego szyi.

Cudowny dźwięk, tak kobiecy, przeszedł szybko w desperacki jęk.

Suknię uszyto tak, by łatwo można było ją zsunąć. Bez trudu poradził sobie z haftkami, na które się zapinała. Przywarł do ust Celii, gdy ściągał ten strój powoli w dół, a potem - już z mniejszą ostrożnością - zsunął z niej koszulkę.

Musiał spojrzeć na skórę w odcieniu kości słoniowej pod swoją dłonią.

Ona zrobiła to samo, z rozchylonymi wargami i roziskrzonymi oczami.

Obydwoje patrzyli, jak jego palce krążą wokół jej piersi, a przyspieszone oddechy łączą się ze sobą. Uśmiech, którego nie kryła, mówił o odczuwanej przez nią rozkoszy, a pierś, biała, z brunatnym wierzchołkiem, sztywniała, zachęcając go do tej pieszczoty, podczas gdy biodra przywierały do niego, sprawiając, że przez chwilę pociemniało mu w oczach.

Dotykał jej lekko, prowokacyjnie. Przymknęła oczy i westchnęła głęboko. Jej twarz wyrażała ekstazę. Był świadom tylko żaru, który go ogarnął, i czynił spiętym i twardym, i jej namiętności, i tego, co miało nastąpić, musiało nastąpić teraz, za moment, kiedy będzie ją brał i łączył się z nią, tak by światło i rozkosz trwały zawsze.

Szeptali coś w szaleńczym zapamiętaniu. Dyszeli obydwójce i tracili dech od błagań. Całował jej szyję i piersi i posługiwał się językiem tak przewrotnie, jak tylko mógł, żeby wiedziała, jak przenika go całego dzikie pragnienie. .

Jak mu błogo, tak błogo, mimo graniczącego z bólem pożądania. Widział już w wyobraźni siebie obejmującego ją całą, już bez atlasu czuł jej skórę na swojej, smakował ją. I dalej wyobrażał sobie, jak w pieszczotach przesuwa się od jej nóg i zwilgotniałego atlasu do jedwabistej skóry wnętrza ud. Melodia jej zdumionego oddechu przybrała szybsze tempo, coraz szybsze, cudowne, nagłące go do...

Gdzieś daleko rozległ się głośny dźwięk. Promienie świateł zadrgały, pozostawiając stół w głębokim cieniu. Dłoń Celi kurczowo uchwyciła

jego ramię, błękitne oczy przygasty, jęk przerodził się w głębokie dyszenie.

Ktoś w pobliżu zakaszłał. Jakaś kobieta odchrząknęła głośno i gardłowo, a potem trzasnęły drzwi.

Zamarli w bezruchu, jakby i pokój, i świat, i ta kobieta zażądali zwrócenia na siebie uwagi. Przepęłniła go furia. Przerwano im.

Na widok twarzy Celi pohamował się. Spoglądała na swoje obnażone piersi zaskoczona, jakby to, że straciła kontrolę nad sobą, ją przeraziło.

Usiłowała niezręcznie naciągnąć na ramię koszulkę, ze spurpurowiała twarzą, mrugając szybko powiekami, jakby świat jeszcze wirował jej przed oczami.

Zdołał w jakiś sposób pomóc jej się ubrać. Wróciła na swoje krzesło.

Jakby na zawołanie Marian otworzyła drzwi, wnosząc placek i podając go do stołu. .

Kiedy wyszła, Celia spojrzała na niego poprzez płomień świecy w pełni już świadoma tego, co się stało. Odwrócił wzrok i wyobraził ją sobie nagą od stóp do głów i przechyloną przez stół, tak że [e] śliczny tyłeczek znalazł się tuż przed nim.

Celia przyznała w duchu, że sprawy wymknęły się nieco spod kontroli w związku z panem Albrightonem. „Zachowaj kontrolę nad sobą. Nie ustępuj zbyt łatwo. Zdawaj sobie sprawę z tego, co się dzieje, zanim on posunie się dalej, poza zwykłe pieszczoty”.

Alessandra musiała się chyba teraz przewracać w grobie.

Jej córka o wszystkim zapomniała. Ustąpiła za bardzo podczas kolacji, a

mogłaby jeszcze bardziej, gdyby Marian donośnym chrząknięciem nie sprawiła, że oprzytomnieli.

Tej nocy czekała na mężczyznę, który zapewne przyjdzie pod drzwi jej sypialni, gdy służące pójdą spać. Zastanawiała się, co powinna zrobić, gdyby do niej przyszedł. Byłby usprawiedliwiony, gdyby uważał, że ona zechce go przyjąć.

Próbowała nie wyobrażać sobie reszty, ale nadal była podniecona, zauroczona, i leżała w ciemności, niemalże oczekując, że okaże się tak śmiały. Bolały ją piersi, reagujące nawet na najśłabszy ruch, a ciało pokrył pot. Czowała już Jonathana nad sobą, zdecydowanego, spragnionego. Kiedy stało się jasne, że nie przyjdzie, jej ciało pogrzyżyło się w smutku, ale umysł doznał ulgi. Oczywiście, tak jest lepiej. Nie było żadnego porozumienia. Żadnego układu. Nie chciałyby zresztą tego, gdyby była uczciwa i spojrzała na to rozsądnie. Nigdy by nie został jej protektorem, choć powinna była sobie znaleźć jakiegoś. Gdy chodzi o taką decyzję, trzeba być rzeczowym i myśleć o przyszłości.

A jednak to było cudowne. Nieziemskie. Nie musiała się zmuszać do odczuwania rozkoszy lub nie myśleć o tym mężczyźnie, żeby ją odczuć.

Wzbudził ją w niej, a ona, nie mając wyboru, musiała właśnie tak reagować. Doznania te jednocześnie irytowały ją, kusiły i przytłaczały, a sama już myślała o jego wzroku, kiedy jedli placek, sprawiała, że robiło się jej znów gorąco.

Jonathan stanął przed drzwiami pałacu Castleforda. Księżę zachęcał go do tego, by składał mu wizyty, kiedy tylko zechce, i Jonathan doszedł do wniosku, że istotnie może to uczynić.

Upewnił się, że to wtorek. Nie chciał zastać Castleforda zbyt zajętego, bo pragnął z nim poważnie porozmawiać. Nie chciał też zastać go zbyt trzeźwego, bo wtedy księżę mógłby okazać się zbyt dyskretny.

Jak zwykle nastąpił rytuał ze służącymi w liberiach. Tym razem najważniejszy z nich zaniósł jego bilet wizytowy na tacy i zostawił go w tym sympatycznym pokoju z oknami, gdzie wszyscy razem grali w karty. Nie miał się czym zająć prócz oglądania obrazów na ścianach, wrócił więc myślami do Celii. Przedtem unikał tego. Cały ranek nieustannie był bardzo zajęty właśnie po to, żeby o niej nie myśleć.

Drażniące oznaki podniecenia nie pozwalały mu zapomnieć o wczorajszej kolacji. Nie mógł też wymazać z pamięci jej radosnej, a nawet entuzjastycznej akceptacji rozkoszy. Prawda wyglądała zaś tak, że bałamucił ją, nie wiedząc nawet dlaczego. Owszem, uważał ją za piękną i nietuzinkową w poglądach na życie. Nie był jednak zainteresowany nawiązaniem z nią romansu, a co dopiero takiego, który w przyszłości mógł ją pchnąć w ramiona licznych innych mężczyzn.

Mówił sobie, że gdyby go nie pocałowała, wszystko nigdy nie zaszłoby tak daleko. Tylko że właśnie on ją w to wciągnął, i wiedział o tym. W chwili, gdy zobaczył ją w atlasowej sukni, było to nieuniknione.

Ujrzał teraz, jak zsuwa się z jej ramienia, ściągana męską ręką. Jego ręką.

Zbyttno jej było do twarzy w tym stroju. Kiedy Alessandra zamawiała tę suknię, wiedziała, że będzie podkreślała wszystkie uroki ciała Celi.

„Jedna z sukien, w której można pokazać się publicznie”, jak sama powiedziała. Dyskretna, a nawet przesadnie skromna. Pod każdym względem pozbawiona przesady. A jednak ta tkanina, opływająca ciało Celi niczym woda, podkreślała jej kształty tak, że żaden mężczyzna nie mógł przejść obok niej obojętnie. Żaden, widząc Celię w tej kreacji, nie mógłby nie wyobrazić sobie jej nagiej, mimo że ta suknia nie była wyzywająca.

Podobnie jak sama Celia, suknia łączyła w sobie niewinność ze światowością, skromność z najbardziej wyrafinowaną zmysłowością.

Strój uczennicy, ale pobierającej nauki u Alessandry.

- Jego Książęca Wysokość oczekuje pana.

Oprzytomniał na dźwięk tych słów i znalazł się na nowo w pokoju z oknami. Pozwoliło mu to na oderwanie myśli od Celi. Jasne było, że musi jak najprędzej ukończyć zadanie zleczone mu przez stryja Edwarda.

Najwyższy czas opuścić Londyn, nim ulegnie impulsowi i uwiedzie ją, a później poniesie tego konsekwencje.

Poszedł w ślad za służącym w białej peruce schodami wiodącymi do apartamentów księcia. Znajdowały się piętro wyżej, nad pokojami przeznaczonymi do oficjalnych spotkań. Służący wprowadził go do rozległej gotowalni, gdzie Castleford, rzecz zaskakująca, ubierał się.

Krzętało się koło niego dwóch lokajów, a on stał niczym rycerz przyoblekany w zbroję, a nie arystokrata wkładający wytworną odzież.

Jonathan siadł na jednym z licznych foteli i przyglądał się temu spektaklowi.

- Cieszę się, że przychodzisz z wizytą - wystękał Castleford z podbródkiem zadartym jak najwyżej, tak by lokaj numer jeden mógł zapiąć pierwszy guzik koszuli, nie mnąc jej kołnierzyka.

- Nie pamiętasz, że sam mnie zaprosiłeś?

- Oczywiście, że pamiętam. Dlaczego miałbym zapomnieć?

- Niektórzy pamiętają to, o czym mówili na trzeźwo, tylko wtedy, kiedy sami są trzeźwi.

A Castleford w tej chwili trzeźwy nie był. Stał wprawdzie dość prosto i nie bełkotał, ale spojrzenie świadczyło albo o tym, że pił już tego dnia, albo że był na kacu po nocy spędzonej na pijaństwie.

- Pamiętam wszystko. Cała różnica w tym, czy to mnie coś obchodzi, czy też ani trochę.

Lokaj numer dwa pokazał Castlefordowi heskie buty, czekając na aprobatę. Księżę dał znak, że musi sięść na fotelu. Zręcznymi ruchami, które maskowały włożony w to wysiłek, służący zaczął je wciągać na jego długie nogi.

Zbliżył się kolejny lokaj, podając księciu surdut, lecz Castleford machnął ręką i odprawił obydwóch. Potem zaś rozsiadł się niedbale w fotelu, przewieszając jedną obutą nogę przez jego poręcz, i uśmiechnął się do Jonathana niczym diabeł wpatrzony w kolejną duszę, którą ma zamiar przyprawić o upadek.

- Zjawiłeś się za wcześnie. Lepiej byłoby, żebyś przyszedł wieczorem.

Jutro, o dziesiątej. Obejrzelibyśmy mecz bokserski, a potem poszlibyśmy na dziwki. Zdaje mi się, że lubisz te pospolite. Nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy wydają sto funtów na to, co mogą mieć za szylinga.

- Nie lubię tych zbyt pospolitych.

- A ja tak. Zwyczajne, sprośne i zabawne. A także oszczędzające mi smutnych bajeczek, że do nierządu zmusiła je bieda. Jest mnóstwo takich, które lubią swoje rzemiosło.

Spojrzał na Jonathana i się zastanowił.

- Mała Katy nadałaby się dla ciebie. Spędziłeś sporo czasu we Francji, więc pewnie dobrze wiesz, co robić z językiem. Ona za tym przepada.

Ziewnął i się przeciągnął.

- W takim razie przyjdź jutrzejszej nocy, chyba że jesteś zajęty twoim aktualnym zleceniem.

Cały problem z na wpół pijanym Castlefordem stanowiło to, że zazwyczaj bywał wówczas niedyskretny. Tylko że, jak Jonathan podejrzewał, jego niedyskrecje były z góry zaplanowane.

- Wojna bardzo dawno się skończyła. Wybrzeże już tak dużo nie znaczy.

- Ludzie o twoich talentach zawsze są użyteczni. Ale to nie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych mnie intryguje tym razem.

- Skąd wiesz, że zlecono mi jakieś zadanie, obojętne, czy naprawdę tak się stało, czy nie?

- Spytałem ich. Choć oni nie lubią, jak się ich wypytuje. Zawsze jednak otrzymuję odpowiedź. Można by myśleć, że jestem następcą tronu, sądząc z tego, jak skwapliwie mi ją dają.

- Zapewne boją się, że ich pozabijasz, jeśli ci nie odpowiedzą.

- Może i tak. - Castleford zastanowił się nad tym i parsknął śmiechem. -

Sądzę, że możesz mieć rację. A ja myślałem, że czynią tak z szacunku dla mojego tytułu!

- To całkiem użyteczne, że otrzymujesz informacje, których nie powinieneś dostawać. Pewnie znasz więcej politycznych plotek niż ktokolwiek inny.

Castleford wzruszył ramionami.

- To dużo ciekawsze niż paplanie w salonach o tym, że czyjaś niemądra córka pozwoliła się skompromitować.

- Coś mi się zdaje, że możesz wiedzieć, kto by mi mógł zlecić tę misję, jeśli nie chodziłoby tu o Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Rzecz jasna, gdyby istotnie mi ją oni zlecili.

- Oczywiście. Nie, dokładnie nie wiem, o kogo chodzi. Nie próbowałem się tego dowiedzieć. Nie zdecydowałem, czy ma mnie to obchodzić, czy nie.

Jonathan miał nadzieję, że będzie go obchodziło. Jeśli Edward nie kazał mu zbadać przeszłości Alessandry, działając z ramienia Ministerstwa, to z czyjego w takim razie? Nie podobałoby mu się, gdyby było to żądanie jakiegoś człowieka, którego nazwiska nie znał.

- Widzę, że przyszedłem w nieodpowiedniej chwili - powiedział. - Ale nim wyjdę, czy nie mógłbyś pogrzebać wśród tych bezużytecznych informacji, które z ciekawości zbierasz, i odpowiedzieć na moje pytanie.

Castleford spojrział w sufit i jęknął dramatycznie.

- Mówisz całkiem jak Summerhays. On mnie zawsze zanudza pytaniami o polityce.

- Obiecuję, że zadam ci tylko jedno pytanie. Czy wiesz coś o ojcu Anthony'ego Dargenta?

- Dargent? Ojciec porzucił rodzinę, żeby działać jako misjonarz. Pewnie dlatego jego syn wyrósł na takiego głupca. Parę lat temu ostrzył sobie zęby na córkę tej Northrope. Niektórzy nawet myśleli, że chciał się z nią żenić, tak na jej punkcie zbzikował. Innych irytowało, że zbyt energicznie chciał się pozbyć rywali.

- Chyba wszyscy o tym wiedzieli?

- Pamiętam to dobrze. Mnóstwo było takich, co mieli chrapkę na piękną dziewczinę. Nigdy nie rozumiałem fascynacji dziewczycami. Z dynastycznych powodów mądrze jest żenić się z nimi, ale pierwsza noc okazuje się pewnie beznadziejna.

- A więc ty się nią nie interesowałeś?

- Do licha, nie. Matką także, chociaż ona miała w sobie coś. Można by rzec, że znała swoje rzemiosło. Ale gdybym miał nadskakiwać babie, która podporządkowałaby mnie salonom, salonowym koteriom i jeszcze spodziewała się z tego powodu ode mnie brylantów, to już raczej wolałbym się ożenić.

- Słyszałem, że wielu innych było odmiennego zdania. Pani Northrope zasłużenie cieszyła się sławą.

Castleford nieoczekiwanie spojrział mu prosto w oczy.

- A więc dlatego to robisz! Masz zlikwidować skutki czyjejs fatalnej

niedyskrecji. Tylko najwyraźniej nie wiesz nawet czyjej, co wygląda na bezsens.

- Wcale tak nie jest. Twój domysł jest groteskowy.

- Z pewnością jest, co nie znaczy, że się mylę. A tych wielu innych, o

których tak zręcznie napomknąłeś, było, jak przypuszczam,

utytułowanych, podobnie jak ci, co się jawnie za nią uganiali. Albo

pochodzili z bardzo wysoko postawionych rodzin. Mówiono, że była pod

tym względem nieprzejednana i oddawała się tylko najlepiej urodzonym.

- Co oznacza, że może chodzić o mnóstwo mężczyzn.

- Wręcz stali do niej w kolejce. A wielu z nich miało ją, kiedy ty i ja

byliśmy jeszcze chłopcami. Jeśli nie zrobiła ich listy, oznacza to dla

ciebie bezsensowną stratę czasu.

Być może nie, ale najpierw musiałby zyskać pewność, że taka lista nie

istniała. Jonathan miał jednak własne powody, by życzyć sobie jej

istnienia.

- Jeśli celem twojej wizyty byli protektorzy pani Northrope, to nie

przydam ci się niestety na nic.

W tonie Castleforda nie było sarkazmu, którego Jonathan oczekiwał.

Brnął więc dalej, chociaż mógł się wycofać.

- Pytałem z ciekawości, z powodu kilku moich przypadkowych spotkań,

do jakich ostatnio doszło. Naprawdę zaś przyszedłem cię prosić o

przysługę.

- Jasne, że o nią chodziło. - W oczach księcia błysnęła ciekawość, ale i

rezygnacja. - Za cenę solidnej rozpusty jutrzejszej nocy.

- Tylko boks i popijawa. Obejdę się bez pospolitych dziwek. Castleford westchnął.

- To nie ich wulgarność mnie pociąga, Albrighton. Co za szkoda, że człowiek musi być księciem, żeby swobodnie folgować swoim inklinacjom.

- Nie obawiam się, by mnie akurat pociągała wulgarność, Wasza Wysokość.

Castleford nagle oprzytomniał, ale ta chwila trzeźwości trwała krótko.

- O jaką przysługę ci chodzi? Czy będzie dla mnie rozrywką, czy beznadziejną fatygą?

- Chcę cię prosić o uzyskanie dla mnie audiencji u Thornridge'a. W oczach Castleforda pojawiło się zaskoczenie, a potem ironia.

- A więc w końcu zamierzasz stanąć z nim twarzą w twarz?

- Chcę tylko rozmowy. To wszystko.

Castleford zdjął nogę z poręczy fotela i zmierzył go długim, baczny spojrzeniem.

Jonathan domyślił się, co miało znaczyć. Książę uznał, że życzliwość okazywana temu bękartowi nie byłaby całkiem nieużyteczna.

- Tylko rozmowa. Oczywiście. - Castleford uśmiechnął się szeroko. -

Zabawne. Pomyślę, jak go dopaść, ale pod warunkiem, że ja będę przy niej obecny.

Nazajutrz Celia wcześniej wyszła z domu. Następnego dnia spodziewała się jeszcze większej dostawy roślin, ten więc chciała mieć tylko dla siebie. Pojechała kabrioletem na wschód, w stronę City. Tam złożyła

panu Mappletonowi wizytę, jakiej zażyczył sobie w liście.

Kilka dokumentów dotyczących spadku po matce wymagało jej podpisu.

Kiedy dopełniła tej formalności, zapytała o długi.

- Z satysfakcją mogę pani powiedzieć, że wszystkie zostały spłacone -
zapewnił ją prawnik.

- Czy nie wyszły na jaw jakieś inne? Czy w jej notatkach nie ma
wzmianek o innych, być może znacznych?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Jak pani wie, nie znalazłem książki
rachunkowej. Możliwe jednak, że po prostu robiła obliczenia w pamięci. -

Na blade policzki wystąpiły mu różowe plamy. - To dużo roztropniejsza
metoda.

- W jaki sposób dowiedział się pan więc o istnieniu długów?

- Odszukali mnie sklepikarze i pożyczkodawcy, którzy przedstawili mi
dokumenty. W niektórych przypadkach pani matka posiadała własne
kopie. Nawet jeśli nie prowadziła wykazu wydatków, to miała papiery.

- Skąd jednak wiedział pan, że te długi już zostały spłacone?

- Tylko głupiec płaci dług, nie zapewniając sobie potwierdzenia tego na
piśmie.

Alessandra nie była zaś głupia.

Celia pożegnała się i wyszła. Gdy opuszczała budynek zbliżył się do niej
z uśmiechem wysoki blondyn.

Anthony uchylił kapelusza i złożył jej głęboki ukłon.

- Co za miły zbieg okoliczności, Celio!

Spojrzała na ulicę. Jej kabriolet stał o kilkanaście metrów dalej.

- Nie wygląda mi to na zbieg okoliczności, Anthony. Sądzę, że kazałeś mnie komuś śledzić dzisiaj, a może też poprzednio. Nie będę tego tolerować.

- Ależ nigdy bym nie był tak bezwzględny. Po prostu odwiedziłem Mappletona i dowiedziałem się, że cię dziś oczekuje.

Uśmiechnął się. Ten uśmiech wydawał się jej niegdyś ciepły.

- Myślałem o tym, żeby się znów wybrać do ciebie na Wells Street, ale po tym, co się tam stało ostatnio... Celio, muszę z tobą pomówić. A także chcę ci coś pokazać.

- Znosi się na deszcz, Anthony. Doprawdy, muszę wracać do...

- Chciałem ci pokazać małą umowę ze mną, którą podpisała twoja matka.

Nie dałem jej Mappletonowi, nie naciskałem też na jej spłacenie.

Doszedłem do wniosku, że oboje powinniśmy najpierw o niej pomówić.

Cieszyła się na ten dzień, który miał być tylko dla niej, ale on go

zmarnował. Chciała odejść, lecz nie śmiała tego zrobić. A nuż mówił prawdę?

Anthony skinął na swój powóz w taki sposób, jakby ją do niego zapraszał.

- Mam własny - odparła - dziękuję. Wolałabym pojechać za tobą, bo wtedy żadne z nas nie znalazłoby się w kłopotliwej sytuacji.

- Jak sobie życzysz. Powiem stangretowi, żeby jechał powoli, tak żebyś nas nie zgubiła.

Powóz zatrzymał się przed rzędem wysokich domów, nieco na północ od Grosvenor Square. Celia zahamowała kabriolet. Jeden z lokajów

Anthony'ego zeskoczył i podszedł, żeby odebrać od niej lejce.

- Czy mieszkasz tu teraz? - spytała Anthony'ego, zadzierając głowę, żeby przyrzeć się fasadzie w jasnym kolorze.

Odpowiedział jej uśmiechem i skinął ręką, a potem podszedł z nią pod same drzwi. Otworzył je kluczem, co uznała za dziwne.

Zrozumiała, czemu tak zrobił, gdy tylko się otworzyły. Dom był pusty. W jego wysokich pokojach ich kroki odbijały się echem.

- Masz piękny dom w najlepszej dzielnicy. Twoja żona uzna go za bardzo odpowiedni.

- Ona nie przepada za Londynem.

- No, to ty go za taki uznasz.

- Mam nadzieję.

Przeszła szybkim krokiem przez bibliotekę, a potem przez pokój, który mógłby być bawialnią. Dom nie był wielki, lecz dosyć duży, by w nim urządzać zabawy. Na bale wprowadzie by się nie nadawał, ale na prozono obiady jak najbardziej. Rozkładem wewnątrz przypominał dom matki na Orchard Street. Było tu nawet pomieszczenie przy salonie, które mogło służyć jako pokoik muzyczny.

Czuła, że Anthony czeka na jej reakcję. Zatrzymała się przed oknem z ładnym widokiem na miły ogród.

- Kupiłeś go? - spytała.

- Mam taki zamiar.

- Chyba nie z uwagi na mnie?

Nie odpowiedział. Stał bez ruchu. Nie odważyła się spojrzeć na niego.

Cisza, panująca we wnętrzu, źle wróżyła. Jakby cały dom wstrzymał

oddech.

- A więc uważałaś, Celio, że szedłem twoim śladem? Przypominam ci, że już to robiłem.

Odwróciła się ku niemu.

- Niczego po tobie nie oczekuję. Nic od ciebie nie chcę. Już to wyjaśniłam.

- Ten dom wynająłem w twoim imieniu, Celio. Zainwestuję też w ciebie sporo pieniędzy.

Powiodła wzrokiem po sufitach i ścianach. Pragnęła, żeby ta propozycja jej nie skusila, ale to był bardzo piękny dom, niemało wart, a ona była praktyczną kobietą. „Nieruchomości, klejnoty i pieniądze, Celio. Zawsze żądaj tego, co trwałe”.

- Dlaczego to robisz, Anthony? Mógłbyś tu ulokować kochankę na odpowiednim poziomie za dużo mniejszą sumę. Niemało kobiet odegrałoby z wielkim zadowoleniem tę rolę, jestem tego pewna.

Zbliżył się do niej w swój wymowny sposób. Zesztywniała i cofnęła się.

Musiał dostrzec jej nieufność, co go powstrzymało. Zatrzymał się o jakieś dwa metry od niej i spojrzał na nią tak, jakby chciał sobie utrwalić w pamięci każdy fragment jej twarzy.

- Byłaś moją pierwszą wielką namiętnością, Celio, i nadal jedyną. Przez całe lata wyobrażałem sobie naszą pierwszą noc i czas nie osłabił moich pragnień. Raczej przeciwnie. Mówiłem, że pozostaniemy ze sobą na zawsze, i wciąż jest moim zamiarem, a także nadzieją, być twoim pierwszym i jedynym kochankiem.

Znowu piękne słowa. Wysłuchiwała ich, a także wielu innych, jeszcze przez niego niewymówionych, które były dużo mniej urzekające.

- A gdybyś nie był moim pierwszym kochankiem? Zareagował tak, jak przewidywała. Na próżno usiłował ukryć gniew.

Widocznie słowa „pierwszy i jedyny” bardzo dużo dla niego znaczyły.

Matka mówiła jej o takich mężczyznach. Liczyła na to, że będą współzawodniczyć o córkę Alessandry Northrope. Ale ten traktował kwestię jej dziewictwa wręcz fanatycznie. Nie wróżyło to dobrze ani jego uczuciom, ani traktowaniu jej po pierwszej nocy.

- Czy chcesz powiedzieć, że był jeszcze ktoś inny? - W jego głosie zabrzmiało coś dużo bardziej groźnego, niż mógłby to usprawiedliwiać zwykły gniew. - Spytałem o to wtedy, tam u ciebie, ale nie udzieliłaś mi odpowiedzi.

- Teraz też nie zamierzam jej udzielać. Doprawdy, Anthony, czy to się naprawdę liczy? Podczas swojej wizyty mówiłeś o miłości. Jeśli jestem twoją jedyną wielką namiętnością, z pewnością to, czy zachowałam cnotę, niewiele znaczy. Zacisnął wargi.

- Mam prawo wiedzieć.

- Nie, nie masz, ponieważ nie skłoni mnie do związku z tobą ani ten dom, ani ugoda. - Powinna była oczywiście powiedzieć mu to bezzwłocznie.

Tylko że to był porządny dom, a biorąc pod uwagę jego żarliwy zapał, mogłaby uzyskać bardzo korzystną umowę, gdyby się zgodziła. Trzeba się dobrze zastanowić przed odrzuceniem jednego i drugiego. Obiecała to przecież matce.

Anthony jednak nie postrzegając tego w ten sposób. Spurpurowiały z urazy i gniewu, sięgnął w zanadrze i wyciągnął złożoną kartę pergaminu.

Rozłożył ją gwałtownym ruchem i podał Celi.

- Rzecz jasna, nie ponosisz za to odpowiedzialności, ale twoja matka tak.

Uszczupli to jej majątek.

Wzięła do ręki pergamin i przeczytała słowa skreślone drobnym, starannym pismem. Zrobiło się jej słabo i przeklęła w duchu matkę za nierozwagę.

Nie był to dowód sprzedaży. Anthony okazał się dużo chytrzejszy.

Chodziło o zaliczkę w wysokości ośmiuset funtów wypłaconą

Alessandrze, która miała być zwrócona w pieniądzech lub spłacona w

jakiś podobny sposób. Względy Celi bez wątpienia były tym „podobnym sposobem”.

- A więc posuwasz się do podporządkowania mnie sobie.

- Nie ma to nic wspólnego z tobą. Pójdę do Mappletona i odbiorę tę sumę ze spadku.

Widziała już siebie oznajmiającą Marian i Belli, że dom przepadł. Marian sobie poradzi, wróci na znane sobie dobrze ulice i zapewne do nierzędu.

Ona sama zaś z Bellą mogłyby się zapewne zatrzymać u Daphne. Dwie bezdomne, bezradne kobiety poszukają schronienia w Najrzadszych Kwiatkach.

Była tam szczęśliwa i pewnie będzie znowu. Powinna powiedzieć

Anthony'emu, żeby robił, co chce. Niech idzie do Mappletona, a potem do diabła!

Obejrzała jeszcze raz pergamin, a potem skierowała wzrok ku pięknym stiukom na suficie. Wyobraziła sobie przyszłe lata w domu Daphne, gdzie różne kobiety będą przychodzić i odchodzić, ale ona utkwi tam na zawsze niczym owad w bursztynie.

- Muszę się nad tym zastanowić, Anthony. Proszę, daj mi tydzień do namysłu.

Jonathan skończył lekturę gazety i znów popadł w przygnębienie.

Nie wątpił, że Castleford znajdzie sposób na doprowadzenie do jego konfrontacji z Thornridge'em. Stryj Edward będzie wściekły, ale nadszedł już czas, by rozwiązać tę kwestię w taki czy inny sposób.

W oczekiwaniu na to spotkanie wrócił pamięcią do dnia, kiedy po raz ostatni widział hrabiego. Był wówczas głodny, zmęczony i przemarznięty na wskroś, kiedy wreszcie kuzyn zgodził się zobaczyć z jego matką.

W rozległej bibliotece Thornridge wysłuchał matczynych żądań i grózb.

Wyglądał na więcej niż dwadzieścia dwa lata, miał twarde rysy i zimne, ciemne oczy.

Jonathan odłożył gazetę i podszedł do okna. Ledwie sobie przypominał tamto spotkanie, ale pewne rzeczy żywo utkwily mu w pamięci. Pamiętał książki z tej biblioteki i ich kosztowne oprawy, rząd za rządem.

Zapamiętał, że hrabia zgodził się łożyć na jego wykształcenie, obiecane przez poprzednika. A także niektóre z grózb matki, które wydawały mu się bez sensu, póki nie przemyślał ich na nowo całe lata później.

I dlatego chciał teraz za wszelką cenę doprowadzić do kolejnej audiencji u kuzyna. Nie zdecydował się tylko, czy tym razem powinien wystąpić z własnymi groźbami.

Rozmyślał nad tym, stojąc przy oknie. Pochłaniało go to tak bardzo, że ledwie dostrzegł, co się dzieje w ogrodzie, póki Celia nie wróciła do domu. A wtedy wszystkie myśli o czekającym go spotkaniu z Thornridge'em wyleciały mu z głowy.

Nie mógł jej widzieć i zarazem nie pragnąć. Nawet teraz, gdy oglądał ją z daleka, na wspomnienie jej radosnego uniesienia ogarnęła go namiętność. Nie był przyzwyczajony do niezaspokojenia zmysłów, gdy wtedy, z nią w ramionach, był tak bliski spełnienia, a ona wprost doprowadzała go do szaleństwa.

Wyglądało na to, że jest w podobnym nastroju co on, i czeka ją jakaś trudna decyzja. Wątpił, czy dostrzegą, co się wokół niej dzieje, gdy szła ścieżką powoli, niemal sztywno, w stronę domu.

Stała i zdjęła kapelusz, jakby ją uwierał. Uniosła głowę i spojrzała na dom, przyglądając mu się uważnie, przygnębiona.

A potem skierowała wzrok ku górze i na jej twarzy odmalowała się głęboka rozterka. Nie ruszyła naprzód, stała nadal nieruchomo i mimo że było jasno, zdawała się wtapiać w cień ogrodu.

Patrzył na nią, czekając, aż powróci jej dobry nastrój i radość życia, które przeobrażały twarz Celi nawet wtedy, gdy się nie uśmiechała. A tymczasem stała wciąż bez ruchu, bardziej teraz podobna do matki niż kiedykolwiek przedtem.

I dom, i ogród wydały się jej obce. Poczucie zadomowienia, jakiego tu doświadczyła, znikło.

Nie była jego częścią. Decyzja, by uczynić go swoją siedzibą i razem z Daphne handlować kwiatami, okazała się błędem.

Nie przypominała Daphne Joyes ani Audrianny. Nie były wychowywane tak jak ona. Daphne nabywała eleganckiej skromności przez pół życia.

Dobre urodzenie i wychowanie, nawet mimo egzystencji w

niewyszukanych warunkach, jaką wiodła, wyróżniały ją spośród innych, zwykłych ludzi.

Córkę Alessandry Northrope przygotowywano do całkiem innego życia i czego innego od niej oczekiwano. Oceniała wzrokiem niewielkie rozmiary domu i pomyślała o nieco zużytych meblach i obiciach. Mógłby jej wystarczyć na rok czy dwa. Radość z niezależności przetrwałaby nieco dłużej.

Przygotowywano ją do innego życia, a perspektywa posiadania pięknych rzeczy zawsze ją kusiła. Nawet niesława była rodzajem sławy. Przez ostatnie pięć lat prowadziła cnotliwą egzystencję z dala od świata.

Tolerowała ją, bo była etapem przejściowym.

Teraz, patrząc na dom, myślała, czy nie byłoby lepiej posłuchać rad matki i zgodzić się na Anthony'ego jako pierwszego protektora. Wyobraziła sobie samą siebie, jak za dziesięć lat rozmieszcza w tym domu rośliny i zastanawia się, czy pan Albrighton tego roku wróci do Londynu.

„Obiecuj mi, że pomyślisz o swojej przyszłości, o tym, co stracisz lub zyskasz wraz z każdym wyborem. Obiecuj, że należycie wszystko rozważysz, nie udając, że jesteś kimś innym niż moją córką”.

Łatwo było przyrzec coś umierającej matce. Sądziła również, że przyrzeczenia zdoła dotrzymać. Dopiero teraz, gdy tak jasno zarysowały się przed nią straty i zyski, zrozumiała, że nie zdoła.

- Wydaje się pani pogrążona w myślach, panno Pennifold. Drgnęła i się odwróciła. Niedaleko niej stał Jonathan. Nawet nie usłyszała, jak do niej podszedł.

- Może i tak - odparła. - Duchowni sądziliby, że są to zgubne myśli, choć ja uważam, że byłiby w błędzie.

- Czy chciałyby pani, by sądzili, że są to myśli godziwe?

- Może by mi to ułatwiło dokonanie wyboru. - Musiała się uśmiechnąć przy tych słowach. Gdyby mogła uwierzyć, że Anthony zgubi jej duszę, nie głowiłaby się, jak powinna postąpić.

Ciepłe spojrzenie Jonathana zachęcało do zwierzeń, a ona czuła wprost niepoohamowaną tego potrzebę. Na jego twarzy nie rysowała się jednak życzliwość. Według niej była to twarz surowa, której rysów nie złagodziły lata hulanki, jak u wielu mężczyzn w jego wieku. Był przystojny, ale zbyt znużony życiem jak na kogoś mającego zaledwie około trzydziestu lat.

A jednak oczy temu przeczyły. Ujrzała w nich życzliwość, obietnicę dyskrecji i szczerą zaniepokojenie. Jakby jej następne słowa były czymś najważniejszym, co miał usłyszeć w życiu.

- Myślę o moim dziedzictwie, bo przyrzekłam to mojej matce. Już chyba najwyższy czas, bym to zrobiła. Nim się ostatecznie zdecyduję na jedną z dróg życiowych, powinnam należycie rozważyć wszystkie.

Spojrzenie Jonathana spoważniało.

- Mam nadzieję, że nie spowodowało tego moje niewybaczalne zachowanie.

- Nie takie znów niewybaczalne. Obydwoje wiemy, że dostarczyłam panu pretekstu. Z pewnością to nie pan sprowadził mnie z właściwej drogi.

Jednakże pańskie słowa po wizycie Anthony'ego trochę mnie rozstroiły.

- Jakie słowa?

- „Niekiedy jest tylko to”. Myślę, że dał pan w nich wyraz męskiemu punktowi widzenia. Męskim preferencjom. Wielu z protektorów mojej matki zapewne też by chciało, żeby tak było. Inni, oczywiście, pragnęli odgrywać przed całym światem wielką miłość. Matka jednak nigdy by nie dopuściła, żeby chodziło tylko o to. Domagała się prócz tego jakiejś opowieści, która by usprawiedliwiała wszystkie te kosztowne prezenty. Bez takiej opowiadki kobieta nie zyskuje niczego.

- Jeśli pani temu wierzy, to wciąż jest ignorantką mimo wszystkich nauk matki.

Uznała to za odpowiedź bardzo męską, słysząc w niej odcień wzgardy.

- Nie ma pan pojęcia, jak gruntowne były jej nauki. Mówił pan zdaje się, że zyskiem kobiety jest rozkosz. Wiem jednak, że nie trzeba mi mężczyzny, żeby jej doświadczyć, podobnie jak i panu niekoniecznie trzeba do tego kobiety.

Nieco go jej słowa zaszokowały. Na tyle, że Celia musiała zdusić w sobie chichot, od czego okropnie ją zapiekło w gardle. A jednak poczuła ulgę po tym śmiechu, wręcz boleśnie kontrastującym z jej nastrojem.

- Pani matka dawała mężczyznom nie tylko rozkosz. Mogli w końcu zapłacić jakiejś kobiecie kilka pensów i zrobić to z nią, gdyby chcieli wyłącznie tego jednego.

- Ach, w takim razie jestem w błędzie. Może chcieli właśnie jakiejś opowiadki jeszcze bardziej niż ona. - Skrzywiła się. - Sama

nie wiem, czy chcę tych bzdurnych dramatów i pretensji, choć przypuszczam, że mogłabym żyć w zakłamaniu, gdyby to było konieczne.

Z pewnością nie chciała opowiadki o pozostaniu ze sobą na zawsze, czego oczekiwał Anthony. Co nie oznaczało, że nie mogłaby odgrywać ról, jakich od niej oczekiwano.

Nagle Jonathan stał się oficjalny. Nabrał dystansu. Spojrzenie jego nie miało już w sobie ciepła.

- Pewnie ma pani słuszość. Nawet ze mną zapewne by to tak nie wyglądało.

- Z panem? Wielkie nieba, czy pan mi składa propozycję, panie Albrighton?

Mówiła to żartobliwie, ale nie podchwycił jej tonu.

- Jeśli zechce pani przyjmować propozycje, to nie ode mnie. Mnie nie byłoby na panią stać. Dokona pani wyboru, pamiętając o tym, czego uczyła panią matka. Mądrze.

Oczywiście, że tak będzie, ale nie sądziła, że on to powie otwarcie, wręcz brutalnie. To, co się między nimi zaczęło, nie zostało dokończone. A może właśnie się skończyło teraz, w tym ogrodzie?

Oczami wyobraźni ujrzała siebie, jak się przygotowuje na przyjęcie swego pierwszego mężczyzny. Anthony'ego. Nigdy jeszcze nie zaznała pełni rozkoszy, nie miała sposobności wykorzystania nauk Alessandry.

Nie czuła jednak podniecenia. Ani radości. Anthony nie byłby jej w stanie tego dać. Wyobrażała sobie, co by czuła sercem i ciałem, czekając na

niego, i były to zimne kalkulacje bardzo wyrachowanej kobiety.

Porzuciła te nudne spekulacje i spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Poczowała, jak krew od razu zaczęła w niej żywiej pulsować.

Podniecał ją już tamtej pierwszej nocy, także później. Romans ich trwałby krótko i nikt by się o nim nie dowiedział, ale przynajmniej mógł być miłosną przygodą.

Podeszła bliżej do pana Albrightona. Do Jonathana. Do jego ciepłych oczu i mrocznej tajemnicy. Pragnęła przełamać narzucony przez niego dystans, jaki między nimi powstał w tym ogrodzie, w finale ich znajomości.

Spojrzał na nią. Znow miał twarz zeszywniałą, nawet gniewną. Dotknęła końcami palców - tylko samymi końcami - jego halsztuka. Bardzo leciutko.

- Niestety, nigdy się to nie stanie - powiedziała.

Schwycił jej dłoń i przycisnął mocno do piersi. Czowała pod palcami jego ciało, twarde i pulsujące w rytm uderzeń serca. Nie mogła teraz cofnąć dłoni, nawet gdyby chciała.

- Mam wrażenie, że pani debata z samą sobą wykroczyła już daleko poza kwestię, czy cnotliwość jest cnotą, Celio.

Ciepło w jego spojrzeniu przyciągało ją do niego, jak zawsze. Ciepło tak kontrastujące z niebezpieczeństwem, jakie mogło jej grozić z jego strony.

Ciepło jak najdalsze od zimnego wyrachowania Antho-ny'ego. Ogromny żal ścisnął jej gardło i z trudem zdobyła się na suchą odpowiedź.

- Tak, bardzo daleko.

Dalej, niż sobie zdawała sprawę do tej pory.

- I odejdzie pani do tego głupca?

- Jest równie głupi, jak każdy, i będzie głupkiem hojniejszym niż wielu innych.

- Jak pani, do diabła, może tak mówić? - zapytał, groźny teraz i ponury.

Próbowała uwolnić dłoń z jego uścisku, ale uchwycił ją jeszcze mocniej.

Czuła jak bardzo rozpalone jest jego ciało. Nie mogła opanować podniecenia, które narastało wraz z tym płynącym od niego gorącem, drażniącym jej skórę na podobieństwo przewrotnych liźnięć.

Uczono ją, żeby odczuwać te doznania w pełni, nie ignorować ich.

Boleśnie pragnęła większego zbliżenia, większej rozkoszy, tego, by cicha melodia szczęścia w jej krwi rozbrzmiała z całą mocą. Raz, przynajmniej jeden raz, nim wybierze jakąkolwiek drogę w życiu, chciałyby odczuć w całej pełni zmysłową błogość dzieloną z kimś drugim.

Był teraz zły, wręcz rozjuszony.

- Niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozwolę to pani zrobić!

- Decyzję podejmę sama. Pan tu nie ma nic do powiedzenia.

- Do diabła! Właśnie, że mam.

Spojrzał na nią ponuro, przenikliwie, ale zamilkł. Chciała pocałować go w policzek na znak przyjaźni i potwierdzenia tego, że coś ich łączy.

Cofnął głowę, więc nic z tego nie wyszło.

- Czy to pocałunek pożegnalny, Celio?

- Przyjacielski całus, Jonathanie.

Ale był rzeczywiście pożegnalny. Dla niej. Żeby go zapamiętać.

- Powiedziałem pani, że już żadnego więcej pocałunku me będzie. Bez względu na to, jaką pani podejmie decyzję.

Odszedł. Zostawił ją samą w ogrodzie, smutniejszą i bardziej skonsternowaną, niż się spodziewała.

Wielu mężczyzn uważa, że to coś takiego jak aukcja koni. Musisz "im wyraźnie uświadomić, że nie wybierzesz tego, kto zaoferuje ci najwyższą stawkę, i że w każdym z intymnych związków wyboru zawsze dokonasz sama".

Wyboru miała dokonać sama. Najwyraźniej już wybrała, dobrze czy źle choć Jonathan sądził, że może jej na to nie pozwolić. Było to nieuniknione, odkąd zaakceptowała swoje miejsce w świecie i piętno jakim było jej urodzenie. Odkąd przestała toczyć walkę z reguami rządzącymi tym światem. Alessandra zawsze wiedziała, że Celia podejmie taką decyzję, jeśli posłucha głosu prawdy.

Powinna być zadowolona i zaufać swemu wyborowi. Wyobrazić sobie te wszystkie stroje, luksus i wygody eleganckiego domu, a także cieszyć się, że zdoła ocalić dach nad głową dla Marian i Belh, a może i wielu innych takich jak one.

A tymczasem czuła wielki żal i łzy tak gwałtownie napłynęły jej do oczu, że musiała odwrócić twarz od słońca.

Musiał opuścić ten dom. Niepotrzebnie w nim został tamtego dnia. Był zbyt świadomy jej obecności, jej energii, dobiegał go każdy nawet odległy, odgłos jej krzątania. Pewien był, że jego pragnienia i gniew wypełniają cały budynek niczym niewidzialna mgła. Każda minuta

spędzona w tych ścianach była torturą.

Wyszedł z domu i odwiedził Summerhaysa, lecz ledwie do niego docierało, co Sebastian mówił podczas kilkugodzinnej rozmowy.

W rezultacie jednak Summerhays i Hawkeswell wybrali się razem z nim i Castlefordem na mecz bokserski.

Książę nie był zachwycony tym, że Jonathan nie przyszedł sam.

- Po co, u diabła, przywlokłeś ze sobą te dwie nudne ciotki? Summerhays się roześmiał.

Hawkeswell rozśmieszony nie był.

- Nie zamierzamy psuć wam zabawy. Możesz się upić na umór, a my cię jeszcze będziemy do tego zachęcać.

- To nie będzie to samo.

- A niby dlaczego? Czy chcesz powiedzieć, że obecność nie w pełni odpowiedzialnych indywidualów uczyni twój totalny brak odpowiedzialności czymś krępującym?

- Myślę, że jeśli niczym dwa anioły będziecie grać na harfach

Al-brightonowi tuż nad jednym uchem, to zagłuszycie z kretesem mój głos, kiedy mu coś powiem do drugiego.

Zajęli takie miejsca, żeby dobrze widzieć rozgrywkę. Stojąc wśród rozwrzeszczanych widzów, robili zakłady u krążącego wśród nich bookmachera, pili szklankami trunki i palili cygara.

Summerhays uśmiechnął się tak, jak tylko on potrafił.

- No i czy jesteśmy podobni do aniołów? - zwrócił się do Jonathana. -

Twoje zaproszenie nas tutaj miało, jak teraz widzę, pewien cel.

- Aniołów nie przypominacie, ale dostarczycie mi może pretekstu, żeby zabawa nie trwała aż do rana. - Jonathan spojrział na Castleforda. Księżę zapomniał o wszelkich urazach i wyjaśniał właśnie Hawkeswellowi, który z pięściarzy powinien wygrać. - Być może myliłem się, przypuszczając, że ożeniwszy się, będziesz wracać do domu przed świtem.

- Nie zawsze, ale wiedząc, jakie Castleford ma zamiary co do ostatnich godzin zabawy, wycofamy się z niej dużo wcześniej.

- Ja również. Powiedziałem mu to, ale nie uwierzył, że wyjdę stąd, zanim się zacznę zataczać.

- Czy mamy ci pomóc osiągnąć stan, w którym się zaczniesz zataczać?

- Bynajmniej.

Jednak w obecności przyjaciół mógł tu jeszcze pozostać dłużej. Gdyby wyszedł zbyt wcześnie, księżę poczułby się urażony. Jonathan w ogóle nie miał ochoty tu być. Pragnął za to znaleźć się w swoim pokoju, nękaną drażniącą bliskością kobiety, która powiedziała mu dzisiaj, że ich związek nie leży w jej planach.

Jeśli sądziła, że on się z tym pogodzi i po prostu odejdzie, to się bardzo myliła.

- Castleford zna się na dziwkach, jeśli komuś przyjdzie na jedną chętkę.

Założę się, że mógłby napisać o nich całą książkę - mruknął Summerhays.

Jonathan nie potrzebował jednej z dziwek. Castleford dosłyszał słowa Summerhaysa.

- Wspaniały pomysł. Zawsze mi przecież ciosasz kołki na głowie, że

powiniennem robić z mojego statusu lepszy użytek, Summerhays. Myślę, że znaleźliście sposób, żebym to właśnie zrobił.

- Coś w rodzaju *Przewodnika po sławnych miejscach i zabytkach*

Londynu, tylko że tu chodziłoby o różne piękności, bajzel mamy i córę Koryntu?

- Wolałbym jakiś inny tytuł - powiedział Castleford. - Coś mniej oczywistego i bardziej poetyckiego.

- Jeżeli będziesz zbyt poetycki, przeciętny mężczyzna po przybyciu do Londynu nie zorientuje się we właściwej wartości książki.

Castleford skoncentrował się na tym temacie.

- Tytuł może poczekać. Bardziej mnie zajmuje treść. Nie ma po co włączać tam najslawniejszych kurtyzan, bo mężczyźni, którzy chcieliby nabyć moją książkę, nie będą mieli szans na zyskanie ich względów. Jeśli ma być naprawdę użyteczna, musi mówić o kobietach dostępnych dla każdego, kto ma trochę forsy.

Hawkeswell popatrzył na Summerhaysa i Jonathana.

- Niech to licho, on wydaje mi się teraz niemal trzeźwy. Myślę, że rozważa ten pomysł na serio.

- Oczywiście! Taka książka byłaby wielkim dobrodziejstwem dla ludzkości. Chciałbym, żeby ktoś mi wręczył jej egzemplarz, kiedy po raz pierwszy szukałem w tym mieście dziwki.

Pomysł ten zaprzętał jego uwagę podczas całego meczu. Jonathan był ciekaw, czy Castleford obmyśla kolejne rozdziały, mimo gorących okrzyków, jakimi zagrzewał do walki pięściarzy, na których postawił.

Oczy księcia wydawały się trzeźwiejsze niż przedtem, jakby lepsza część jego umysłu zajęła się tym nowym literackim przedsięwzięciem.

Myśli Jonathana krążyły natomiast wokół czegoś innego niż ciosy wymierzane w środku pomieszczenia, w którym się znajdowali. Wyobrażał sobie kobiety w domu, z którego wyszedł, przy codziennych zajęciach. Widział, jak Marian podaje obiad, a Bella zmywa. Widział też, jak promienna, prześliczna Celia dyryguje nimi i pobudza je do śmiechu. Ostatni mecz skończył się po północy. Castleford zachęcał go serdecznie do gry w karty, póki nie nadejdzie świt. Jonathan odmówił i wymknął się stamtąd razem z Summerhaysem oraz Hawkeswellem. Tamci wrócili do swoich domów, ku niewątpliwej satysfakcji czekających na nich żon. Jonathan krążył myślami wokół kobiety, którą postanowił uwieść.

Celia dorzuciła kilka drewna do ognia na kominku, a potem zaczęła składać atlasową suknię rozłożoną na łóżku. Przeglądała swoją skandalizującą garderobę z bardzo praktycznych powodów. Nie pozwoliła sobie tym razem na czerpanie zmysłowej przyjemności z gładzenia tkaniny.

Oglądała za to dokładnie każdą sztukę odzieży, sprawdzając, czy nie wymaga reperacji. W myśli przepowiadała sobie matczyne nauki.

Na stoliczku do korespondencji czekała czysta kartka papieru. Obok niej stał już kałamarz. Zebrała się na odwagę, zostawiła suknie i usiadła przy stoliku. Nadszedł czas, żeby napisać do Anthony'ego.

Napisała prosty bilecik. Zaprosiła go w nim do złożenia jej wizyty i podpisała się. Gdy tylko go otrzyma, zrozumie, że wygrał.

Rozejrzała się po pokoju. Czy to się stanie tutaj? Anthony nie chciał czekać. Głos matki odezwał się w jej myślach. Nie, nie tutaj. Jeszcze nie.

Musi z nim spisać umowę, zanim da mu to, czego pragnął. Chciała, żeby najpierw kupił tamten dom na jej nazwisko i umeblował go. Kiedy zaś nareszcie tam do tego dojdzie, obustronna ugoda podpisana przez matkę będzie czekać na gzymsie kominka, a potem zostanie jak najszybciej spalona.

Kiedy wszystko zostanie uzgodnione, nie będzie już odwrotu. Należało więc napisać kolejne listy, do Verity i Audrianny, a zapewne nawet do Daphne. Będą nadal ją mogły widywać po cichu i bardzo dyskretnie, gdy to zrobi. Modliła się w duchu, żeby tak było. Zerwanie przez nie przyjaźni byłoby prawdziwą stratą. Dziwny smutek ścisnął jej serce. Zbyt wielki,

by mogły go złagodzić łzy. Bardziej przypominał gorzki żal. Ogarnął ją i nie ustępował. Minie po jakimś czasie, kiedy nie będzie już żyła iluzjami. Powróciła do łóżka i poskładała resztę sukien. Gdy to zrobiła, ciszę domu zakłóciły ciche dźwięki. Czyjeś kroki.

Jonathan wrócił.

Zamarła bez ruchu i nadsłuchiwała. Był tutaj. Przyniosło to jej ukojenie, choć nie powinno. Przymknęła oczy i ujrzała go takim, jaki był dzisiaj w ogrodzie - rozgniewany. Potem ujrzała jego twarz, kiedy ją po raz pierwszy całował. Jakże słodki był ten pocałunek.

Nagle wspomnienia pierzchły. Kroki nie skierowały się, jak zwykle, na poddasze. Zmierzały ku korytarzowi na tym piętrze. Poczowała paniczny strach.

Kroki zatrzymały się koło jej drzwi. Potem nastąpiła cisza. Żadnego pukania. Żadnych słów. Czowała jego obecność przez drewno. Czowała jego energię i jej intensywność.

Czekała. Nic nie nastąpiło. Zapewne przemyślał swoje postępowanie, obojętne, co było powodem jego przyjścia tutaj. Wstrzymała oddech.

Podeszła do drzwi, zaczerpnęła głęboko tchu, żeby się uspokoić, i otworzyła je.

Stał tam, z rękami skrzyżowanymi na piersi, nie przekraczając progu.

- Czy zamierza pan tak stać przez całą noc?

- Nie zamierzam.

Wiedział, że go usłyszy, jeśli jeszcze nie śpi. Sądziła, że rozmyślnie nie zapukał ani też się nie odezwał, ale nie wyglądał teraz na człowieka, który

chce okazać grzeczność. Raczej przeciwnie.

- Czy chciał mi pan coś powiedzieć? Po co pan tu przyszedł? Przesząpił

próg. Instynktownie się cofnęła. Ujrzała jego twarz

w świetle kominka, kiedy wchodził do pokoju. Odpowiedział na jej

pytanie jednym spojrzeniem, które nie wymagało słów. „Wie pani,

dlaczego tu jestem”.

Spojrzał na jedwabne suknie na łóżku, podszedł do nich i uniósł jedną.

Miękki atłas spłynął w dół niczym wodospad, kontrastując z twardą

męską ręką formą i kolorem.

- Myślałem, że pani ma tylko dwie takie suknie i że da je przyjaciółkom.

- Było ich więcej. Zachowałam je dla siebie.

Spojrzenie jego powędrowało ku niej i ześliznęło się po jej piersiach i

biodrach niczym trzymany przez niego jedwab. Odruchowo dotknęła

batystowej domowej sukni, którą miała na sobie.

- Chciałbym panią któregoś dnia zobaczyć w jednej z nich. Ale nie dziś.

Powinna była powiedzieć mu, żeby sobie poszedł. Rozumiało się to samo

przez się. Ale on podporządkował sobie przestrzeń tego pokoju tak

całkowicie, że ledwo mogła coś wyjąkać. Zniewalający. Tak nazwała go

Verity. Gdybyż wiedziała, jak nieodpowiednie to określenie! Zwłaszcza

teraz. Wyglądał wprost niebezpiecznie. Ale to jej nie trwożyło, choć krew

w niej zamarła w reakcji na tę męską siłę.

Zbliżył się do stoliczka z kałamarzem. Spojrzał na leżący tam list.

Przekrzywił głowę, czytając go. Potem odwrócił się ku niej z papierem w

ręce.

- Nie zrobi pani tego.

Dobry Boże, musi ją od tego odwieść, postanowił w myślach. Uratować ją.

Poczuła, że jest znów obecna w tym pokoju, mimo że tak go zdominował.

We własnym pokoju! Zrozumiała, że przyszedł tu, żeby się przed nim wytłumaczyła z tego, co było decyzją dotyczącą jej całego życia.

- Zrobię to, co będę chciała zrobić, jak już powiedziałam po południu. Jest pan ostatnią osobą, od której oczekiwałabym osądzania mnie, obojętne, jaką podjęłabym decyzję. Kilka razy mówił pan przecież, że nie będzie osądzał.

- Nie osądzam pani, Celio. Mówię tylko, że nie zaakceptuje pani teraz umowy z tym głupcem. - Machnął trzymanym w ręce papierem.

- Nie pozwolę panu...

- Nie.

Wrzucił list do kominka. Płomienie natychmiast nadpaliły jego brzegi i zaczęły pochłaniać resztę. Podeszła do niego wściekła.

- Co za piękny gest, ale bezsensowny. Pańskie apodyktyczne zachowanie jest aroganckie, pański krytycyzm obraźliwy. Nie jestem głupią kobietą, która pewnego dnia wpadła na pomysł, jak szybko i łatwo zapewnić sobie nowe stroje. Myślałam o tym ponad pięć lat.

Spojrzał na nią. Miał zeszywniałe, twarde rysy, a wzrok tak intensywny, że aż dech jej zaparło. Przyciągnął ją gwałtownie ku sobie i ujął jej twarz w ręce, jak wtedy nocą w ogrodzie.

- Nie sprzeciwiam się tej decyzji, Celio, mówię tylko, że to nie może być ten mężczyzna.

Pocałował ją, nim zdołała odpowiedzieć. Nim zdołała mu pokazać, gdzie jego miejsce. Walczyła desperacko, by ten pocałunek nie wywarł na nią wpływu. W myślach miała zamęt, ciałem jej wstrząsnęły dziwne doznania, a wybuch skrywanego żalu zagroził utratą wszelkiego rozsądku i odrzuceniem racjonalnych, praktycznych rozwiązań.

„Nie możemy tego zrobić. To zniszczy wszystko. Boję się tego o wiele bardziej niż odejścia do Anthony'ego”.

Czy ona to mówiła w przerwach pomiędzy urywanymi oddechami, kiedy jego wargi paliły jej szyję? Nie wiedziała. Nie robił niczego, co by świadczyło, że ją słyszał. Albo też nie dbał o to.

„Zawsze każ im się prosić o pozwolenie, Celio. Nawet gdy będzie to pierwszy pocałunek”. Ten mężczyzna nie prosił o pozwolenie. Nigdy nie prosił.

W jego objęciach było jej tak dobrze. Jego siła ją podniecała. Nie poddała się z własnej woli pożądaniu, które wzajemnie odczuwali, ale też nie stawiała mu oporu. Żar jego zaczął unicestwiać jej wolę, podobnie jak płomień list.

Pieścił jej ciało, jej piersi, mocnymi, władczyimi dłońmi. Objął ją tak mocno, że przyłgnęła bezwładnie do jego ciała. Pocałunki sprawiały, że płonęła razem z nim. Rozkosz wyśpiewywała w niej swoją pieśń.

Pierwotną pieśń, pulsującą i gorącą, a rytm tego pulsowania stawał się z każdą chwilą szybszy.

Nie mogła się temu przeciwstawić. Nie mogła udawać, że nie raduje jej doznawanie namiętności raz jeszcze. Nie powinna była jej ulegać z wielu powodów, ale nie dbała zbytnio o to, by ją pohamować.

Przestała walczyć sama z sobą. Poddała się ku swojej wielkiej uldze i radości. Tak, jeden raz, tylko jeden raz zasługiwała na poznanie, czym to może być.

„Musisz się kontrolować. Nie trać opanowania. Musisz zachować godność”. Straciła już jednak godność i opanowanie. Nie mogła kontrolować niczego. Nie zdołałaby. Trzeba było kazać mu stąd wyjść. Nigdy nie powinna była...

Jego ręce oderwały się od jej ciała, żeby przytrzymać głowę podczas pocałunku, bezwzględного i zachwycającego. Unosiła ją fala, zatapiająca ją w jakimś gorączkowym oszołomieniu, przestała panować nad myślami i poniechała resztek oporu. Przywierała do niego coraz mocniej.

Sięgnęła ręką ku górze i rozwiązała węzeł związujący jego włosy. Opadły po obu stronach jego twarzy, co nadało mu łobuzerski wygląd. Pieściła jego kark i podbródek, a potem pociągnęła za halsztuk. Pocałunek stał się wręcz dziki i z trudem zdołała zaczerpnąć tchu, kiedy go przerwał.

Dyszał, chwytając zębami skórę jej szyi i piersi, podczas gdy jego dłonie ponownie odnalazły jej ciało, już nieosłonięte tkaniną, i pieściły je.

Cudowna rozkosz. Zachwycające podniecenie. Doznania piętrzyły się, jedno za drugim, budząc w niej chęć jęków, płaczu, śpiewu. Niezwykłe pragnienie ogarnęło jej ciało i umysł. Odwzajemniła mu pocałunek z całą gwałtownością, tak by nie odwlekał zaspokojenia tego

pragnienia.

Ogarnął ich oboje szaleńczy trans. Wir gorąca, bezwzględności i braku wszelkich myśli. Kiedy skierował ją ku łóżku, jej żądza radośnie zatriumfowała, a ciało milcząco błagało, by rzucił ją tam i wypełnił bolesną pustkę, która pulsowała, niemal rozpaczliwie domagała się spełnienia, z taką mocą, że doprowadzało ją to do szaleństwa.

Zamiast tego wypuścił ją z objęć, siadł na łóżku i zdjął buty. Stała tam, chwiejąc się na nogach, zaszokowana jawnym dowodem, że wcale nie był równie zniecierpliwiony jak ona.

Ściągnął następnie surdut i przyciągnął ją do siebie, więc jednak nie był tak cierpliwy. Usiadła mu na kolanach, obejmując jego biodra swoimi kolanami. Znaleźli się w oku cyklonu, niczego to jednak nie zmieniło.

Porywy pożądania nadal w niej wirowały, w nim również, mogłaby przysiąc. Pośpiech był jednak zbędny. Jonathan przypomniał jej gestem, że takie są rytuały rozkoszy.

Uporała się z jego halsztukiem. Pozwolił na to, pieszcząc jej nogi. Jego mocne, zręczne dłonie powoli unosiły jej suknię i koszulkę, aż wreszcie nic już ich od siebie nie dzieliło. Zdążyła do tego czasu zdjąć halsztuk z jego szyi, a ręce Jonathana już zapuściły się między jej uda.

Rozkojarzyło ją to tak bardzo, że z mniejszą uwagą zajęła się jego kamizelką i koszulą. Skończyła walczyć z guzikami koszuli, kiedy jego palce zaczęły przesuwać się w górę i w dół po wewnętrznej stronie jej ud. Za każdym razem, kiedy sięgał wyżej, wstrzymywała oddech.

Ściągnęła mu wreszcie z ramion koszulę i pochyliła się ku niemu,

obsypując pocałunkami szyję między uchem a szczytem ramienia.

Językiem smakowała skórę, a potem odchyliła się, żeby pieścić jego pierś, foremną, szczupłą, ale muskularną, jakby prowadził aktywne fizycznie życie. Był silniejszy, niż można by się tego domyślić, widząc go w ubraniu. Powiodła końcami palców po jego płaskim torsie, zafascynowana.

Spojrzał na jej suknię.

- Zapina się z przodu.

- Łatwiej ci przyjdzie ją zdjąć. Pieszczoty jego sięgały już samej góry jej ud.

- Jestem zajęty.

Chciał, żeby sama zdjęła. Rozpięła haftki, bardzo niezręcznie. Dziwna wstydlivość zabarwiła jej szaleństwo, której - jak wiedziała -nie spodziewał się po niej. Zdała sobie sprawę, że jest dla niej ważne, co on myśli i czy mu się podoba to, co ona robi.

Rozchyliła poły stanika sukni i jej piersi się odsłoniły. Fala nieskończonego intensywnego zmysłowego doznania przeniknęła ją na wskroś, gdy jego uparte dłonie nadal pieściły jej uda, a oczy wpatrywały się w jej oczy.

Przylgnęła jeszcze mocniej do niego i poczuła jego pęczniejącą męskość.

Ten nacisk dręczył ją i pragnęła, by nadszedł kres tej udręki.

Ujął ją obiema rękami za pośladki.

- Wyżej.

Uniosła się na kolanach, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go z całą umiejętnością, jaką nabyła dzięki pobranym naukom. Jego dłonie

zmagaly się ze spodniami i jej suknią, kiedy zaś znów na niego opadła, był już nagi, a suknia podwinięta aż po samą talię. Przywarł do niej mocno, twardy i sztywny, co przyniosło jej nieznaczną ulgę, a jednocześnie wznieciło wirującą spiralę gorących dreszczy głęboko między udami.

Pieszczoty piersi były cudowne i niebywale pobudzające. Oszałamiające wrażenia zlewały się w fale, a każda z nich była coraz bardziej podniecająca, każda czyniła ją coraz bardziej pobudliwą, coraz bardziej wrażliwą na kolejne doznania. Miękki batyst wędrował coraz wyżej, na moment straciła jego twarz z oczu, kiedy zdejmował z niej w końcu suknię. Była teraz naga, zwrócona twarzą do niego, wpatrzona w jego pełną napięcia twarz i stwardniałe, naprężone ciało, zafascynowana jego wzrokiem i wonią, cała drżąca.

To, jak ją pobudzał, było wręcz nie do wytrzymania, lecz zarazem lękała się, że wszystko skończy się zbyt wcześnie, zbyt szybko i na zawsze.

Odchyliła się w tył i oparła rękami na jego kolanach, tak by mógł pieścić jej piersi bez przeszkód. Pieścił je dłońmi delikatnymi, lecz zdecydowanymi ruchami, które wywołały wibracje wnikające do samego rdzenia jej ciała, gdzie zawirowały gwałtowniej i przesłały snop impulsów rozkoszy jeszcze niżej.

Pokryły ją pocałunki. Całował jej piersi, brzuch. Naprężenie całego jego ciała wyczuwała w jego dotyku, w pocałunkach, w tym, co z nią robił.

Wznosiła się, zawieszona w zmysłowym oszołomieniu, czując wszystko najpełniej, jak tylko mogła, ciekawa czy istnieje jakiś sposób, by owo

odczuwanie zawsze było tak samo intensywne. Zatraciła się w ponadczasowym oczarowaniu, rozkosz wypełniała ją całą, a jego dłonie poruszały się władczyimi ruchami, męskie i silne, sprawiając, że pragnęła wciąż więcej i więcej.

Przypomniały się jej nauki Alessandry. Nie było rzeczą właściwą, by tylko ona doznawała rozkoszy. Powinna ją również dawać. Znowu usiadła, wyprostowana, choć lekko się chwiejąc, podniecona tak bardzo, że pozbyła się wszelkich zahamowań.

Spojrzała w dół, tam gdzie ich ciała się stykały. Odchyliła się do tyłu i wzięła jego członek w rękę. Wiedziała, co ma robić. Najłatwiej się jej było nauczyć właśnie tego. Gładziła trzon najpierw delikatnie, potem mocniej. Okrężała palcami sam szczyt, a potem cały objęła dłońmi.

Patrzyła, jak jego twarz tężeje w coraz większym napięciu, jak usta zaciskają się z całej siły, a spojrzenie wspaniałych oczu staje się coraz głębsze.

Uniosła się z jego kolan znowu, ale tym razem nie musiał o to prosić.

Pochwycił jej pośladki i podciągnął ją tak wysoko, by mógł dosięgnąć jej piersi ustami. Jego członek wznosił się nad jej udami, ale teraz to jego dłoń naciskała jej intymny wzgórek, a palce dotykały nabrzmiałej skóry tak wrażliwej, że krzyknęła.

Bezradna, schwyciła go za ramiona i rozplakała się. Płakała ze szczęścia, gdy ssał jej piersi i dawał swoją dłonią zdumiewającą, rozdzierającą rozkosz. Nic innego nie istniało, tylko ich ciała i natarczywe pragnienie, jakie odczuwała dzięki niemu.

Ledwie mogła to znieść. Oszołomiona, trawiona pożądaniem, traciła wprost zmysły. Słyszała własne szepty, błagania o więcej, wciąż więcej. Oddawała mu się ciałem i duszą, całą sobą, byle tylko przyniósł jej ulgę, której, jak na pewno wiedział, pragnęła.

Silne ręce pochwytyły jej biodra i pociągnęły je ku dołowi - powoli, zbyt powoli. Potem poczuła twarde pchnięcie i wiedziała dlaczego, lecz niecierpliwe wyczekiwanie wciąż sprawiało jej istną torturę. Była wypełniona, rozdierana, zraniona, ale oszołomienie trwało nadal, a zranienie odczuła jako coś niemal przyjemnego. Łapiąc oddech, ścisnęła kurczowo jego ramiona i jeszcze mocniej pociągnęła całego w dół, żeby zagłębił się w niej jeszcze bardziej.

Wtulała się w niego, otoczona jego ramionami, niewypuszczającymi jej z objęć. Walczyła z zamgloną świadomością, by odczuwać wszystko w pełni, żeby zachować to w pamięci na zawsze. Przez moment wyczekiwał, narzucając sobie męczącą powściągliwość, ale wszystkimi zmysłami wyczuwała w nim pragnienie spełnienia i to, że ona nie może mu tego odmawiać.

Trzymając jej biodra, poruszał się w niej, a ona wraz z nim. Czuła go, jak raz po raz wypełnia jej ciało i jej zmysły, udaremniając opór. Wiedziała w głębi duszy, że intymne zbliżenie wniknęło w jej serce i pozostawiło ją bezbronną oraz że jego siła uczyniła ją bezsilną. A także, że oddała mu coś więcej niż tylko dziewictwo. Wiedziała, że Alessandra Northrope nigdy by nie pochwaliła tego, że jej córka wyrzekła się niezależności na rzecz tego mężczyzny.

Była dziewicą.

Chciał uwierzyć, że go to zaskoczyło. Mógł zrozumieć dlaczego. Nie domyślał się jednak, jak bardzo, ale i to go nie powstrzymało.

Powinien czuć się bardziej winny, niż się czuł. Powinien też powiedzieć teraz kilka miłych słów, jeśli chciał się uważać za dżentelmena. W błogostanie zaspokojenia, gdy leżał jeszcze z nią spoczywającą na nim, obejmującą jego biodra kolanami, a ich ciała były nadal złączone, zamiar wypowiedzenia tych słów wydał mu się dobrym pomysłem.

Usiadł, nadal z nią w objęciach, i zdołał się unieść na tyle, by zrzucić jedwabne suknie z łóżka i narzucić na nie pościel. Wstał, położył ją na łóżku i dorzucił drewno do kominka.

Spojrzała na niego, kiedy wrócił do łóżka. Wciąż miała błyszczące oczy i promieniejącą twarz. Minęła dłuższa chwila, nim zdecydowała, czy to nie był błąd.

Wydawała mu się taka piękna, jasna i złocista. Położył się koło niej i wziął jej jedwabiste, ciepłe ciało w ramiona, by lekkość, którą teraz czuł w sobie, nie minęła zbyt szybko.

- Sprawilem ci ból?

Obróciła się w jego objęciach i spojrzała na niego z góry.

- Nie za duży. Spodziewałam się gorszego. To było przynajmniej coś.

Przejrzała go na wskroś.

- Nie byłeś pewien, ale zaskoczyło cię to, prawda? Nie odstraszyło również. Bezpieczniej było powiedzieć, że nieważne, jak do tego dojdzie.

W końcu nie byłam niewinna.

- Oficjalnie byłaś.

- A teraz zyskałeś pewność, że oficjalnie już nie jestem. Zyskałeś również pewność, że nie będzie żadnej umowy z Anthonym.

Nie uszła jego uwagi nuta oskarżenia w jej tonie.

- Czyżby twoje dziewictwo było w niej sprawą zasadniczą? W takim razie

Dargent jest jeszcze większym głupcem, niż sądziłem.

- Nie wydajesz się specjalnie zmartwiony tym, że wszystko zrujnowałeś.

Może twoje sumienie zareaguje trochę inaczej, kiedy zostaniemy

wszyscy wyrzuceni z tego domu.

- Nie dostanie tego domu.

- Nie zdołasz mu w tym przeszkodzić.

- Nie czuję się wcale zmartwiony, Celio. Jeśli pragniesz takiego życia, nie mogę cię przed tym powstrzymać, ale przynajmniej nie dostaniesz mu się teraz. Najmniej przejmuję się tym, że ci przeszkodziłem. Przecież on by cię w to wciągnął szantażem.

Zabrzmiało to brutalnie, więc dodał:

- Powiedziałaś, że to musi być twój wybór. Dokonałaś jednak wyboru dziś wieczorem. I to nie na jego korzyść.

- Nie, na twoją, ale z niebagatelną zachętą z twojej strony. Prędzej go piekło pochłonie, niż ją za to przeprosi.

A jednak... on ją uwiódł. Nie można było tego inaczej nazwać. Ona zaś była niewinna, była dziewicą, a to się liczy w takich sprawach.

Uniosła się na łokciach i spojrzała na niego. Serce w nim niemal zamarło, tak pięknie wyglądała w blasku kominka. Ale widział też,

że oszołomienie już ustępowało, a ona teraz myśli i osądza to, co tu się stało.

- Nie mów tego, co, jak uważasz, masz obowiązek powiedzieć - rzekła, jakby znała jego najtajniejsze myśli. - Nie staraj się być przyzwoity i nie odgrywaj wobec mnie roli winnego, skoro nie zaprzątałeś tym sobie głowy godzinę temu.

- Nie myślałem przytomnie godzinę temu. Wiedziałem tylko to, że cię pragnę.

- A teraz mnie miałeś. To niczego nie zmienia. Będę nadal taka, jak przedtem. Pójdę swoją drogą. Nie chcę, żebyś wymyślał jakąś historię. Żadna by do nas nie pasowała. Po prostu stało się tak, jak według twoich słów czasem bywa.

Większość mężczyzn za podobnie nieskomplikowaną poufałość chciałaby zabić. Sam nieraz tego doświadczył w przeszłości. Dlaczego więc chciał się teraz z nią spierać i wyjaśniać, że w istocie nigdy nie może się tak stać, chyba że dwoje obcych sobie ludzi spotka się w mroku?

Rada, że rozgrzeszyła go z wszelkiego kłopotliwego poczucia winy, ułożyła się przy nim wygodnie.

- Ciekawa jestem, czy Marian mnie za to skarci.

- Być może, jeśli się domyśli. Zapewne powie, że byłaś lekkomyślna.

- Przynajmniej nie będzie mówić, że to grzech. „Lekkomyślna” nie jest jednak słowem, którym ja bym się posłużyła.

- Śmiała?

- Chyba to właściwsze określenie. Ale przedtem tak nie myślałam.

Obrócił się na bok i przylgnął do niej znów całym ciałem.

- W takim razie może „uwodzicielska”?

- To nie ja uwodziłam, chyba sobie przypominasz.

- Byłaś bardzo uwodzicielska. Od samego początku. Uwodziłaś dyskretnie, subtelnie i bardzo skutecznie.

Zamyśliła się, a potem wzruszyła ramionami. Ustąpiła mu pod tym względem.

- Uwodzicielska, zachwycająca i błyskotliwa - ciągnął. - Zazwyczaj nie tracę bez reszty głowy z powodu kobiety, Celio.

Zarumieniła się.

- A teraz znów „błyskotliwa”. Dziwne słowo.

- Mówi zarówno o twoim umyśle, jak i promiennym uroku.

- Dziękuję, Jonathanie. Użyłeś bardzo poetyckiego określenia.

Roześmiałyby się, gdyby nie to, że wyglądała na szczerze wzruszoną. Nikt wcześniej nie uznał żadnych jego słów za poetyckie. Z całą pewnością.

Spojrzała na niego z bliska i powiodła czubkami palców po jego policzku.

Przyjrzała mu się dokładniej niż ktokolwiek przedtem, z twarzą szczerą i poważną.

- O czym myślisz? - spytał.

- Chcę być pewna, że zapamiętam twój wygląd i to, jak się teraz czuję.

Chcę zapamiętać wszystko, co się tu zdarzyło.

Nie podobało mu się jej trzeźwe przekonanie, że nic więcej między nimi nie będzie. Nie miał też ochoty myśleć o tym, gdzie zechce pójść, kiedy już nie jego będzie zachwycać swoją błyskotliwością.

Nachylił się i ucałował ją mocno, a potem wstał.

- Teraz już pójdę, nie grozi ci więc, że zasnę, a Marian czy Bella znajdą mnie w twoim łóżku.

- Możesz do niego wrócić jutrzejszej nocy, jeśli chcesz.

Och, jak bardzo tego chciał. Rad był z jej zaproszenia, nie sądził jednak, by na nie czekał, gdyby z nim nie wystąpiła. Pragnąłby ją mieć znów nawet i teraz, ale byłoby to niewskazane. Powiedziała co prawda, że nie czuła wielkiego bólu, ale jednak sprawił jej ból.

Położyła się na boku i patrzyła, jak on się ubiera. Nie była zawstydzona swoją nagością. Linia jej ciała, od ramion do kolan, tworzyła zachwycająco wygiętą łukowato krzywą. Patrzył na nią zachłannie przez dłuższą chwilę. Na tę linię, na jej piersi, na jej twarz, zawsze tak pogodną. Na olśniewający blask, jaki roztaczała.

Nachylił się, pocałował ją i zastygł w tej pozie, nad jej zwróconą ku niemu twarzą, ujmując dłonią jej podbródek. Erotyczne fantazje wszelkiego rodzaju kłębiły się w jego umyśle. Był już niemal gotów znów ją objąć, aby przynajmniej jedna z nich stała się rzeczywistością. Oderwał się jednak od niej i poszedł do swojej mnisiej celi, żeby się tam zwijać z pożądania aż do następnej nocy.

Marian wiedziała.

Następnego poranka przyniosła Celi śniadanie do łóżka, czego nigdy przedtem nie robiła. Z obojętną miną postawiła tacę na stoliku, spojrzała na jej nagie ramiona widoczne spod kołdry, a potem przypatrzyła się uważnie aksamitnym sukniom zrzuconym z łóżka w nocy.

- Ładne łaszki - powiedziała, schylając się, żeby jedną nich podnieść. -

Zbyt kosztowne, żeby się tak poniewierały.

- Przeglądałam je, żeby zobaczyć, czy nie potrzebują reperacji, kiedy...

kiedy...

- Kiedy coś ci trochę zawróciło w głowie?

- Właśnie.

- A to szczególna rzecz. Widocznie coś wisi w powietrzu, bo pan Albrighton też dziś rano wyglądał, jakby mu się w głowie kręciło.

Z szelmowskim uśmiechem zaczęła zbierać rozrzucone suknie.

- Dziwne.

- A skoro już mowa o zawrotach głowy, to pan Albrighton kąpie się w kuchni. Zaraz zagrzejemy wodę i dla ciebie - oznajmiła Marion, wieszając jej domową suknię na poręcz łóżka.

Celia ucieszyła się, że wobec Marian nie musi udawać. Kiedy kąpiel była gotowa, zeszła na dół. Dom wydał się jej teraz zupełnie inny, jakby oświetlało go nowe światło, a jej ciało inaczej niż zwykle poruszało się w jego przestrzeni. Oczywiście to nie dom się zmienił, tylko ona.

Kiedy była już przy kuchennych schodach, ktoś schwycił ją i gwałtownie

przyparł do ściany. Jonathan rozejrzał się wokoło, nasłuchując, a potem pocałował ją w sposób świadczący wyraźnie, że ubiegła noc w niczym nie zmniejszyła jego pragnień.

- Wyglądasz przepięknie - wyszeptał pomiędzy pocałunkami. - Strasznie mi się podobasz w tej domowej sukni.

- Wcale nie uważam, żebym w niej wyglądała szczególnie pociągająco - powiedziała ze śmiechem, z trudem chwytając oddech.

Przyjrzał się jej.

- Do licha, masz rację. Ściągnij ją zaraz. Nie, czekaj, nie tutaj! Przecież Marian i Bella... Czy nie mam racji, chcąc, żeby zamieszkały gdzie indziej?

- W tej chwili można ci wybaczyć - odparła i połączyła się z nim w długim, pełnym zapamiętania pocałunku. - Ale teraz muszę się wykąpać, jak ty przedtem.

- Pomogę ci w tym.

- Nie. Rób, co masz dziś robić. Ja tak samo.

- Będę do niczego. Odeślij je i chodź ze mną na górę, żeby spędzić cały dzień w łóżku.

Dała mu żartobliwego klapsa w pierś.

- Wczesnym popołudniem przyjeżdża wóz z Najrzadszych Kwiatów. Czy chcesz, żeby Daphne zastała nas w łóżku? Ona ma pistolet!

Pocałował ją jeszcze raz, a potem niechętnie wypuścił z objęć.

- No, to idź do kąpieli i do swoich obowiązków. Jakoś to przeżyję. Może zdołam nie myśleć o tobie przynajmniej przez kilka minut.

Celia, szczęśliwa, że mają się spotkać ponownie, i rada, że powiedział coś miłego, poszła do kuchni, gdzie czekała już wanna pełna gorącej wody.

Gorąca kąpiel znów pobudziła jej zmysły. Wraz z nią powróciło wspomnienie przeżytej błogości. Po raz pierwszy w życiu podziękowała w duchu matce za to, że nauczyła ją, iż kobieta powinna doznawać rozkoszy bez wyrzutów sumienia. Świat znał różne grzechy, niektóre bardzo ciężkie, ale zmysłowość z pewnością nie była jednym z nich.

Przez następne kilka godzin nie opuszczało jej poczucie szczęścia.

Jonathan, matka, pierwsza noc i ta, która miała dopiero nadejść -wszystko kłębiło się w jej głowie. W jakiś dziwny sposób poczuła się bliższa Alessandrze niż kiedykolwiek przedtem. A także równa jej -teraz, kiedy nie była już dłużej nieświadoma pewnych rzeczy.

W oczekiwaniu na transport kwiatów, otworzyła skrzynię, którą Jonathan przyniósł ze strychu. Suknie i inne stroje dawno już zostały przejrzone i schowane do szafy.

Wyjęła tekę z rysunkami, która nadal leżała na dnie. Kilka dni temu rzuciła szybko okiem na pierwsze z nich, ale teraz zapragnęła przyjrzeć się uważnie wszystkim i wyobrazić sobie matkę podczas pracy nad nimi. Może z tęsknoty za nią, a może po to, żeby się jeszcze czegoś o niej dowiedzieć.

- Co tam masz? - spytała Marian, wchodząc do pokoju z czystą pościelą.

Celia nie krwawiła w nocy za wiele, ale trochę plam na prześcieradle jednak zostało.

- Rysunki i akwarele mojej matki.

Położyła tekę na stoliczku do korespondencji koło okna i uniosła okładkę.

- Wszystkie są jej dziełem. Marian spojrzała Ccii przez ramię.

- O, tę można by wystawić w sklepie na sprzedaż.

- Była bardzo utalentowana.

Akwarela wskazana przez Marian przedstawiała ogród widziany późnym

latem. Matka musiała siedzieć na małym tarasie, kiedy ją malowała.

- Jak bym umiała tak malować, tobym kilka obrazków sprzedała -

stwierdziła Marian.

- Może to robiła? Niewiele o niej wiem.

Celia odwracała kartę po karcie, podziwiając razem z Marian małe

pejzaże i większe widoki.

- Ale tego dużo - powiedziała Marian. - Zostawię cię z nimi. Zabiorę

Bellę na zakupy. Musi skończyć z tą swoją nieśmiałością.

Kiedy Marian wyszła, Celia nadal podziwiała mistrzostwo matki. Po

akwarelach nastąpiły rysunki, przeważnie pejzaże, a także kilka podobizn

ludzi. W połowie teki natrafiła jednak na coś innego.

Były to herby, starannie wyrysowane ołówkiem i pokolorowane. Na

następnej karcie widniał inny, podobny rysunek, ale już bez kolorów.

Zaciekawiona, przejrzała całą resztę. Wszystkie te rysunki przedstawiały

herby; niektóre były jej znane. Dziesięć pokolorowano.

Przeglądała teraz herby karta po karcie. Zauważyła, że na odwrocie

każdej z nich znajdowały się liczby. Na niektórych po kilka, na innych

znów całe kolumny, ale na pokolorowanych widniały tylko dwie, jedna

na górze, a druga na dole.

Zastanowiły ją te liczby. Każda miała po jakieś dwanaście centymetrów wielkości. Po chwili zrozumiała nagle, czym były i co oznaczały.

Odkrycie zaskoczyło ją. Przyglądała się rysunkom badawczo, wciąż od nowa, póki Marian nie zawołała, że nadszedł transport.

- Chodźcie, muszę wam coś pokazać - nakazała Celia stanowczo, kiedy już rośliny rozmieszczono na półkach, i powiodła Daphne na górę, do swego pokoju. Verity i Audrianna, które odwiedziły ją, by również spotkać Daphne, poszły za nimi.

- Co za miły pokój - zaopiniowała Verity. - Taki świeży w swojej prostocie.

- Urządziła go moja matka - wyjaśniła Celia. - Całkowicie się różni od tych w jej domu, w którym stale przebywała.

- Może jej przypominał dzieciństwo? - spytała Daphne, dotykając muślinowych zasłon. - A jeśli tak, pochodziła chyba z ludu. Ze wsi.

Uwaga przyjaciółki zaskoczyła Celię. Daphne lepiej od niej rozumiała ten dom. Miała też zapewne rację, że ukazywał on prawdziwą Alessandrę, skrytą za tamtą, osławioną Wenus. Kobietę, której córka nigdy nie poznała.

Zaprowadziła je do stoliczka i otworzyła tekę. Większość akwarel i rysunków leżała na łóżku, w teczce zostały tylko herby.

- Spójrzcie, co znalazłam. Jestem pewna, że te liczby na odwrocie to daty.

Wszystkie razem pochyliły głowy nad kartami.

- Czy to jakieś zapiski? - spytała zaskoczona Audrianna. - Rodzaj dziennika? - Obejrzała jedną kartę z tyłu i z przodu. - Och, znam kilka z

tych herbów. Trudno mi czasem zachować powagę, kiedy wraz z matką

Sebastiana składam wizytę niektórym damom.

- Zrozumiałam, że to jakiś szyfr, kiedy doszłam do wniosku, że te liczby mogą być datami - wyjaśniła Celia.

Verity uniosła w palcach jedną z kart.

- O Boże, ten baron jest znany z surowych zasad moralnych i zawsze grzmi głośno przeciw grzechom. - Odwróciła kartę i przypatrzyła się liczbom. - Najwyraźniej siedem lat temu parę razy odstąpił od swoich zasad.

Spojrzały wszystkie na siebie i stłumiły śmiech.

- Ależ by o tym plotkowano podczas najbliższego sezonu towarzyskiego!

- mruknęła Audrianna. - Spójrzcie tutaj. Nie sądzicie, że chodzi o ojca lub syna? - spytała, wskazując na jedną z kart.

- Dobrze pytanie - odparła Daphne. - Chyba jednak nie ojciec. Raczej przyszły dziedzic jego tytułu.

Audrianna parsknęła śmiechem.

- Nie żartuj, Daphne. Mnie się podoba myśl, że właśnie ten wicehrabia zbłądził. Jest taki arogancki! Spodziewam się, że jego niewiarygodnie pyszałkowata żona doznałaby wstrząsu na wieść o tym. Jest pewna, że mąż ją uwielbia.

- Możemy się pozostałymi zająć później. - Celia wskazała na rysunki. -

Mnie interesują wyłącznie te. Pokolorowano je specjalnie. Jedyne na nich nie ma wykazu dat. Widzicie? Liczby widnieją na górze i na dole.

Myślę, że chodzi tu o początek i koniec romansów.

Rozłożyła pokolorowane wizerunki herbów i kilka z nich odłożyła na bok. Pozostały tylko trzy.

- Te trzy pochodzą z czasów, kiedy mnie poczęto. Sądzę, że jeden z nich odnosi się do mojego ojca.

Wszystkie pochyliły się nad starannie wykonanymi rysunkami. Verity wskazała palcem jeden.

- To herb markiza Enderby'ego, Celio. Markiz jest w odpowiednim wieku. - Dotknęła drugiego. - Ten należy do barona Barrowle-igha, ostatni zaś, jak mi się zdaje, do hrabiego Hartlefielda. Hrabia ma teraz najwyżej czterdzieści pięć lat, ale odziedziczył tytuł bardzo młodo.

- Nie mogę go wyeliminować z przyczyny młodego wieku. W tym czasie matka nie była dużo starsza.

- Skąd tyle wiesz o heraldyce, Verity? Rozpoznałam herb Enderby'ego, ale innych nie - przyznała Audrianna.

Verity zacisnęła wargi.

- Wymagano ode mnie, żebym zapamiętała wiele z nich, było to częścią mojej edukacji. Żona mego kuzyna chciała mieć pewność, że z powodu mojej niewiedzy nie stracę żadnej sposobności do związania się z kimś wyżej stojącym ode mnie.

- Ale jak się przekonasz, Celio, który to z nich? - spytała Daphne. - Jeśli masz tu herby trzech arystokratów, to wciąż o dwóch za dużo. Nie możesz też mieć pewności, że ten właściwy wie, iż cię spłodził.

- Uważam, że wie. Myślę, że zobowiązał Alessandrę do zachowania tego w sekrecie.

Celia odłożyła rysunek do teki, zamknęła ją i spojrzała na przyjaciółki.

- Sądzę, że mogłybyście mi pomóc.

- Zrobimy, co się da - zapewniła ją Audrianna.

- Liczę zwłaszcza na ciebie, Audrianno. Matka Summerhaysa lubi plotkować, a niegdyś brylowała w wielkim świecie. Mogła słyszeć coś, o czym ci powie, jeśli ją do tego skłonisz.

- Ona wcale nie uważa tego za plotki, tylko za pouczenie - stwierdziła Audrianna. - W takim razie będę musiała spędzać z nią całe dni i znosić jej towarzystwo, żeby stworzyć klimat do zwierzeń. Jeśli jednak zasłyszała jakiegokolwiek pogłoski, to mi je powtórzy, żebym ja, jej nisko urodzona synowa, mogła się należycie orientować w wielkim świecie.

- Może i mnie się uda czegoś dowiedzieć, kiedy wymienię te nazwiska w obecności dam, które składają mi wizyty - zaofiarowała się Verity. - Wkrótce do Londynu przyjedzie ciotka Hawkeswella, żeby zamówić suknie na sezon. Ona też może coś wiedzieć.

- Żałuję, że ja się do niczego nie przydam - odezwała się Daphne. - Nie mam żadnej krewnej, z której można by wydusić stare plotki.

Celia uściskała wszystkie trzy po kolei.

- Może nic z tego nie będzie, ale to dopiero początek. Po raz pierwszy w życiu mam nadzieję, że dowiem się, kim jest mój ojciec.

- Ale kiedy to się stanie? - spytała Daphne.

- Nie wiem.

Tylko że w głębi duszy wiedziała.

Zarysował się cień szansy poznania jego nazwiska. Być może jednak

utraci tego człowieka na resztę życia. Być może się jej wyprze. Ale ona porozmawia z nim jak córka z ojcem, zanim to nastąpi.

„To tylko to”.

Słowa te rozbrzmiewały w jego myślach przez cały dzień. Słyszał je wyraźnie, kiedy sobie przypominał, jak rozchyłał suknię Celi, odsłaniając piersi. Widział jej błyszczące oczy, czuł jej podniecenie, niewinne i zarazem przewrotne.

Był bliski szaleństwa, czekając na kolejną noc. Usiłując zapanować nad tymi obrazami, bez większego sukcesu szukał jakiejś rozrywki. Ale wczesnym wieczorem rozrywka znalazła jego.

Przechadzał się właśnie zatłoczonym Stranem, bo gdy spacerował, jego ciało zadawało mu mniej tortur. I wtedy nagle wielki powóz wyłonił się spośród mnóstwa innych i z trudem zahamował tuż obok niego. Jonathan pomyślał z irytacją, że gdyby kierował nim inny stangret, ekwipaż mógłby go zabić, skręcając tak gwałtownie.

Kiedy do niego podszedł, drzwiczki powozu się otworzyły.

- Wsiadaj.

Zajrzał do środka. Ujrzał rozwalonego na siedzeniu Castleforda w objęciach jakiejś kobiety.

- Może innym razem, Wasza Wysokość.

- Och, do diabła, wsiadaj! Kończę z nami, jeśli zamierzasz mi dziś prawić morały. - W powozie doszło do małej szamotaniny, błysnęła jakaś moneta. - Masz i wysiadaj, gołąbeczko. Mój służący wsadzi cię do dorożki.

- Mówiłeś, że odwieziesz mnie do domu - narzekał kobiecie głos.

-Obiecałeś mi jazdę kareta!

- No i jechałaś nią. Muszę teraz pomówić z tym człowiekiem. A ty i tak wrócisz do domu wcale wygodnie.

Z powozu wychyliła się najpierw ładna buzia, a potem obfite ciało w wieczorowym stroju. Lokaj prześliznął się koło Jonathana, żeby pomóc tej kobiecie wysiąść.

Wysiadła, obróciła się i krzyknęła w ciemność:

- Przyrzekłeś mi, że się znajdę w tej książce, pamiętaj! Nie zapomnisz?

- Będiesz tam miała cały rozdział, miła damo. Zobaczymy się wkrótce.

Zadowolona ładacznicą poszła za lokajem. Jonathan wsiadł do środka.

- Dobrze, że cię akurat dojrzałem na ulicy - powiedział mu Castleford tytułem powitania. - Mam nowiny.

Książkę nadal leżał w powozie niedbale rozwalony i ledwie zdawał się go poznawać. Cokolwiek się tu poprzednio działo, pozostawiło tak mocny zapach, że Jonathan sięgnął ku okienku, chcąc je otworzyć.

Castleford zauważył to.

- Postąpiłem po grubiańsku. Powinienem jej być pozwolić zostać, żebyś i ty...

- To nie było konieczne. - Niejasna wzmianka wystarczyła, żeby zeszywniał. Był półprzytomny i z powodu wspomnień, i całodniowego wyczekiwania. - Jakie to nowiny?

Castleford podrapał się po głowie, przez co był teraz jeszcze bardziej rozczochrany. Żaden służący nie zajmował się nim dzisiaj. Wyglądał,

jakby przespał się w ubraniu. Po podłodze powozu przetaczały się puste butelki po winie.

Dostrzegł badawcze spojrzenie Jonathana i się zaśmiał.

- Hulałem całą noc i dzień, w razie gdybyś był tym zdziwiony. Zbieram materiał do książki. Czy uwierzysz, że można chędożyć się z babą w powozie na sześć różnych sposobów i nic sobie przy tym nie zrobić ani nie przysporzyć komukolwiek większej przykrości?

- Sześć, powiadasz? Imponujące. Mogę sobie wyobrazić co najwyżej trzy lub cztery.

- Ja też tak sądziłem. Powiedziała mi, że robi to na sześć różnych sposobów. Oczywiście musiałem się o tym przekonać.

- Oczywiście.

- Czy mnie potępiasz, Albrighton? Wyglądałeś przed chwilą całkiem jak mój preceptor.

- Dostyc się w życiu nagrzeszyłem, żeby nie mieć prawa potępiac większości mężczyzn, a już najmniej tych, którzy barłożą się z kobietami.

Była to prawda, zwłaszcza pod ostatnim względem. Nie wątpił, że mężczyzna siedzący naprzeciw niego mógł przez pół doby uprawiac rozpustę w swoim powozie, nigdy by jednak nie uwiódł niewinnej dziewczyny. Co świadomie i celowo zrobił Jonathan i chciał robic nadal. Przypuszczał też, że Castleford, mimo ciągłego przebywania z dziwkami, nigdy by sam nie pchnął kobiety na drogę płatnej rozpusty. Co być może on, Jonathan, też zrobił zeszłej nocy.

Nic z tego się jednak nie liczyło tej nocy ani też następnej, póki Celia

będzie wpuszczać go do sypialni. Jeśli jednak przypominał teraz trochę mentora, powodem nie były obyczaje Castleforda.

- Mów, co to za nowiny! - ponaglił księcia. Castleford ziewnął i przymknął oczy.

- Czemu szedłeś pieszo? Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy cię dojrzałem zza zasłonek, i to w szczytowym momencie ekstazy. Gdzie twój koń?

- Zostawiłem go w tawernie na Strandzie. Chciałem się trochę przejść. Po cóż wyjrzałeś zza zasłonek akurat w takiej chwili?

- Chciałem się upewnić, czy ona nie udaje. Robią to czasami. Och tak, robią. Zobaczyłem cię czystym przypadkiem. Zasłonki trochę się za szeroko rozsunęły.

Jonathan wybuchnął śmiechem.

- Wybacz, ale właśnie się zastanawiałem, jak w momencie szczytowania mogłeś mimo to cokolwiek dojrzeć i wrzasnąć na stangreta, żeby zahamował.

Castleford wydawał się zaskoczony.

- Nic dziwnego, że tak podskoczyła w kluczowym momencie, a potem padła bez ruchu jak nieżywa. Do diabła, pewnie myślała, że ja wrzeszczę na nią! - Też wybuchnął śmiechem. - A to dopiero!

- Zatrzymaj się - poprosił Jonathan.

- Stań natychmiast! - Castleford wytarł oczy po wydaniu stangretowi polecenia. - Biedaczka. Z pewnością będzie miała w książce swój rozdział. Może napiszę go w formie osobistego wspomnienia, żeby jej

oddać sprawiedliwość.

Kazał stangretowi ruszyć.

- Zawrócimy i pojedziemy po twojego konia.

Jonathan odczekał minutę, a potem znów przypomniał księciu:

- Jakie to nowiny? Czy chodzi o Thornridge'a?

- Jeszcze nie. On jest nieobliczalny. Znowu wyjechał na wieś. Może to

oznaczać kilkutygodniową zwłokę. Nie, moje nowiny dotyczą kogoś

innego. Zaraz, kogo? - Castleford zmarszczył czoło, usiłując

wytrzeźwieć. - Ach tak, Dargenta.

- Ojca czy syna?

- Obydwóch. Ojciec oczywiście miał kontakty z wojskowymi podczas

wojny. Dawał im wskazówki dotyczące terenu. Nowina polega na tym, że

jego syn często mu wówczas towarzyszył. Stary Dargent wiedział, że jest

chory, i chciał przekazać całą rekompensatę za tę pomoc synowi wraz z

majątkiem.

- Czy o tym wiedziano? Castleford wzruszył ramionami.

- Zapewne wiedział o tym każdy z zainteresowanych. To nie był sekret,

ale też nie pisano o tym w gazetach.

A więc Anthony wiedział, o co pytano ojca. Rząd postąpił nierozsądnie,

ale trudno mu się dziwić. Ojciec i syn byli uczciwi, lojalni, więc któż by

mógł się spodziewać jakichś kłopotów z ich strony? Wojskowi nie

zdradzali przecież swojej strategii, nawet jeśli ktoś postronny by poznał te

pytania.

Nie były to również nowiny, które Jonathan chciałby usłyszeć. Dużo

lepiej byłoby, gdyby Alessandra nie miała istotnych powodów, żeby pchnąć córkę w ramiona Anthony'ego. Powtarzał sobie, że to tylko podejrzenia i pogłoski, nic więcej, ale instynkt - który zignorował niegdyś w chwili niebezpieczeństwa - podpowiadał mu wyraźnie, żeby porzucić te mrzonki.

Uznał, że jego poszukiwania pozwolą oczyścić z zarzutów Alessandrę lub przynajmniej pozostawić tę kwestię otwartą. To wszystko.

Postanowił, że poczeka do jedenastej, nim uda się do Celi, ale zrobił to jeszcze przed dziesiątą.

Słyszał, jak Marian i Bella idą do siebie i zamykają drzwi. Każda następna minuta wydawała mu się wiecznością.

Zapewne nie musiał być aż tak dyskretny. Marian najwyraźniej wiedziała, co się stało zeszłej nocy. Spokój, z jakim obojętnie zaproponowała mu rano kąpiel, był wymowny. Ciekaw był, czy upomniała Celię za nierozwagę. Być może, skoro sama trudniła się nierządem, nie uważała, by miała do tego prawo.

Zszedł na dół tylnymi schodami i stanął przed sypialnią Celi. Cały dzień wręcz płonął z pożądania i z każdym krokiem przybliżającym do niej tracił zwykle opanowanie.

Nie musiał pukać. Wypowiedziała cicho jego imię, gdy tylko się tam znalazł. Otworzył drzwi i ujrzał scenę, na której widok wręcz oniemiał ze szczęścia.

Celia siedziała tuż przy buchającym żarem kominka, ubrana w jedną ze swych specjalnych atlasowych sukien, a piękny różowy kolor tkaniny rzucał refleksy na jej skórę. Stanik uszyto z cieniutkiego, przejrzystego materiału, przez który przeświecały piersi niby przez mgiełkę. Włosy miała rozpuszczone i wyszczotkowane, twarz czysto umytą i jaśniejącą.

Obok niej czekało drugie krzesło, a na stoliczku stała butelka wina.

- Siadaj - zaprosiła go.

Nie chciał siedzieć. Chciał porwać ją w ramiona, rzucić na łóżko i...

Usiadł. Nalała mu wina do kieliszka. Wypił je. Nastrój tego wnętrza, ciepły i domowy, uśmierzył nieco jego żądzę. Zdał sobie sprawę, kiedy tak siedzieli, popijając ciemnoczerwony płyn przy buzującym ogniu, że właśnie tego chciała. Nie zapomniał, że wpojono jej wielowiekową wiedzę o mężczyznach.

Zdawała się wiedzieć, jak można okiełznać burzę uczuć. Odstawiła kieliszek i wstała. Już wyciągnął ku niej ręce, kiedy go łagodnym gestem powstrzymała.

- Zostań tam, Jonathanie. Otrzymasz wszystko, czego pragniesz, a nawet więcej.

Odstąpiła w tył, zrzucając pantofelki. Uznał, że to jeden z najbardziej erotycznych gestów, jakie widział u kobiety.

Rozpięła suknię na ramionach, patrząc na niego śmiało. Wzrok jej świadczył, że jest świadoma swego działania i wie, jaką satysfakcję mu sprawiają jej powolne ruchy. Lśniaca tkanina spłynęła w dół i Celia stanęła przed nim naga, w złocistym blasku ognia, z szeroko rozwartymi oczami, jakby ją to wszystko zdumiewało.

Znów poruszyła piękną, nagą stopą, tym razem kierując się ku przodowi, a nie w tył. Stanęła tuż przed nim, przepiękna i gotowa do miłości, roztaczając delikatny zapach podniecenia.

- Siedziałam tu przez dwie godziny, myśląc tylko o tym, czy do mnie przyjdiesz - wyznała.

- A ja przez większą część dnia nie myślałem o niczym innym. Powiódł końcami palców wzdłuż jej ramion. Ku jego zaskoczeniu

ujęła jego dłoń i uniosła ją do warg.

- Tylko trochę - powiedziała, rozsuwając uda. - Jeszcze trochę. Opuścił dłoń i głaskał ją powolnymi ruchami. Rozkosz wstrząsała nią, przeobrażając jej twarz. Chciała, by to widział, i prosiła, żeby nie przestawał, a w nim podniecenie narastało jak burza.

Zaskoczyła go może po raz ostatni. Wdzięcznie uklękła przed krzesłem, na którym siedział. Rozpięła mu guziki koszuli, odsłaniając nagą pierś. Pochyliła się ku przodowi, tak że jej cudowne piersi spoczęły na jego udach, a przepięknie zarysowane pośladki przesunęły się niżej. Całowała jego tors, pieściła i lizała językiem, a on stał się twardy i nie mógł już myśleć o niczym.

Pieszczoty przesuwały się coraz niżej, jej palce walczyły teraz z guzikami spodni. Błysk nadziei przemienił się w bezlitosną determinację i jednoznaczną potrzebę. Pierwsze z jej pieszczot były doznaniem czysto fizycznym. Potem pocałunki przeniosły się jeszcze niżej, jej usta podporządkowały go sobie w pełni, a on przymknął oczy, poddając się tej perfekcyjnej torturze.

- Jak ją poznałeś? Moją matkę.

Wsparała się na łokciu, zadając to pytanie. Leżeli w jej łóżku, pod kołdrą, tuż przy sobie. Ogień już nie buzował, tylko błyskał słabo w mroku.

- Czemu o to pytasz?

- Czy ty zawsze odpowiadasz na pytania wymijająco? Pytam, bo dużo dziś o niej myślałam.

- Z mojego powodu? Roześmiała się.

- Ależ jesteś próżny! - Wiedziała jednak, co miał na myśli. A także, jak przypuszczała, czego się obawiał. - Może trochę i z twojego powodu.

Powoli zaczyna do mnie docierać, jak mało o niej w gruncie rzeczy wiedziałam. Na przykład nie miałam pojęcia o tym domu. Ani o jej przeszłości.

Przyciągnął ją mocniej do siebie.

- Znała moją matkę. Odwiedziła ją, kiedy tamta zachorowała. A gdy umarła, Alessandra była jedną z niewielu osób na pogrzebie. Wiele lat później zdradziła mi, że ostrzegła moją matkę: „Bardzo dobrze jest zostać kochanką hrabiego, ale najpierw trzeba zażądać zawarcia umowy”. Matka zignorowała tę radę, świadomie. Nie wiem dlaczego.

Wiedział dlaczego. Matka nie chciała być hrabiowską dziwką. Miała nadzieję na coś więcej lub też wolała, żeby to był uczciwy romans. Nie wyjaśniała mu tego. Bo i po co.

- Kiedy skończyłem studia uniwersyteckie, Alessandra napisała do mnie, żebym ją odwiedził, gdybym kiedyś potrzebował przyjaciółki. Zrobiłem to więc, bo nie znałem wówczas zbyt wielu osób w Londynie.

- Zaoferowała ci dość nietypowe wejście w krąg socjety, ale jednak wejście. Mogłeś poznać całą elitę podczas wydawanych przez nią przyjęć i obiadów.

- Właśnie tak to widziała. Było miłe z jej strony, że pamiętała o mnie po tych wszystkich latach.

Celia uznała, że to wiele wyjaśnia. Na przykład czemu Jonathan tam w ogóle bywał, choć nigdy nie został jej protektorem. Dlaczego Alessandra

wynajęła mu pokój na poddaszu. Pomagała synowi dawnej przyjaciółki, która niemądrze, w imię czystej miłości, nie zadbała należycie o jego przyszłość.

- Czy wiedziała o twojej pracy dla rządu? Na wybrzeżu?

- Sądzę, że się tego domyślała. Nigdy nie pytała, gdzie się podziewam, kiedy do niej nie przychodzę. Jakby wiedziała, że nie trzeba

pytać. - Teraz on z kolei wsparł się na łokciu. Drugą ręką ją gładził. -Za dużo o tym rozmyślałaś. Zwłaszcza nocą. Myślę, że powinnaś się od tych myśli oderwać.

Dotykał ją powoli, co wkrótce uczyniło wszelkie myślenie niemożliwym. Przymknęła oczy i pozwoliła ponieść się błogości, która spływała na nią dzięki tej ręce.

- Kto cię nauczył tak się posługiwać ustami, Celio? Otworzyła oczy zaskoczona.

- Ona.

- Nigdy tego przedtem nie robiłaś?

- Czy zaczynasz być zazdrosny?

Spojrzał na swoją dłoń, a ona - na jego twarz.

- Tak.

Nie mogła zdecydować, czy ją to wzrusza, czy denerwuje. W końcu

wybrała to pierwsze, bo doznawana przez nią satysfakcja skłaniała ją do takiego wyboru. Lepiej, by czuł się zazdrosny niż winny.

Spojrzał na nią surowo.

- Nie powiesz mi?

- Z pewnością byłeś w jakiś sposób moim pierwszym mężczyzną. Nie da się tego ukryć. Reszta nie powinna cię obchodzić.

Uśmiechnęła się nieznacznie, a w jego oczach błysnęło rozbawienie.

- Nie jesteś tak sprytna, jak sądzisz, Celio. I już samo to wiele mówi.

Resztę mogę dojrzeć w twoim wzroku i usłyszeć w twoich jękach. Czym innym jest wiedzieć o czymś, a czym innym doznać tego. Czy uważasz, że nie widzę różnicy?

- Nie sądzę, żebyś wiele zauważył, czy to w jednym, czy w drugim przypadku.

Nachylił się i ucałował jej pierś.

- Och, zauważam. Gdyby cię tego nauczono, nie zauważyłbym i popełniłbym błąd.

Ujął ją za dłonie i unióś nad jej głową.

- Chciałbym mieć pewność, że ty byś to również zauważyła, w przypadku gdyby cię nauczono ignorowania obecności mężczyzny, z którym dzielisz właśnie łóżko.

Skąd o tym wiedział? Może tylko się domyślał, że to ma znaczenie dla wielu kobiet, a może nawet jest dla nich koniecznością.

Nie musiał się upewniać o niczym. Nie mogła ignorować tego, z kim teraz leżała. Widziała go w poświacie kominka, z włosami spadającymi mu na twarz, kiedy ją pieścił. Nawet z zamkniętymi oczami, nawet gdy krzyczała z rozkoszy, kiedy pobudzał ustami jej piersi, a jego dłonie czuła wszędzie na sobie, nawet gdy znikало wszystko prócz pulsującego pożądanego, nie mogłaby zapomnieć o jego obecności.

Trzymał jej ręce nad głową przez cały czas i czuła mu się tak podporządkowana, że nie mogła pofolgować narastającemu w niej pożądaniu. Na końcu unieruchomił obie jej nogi swoimi, gdy znów pieścił najwrażliwsze miejsce jej ciała, wzbudzając w niej coraz silniejsze doznania. Szalała, płakała i jęczała, obejmując go mocno, kiedy nakrywał ją swoim ciałem i rozsuwał jej kolana, by przyjął go w siebie.

Przenosił ją w niebiosy. Nic więcej nie istniało. Nie była w stanie uwierzyć, że to może być tak wspaniałe, tak zadziwiająco satysfakcjonujące. Kiedy poruszał się w niej, obejmował ją, kiedy dominował nad nią, tak silny i władczy, przenikały ją na wskroś dreszcze, drżała, godziła się na to i błagała o więcej, o ulgę, o ten przeraźliwy pęd ku rozkoszy, kończący się spełnieniem którego nieodparcie się domagało jej ciało. A gdy crescendo sięgało szczytu i załamywało się w spaźmie orgazmu, wtedy, i tylko wtedy, Jonathan przestawał dla niej istnieć. Nie widziała wówczas niczego, nie myślała, nie czuła.

Jego zaś spełnienie przypominało potężny wystrzał. Lubiła czuć wewnątrz siebie tę jego twardość, jego moc, i to, jak już zaspokojony się rozluźniał. Otaczała go nogami i mocno obejmowała, czując jego ciężki oddech na swoich włosach i napięte mięśnie jego ciała, które trzymała w uścisku, najdłużej, jak mogła.

Następnego dnia udawali, że zeszłej nocy w ogóle nie było.

Jonathan uznał, że trochę groteskowo jest zachowywać się tak wobec Marian. Z Bellą było inaczej. Ta lękliwa jak myszka młoda kobieta, która, jak podejrzewał, miała dotąd ciężkie życie, uwielbiała wprost Celię i

zapewne właśnie dlatego wołała dyskrecję.

Było to niełatwe zadanie. Ani on, ani Celia nie potrafili ukryć radości bijącej z ich oczu, kiedy powiedzieli sobie rano „dzień dobry”, schodząc na dół. Formalności zakrawały na żart.

- Stół jest czysty, a Marian wciąż jeszcze trzyma patelnię na ogniu, gdyby pan zechciał coś zjeść, panie Albrighton. - Celia wskazała na mały stolik w bawialni na tyłach domu, gdzie umieściła część roślin przywiezionych przez Drummonda.

- Nie spodziewałem się tu wiktu, panno Pennifold.

- Mądry człowiek nie spodziewa się niczego ani za to nie płaci z góry.

Brak pretensji czyni hojność tym bardziej mile widzianą.

- Zeszłego wieczoru doszedłem do wniosku, że jest pani nadzwyczaj hojna, panno Pennifold.

Skorzystał z tej hojności tego ranka, podobnie jak i w nocy. Usiadł za stołem i patrzył, jak Celia rozmawia z Drummondem i wskazuje mu, gdzie postawić doniczki z cebulkami.

Posiłek podano, gdy tylko skończyła. Siadła przy stole, kiedy jadł. Nic nie mówiła, ale wymieniane przez nich spojrzenia były aż nadto wymowne.

Wspomnienia ubiegłej nocy zawisły między nimi, choć nie padło ani jedno słowo. Mimo wszystko czuł, że jakieś słowa byłyby jednak potrzebne. Skądinąd usiłował znaleźć je już wtedy, kiedy ją o świcie opuszczał.

- Czy wybiera się pan gdzieś dzisiaj? - spytała Celia, gdy Bella zmywała naczynia.

- Chyba tak.

- Może zechciałby mi pan poświęcić kilka minut przed wyjściem?

Chciałabym panu coś pokazać.

Poszedł za nią do biblioteki. Gdy tylko się tam znaleźli, zamknęła drzwi, a potem wspięła się na palce i pocałowała go.

Ale to nie było wszystko. Nie mogło zresztą być. Skorzystał z tego sam na sam, żeby ją objąć i pocałować, jak należy.

- Powinnaś mi pokazywać coś w bibliotece przynajmniej kilka razy dziennie.

- To nie był wybieg, żeby zyskać po kryjomu parę pocałunków,

Jonathanie. Naprawdę muszę ci coś pokazać. Spójrz tutaj.

Ujęła go za rękę i zaprowadziła do stołu. Ujrzał tam tekę z dwóch arkuszy tektury oklejonych papierem w marmurkowy deseń, kryjącą w sobie spory plik dużych kart. Na wierzchu spoczywał akwarelowy widok ogrodu. Celia odłożyła go na bok, odsłaniając to, co było pod spodem.

Dużo rysunków przedstawiających herby.

- Leżały w skrzyni matki. Jak sobie pewnie przypominasz, znalazłam je na strychu, ukryte pod akwarelami. Myślę, że można by się z nich dowiedzieć, kto był moim ojcem. Mówiłeś, że mógłbyś mi pomóc, gdybym miała więcej danych. Teraz je mam.

Wskazała mu liczby na odwrocie kart i wyjaśniła, że według niej chodzi tu o daty. Także i to, że pokolorowane herby oznaczały długie romanse, a trzy z nich wiązały się z rokiem jej urodzenia.

Przyjrzał się wszystkiemu. Do licha! Celia natknęła się najwyraźniej na

listę kochanków Alessandry, którą Edward polecił mu znaleźć.

- Czy sądzisz, że to ci pomoże? - spytała.

- W czym?

- W odszukaniu mego ojca.

- Wezmę wszystko do mego pokoju i zastanowię się nad tym.

- Po co? - spytała ze zdziwieniem. - Wiem, kim byli ci trzej mężczyźni.

To Enderby, Barrowleigh i Hartlefield. Verity zidentyfikowała herby. A

ta reszta - powiedziała, wskazując stos herbów bez kolorów -nie ma

żadnego znaczenia.

A tymczasem miały je jak najbardziej. Powinien spędzić sporo czasu nad

tymi rysunkami i datami, obłożony książkami o heraldyce. Chciał się

przekonać, które z nich mają daty o wiele wcześniejsze od narodzin Celi.

Obchodziły go także te z datami sprzed mniej więcej pięciu lat, czyli z

okresu jego fatalnej misji na kornwalijskim wybrzeżu.

Zdał sobie sprawę, że Celia uważnie mu się przygląda, jakby dostrzegła,

że on wie dużo więcej, niż zdradza jego twarz.

Spojrzał w jej pytające, teraz zaniepokojone oczy, a potem znów na

rysunki. W herbach, był tego pewien, kryły się odpowiedzi na pytania,

kim naprawdę okazała się Alessandra, a zapewne też wskazówka, kim był

człowiek, którego niedyskrecja przyczyniła się do zastawienia pułapki na

Jonathana. Dzięki tym rysunkom w ciągu jednego czy dwóch dni mógł się

dowiedzieć wszystkiego.

A potem co? Pytanie wydawało się znaczące.

Wyobraził sobie rozczarowanie na tej ślicznej twarzy, kiedy Celia dowie

się wszystkiego. Co będzie myślała i czuła, jeśli odkryje, że jej matka zdradziła swój kraj, a może nawet własną córkę, podczas pertraktacji z Anthonym?

- Jeśli nie mają znaczenia, to może powinnaś je spalić?

- Po cóż miałabym to robić? One są jakby jej pamiątkami. Rysunki wyszły spod jej ręki. Zostało mi po niej bardzo mało, zwłaszcza rzeczy osobistych.

- Mogą być kłopotliwe dla mężczyzn, z którymi łączyły ją romanse.

Ujrzał nagły błysk w jej oczach.

- Ale tylko wtedy, gdyby dostały się w ręce niepowołanej osoby, która odgadłaby, co oznaczają liczby na odwrocie. Wątpię, by tak się stało.

Jej delikatne palce zatrzymały się na kolorowanym rysunku.

- A co do tych trzech...

- Sądzisz, że zawęziłaś krąg poszukiwań, ale pewności mieć nie możesz.

- Przypuśćmy, że ją uzyskam. Czy mógłbyś mi pomóc w poszukiwaniach zawężonych do tych trzech?

Ujął w palce te trzy rysunki. Niewątpliwie kryła się w nich odpowiedź.

Było to więcej danych niż te, które otrzymał w niektórych ze swoich zadań.

- A co zrobisz, jeśli ci pomogę, i dowiesz się, kto to jest?

- Już ci powiedziałam. Chcę tylko poznać jego nazwisko.

- To nie wystarczy. Myślę, że będziesz zmuszona z nim porozmawiać.

Zesztywniała i spojrzała na niego mniej życzliwie.

- Czy zamierzasz mi tego zabronić?

A więc Jonathan istotnie domyślał się, że tak właśnie będzie. Co

oznaczało, że miał rację i wiedział o tym.

- Gdy staniesz oko w oko z tym mężczyzną, zapewne doczekasz się obelg.

Obawiam się, że jeśli pomogę ci się dowiedzieć, kim on jest, złamie ci to serce.

Jej pewność siebie osłabła, a oczy znów rozbłysły, ale od łez.

- Ale przynajmniej miałabym pewność. Musiałby najpierw ze mną

porozmawiać, żeby mi ubliżyć. Musiałby spotkać się ze mną, zobaczyć

mnie i stwierdzić, że jestem jego córką, żeby mi odmówić uznania.

Zaryzykuję złamanie mi serca, Jonathanie, w zamian za kilka minut

rozmowy i najbardziej elementarne stwierdzenie z jego strony, że żyję.

Chciał się z nią spierać, odwieść ją od tego pomysłu. Powiedzieć jej, że

tego robić nie warto. Wiedział jednak, że sam postąpiłby tak samo.

Świadomość, że własny ojciec go uznał za syna, dała mu punkt oparcia w

życiu. Wiedział, kim jest. Celia potrzebowała znać nazwisko tego

człowieka i nie była to żadna błahostka.

- Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć. Znów wspięła się na palce i

ucałowała go.

- Dziękuję. Nie proszę cię, żebyś zrobił coś, co by go zraniło. Myślałam

tylko, że mógłbyś się po prostu dowiedzieć czegoś po cichu.

Ucałował ją, wątpiąc, czy mógłby zadać wiele pytań, nim mężczyźni, o

których chodziło, zorientowaliby się w tym. Może jednak rozmowa ze

stryjem Edwardem pomogłaby wyeliminować jednego czy nawet dwóch.

Ciepło i miękkość jej ciała pozwoliły mu zapomnieć o złych przeczuciach

co do kosztów, jakie by w końcu poniosła wskutek jego zgody. Rysunki

leżały za nią na stole. Spojrzał na nie.

- Zostaw tutaj tę teczkę, Celio. Chciałbym się bliżej przyjrzeć pracom twojej matki. Może uda mi się dowiedzieć dzięki nim czegoś więcej.

Potrzebuję twojej rady, Jonathanie.

Słowa dotarły do niego poprzez mrok, przenikając dogłębne zadowolenie, jakiego doświadczał, leżąc w ciemności z Celią w ramionach.

Obejmował ją od tyłu, trzymając w dłoni jej pierś. Zatracała się całkowicie, doznając orgazmu, i pociągała go za sobą tam, gdzie w końcu eksplodował także i on.

Jej głos pomógł mu ponownie odzyskać przytomność, ale ekstaza nadal trwała, zbyt żywa, by stać się wspomnieniem. Mógł ją już określić słowami, co jeszcze kilka minut temu wydawało się niemożliwe.

Perfekcyjna. Zdumiewająca. Pierwotna. Pełna czegoś, z czego mężczyzna łatwo nie rezygnuje.

- Rady co do twoich roślin? - szepnął. - Obawiam się, że nie jestem lepszym ogrodnikiem niż stolarzem.

- Co do przyjaciółki. Wczoraj wieczorem dostałam list od Audrianny. Chciała, żebym dziś przyszła do niej z wizytą. Poprosiła mnie jednak, bym to zrobiła dyskretnie. Z pewnością nie mogę jej złożyć wizyty tak, jakbym była jedną z jej innych przyjaciółek.

- Na to wygląda.

- Nie chcę jej przysparzać kłopotów zarówno ze względu na męża, jak i na teściową.

- Może powinna sama rozstrzygnąć, czy masz jej sprawiać kłopot i jak bardzo tego chce.

Na chwilę Celia zamilkła. Wyczuł, że denerwuje ją to zaproszenie.

- O mojej matce dowiedziała się przypadkiem, niedługo po za-mążpójściu. Pamiętam, jak przysłała do Najrzadszych Kwiatów i powiedziała mi, że nie może już dłużej być oficjalnie moją przyjaciółką. Płakała rozpaczliwie, ale ja się, rzecz jasna, spodziewałam, że tak się kiedyś stanie. Sebastian pozwolił jej jednak widywać się ze mną, co uznałam za bardzo wielkoduszny gest z jego strony.

- Sebastian najwyraźniej ma na te sprawy nowoczesny pogląd.

- Albo zyskał go dzięki niej. - Zachichotała. - Ciekawe, jak tego dokonała.

- Może to ona okazała się niezwykle wielkoduszna. - Pocałował ją w ramię. - A ja zamierzałem pójść dziś do niego. Czemu nie miałbym cię tam odprowadzić?

Obróciła się wewnątrz jego objęć i spojrzała na niego.

- Zrobiłbyś to? Przyznaję, że z obawą podeszłabym do tych drzwi, wyobrażając sobie, co by się stało, gdybym ją źle zrozumiała i...

- Jesteś tak samo godna podejścia do tych drzwi, jak każda ze znanych jej kobiet. Powiedziała ci to i miała rację. Pojedziemy tam po południu twoim kabrioletem.

- Byłoby to zbyt ostentacyjne. Gdyby ciebie za często widywano ze mną, zaczęto by łączyć nasze nazwiska.

- Nikt nie zwróci uwagi na dwoje nieznanych nikomu bękartów jadących kabrioletem. Ani nie zniszczy to twojej reputacji.

- Nie boję się o moją reputację, Jonathanie. Liczysz na osiągnięcie czegoś więcej w życiu niż ja. I to właśnie ty powinieneś być ostrożny.

Zmienił pozycję, tak że leżał teraz na niej i mógł jej patrzeć prosto w

twarz.

- Moja reputacja wcale nie ucierpi na tym, że ludzie zobaczą cię ze mną.

To absurd.

Zaczęła coś mówić, ale urwała. Odwróciła głowę, unikając jego wzroku.

Gasnący kominek dawał mało światła, a z twarzy Celi nie mógł

wyczytać, co ona czuje. Pomyślał jednak, że wygląda bardziej na

rozzaloną niż rozgniewaną.

- W takim razie pojedziemy zamkniętą dorożką. Nikt się nie dowie, jak

niemądrzy jesteśmy obydwój.

- Jakie to miłe ze strony twego lokatora, że ci towarzyszy - powiedziała po

południu Audrianna, przyjmując ich u siebie.

Siedziały we dwie w jej prywatnej bawialni. Jonathan po przyjeździe

spytał o Sebastiana i obydwaj od razu przeszli do biblioteki.

- On jest dla mnie teraz kimś więcej niż lokatorem... Audrianna się

uśmiechnęła.

- Myślę, że nie jest chyba najgorszym kochankiem.

- Sądziłam, że będziesz wstrząśnięta.

- A jednak, wyobraź sobie, nie jestem.

- Z powodu mojej matki? Audrianna spoważniała.

- Co za niemądre pytanie, Celio. Nie wstrząsnęło to mną, bo ty jesteś

kobietą, on - przystojnym mężczyzną, a odkąd cię znam, o miłości

cielesnej miałaś zdanie... jakby to określić... ironiczne.

- Wybacz mi. Masz rację, zadałam niemądre pytanie. Nawet póki nie

wiedziano, że jestem córką Alessandry Northrope, zbyt pochopnie

dopatrywałam się obelg tam, gdzie wcale ich nie było.

Teraz na łagodnej twarzy Audrianny pojawiła się troska.

- A czy czasami bywy?

- Oczywiście. Jestem ci wdzięczna, że przyjmujesz mnie dziś jawnie, ale boję się, że za to zapłacisz. - Spojrzała na drzwi. - Czy twoja teściowa wie, że jestem tutaj?

Audrianna zaczęła przyglądać kasztanowate włosy, przechylając głowę na bok.

- Tak się złożyło, że wyjechała dziś rano na wieś. Wątpię, czy wróci przed początkiem sezonu.

- W takim razie moja wizyta nie wywoła skandalu.

- Och, teściowa o niej wie. Wczoraj posprzeczałyśmy się mocno, nim napisałam do ciebie list. Spytałam ją o twoją matkę i o te stare plotki, więc się w końcu domyśliła, że nadal jesteś moją przyjaciółką, no i...

Wzruszyła ramionami.

- Właśnie to miałam na myśli! Nasza przyjaźń przysparza ci kłopotów, nawet jeśli jesteśmy dyskretne. A dużo gorzej byłoby, gdyby...

- Nie, wręcz przeciwnie! Pozwól, że ci powiem, co się zdarzyło.

Wciągnęła w tę sprzeczkę Sebastiana, który czuł się z powodu matki bardzo głupio, o czym powinnaś wiedzieć. Wziął moją stronę i powiedział, że nadal będę cię przyjmować, a ona musi się z tym pogodzić albo opuścić ten dom. - Audrianna uznała, że jej włosy są już w zupełnym porządku. Złożyła ręce na kolanach i spojrzała na Celię niewinnie. - A więc Sebastian, żeby tak rzec, zarządził, żebym cię przyjęła, a jego matka

na wszelki wypadek wyjedzie na wieś.

- Rozumiem. Bardzo to wygodne.

- Prawda? Sebastian pewnie gratuluje sobie tego pomysłu.

- A jeśli już mowa o twojej teściowej... Czy przed wyjazdem nie przypomniła sobie czasem jakichś plotek na temat mojej matki?

- Dużo więcej, niż oczekiwałam, ale głównie dotyczyły tych trzech mężczyzn. Wspomniała, że Hartlefield nie miał ani syna, ani córki, mimo że aż trzy razy w życiu się żenił.

- Może miał pecha i trzy razy poślubił bezpłodne kobiety.

- Niektórzy sądzą, że wina może leżeć po stronie mężczyzny. Ale jeśli prawidłowo rozszyfrowałaś te rysunki, mężczyzną, którego szukasz, może być albo Barrowleigh, albo Enderby.

- Czy mówiła o nich coś ciekawego?

- Twierdziła, że romans Enderby'ego z Alessandrą był gwałtowny, ale krótki, bo hrabia zakochał się w innej kobiecie, którą potem poślubił. A co do Barrowleigha to powszechnie sądzono, że pragnął się nawet żenić z Alessandrą, ale ona tego nie chciała. Może się jej oświadczył, bo wiedział, że była w odmiennym stanie?

- Może. - Ale niekoniecznie. Nie była to jedyna oferta małżeńska złożona Alessandrze. Rozkosz może popychać mężczyzn do składania deklaracji pod wpływem impulsu.

Barrowleigh lub Enderby. Celia pragnęła się dowiedzieć o obydwóch możliwie jak najwięcej. Ekscytowało ją, że jest tak blisko prawdy. Może nawet nie będzie potrzebowała pomocy Jonathana?

- Teściowa słyszała też inne pogłoski. - Ton Audrianny nie był już żartobliwy.

- Jakie?

Audrianna westchnęła.

- Mówiono, że jednym z pierwszych kochanków twojej matki był francuski emigrant. Niektórzy uważali, że podczas wojny zbierał informacje dla Francuzów. - Położyła dłoń na rękę Celi i ścisnęła ją lekko. - Chodziły również słuchy, że ona też to robi dla niego.

Celia spojrzała na przygnębioną twarz przyjaciółki, a potem na dłoń, której uścisk miał ją pocieszyć i uspokoić. Zaczęła się nagle śmiać.

- Alessandrą miałyby być szpiegiem? Audrianno, to niedorzeczne! Po co miałyby się w to wplątać? Na Boga, przecież pochodziła z Yorkshire! Chociaż chciała zamaskować akcent typowy dla ludzi z tego hrabstwa, można go było usłyszeć w jej głosie. Czemu miałyby robić coś podobnego?

- Dla pieniędzy. Z miłości.

- Nie wierzę. To zupełnie bezpodstawne. Wprost śmieszne.

- Ja również tak uważam. Jestem pewna, że to wszystko nieprawda.

Początkowo nie zamierzałam ci nawet tego mówić. Uznałam jednak, że powinnaś o tym wiedzieć, skoro chcesz znać nazwisko ojca.

- Sądzisz, że z tego powodu nie chce się przyznać do ojcostwa?

- W każdym razie zastanów się nad tym. Może on też słyszał te pogłoski i woli, żeby nie łączono z nimi jego nazwiska? Mężczyźni dbający o swoją reputację zapewne nie chcieliby się tłumaczyć, że jakaś dama nie

dowiedziała się od nich niczego, co mogłaby przekazać swemu francuskiemu przyjacielowi.

Najpewniej nie chcieliby. W tym wyjaśnieniu kryło się sporo logiki, niezależnie od tego, jak ją oburzało przypuszczenie, że imię matki zostało splamione podobnymi przypuszczeniami.

Jeśli Audrianna miała rację, jeśli to było powodem ukrycia tożsamości jej ojca, mogłoby mu się nie spodobać, gdyby nawet bardzo dyskretnie dowiedziała się, kim on jest.

- Chyba nie zamierzasz mi mówić, co teraz robisz? - spytał Sebastian znad książki, którą czytał, spoczywając na bibliotecznej sofie. Nawet nie spojrzał na Jonathana.

- Zająłem się z czystej ciekawości heraldyką - odparł tamten, gdy Sebastian odwrócił stronę. Istniały setki herbów, wiele było bardzo podobnych do siebie. Jakiś kolor mógł oznaczać konkretną osobę, a on nie znał wcale kolorów i miał tylko uproszczone kopie rysunków Alessandry.

Celia widziała, jak kopiował te barwne herby tego samego popołudnia, kiedy zaznajomiła go ze swoją teorią, a potem pozostawiła samego. Nie było jej już w bibliotece, kiedy zajął się tymi drugimi i uporządkował je według chronologii kochanków Alessandry.

- Dobrze, że nie ma tu Castleforda. Powiedziałby ci, że robisz się nudny.

- A także obcesowy. Ty jesteś jednak zbyt dobry, żeby mi robić wyrzuty.

Dlatego właśnie korzystam z twojej biblioteki, a nie jego.

- Jestem też zbyt dobry, żeby ci wytknąć, że jeśli chodzi o zagadnienia

heraldyczne, to istnieje miejsce, gdzie szybciej się o nich czegoś dowiesz niż w każdej bibliotece.

- Wątpię, czy Kolegium Heraldyczne przyjęłoby mnie i udzieliło mi odpowiedzi, a już na pewno nie na pytania zadawane z czystej ciekawości.

- A cóż innego ma ono do roboty? - Sebastian uniósł wzrok znad książki.

- Jeśli nie możesz mi zdradzić powodów tej ciekawości, no to trudno.

Może nie jest taka znów czysta, jak twierdzisz.

Była to zgryźliwa uwaga. I wiele mówiąca.

- Czy masz jakiś powód, żeby uważać, że nie jest?

- Żadnego, prócz tego, że nie jest to temat, który zainteresowałby kogoś zajmującego się naukowymi dociekaniemiami.

- Interesuję się wieloma rzeczami. Sebastian się zaśmiał.

- No, rzeczywiście. Zazwyczaj bywam niezłe zorientowany, ale nie tym razem. Ktoś okazał się krańcowo dyskretny.

Najwyraźniej tak, jeśli ani Castleford, ani Summerhays nie zdołali poznać prawdy, nawet mgliście. Nadszedł czas, by spytać dobrego stryja

Edwarda, kto był tą bardzo dyskretną osobą.

- Bardzo uprzejmie postąpiłeś, pozwalając żonie przyjąć pannę Pennifold

- powiedział, uznając, że należy zmienić temat.

Sebastian leniwie skinął ręką.

- Wątpię, by to była pierwsza osoba z taką przeszłością, wpuszczana frontowymi drzwiami.

- Stanowczo nie. Na przykład wcześniej bywałem tutaj ja. Sebastian

uśmiechnął się smętnie.

- To nie całkiem to samo.

- Czy dlatego, że moja matka, choć związała się z pewnym mężczyzną, pozostawała w cieniu i nie narzucała się nikomu?

- Dlatego że nic nie świadczy o tym, byś parał się jakąś profesją, która nieodwracalnie by cię napiętnowała. Nie można tego powiedzieć o panie Pennifold. Nie zapomniano o tym roku, który spędziła z panią Northrope.

- Moja profesja zmuszała mnie czasem do zabijania, Sebastianie. Jeśli ona nie zostawia na kimś piętna, to już sam nie wiem, co człowieka może piętnować.

- Jeśli chciałeś mi udowodnić, że świat jest bardziej bezwzględny wobec panny Pennifold niż wobec pana Albrightona, to mogę się tylko z tobą zgodzić. Jednakże wokół ciebie i jej planów na przyszłość zaczynają już krążyć plotki. Jej dotyczą najgorsze, ciebie - najłżejsze. W tym, jak się spodziewam, leży różnica.

Jonathan mógłby spytać, dlaczego Summerhays bardziej pozytywnie oceniał jego szanse, ale nie zrobił tego. Castleford musiał popełnić jakąś niedyskrecję, związaną z jego zamiarem spotkania z Thornridge'em.

W tejże chwili do biblioteki weszły panie, już w pelisach i kapeluszach.

Obydwaj wstali, żeby je pozdrowić.

- Taras jest pełen słońca, a ja poleciłam kucharce, żeby podano nam tam herbatę - oznajmiła Audrianna. - Czy panowie zechcecie do nas dołączyć?

Jonathan świadczył grzeczności lady Sebastian, ale obserwował Celię.

Zafascynowała ją biblioteka, jej wielkość, urządzenie, książki, wysokie

okna. Gdy Sebastian przyjmował zaproszenie żony, oczy Celi błędziły po książkach, przy których obydwaj siedzieli.

Zauważył, że obudziła się w niej czujność. Gdy wychodzili na taras, już był pewny, co zauważyła. Książka leżąca obok jego fotela traktowała o heraldyce.

Jonathan tego wieczoru wyszedł, jak zwykle z domu. Po raz pierwszy Celię zaciekawiło, dokąd poszedł.

Uznała, że za mało się tym dotąd interesowała.

Po obiedzie pozostała w swoim pokoju, usiłując napisać list do Daphne, ale rozpraszało ją mnóstwo doznanych tego dnia wrażeń. Najbardziej niepokojące były informacje Audrianny. Nie można było też lekceważyć plotek zasłyszanych przez matkę Sebastiana ponad dwadzieścia lat temu.

Mogła co prawda być utrapieniem dla syna i jego żony, ale nikt nie kwestionował jej znajomości życia wyższych sfer.

Czy Alessandra to zrobiła? Czy zbierała informacje, niedyskretnie udzielane przez mężczyzn, którzy cieszyli się jej względami, i przekazywała je francuskiemu kochankowi? Albo jakiemuś innemu mężczyźnie?

A jeśli tak robiła, to czy z miłości, czy za pieniądze? Może książki z wykazem rachunków zniknęły z domu nie bez powodu?

Celia rozważała to wszystko o wiele dłużej, niż należało, i wiedziała o tym. W końcu uznała, że będzie unikać innych wspomnień z tego dnia.

Nie chciała zwłaszcza przypominać sobie tej książki o heraldyce, do której Jonathan zaglądał w bibliotece Summerhaysa.

Nie potrzebował jej do zidentyfikowania pokolorowanych herbów w tece.

Przecież mu podała te nazwiska.

Mógł oczywiście szukać potwierdzenia, nim podjął jakiegokolwiek śledztwo. Chciała w to wierzyć. Bardzo chciała.

Podeszła do stoliczka i otworzyła tekę. Akwarele wciąż jeszcze leżały na samym wierzchu. Odszukała ponownie herby - tym razem te niekolorowane - i zaczęła je przeglądać. Może było w nich coś, co również, jak uznał, może się okazać dla niej użyteczne. Zastanawiała się, co to mogło być.

Patrzyła, jak przesuwały się przed nią kolejno tarcze herbowe, belki i liczby, które tworzyły ciągi, kiedy kładła karty na stos, odwracając je tylną stroną do góry.

Na samym spodzie, kiedy już przejrzała niemal wszystkie, dostrzegła coś, co ją zaniepokoiło. Ostatnie pięć kart miało liczby pochodzące sprzed pięciu lat. Leżały teraz razem, choć miała pewność, że nie były w ten sposób ułożone rano.

Herby te nie miały nic wspólnego z jej domniemanym ojcem. Były na to o wiele za późne. A jednak Jonathan dostrzegł w nich coś interesującego, by odłożyć je osobno. Czy szukał więc w bibliotece Summerhaysa czegoś, co umożliwiłoby mu śledzenie ludzi, do których należały?

Te domysły zaczęły jej ciążyć. Niespodziewany ból ścisnął jej serce, a dołączyło się do niego silne upokorzenie. Próbowwała ratować się przed nim gniewem, ale nie przesłonił on rozczarowania.

Niemądre było przekonanie, że namiętność może być wolna od rachub, znaczących kobiece życie i serca. Była naiwna, sądząc, że nie ma w tej

sprawie nic do stracenia.

Zapewne łączyła ją już z Jonathanem jakaś historia, począwszy od pierwszej nocy, kiedy zobaczyła go w tym domu, mimo że nie zdawała sobie z tego sprawy. Nadszedł już czas, by wyjaśnić, jaka to historia.

Jonathan wrócił do domu przez furtkę ogrodową, jak zawsze. Nie ujrzał jednak wewnątrz żadnych świateł, kiedy spojrzął na dom, idąc ku stajniom.

Przywitała go cisza. Nie tylko nie słyszał Marian ani Belli, które już się położyły spać; brak było w domu wszelkich odgłosów. Zatrzymał się na pierwszym podejściu tylnych schodów i nadśluchiwał. Zwykle jakieś dźwięki dobiegały z pokoju Celi. Teraz jednak nie słyszał nawet skrzypienia desek podłogi.

Zasiedział się zbyt długo z Castlefordem. Łaskawość księcia przejawiała się w pytaniach, zwłaszcza o upodobania Jonathana Albrightona. Tego wieczoru Castleford był zdecydowany wciągnąć gościa w swoje ekscesy.

Jonathan musiał wykazać się wielką zręcznością, by uniknąć udziału w planowanym seansie rozpusty.

W swoim pokoju zapalił świecę i zdjął płaszcz, dumając ciągle o księciu i jego kobietach, i o dziwnym charakterze tej odnowionej przyjaźni. Być

może Castleford doszedł do wniosku, że skoro on i Jonathan Albrighton mieli pójść do piekła, to mniej by mu doskwierała samotność, gdyby się tam znaleźli razem.

Rozwiązał i zdjął halsztuk. Gdy to zrobił, poczuł jakiś powiew i natychmiast czujnie spojrzął ku drzwiom.

Stała tam Celia z cienką świeczką w ręce. Jej złociste włosy, roz-

puszczone i wyszczotkowane, spływały miękkimi falami na ramiona i piersi. Wciąż jeszcze była w dziennym stroju, a błysk w oczach nie świadczył o oczekiwaniu.

Biła od niej wręcz namacalna fala gniewu i rozczarowania, tak silna, że doznał skurczu wnętrzości. Usiłowała zachowywać się swobodnie, gdy zamykała drzwi. Wiedział już jednak, że ta noc nie skończy się tak jak poprzednie.

Zdmuchnęła swoją świeczkę i otoczył ją mrok. Potem w świetle świecy palącej się w jego pokoju i poświacie padającej z okna jej postać znów stała się widoczna i jak zawsze rozświetlała złociście ciemności.

Podeszła do jego stolika służącego do korespondencji, pełnego gazet i papierów. Spojrzała na kilka tytułów.

- Masz urozmaicone zainteresowania naukowe, Jonathanie. Nie dziwi mnie to, choć odkrycia dotyczące związków chemicznych są dla mnie niezrozumiałe. Ale zapewne niektóre z nich mają zastosowanie w praktyce, mogące ciebie frapować. Na przykład trucizny.

A więc taka miała być ta noc. Nie mógł jej winić, jeśli dowiedziała się czegoś, co by źle świadczyło o nim lub o prowadzonym przez niego życiu. Nie podobało mu się to jednak.

- Nigdy nie posługiwałem się trucizną.

- Słyszałam, że nie zawsze skutkuje, więc zapewne postępowałeś mądrze.

- Przerzuciła jeszcze kilka innych gazet. - Nie ma tu nic o heraldyce.

Myślałam, że to jedna z twoich fascynacji.

Wyciągnął ku niej rękę, chcąc ją uciszyć. Uspokoić albo też rozerwać,

sam zresztą nie był pewien. Uniosła dłoń, żeby nie wziął jej w objęcia.

Ostrzegła go też spojrzeniem.

- Powinnam była tu przyjść już dawno temu - powiedziała, rozglądając się po pokoju i należących do niego przedmiotach. - Powinnam była nie dopuścić do tego, żebyś pozostał zagadką.

- Nie jestem już nią dla ciebie i wiesz o tym.

- Może chciałbyś, żeby tak było.

Nawet gniew nie zdołał odebrać jej twarzy delikatności, ale niewątpliwie bardzo się gniewała.

- Myślałam, że wpadasz do Londynu na krótko, zanim znów się gdzieś wybierasz. Myślałam, że przyjeżdżasz tu w przerwie między misjami lub dochodzeniami. Sądzę teraz, że byłam głupia, tak przypuszczając.

Mógł to potwierdzić lub skłamać. Albo też nie mówić nic. Zazwyczaj wybierał to ostatnie, jeśli wścibskie pytania dotyczyły jego działalności. I tym razem tak uczynił.

W jej oczach zapłonęła wściekłość.

- Czy chcesz mi ubliżyć, odmawiając rozmowy o tym? Czy chcesz zignorować moje pytania, jakbym była dziwką, z którą sobie używałeś, by odejść zaraz po zapłaceniu jej?

- Nie ubliżam ci. A ty nie zadajesz mi pytań. Jesteś rozgniewana, choć nie wiem dlaczego.

Tylko że wiedział. Powiedziało mu o tym dojmujące wrażenie wewnętrznej pustki. Zdumiało go, jak było dogłębne i jak się wzmagało, póki go całego nie ogarnęło.

- Naprawdę nie wiesz?

Podeszła do niego i spojrzała mu w twarz. Przyglądała mu się tak badawczo, jakby nigdy nie widziała go przedtem z bliska.

- Dowiedziałam się od Audrianny, że wiele lat temu krążyły plotki o mojej matce. O niej, o pewnym francuskim kochanku i o jej lojalności wobec kraju. Wiedziałeś o tym?

- Tak, ale to były tylko plotki, nic więcej.

- Na tym świecie plotki całkiem wystarczą. - Szukała wzrokiem jego oczu, jakby trudno jej było patrzeć na coś innego. - Jonathanie, czy jesteś tu z powodu jakiejś misji? Czy śledziłeś moją matkę? Albo mnie?

- Nie ciebie. Jej też nie. Nie śledziłem. To nie jest właściwe słowo.

- A jaki jest ten właściwy wyraz?

- Zażądano ode mnie, żebym się przekonał, czy pozostawiła jakieś świadectwa mówiące o jej związkach z mężczyznami. Celem tego nie było wyrządzenie komukolwiek krzywdy, ale chronienie niewinnych.

Sposepniała. Odwróciła głowę, przerażona.

- A więc to prawda. Och Boże! Podeszła do okna i wyjrzała na ogród.

- Teściowa Audrianny powiedziała jej o tych podejrzeniach. Wydawały mi się bezsensowne, ale jeśli ty także...

- Brak dowodów. Nie ma powodu, żeby uważać je za prawdziwe.

- A jednak jesteś tutaj.

- Zażądano ode mnie tylko tego, żebym się upewnił, że nikt nie ucierpi wskutek tych plotek.

Kiwnęła głową, ale nie był wcale pewien, czy go w ogóle słucha.

Wyglądała jednak na uspokojoną. Nie był pewien, czy to dobrze.

- Nie chodziło o ciebie, Celio - usiłował wyjaśnić. - To była marginesowa misja. Miała oszczędzić kłopotów ludziom dyskretnym i liczącym w zamian na dyskrecję. Twoja matka zapewniała im za swojego życia tę dyskrecję. Miałem się upewnić, czy tak jest nadal.

- Oczywiście, że chodziło o mnie! - Obejrzała się przez ramię, a gniew wręcz z niej emanował. - Przecież tu jesteś, prawda? Byłeś w tym domu tamtej nocy i zostałeś w nim, żeby dokonać tego, po co cię tu wysłano. A potem zwiódłeś mnie, żeby osiągnąć swój cel. Masz więc, czego chciałeś, nazwiska tych, którzy przez lata byli jej protektorami. Założę się, że ułożyłeś tę listę dzięki jej rysunkom. - Odwróciła wzrok. - Skoro zaś twoja misja została zakończona, spodziewam się, że teraz stąd odejdziesz.

Zamilkła, stojąc plecami do niego i twarzą do okna, nieruchoma niczym kamienna statua.

- Skoro tego chcesz, to pójdę.

Ciężko mu przyszło wypowiedzieć te słowa. Z trudem je z siebie wydusił. Wolałby się z nią spierać, ale wiedział, że to nie zda się na nic. Nawet mu nie odpowiedziała.

Włożył ponownie płaszcz i zabrał kilka osobistych rzeczy ze stołu. Po resztę zamierzał wrócić później.

- Czy ona ci naprawdę wynajęła ten pokój, Jonathanie? Nigdy nie widziałam umowy.

- Wynajęła, ale bez żadnej umowy.

Odwróciła się wreszcie i spojrzała na niego. Czekał, stojąc w drzwiach, w nadziei, że jeszcze mu coś powie. Wiedział jednak, że jeśli tak zrobi, raczej nie będzie to coś, co naprawdę chciałby usłyszeć.

- Co się stało pięć lat temu? - spytała. - Interesowały cię szczególnie rysunki herbów z tego okresu, a więc i ludzie, których identyfikowały.

Skończył oglądać tę tekę po południu w bibliotece. Postąpił nieostrożnie, zestawiając razem najbardziej interesujące rysunki. Celia zauważyła to, czego większość ludzi nigdy by nie dostrzegła.

- To sprawa osobista. Prywatne zainteresowanie, związane z moimi ostatnimi misjami podczas wojny.

- Ale uważałeś widocznie, że te herby mogą ci w czymś pomóc. Oznacza to, że twoim zdaniem plotki dotyczące mojej matki mogły być prawdziwe.

Popatrzyła na niego długo i poważnie, ale nie wyglądała już na rozgniewaną. Atmosfera w pokoju przestała być tak napięta, lodowata i ponura.

- A więc ostatecznie to już coś - dodała. - Ta osobista, prywatna część.

Wydaje mi się to sensowniejsze niż wyrachowana zdrada, mimo że łączy się jakoś z wnioskami, które wyciągnąłeś z plotek.

Otworzył drzwi. Była teraz smutna, ale nic więcej nie powiedziała.

Podszedł ku niej, a serce mu się ścisnęło coraz bardziej.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał na nią, oblaną światłem księżyca. Chciał utrwalić dotyk jej skóry na swoich palcach i zapamiętać otaczającą ją świetlistą aurę.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem, kochanie.

Pocałował ją, a ten krótki bliski kontakt naznaczył boleśnie jego duszę.

Potem odszedł, wiedząc doskonale, że ona już nic więcej nie powie.

Wyglądasz fatalnie, Albrighton. Obudź się, a mój służący umyje cię i ogoli.

Jonathan otworzył oczy, gdy to żądanie wdarło się w jego bardzo niespokojny sen, i ujrzał nad sobą Castleforda. Księżę był ubrany i wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy Jonathan widział go ostatnim razem.

Kiedy trochę oprzytomniał, dotarło do niego, że leży rozciągnięty na sofie w gotowalni księcia. Przypomniawszy sobie co nieco z poprzedniej nocy.

Kiedy opuścił Celię, poszedł do pałacu księcia i został wprowadzony do gotowalni przez służącego. Castlefordowi dość było jednego spojrzenia, żeby zrozumieć, że Jonathan nie przyszedł w tym celu, by dołączyć do niego we wciąż trwającym seansie rozpusty. Ku zaskoczeniu Jonathana Castleford od razu wyrzucił z łóżka baraszkuje z nim kobiety, wdział szlafrok i zaprowadził swego gościa do gotowalni na długą rozmowę, przerywaną zbyt często chwilami milczenia i zbyt często wychylanymi kieliszkami.

Jonathan przejechał palcami po włosach i zdrętwiał.

- Co u diabła...

Pomacał głowę, chcąc się przekonać, co na niej zostało.

- Kazałem służącemu obciąć ci włosy, kiedy spałeś - powiedział

Castleford. - Zrobił dobrą robotę. Wyglądasz teraz dużo lepiej.

Jonathan spiorunował go wzrokiem.

- Posunąłeś się za daleko.

- Nie mogę się pokazywać na mieście z kimś tak niemodnie uczesany.

Podziękujesz mi, kiedy tylko się zobaczysz w lustrze. Kobiety będą teraz za tobą szaleć.

Jonathan dotknął jeszcze raz krótkich kosmyków. Gniew w nim osłabł, rozplynął się w resztkach pijackiego zamroczenia.

- Która godzina? - spytał, spoglądając w okno.

- Koło dziewiątej.

Jonathan stęknął. Butelka na pobliskim stole przyciągnęła jego uwagę.

Wysuszyli ją wspólnie najwyżej dwie godziny temu.

- Czy ty w ogóle nie spałeś?

- Dziś jest, niestety, wtorek, więc rzeczywiście się nie kładłem. A jeśli ja tego nie robię, to nie śpij i ty. Wystarczy, że mi się zważyła na głowę zeszłej nocy, i to z grobową miną.

- Spodziewałem się, że już skończyłeś tę noc.

- Nigdy nie próbuję jej kończyć tak szybko. No, a teraz wstawaj. Nie chcę, żeby ktoś inny rozwalał się swobodnie w moim pokoju, kiedy ja nie mogę.

- Obchodzisz się ze mną bezwzględnie, wyrzucając mnie z niego, a jeszcze bardziej bezwzględne było obcięcie mi włosów, kiedy straciłem świadomość. Sądziłem, że książęta mają lepsze maniery.

Jonathan siadł, dziwiąc się, że głowę wypełnia mu wata. Razem ze świadomością powróciło jednak przykre wrażenie wewnętrznej mdłej pustki.

Castleford rzucił na niego okiem, po czym usiadł i przyjrzał mu się

uważnie. Jonathan poczuł, że ten ogląd powinien w nim wzbudzić

niechęć lub strach, ale był zbyt osłabiony, żeby się tym przejmować.

- Wyszedłeś stąd zeszłej nocy, jak zwykle spokojny i nieodgadnio-ny, a przyszedłeś tak roztrzęsiony, że mógłbym ci ukraść przed nosem sakiewkę. Co się zdarzyło w tym czasie? Odkryłeś może, że jesteś tylko nędznym, zwykłym bękartem, a nie hrabiowskim potomkiem, jak ci to wmawiała twoja matka?

Pytanie Castleforda otrzeźwiło go szybciej niż wiadro zimnej wody lub cios zadany prosto w twarz. Spojrzał na Castleforda, zastanawiając się, czy nie potraktować jego twarzy właśnie w taki, mniej metaforyczny sposób.

- Ach, więc nie o to chodzi. A ja zamierzałem przepędzić twój zły humor, zapewniając cię, że podobieństwo jest znaczne. - Castleford nagle zrobił znudzoną minę. - W takim razie musi chodzić o kobietę. Wyrzuciła cię za drzwi, co? Pewnie dlatego, że okazałeś się, przykro mi to powiedzieć, niezbyt zabawny. - Książę wstał. - Muszę się teraz zająć moimi obowiązkami. A co do wyrzucenia cię na bruk - jest tu co najmniej trzydzieści pustych pokoi. Jeśli straciłeś swoje wyrko tak jak kobietę, możesz zostać w jednym z nich.

- To bardzo szczodra oferta.

- Istotnie. To najlepszy przykład tego, co dobry, wielkoduszny książę chciałby robić. Bądź zadowolony, że dziś jest wtorek.

- Powinieneś wiedzieć, że pewnie już nigdy nie będę zabawny, jeśli tutaj zostanę. Nie pójdę do piekła razem z tobą.

Castleford uśmiechnął się do niego niczym ojciec do niewinnego dziecka.

- Koniec końców z pewnością tam trafisz, Albrighton. Obydwaj

zaprzedaliśmy nasze dusze diabłu dawno temu.

Ktoś nią lekko potrząsnął. Celia się zbudziła. Światło oślepiło ją, kiedy otworzyła oczy. Wtedy do niej dotarło, że okno nie jest oknem w jej pokoju.

Spojrzała na ukośny sufit i zavalony stosem papierów stół. Natychmiast ścisnęło ją coś w żołądku. Chyba płakała we śnie.

Nie potrafiła znaleźć właściwych słów, żeby powstrzymać Jonathana przed odejściem, a przeraźliwy smutek przykuł ją do tego miejsca, zmusił do pozostania w tym pokoju, pełnym wspomnień po nim i jego życiowej energii. Po prostu nie mogła stamtąd wyjść. Uczucia wzięły nad nią górę, ukryła więc twarz w poduszce, przesiąkniętej jego zapachem.

Nie sądziła, że można się czuć tak okropnie. Nawet po tym, jak Anthony rozczarował ją pięć lat temu, nawet wtedy, gdy powiedział jej wszystko tak otwarcie, nie była równie zrozpaczona.

Przy łóżku stała Marian i patrzyła na nią z troską. Celia siadła i wytarła twarz, na której zaschły łzy. Dostrzegła, że pokój położony po drugiej stronie korytarza też jest otwarty. Dochodziły stamtąd przytłumione odgłosy, jakby krążyło po nim jakieś zwierzę.

- Drzwi były uchylone - wyjaśniła Marian. - Nie spodziewałam się ciebie tutaj, kiedy rano przyniosłam panu Albrightonowi wodę.

- On sobie poszedł, Marian. Od jutra nie trzeba będzie przynosić tu wody.

Marian usiadła przy niej i objęła ją macierzyńskim gestem.

- Chciałabym ci powiedzieć coś, żebyś się lepiej poczuła. A prawda wygląda tak: mężczyźni to z natury straszne świnię i za nic mają stałość, a ten nie był pewnie ani lepszy, ani gorszy od innych.

Wsparała głowę na ramieniu Marian.

- Wymyślaj na nich, jeśli chcesz, choćby przez cały dzień, tylko mi nie mów, że byłam głupią gęsią. Już i tak się nią czuję.

Nie była to cała prawda. Nie czuła się tego ranka zbyt głupio. Ani wczorajszej nocy, kiedy nasłuchiwała kroków Jonathana na tylnych schodach. Była tylko znużona, wyczerpana, odrętwiała i pełna dziwnego żalu.

To dlatego, że ma złamane serce i nęka ją przerażające uczucie pustki, pobudzając wciąż do płaczu.

Najwyraźniej Jonathan wzbudził w niej więcej romantycznych mrzonek, niż sądziła. Mimo swoich postanowień pozwoliła, żeby ją dotkliwie zraniły, i to nie tylko fizycznie. Nie posłuchała najważniejszych rad matki. Pozwoliła się ponieść namiętności, która zbyt wiele dla niej znaczyła.

Spojrzała na jego rzeczy. Powinno się je mu zwrócić. Pewnego dnia wróci od przyjaciółki i zastanie ten pokój tak pusty, jak pusta sama się czuła w tej chwili, a Jonathan całkowicie zniknie z jej życia.

Miała świadomość, że ten romans nie potrwa długo, ale nie sądziła, że okaże się tak krótki. Nie spodziewała się też, że splami go zdrada.

Wspomnienia nie mogły jej przynieść ulgi, bo zaczęłyby się zastanawiać, co też on mógł myśleć przez cały czas i czy choć przez kilka chwil nie kłamał.

Szmary w pokoju naprzeciwko stały się głośniejsze. Spojrzała w tamtą stronę.

- Bella tam teraz sprząta - wyjaśniła Marian. - Powiedziałam jej, żeby odsunęła wszystko pod ściany i porządnie wyszorowała podłogę. Kiedy się zrobi cieplej, wywietrzmy go i...

Przerwał jej głośny łoskot, a po nim lament Belli.

- Czy sobie coś zrobiłaś? - zawołała Marian. - Toż ci mówiłam, żebyś nie odsuwała mebli bez mojej pomocy!

- Nic mi nie jest - powiedziała Bella, wychodząc stamtąd. - Podniosłam tylko za jeden koniec ten wielki zrolowany dywan i to coś stamtąd wypadło. Ktoś je wepchnął głęboko do środka.

Weszła do pokoju, niosąc płaskie drewniane pudełko. Celia wzięła je od niej, położyła na łóżku i otworzyła nieskomplikowany zamek.

Wewnątrz leżały pióra, pędzle i słoiczki z kolorowymi pigmentami.

- To pudełko z przyborami do malowania. Należało do mojej matki.

Patrzcie, ten mały moździerz służy do utłuczenia pigmentów na drobny proszek, a w tych miseczkach musiała mieszać farby.

- Widziałam coś takiego w jednym sklepie za szybą - zauważyła Bella. -

Tamto miało nawet małą szufladkę na papier. - Uklękła przy łóżku i spojrzała na tył pudełka. - O, taką jak tutaj - powiedziała, otwierając ją.

Leżało w niej kilka kart papieru różnej grubości, znacznie grubszego niż papier używany do pisania. Bella wyjęła je, zaintrygowana, a wtedy odsłoniło się jeszcze coś pod spodem.

Celia wyciągnęła z szufladki cienki brulion w twardej oprawie, podobny

do sprzedawanych w sklepach papierniczych. Otworzyła go i ujrzała całe kolumny liczb wypisane starannym, matczynym pismem.

- Drób, mąka, sól - przesyłabizowała Marian, patrząc jej przez ramię.

Niezbyt sprawnie, ale w końcu każda kobieta знаła te słowa. -To chyba książka domowych rachunków.

Celia szybko ją przekartkowała. W książce odnotowano nie tylko wydatki, ale i przychody. Zdumiały ją niektóre z sum. Rozrywki Alessandry nie mało kosztowały jej faworytów.

Wzrok Celi przyciągnęły regularnie odnotowywane wydatki, przy których widniało jej imię. Musiały to być pieniądze wysyłane na wieś, żeby dwie stare panny wychowujące Celię miały ją za co utrzymać. Tuż po każdym „winien” następowało „ma”. Sumy o podobnej wysokości najpierw napływały, a potem były wysyłane.

Pomiędzy tymi pozycjami figurowało zawsze, odmiennie niż przy innych wpływach otrzymywanych przez Alessandrę, jedno nazwisko.

Rozpoznała je. Do tego arystokraty należał jeden z pokolorowanych herbów. Herb markiza Enderby'ego.

Przeglądała stronę po stronie, miesiąc po miesiącu, rok po roku, i widziała, że sumy napływały, a potem odpływały. Nie mógł to być przypadek. Pieniądze musiały pochodzić od jej ojca i nie były rekompensatą za matczyne względy. Markiz płacił na jej utrzymanie, kiedy była dzieckiem.

Serce zabiło jej gwałtownie. Musi powiedzieć Jonathanowi, kiedy on...

Radość jej znikła równie szybko, jak się pojawiła. Znów poczuła

przygniatający smutek, jak ostatniej nocy. Nic nie powie Jonathanowi, z pewnością też nie pokaże mu tego zeszytu. Nie pozwoli mu szperać w tym dużo bardziej szczegółowym świadectwie życia matki.

Bella z podziwem oglądała zawartość pudełka, oglądając pod światło każdy słoiczek z pigmentem.

- Schowaj wszystko z powrotem - upomniała ją Marian.

- Niech się bawi - powiedziała Celia, zatraskując wieczko. - Zabierz to na dół, Bello. Zrób z pędzlami i farbami, co ci się żywnie podoba. Ja zatrzymam ten brulion i się zastanowię co z nim począć.

Drogi panie Albrighton,

dowiedziałam się od przyjaciół, że przebywa pan teraz u księcia Castleforda. Ufam, że ten list zostanie panu tam doręczony. Z pewnością w pięknym domu Jego Wysokości znalazł pan wszelkie wygody i spodziewam się, że jest pan z tego rad.

Chciałam pana powiadomić, że nie muszę już prosić go o pomoc w pewnej sprawie. Znalazłam dowody w książce rachunkowej mojej matki, którą ostatnio odkryłam. Odnotowano tam regularnie sumy przeznaczone na moje utrzymanie pochodzące od jednego z mężczyzn, wśród których dopatrywałam się mego ojca.

Proszę się nie martwić, że nie zdołał pan odnaleźć spisu rachunków przede mną lub uważać, że źle to świadczy o pańskich szczególnych zdolnościach, których dowody tylekroć dał pan w tym domu. Był dobrze ukryty i nie ma w nim niczego, o czym by pan już nie wiedział dzięki swoim poszukiwaniom prowadzonym w ostatnich tygodniach.

Myślę, że moje niewielkie prywatne śledztwo ma się ku końcowi. Szczerze panu życzę, by mógł pan zakończyć również i swoje. Czy nie zechciałby pan w wolnym czasie odebrać swoich prywatnych rzeczy? Jeśli obawia się pan przeszkodzić mi lub chce uniknąć nieoczekiwanego spotkania, uprzedzam, że wyjadę z Londynu i wrócę dopiero za kilka dni.

Panna Pennifold

Jonathan złożył list i powąchał papier. Nie uperfumowała go, ale pachniał jeszcze używaną przez nią wodą lawendową.

Rozbawiła go ostentacyjna otwartość i to, że nie mogła się oprzeć, by mu nie wytknąć niepowodzenia w szukaniu dowodu, który przez cały czas znajdował się w domu. „Zdradziłeś mnie, a w dodatku spartaczyłeś swoją robotę”.

Dalszy ciąg listu był mniej zabawny. Zwłaszcza wzmianka o regularnie napływających sumach. Celia przypuszczała, że chodziło o pieniądze przeznaczone na jej utrzymanie, ale inne wyjaśnienia też wchodziły w grę.

Bez jej obecności łatwiej mu było podjąć na nowo własne „niewielkie” śledztwo, jak się wyraziła. Poddał analizie wszystko, czego się dowiedział w ostatnich tygodniach o Alessandrze. Wciąż nie miał pewności, czy plotki o niej odpowiadają prawdzie. Jeśli otrzymywała jednak od kogoś regularnie pieniądze, zwłaszcza od dawnego kochanka, z którym dłużej nie romansowała, nie było pewne, czy je przeznaczano na utrzymanie nieślubnego dziecka. Jakiś mężczyzna mógł sobie za tę cenę kupować milczenie Alessandry względem jego dawniejszych

niedyskrecji lub nawet być agentem, dla którego pracowała.

Te różne możliwości zaprzętały jego myśli, kiedy jechał konno parkiem.

Stryj Edward przez posłańca poprosił o spotkanie. Zniecierpliwiony ton listu wskazywał na czyjąś irytację z powodu jego zbyt powolnego śledztwa.

Gdy dostrzegł stryja koło stawu, wyobraził sobie Celię oko w oko z mężczyzną, w którym dopatrywała się swego ojca. Był pewien, że się do niego wybierze. Być może złoży dyskretną wizytę, ale nie spotka się z życzliwszą reakcją niż w przypadku jawnej wizyty.

A jeśli ten człowiek nie jest jej ojcem, tylko kimś, kto z innych przyczyn przez całe lata płacił Alessandrze?

Edward spiesznie podszedł do niego i się przywitał.

- Nie przyjechałeś tu konno, stryju, i dlatego nie zauważyłem cię od razu.

- Mój lekarz mówi, że codziennie muszę odbywać długie spacery.

Strasznie mnie to nuży i zabiera za wiele czasu. Przywiąż konia i pospaceruj ze mną.

Jonathan spełnił życzenie.

- Jesteś chory?

- Starość daje mi się we znaki. Nęka człowieka na różne sposoby, zanim go ostatecznie wykończy.

Stryj kroczył jednak całkiem zwawo, wymachując ładną laseczką w rytm kroków.

- O niczym mi nie donosisz od jakiegoś czasu. Pomyślałem więc, że powinienem sprawdzić, co się z tobą dzieje.

- Czy ktoś się niecierpliwi?

- Po prostu zrobiłeś się dziwnie powolny. Z jakiegoś powodu? Z bardzo oczywistego powodu. Nie miał ochoty mówić Edwardowi o tych herbach, częściowo dlatego, by chronić Celię, a częściowo po to, by mieć czas na dowiedzenie się, ile tylko się da, o kilku protektorach jej matki sprzed pięciu lat.

- A gdybym ci tak powiedział, że wiem już wszystko i mam listę jej protektorów? Co ty na to?

Edward zatrzymał się i popatrzył na niego ze śmiertelną powagą.

- Czy masz taką listę?

- Nie. Ale chciałbym wiedzieć, co sądzisz o tym, czego się dowiedziałem. Odkryłem, że tej misji nie zlecono mi w normalny sposób. Bo to nie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wysłało cię do mnie. Bardzo jestem ciekaw, kto w takim razie.

Edward znów zaczął iść, tym razem szybciej. Oczy błysnęły mu spod runda kapelusza.

- Kto ci o tym powiedział? Nie chcę, żeby jakiś dureń wtrącał się w...

- Powiedział mi o tym ktoś, kto zwykle otrzymuje dokładne informacje.

- Powiedziałeś temu komuś, obojętne, kim on jest, co robisz? Czyś ty zwariował?

- Niczego mu nie ujawniłem, ale to, czym się zajmuję, nie zawsze uchodzi w ostatnich latach ludzkiej uwagi. Nie jestem niewidzialny dla ludzi w rządzie. Najwyraźniej moje słowa cię rozdrażniły, zapomnijmy więc o moim pytaniu.

- Niech to diabli wezmą!

Po chwili Edward zdołał się opanować.

- Chciałem cię spytać o tę córkę.

- O Celię?

- Tak. Czy to możliwe, że ona znalazła coś, czegoś ty nie znalazł?

- Sądzę, że zawsze może się tak zdarzyć, ale nie wygląda mi na to. A jeśli nawet znalazła, czego by się dowiedziała?

Edward, marszcząc czoło, się zamyślił.

- Dlaczego o to pytałeś? - pytał nieustępliwie Jonathan.

- Dość nieoczekiwanie przeszłością Alessandry zainteresowały się panie w pewnym wieku. Wiem o tym od mojej żony. Można by sądzić, że ktoś zbiera plotki na jej temat. Matka Summerhaysa zaczęła wypytywać kilka starych przyjaciółek, które z kolei wypytywały inne... Wszystko to jest dosyć dziwne.

- Zapewne dzieje się tak tylko z powodu jej niedawnej śmierci. Może między dwiema damami doszło do sprzeczki o szczegóły ich wspomnień i chcą się teraz co do nich upewnić.

- Nie podoba mi się, że do tego doszło, obojętne, z jakiego powodu. -

Edward spojrzał na niego ostro spod kapelusza. - Czy ty ją znasz? Tę córkę?

- Celię? Owszem. Rozmawiałem z nią, było to częścią mojego śledztwa.

- Powinieneś wykryć, czy się czegoś nie dowiedziała. Bądź stanowczy.

Zaproponuj jej pieniądze, jeśli musisz. Osoby jej pokroju bez trudu można sobie zjednać albo pieniędzmi, albo... groźbami.

Zbliżały się do nich dwie damy zajęte bez reszty rozmową. Jonathan

minął je, coraz bardziej rozdrażniony słowami stryja.

- Co masz na myśli, mówiąc „osoba jej pokroju”? - spytał, gdy znów byli na ścieżce sami.

- A po co się cackać z takimi kobietami? - prychnął zniecierpliwiony

Edward. - Nie zamierzam pod tym względem oszczędzać twoich uczuć.

Nie mówię o twojej matce, Jon. To nie było to samo. A nawet gdyby było,

cóż to ma do rzeczy? Sprawa jest poważna, musisz myśleć przede

wszystkim o swoim obowiązku i dołożyć starań, żeby wyciągnąć z niej,

co tylko można. - Usiłował złagodzić przykre wrażenie uśmiechem. -

Sam wiesz, że tak musi być.

- Wiem, że tak musi być, jeśli misja dotyczy Anglii. Ale lata, kiedy

zagrożenie naszego wybrzeża wiele usprawiedliwiało, dawno już mamy

za sobą. Nie wiem nawet, kto zdecydował o tamtej mojej przeklętej

misji. Teraz nie można posuwać się aż tak daleko. Ublizanie, grożenie i

sprawianie bólu Celi Pennifold nie wchodzi w rachubę.

Edward poczerwieniał i wbił w Jonathana spojrzenie oczu podobnych do

paciorków.

- Coś za bardzo mi się stawiasz, drogi chłopcze. Czym ona jest dla ciebie,

że stajesz w jej obronie? Uwiodła cię może? Pewnie to zrobiła.

- Nie. - W takim razie ty uwiodłeś ją. Nie zapieraj się, widać to po tobie.

Może inni tego nie widzą, ale ja cię potrafię przejrzeć na wskroś. - Stuk-

nęła z irytacją laską. - Czyś ty zwariował? Romans z taką kobietą jest...

- Nie znasz jej, nie praw mi więc kazania. „Taka kobieta”. „Osoba jej

pokroju". Do diabła, wystarczy tego, żebym...

- Nie potrzebuję jej znać. Nie dbam o nią ani trochę. Pójdzie w ślady matki, która szykowała ją do tej samej profesji. Nikt w dobrym towarzystwie o tym nie zapomniał. Jeśli zależy ci na wynikach śledztw, to skończysz zaraz z tym romanssem. Mam nadzieję, że nikt o nim nie wie.

Tylko tego trzeba twemu kuzynowi! Zyska jeszcze jeden powód do odmawiania ci...

- Do licha, odmówi tak czy inaczej, więc nie zawracaj mi głowy. Mam w nosie to, co sobie Thornridge pomyśli.

- Naprawdę? Widzę, że całkiem ci zawróciła w głowie. No cóż, jej matka była w tym dobra, więc bez wątpienia ona także.

Edward wyprostował się sztywno i parsknął:

- Moim zdaniem skompromitowała cię zbyt mocno.

- Co masz na myśli?

- Przestałem ci ufać. Koniec z twoją misją! Znajdę kogoś innego, kto nie pozwoli, żeby jakaś ładna buzia zawróciła mu w głowie. Instynkt mi podpowiada, że ona coś wie, i zamierzam się upewnić o tym.

Edward odszedł, wyprostowany jak struna, stukając laską w ziemię tak mocno, jakby chciał ją tam wbić, a wojskowa zamaszystość jego ruchów nie wróżyła Celi nic dobrego. Najwyraźniej nie chodziło o błahą sprawę, jak Edward utrzymywał przed kilku dniami w powozie.

Jonathan dogonił go.

- Wysłuchaj mnie teraz, stryju, i zapamiętaj sobie każde moje słowo.

Wojna już się skończyła i nikt nie może teraz działać tak, jak podczas

niej, ani ty, ani twój zwierzchnik. Jeśli wyślesz kogoś innego, a on w jakikolwiek sposób zaszkodzi Celi Pennifold, poniży ją lub będzie na nią nastawać, z pewnością za to zapłaci. Ona znajduje się pod moją ochroną, cokolwiek by to znaczyło.

Edward spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Nie będziesz śmiał!

- Właśnie, że tak. A kiedy już z nim skończę, rozprawię się z tobą! A

potem zostawił stryja i wsiadł na konia. Pół godziny później

przyszedł do Audrianny, żeby ją spytać, gdzie się podziała Celia.

Widok dworu onieśmielił ją. Wysoki, szary i rozległy, miał podjazd tak długi, że kabriolet przemierzał go przez całe dwadzieścia minut.

Świadczył o potędze i niedostępności.

Celia oddała lejce stajennemu i przy jego pomocy wysiadła z powoziku.

Gdy odjechał, została sama przed potężnym budynkiem. Serce waliło jej jak młotem, a gwałtowne podniecenie paraliżowało. Stłumiła

zducerowanie i podeszła do drzwi.

Służący wziął od niej bilet wizytowy. Czekala dość długo w miłym,

niewielkim pokoiku koło holu. Na tyle długo, że zdążyła policzyć

wszystkie kafle posadzki i zauważyć, że rośliny, którymi obsadzono ten kraniec podjazdu, wymagały staranniejszej pielęgnacji.

W końcu służący powrócił, oznajmiając, że niestety markiza

En-derby'ego nie ma dziś w domu.

- Kiedy wróci?

- Nic nam o tym nie wiadomo.

- Chcę na niego poczekać. Nie przybyłam tu z wizytą towarzyską.

- Nie radziłbym pani czekać.

Innymi słowy, Enderby był w domu, ale postanowił jej nie przyjmować.

W innym przypadku nie byłoby w tym nic zaskakującego. Miała jednak pewność, że markiz wie, kim ona jest dla niego. Wiedział, że odprawia z kwitkiem własną córkę.

Usiadła z powrotem na krześle.

- Proszę powiedzieć markizowi, że mam za sobą długą podróż. Nie

zamierzam odjechać, póki się z nim nie spotkam w sprawie najwyższej wagi dla nas obojga.

Sługa wydawał się zmieszany. Nie przywykł do ludzi, którzy nie stosują się do reguł. Nieco zdenerwowany, odszedł.

Powrócił po kwadransie w towarzystwie innego mężczyzny. Wiedziała, co to znaczy.

- Czy powiedział wam, żeby wyrzucić mnie za drzwi? Jeden z nich miał na tyle przyzwoitości, żeby się zaczerwienić.

- Mamy odprowadzić panią do wyjścia.

Niemalże się zdecydowała, żeby tak zrobili. Jednak z braku świadków nie przysporzyłoby to markizowi złej opinii, nie warto więc było wywoływać skandalu.

Zgodnie z tym, co powiedzieli, służący odprowadzili ją do drzwi i przeszli z nią przez próg, portyk oraz schody. Jeden z nich dał znak czekającemu stajennemu, żeby podprowadził kabriolet.

Spojrzała na szarą fasadę. Czy patrzył na nią z góry? Na nieślubną córkę, która ośmieliła się zażądać rozmowy z nim? Szkoda, że nie ma prawa, które by go do tego zmusiło! Żaden mężczyzna nie powinien spłodzić dziecka, jeżeli nie chce ujrzeć go choćby jeden raz w życiu.

Spodziewał się, że ona teraz odejdzie, zrozumie, gdzie jej miejsce, zgodzi się na odtrącenie. Prędzej ją piekło pochłonie!

- Proszę powiedzieć stajennemu, żeby się z tym wstrzymał. Nie wsiądę do powozu.

Podeszła do schodów i usiadła na pierwszym stopniu. Spojrzała w niebo,

na którym zbierały się chmury, i otuliła mocno płaszczem.

- Proszę powiedzieć markizowi, że zostanę tutaj, póki nie udzieli mi krótkiej audiencji. Wystarczy pięć minut, nic więcej, teraz albo później.

Jeśli zgodzi się zobaczyć ze mną od razu, nie będę mu się dłużej narzucać aż do końca życia. Póki jednak tego nie zrobi, nie ruszę się stąd.

Kiedy się na dobre ściemniło, Celia doszła do wniosku, że nie żywi względem ojca żadnych cieplejszych uczuć. Przyjechała tu z infantylną nadzieją. Jednak zniknęła ona wskutek przejmującego zimna, jakim zionął kamienny stopień, na którym siedziała.

Jakby niebo chciało ukarać ją za zbyt dużą śmiałość, zaczęło lać jak z cebra. Otworzyła parasol, by woda spływająca z portyku nie przemoczyła jej na wskroś.

Stajenni schronili się gdzieś przed deszczem. Siedziała więc na schodach sama, coraz bardziej zrozpaczona. Co też Jonathan mówił jej tamtej nocy o swojej matce, która postąpiła tak samo? Że oboje siedzieli przed frontowymi drzwiami przez kilka dni. Celia nie spodziewała się, by ojciec pozwolił jej na to.

Daleko przed nią, na podjeździe, ciemność jakby zgęstniała. Wytężyła wzrok. Jakieś zwierzę. Dobra i taka odmiana.

Wkrótce dojrzała, że to koń. Duży, siwy koń z jeźdźcem na grzbiecie.

Gdy podjechał bliżej, poznała, kto nim jest. O mało się nie rozplakała, tak jej ulżyło. Zapomniała o zimnie, nawet złamane serce już się nie liczyło.

Jonathan podprowadził konia do samego portyku i spojrzał na nią.

Zdawał się nie zauważać deszczu, który strugami ściekał mu z kapelusza i

płaszcz. Musiała przyznać, że wyglądał wręcz wspaniale. Chłód, wilgoć

i inne przeciwności natury były niczym dla mężczyzny takiego jak on.

- Jak długo tu siedzisz, Celio? Cały dzień?

- Przyjechałam po południu. Zsiadł z konia.

- Dzięki Bogu. Bałem się, że jesteś tu od wczoraj.

- Zeszłej nocy wynajęłam pokój w oberży, mogłam więc wyruszyć wczesnym rankiem. Jak mnie znalazłeś? Czy domyśliłeś się może, kto był moim ojcem?

- Udałem się do lady Summerhays, a ona mi powiedziała, że pojechałaś odwiedzić panią Joyes. Kiedy jednak przyjechałem do Najrzadszych Kwiatów, dowiedziałem się, że cię tam nie było.

- Jeśli powiedziała ci to Daphne, musiała się o mnie martwić.

- Najwyraźniej uspokoiła się, kiedy się dowiedziała, że pojedę za tobą.

Jonathan wsparł nogę o stopień obok i nachylił się ku niej.

- On cię nie przyjmie, Celio. Ani dziś, ani jutro, ani pojutrze. Zabieraj się stąd ze mną.

Celia pokręciła głową.

- Jeśli teraz odjadę, nigdy tego nie zrobi. Będzie musiał jednak ustąpić, jeśli wytrwam, całkiem jak Thornridge wobec twojej matki. Jutro, jeśli stać go na jakąś przyzwoitość... - Głos się jej załamał. Zacisnęła zęby, żeby odzyskać panowanie nad sobą.

Mrok szybko gęstniał. Jonathan podał jej chustkę, a potem ściągnął płaszcz.

- Wstań.

Z trudem zdołała podnieść się i utrzymać na zdrętwiałych nogach.

- Obciąłeś włosy? Do twarzy ci w tym uczesaniu.

- Skoro się tobie podoba, to i ja je polubię.

Płaszcz z szarej wełny załopotał na wietrze, a potem spoczął na ramionach Celi, zakrywając jej płaszcz. Jonathan otulił ją nim, a potem sięgnął do skórzanej torby przy siodle i siadł koło niej.

Używając stopnia jak biurka, napisał coś ołówkiem na kartce papieru, złożył ją i podszedł do drzwi.

Służący otworzył je.

- Proszę doręczyć to markizowi i powiedzieć mu, że to list od agenta Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

A potem wrócił do Celi i znów siadł obok.

- Coś ty tam napisał?

- Że znalazłaś dowody regularnego płacenia przez niego pieniędzy

Alessandrze Northrope przez całą wojnę. A jeśli nie były przeznaczone na twoje utrzymanie, w takim razie płacił jej z innych powodów, o czym będę zmuszony powiadomić moich zwierzchników.

- Może nigdy nie słyszał tych plotek o mojej matce? Wówczas twój list nie miałby sensu.

- Przypuszczam, że słyszał wszystkie. Mimo że była cała zapłakana, roześmiała się.

- Jonathanie, ośmieliłeś się mu grozić? Co za nieładny postępek!

- Bardzo nieładny. - Jonathan sięgnął po parasol, otworzył go

i osłonił ją nim, żeby dłużej nie mokła. - Nie udawaj, że nie wiedziałaś o

moich złych skłonnościach.

Ujęła go za dłoń, w której nie trzymał parasola.

- Dziękuję, że próbujesz mi pomóc.

- Może to chwilę potrwa, ale powinno otworzyć przed tobą te drzwi.

Trwało tak długo, że zwątpiła, czy w ogóle odniesie skutek. Siedzieli obydwoje przy sobie, nie mówiąc ani słowa. Kłótnia z ubiegłej nocy była czymś dawno minionym i odległym. Celia czuła się zdumiewająco dobrze u jego boku i pomału zaczęła odzyskiwać siły.

Wreszcie drzwi się otworzyły. Jonathan wstał i pomógł wstać jej.

- Panno Pennifold, markiz chce panią widzieć - oznajmił służący.

- Czy wyglądam okropnie? - spytała Jonathana. Ściągnął z niej swój płaszcz.

- Nigdy nie możesz wyglądać okropnie, Celio. Zawsze jesteś przepiękna.

Usiłowała zebrać poły przemoczonej sukni.

- Będzie zły, prawda? Bo to na nim wymusiłam. No i z powodu tego, co mu napisałeś.

- Będzie bardzo zły. Nie bierz sobie zanedo do serca tego, co ci powie.

- Spróbuję. Tylko że mnie - zwilżyła językiem wargi - nagle strach obleciał.

- Poradzisz sobie doskonale. Zaczekam tu na ciebie.

Uśmiechnął się, żeby ją uspokoić, i odprowadził do samych drzwi. A potem nagle znalazła się po raz drugi w środku, sama jedna.

Służący zaprowadził ją w głąb domu, do małego pokoiku obok

kuchennych schodów. Przez całą drogę kapala z niej woda, spływając na marmurowe posadzki i drewniane podłogi.

Sługa zostawił ją tam. Była to mała bawialnia, urządzona bardzo pospolicie. Spodziewała się po tym domu i po markizie czegoś lepszego.

Drzwi masywnej szafy przy ścianie były nieznacznie uchylone. Zajrzała do niej i dostrzegła lśniący blask metalu. Wtedy zrozumiała, gdzie się znajduje. To nie było pomieszczenie użytkowane przez rodzinę arystokratycznego właściciela domu, tylko pokój kredensowy kamerdynera, gdzie przechowywano srebra.

Ten drobny szczegół zranił ją boleśnie, bardziej niż cała reszta tej nieszczęsnej wyprawy. A jednak ją też i rozśmieszył. Markiz wcale nie potrzebował w ten sposób przypominać córce, gdzie jest jej miejsce. W końcu znalazła się tutaj, bo przedtem musiała przesiedzieć pięć godzin na zimnym kamiennym stopniu przed domem.

Także i teraz kazał jej na siebie czekać. Nie przyniesiono jej żadnego poczęstunku. Żaden sługa nie przyszedł, żeby rozpaść w kominku.

Jak podejrzewała, celem tego wszystkiego było przypomnienie jej, że markiz został zmuszony do tego spotkania, na które ona nie zasługuje.

Powinna zapewne czuć się przestraszona, znieważona i przygnębiona. A tymczasem ledwie mogła pohamować narastające podniecenie.

Skoro już się tu znalazła, skoro staną oko w oko ze sobą, nic z tego, co ją teraz spotkało, się nie liczyło. Przecież ojciec nie może okrutnie traktować własnego dziecka, kiedy je zobaczy. Jak tylko ją ujrzy, bez świadków, będzie rad, że do niego przyszła.

Mimo wszelkich wysiłków czekała w coraz większym napięciu. Wreszcie drzwi się otworzyły. Wstrzymała oddech, kiedy do pokoju wszedł mężczyzna. Spojrzał na nią spode łba, stojąc niemal na samym progu. Nie wyglądał tak, jak sobie przez te wszystkie lata wyobrażała. Był niższy, niż w jej wyobrażeniach, i dosyć korpulentny. Włosy miał niemal całkiem siwe, ale domyślała się, że dawniej były tak złociste, jak jej włosy.

Uderzyły ją przede wszystkim jego oczy. Widniał w nich gniew, czego się spodziewała, a także zniecierpliwienie i pogarda. Nie dbała o to, bo wydały się jej niezwykle znajome. Widziała je przecież, gdy zaglądała do lustra.

Poczuła radość i coś jeszcze, co odczuła tak dotkliwie, że omal nie straciła panowania nad sobą. Zapragnęła wyciągnąć ku niemu rękę choćby po to, by dotknąć rękawa jego surduta. Może i on, na co zawsze miała nadzieję, też wyciągnie rękę i obydwójce się obejmą, a jego gniew ulotni się, ustępując innym uczuciom.

Mężczyzna wyjął kieszonkowy zegarek i spojrzał na niego.

- Ma pani pięć minut, panno Pennifold. Czego pani sobie życzy?

- Niczego. Chciałam po prostu pana ujrzeć.

- Chyba ma mnie pani za durnia, spodziewając się, że w to uwierzę.

Wiem, kim pani jest. Znam dobrze pani nazwisko. - Skrzywił się nie-

przyjemnie przy tych słowach. - Dała mi słowo, że nigdy pani o mnie nie powie. Było to częścią umowy. Jak pani śmiała przyjść do tego domu?

- Nigdy mi nic nie powiedziała. Dotrzymała słowa. Znalazłam w jej

papierach coś, co przywiodło mnie tutaj.

- Napisała to? - spytał, najwyraźniej przerażony na samą myśl o tym. -

Zapewniano mnie, że nie zrobiła tego. Dowiedziałem się, że nie zostawiła niczego, co by wskazywało na mnie.

- Nie zrobiła nic takiego, czego pan mógłby się obawiać. Znalazłam jednak jej książkę z rachunkami. Była dobrze ukryta, a ten, komu pan zlecił przeszukanie jej domu, nie znalazł jej.

Nie zaprzeczył, że wynajął kogoś w tym celu.

- Przypuszczam, że w tej książce odnotowała, prócz moich wpłat, także wiele innych. - Zaśmiał się. Był to nieczuły, pełen złości śmiech. - Ciekaw jestem, ilu jeszcze innych wydoiła, grożąc im skandalem! Byłem wtedy świeżo po ślubie z kobietą, którą kochałem. Inaczej nigdy bym się nie zgodził, żeby za moje pieniądze odgrywała wielką kurtyzanę. Mówiła, że dziecko jest moje, ale pewnie mówiła to samo tuzinom innych i też od nich dostawała pieniądze. Podobnej kobiecie nie sposób ufać. Nadal zresztą nie zamierzam ufać, nawet jeśli sądzi pani, że leży to w jej interesie.

- Wcale tak nie sędzę. Wiem to teraz z całą pewnością.

Podeszła do niego o krok bliżej.

- Czy nie widzi pan naszego podobieństwa? Chyba patrzy pan tylko w krzywe zwierciadło!

Przez chwilę jakby się z tym zgadzał, choć niechętnie, lecz potem odparł, ponownie pełny lodowatego sarkazmu:

- Widzę tylko nieślubną córkę dziwki, która znalazła sposób, żeby

wyciągać ode mnie pieniądze długo po zakończeniu naszej znajomości.

Nic więcej.

Każde jego bezwzględne słowo i grymas odrazy były niczym wymierzone jej policzki. Gniew rósł w niej wraz z każdą kolejną obelgą.

- Nie przypuszczam, byśmy się jeszcze kiedykolwiek spotkali, drogi ojcze, muszę więc pana wyprowadzić z błędu. Jeśli matka wiedziała, że jest pan moim ojcem, oznacza to, że nie miała innych protektorów podczas tego krótkiego romansu. Zapewne pan tego zażądał, a Alessandra była uczciwą kobietą. Każdy grosz z pańskich pieniędzy poszedł na moje utrzymanie. W książce rachunkowej odnotowano wszystkie przychody i rozchody.

- To tylko pani słowa.

- Gdyby Alessandra Northrope zamierzała wykorzystywać pana, żądałaby dużo więcej, niż wynoszą te skromne sumy, które otrzymywała dwa razy w roku po zakończeniu romansu.

Markiz spojrział na nią podejrzliwie.

- Sądzi pani, że powinna była dostawać więcej? Czy zjawiała się tu pani, chcąc je ode mnie wydostać dla siebie?

- Widzę, że odziedziczyłam rozum po Alessandrze, a nie po panu. Nie przyszłam tu po pieniądze ani po to, by grozić skandalem w odwecie za doznaną wzgardę. Chciałam po prostu raz w życiu ujrzeć mojego ojca i usłyszeć jego głos. A także, by poznać prawdę o moim pochodzeniu, mimo że pan się wypiera ojcostwa.

Markiz ani trochę nie złagodniał i nadal podejrzliwie mierzył ją

wzrokiem.

- Owszem, wypieram się go. Nie dbam o pani fantazje i żadnego podobieństwa nie widzę, co stwierdzam z prawdziwą ulgą. A teraz koniec z tą audiencją. Niech się pani nie waży przyjeżdżać tu powtórnie, zbliżać się do mnie i do mojej rodziny lub rozsiewać plotek. A jeśli tak będzie, użyję swoich wpływów, wniosę oskarżenie o szantaż i postaram się, żeby pani go pożałowała.

Nie powiedział już nic więcej i skierował się ku drzwiom. Dokładnie po pięciu minutach rozmowy.

Gdy tylko wyszedł, opuściło ją całe wzburzenie. Czowała już tylko dotkliwe rozczarowanie i upokorzenie.

Odgłos otwieranych drzwi przerwał Jonathanowi rozmyślenia, poświęcone głównie Celi. Przypuszczał, sądząc z upływu czasu, że spotkanie wypadło lepiej, niż się spodziewał.

Celia stanęła na progu, a drzwi natychmiast zatrzasnęły się za nią, odcinając dopływ światła. Stała w ciemności niczym mroczny i nieruchomy kształt bez jednego słowa. Zaniepokoił się.

Wyciągnął ku niej rękę, ale zdawała się tego nie widzieć. Podeszedł do niej, objął ją i wyprowadził z portyku. Jej kabriolet podjechał już pod dom.

Pomógł jej wsiąść do niego i przywiązał własnego konia z tyłu powoziku.

Potem usiadł koło niej i ujął lejce.

- Chcę do domu - wyszeptała tak głucho, że przejął go dreszcz.

- Londyn jest zbyt daleko stąd, Celio. Zawiozę cię do oberży i...

- Nie do Londynu. Do domu.

Najwyraźniej miała na myśli dom pani Joyes koło Cumberworth.

- To co najmniej cztery godziny jazdy, przy tej pogodzie może nawet więcej, a ty zmarzłaś i...

- Proszę cię, Jonathanie. Tam mnie kochają. No i nigdy nie doświadczyłam tam takiej pogardy, jak teraz ze strony tego człowieka.

Z jego strony też nie. Nie powiedział jednak tego na głos, bo to się teraz nie liczyło, a zresztą ona by mu nie uwierzyła. Pozwoliła, żeby jej pomógł, co nie znaczyło, że wybaczyła mu jego oszustwo.

- Jeśli się nabawisz choroby, mogę pożałować, że cię usłuchałem.

- Jeśli zachoruję, to od siedzenia na zimnym kamieniu i jego postępuku, a nie twojego - powiedziała apatycznie. - Ale przynajmniej będę tam w domu. Nie ścierpię myśli o chorowaniu w jakiejś obcej obergerzy.

Okrył ją ponownie własnym płaszczem. Deszcz przestał wreszcie padać.

Na szczęście chmury się rozpierzchły i zaświecił księżyc.

Schwycił lejce i rozpoczęli długą i przykrą podróż. Celia siedziała, sztywna i milcząca, tuż przy nim, zatopiona w myślach, i wyglądała na tak zgnębioną, że wątpił, czy w ogóle jest w stanie zauważyć, że jedzie.

Pani Joyes weszła do biblioteki. Jonathan siedział przy kominku, chcąc nieco obeschnąć. Nie widział jej, odkąd godzinę temu odpowiedziała na jego donośne łomotanie do drzwi.

Spojrzała uważnie na krzesło, gdzie siedział, i stół koło niego.

- Jak to dobrze, że Katherine w końcu się panem zajęła. Jestem pewna, że wybaczy mi pan brak należytej troski o gościa.

- Czuję się wygodniej, niż bym tego oczekiwał w tych okolicznościach.

Uniósł kieliszek brandy, którą cicha, ciemnowłosa młoda kobieta

imieniem Katherine znalazła w kredensie.

- Czy panna Pennifold przysłała już do siebie?

Pani Joyes usiadła niedaleko od niego i ku jego zaskoczeniu wzięła drugi

kieliszek z tacy, a potem też sobie do niego nalała nieco brandy. Długie

jasne włosy spływały jej na niebieski szlafrok, a dystygowana, piękna

twarz była niemal pozbawiona wyrazu.

- Bynajmniej. Obawiałam się, że zachorowała, lecz wcale nie jest

rozpalona i nie wygląda na przeziębioną. Jeśli coś jej dolega, to raczej na

duchu niż na ciele. Najwyraźniej przybycie tutaj sprawiło jej wielką ulgę,

ale...

Czekał, aż Daphne skończy zdanie. Wydawało się, że szuka właściwych

słów.

- Ale nie sędzę - ciągnęła - by znalazła tu pociechę, której szukała. A moje

towarzystwo nie zdołało rozproszyć jej melancholii.

- Może poczuje się lepiej, kiedy się wyśpi.

- Może. Widzi pan, Celia nie miała zbyt wielu złudzeń. Powiedziałabym,

że nawet żadnych. Okazało się, że jedno złudzenie żywiła.

- Czy chce pani powiedzieć, że Celia nie ma doświadczenia w znoszeniu

rozczarowań i może nie poradzić sobie z tym, które przeżyła?

- Jak dobrze umie pan ująć w słowa moje troski.

Niełatwo było dostrzec w jej oczach troskę, ale ją jednak czuł. Domyślił

się, że jej chłód i opanowanie są tylko maską. Może zdejmowała ją w

obecności Celi i innych kobiet w tym domu?

- Doznała więcej rozczarowań, niż pani sądzi. W przeszłości, a może i całkiem niedawno. Przygnębia mnie, że teraz musiała przeżyć jeszcze jedno, ale wierzę, że zdoła je przetrwać.

- Najwidoczniej poznał ją pan lepiej pod tym względem ode mnie.

Pańskie słowa uspokajają mnie, zwłaszcza że, jak się domyślam, pan również przeżył kiedyś coś podobnego i wie, o czym mówi.

Nie spodziewał się tego. Nie wiedział, do czego Daphne zmierza w tej rozmowie, ale podejrzewał, że nie chciałby tego usłyszeć.

- Istotnie, i chciałbym jej oszczędzić podobnych przeżyć, gdybym tylko mógł. Jestem pewien, że pani również. - Odstawił kieliszek. - A teraz muszę poszukać noclegu w oberży. Przyjdę tu jutro, jeśli pani pozwoli, żeby zobaczyć, jak się ona miewa.

Pani Joyes namyślała się nad tym, co powiedział, obracając kieliszek trzymany w obu dłoniach. Wreszcie wstała i postawiła go znów na tacy.

- Jest już dawno po północy, panie Albrighton. Proszę przenocować tutaj i nie budzić oberżysty o tak późnej porze. Niech pan nie protestuje. To żaden kłopot i bardzo skromne zadośćuczynienie za troskę okazaną naszej kochanej Celi.

W starym, dobrze znanym łóżku poczuła się dobrze i wygodnie. Podobnie jak w pokoju, w którym spędziła pięć lat. Nic się w nim nie zmieniło, odkąd go opuściła. Może Daphne przewidywała, że ona tu w końcu wróci?

Nie miałyby pretensji do domu ani do jego mieszkańek, gdyby nie znalazła tu azylu, którego się spodziewała. Dom się jednak nie zmienił. Ani kobiety, które w nim żyły.

Za to zmieniła się ona. Pewnie właśnie dlatego powrót nie przyniósł jej takiego uspokojenia, jakiego potrzebowała. Nadal była tutaj dzieckiem, mimo tylu trzeźwych rad, których jej towarzyszki udzielały. Nie miała na tyle doświadczenia, by mówić o świecie zewnętrznym z prawdziwą jego znajomością. Powtarzała tylko nauki zasłyszane od Alessandry.

Nic więcej. Podczas swej krótkiej nieobecności tutaj odebrała kilka bolesnych lekcji. Dzisiejsza była może najbardziej dotkliwa. Chciała uniknąć rozmyślenia o niej, chroniąc się w półśnie niczym w grubej, tłumiącej wszystkie dźwięki kołdrze.

Wolałyby zapaść w głęboki sen, ale nie mogła. I dlatego usłyszała szmery w przyległym pokoju.

Usiłowała oprzytomnieć, ale przykre wspomnienia wróciły z taką siłą, że niemal z tego zrezygnowała. Szmery zaintrygowały ją. Był to dawny pokój Verity. Czyżby przyjechała z wizytą? Ale Daphne z pewnością by jej o tym powiedziała.

Może zresztą i powiedziała, ale wszystko, co Daphne mówiła, ściągając z

niej mokre odzienie, uciekło jej z pamięci, jakby chodziło o rozmowę jakichś dwóch osób w innym pomieszczeniu.

Słuchała tych szmerów z ulgą, bo nieoczekiwanie pozwoliły się jej poczuć bardziej normalnie, a także odciągały uwagę od tych przykrych wspomnień. Coraz bardziej ją zaciekawiały.

Odrzuciła kołdrę, podeszła na palcach do drzwi i uchyliła je. W pozostałej części domu panowała cisza. Żaden dźwięk nie dobiegał z pokoju Daphne po drugiej stronie domu ani z tego, który zajmowała Katherine.

Otworzyła drzwi do pokoju Verity, zajrzała do środka i doznała głębokiej ulgi.

Przy umywalce stał Jonathan, rozebrany do pasa, i mył się po podróży.

Wydał się jej tak przystojny, jak tamtego ranka na Wells Street, silny, wysmukły i, mimo intymnej zażyłości, tak nieodgadniony, że serce zabiło w niej mocniej. Wiedziała już, że jego zagadkowość nie zawsze oznaczała coś dobrego, ale tej nocy nie myślała o tym. Obchodziło ją tylko to, że w jego obecności budzi się w niej na nowo tamta Celia, młoda, zmysłowa i wyzuta ze strachu przed światem.

Obserwowała, jak się wycierał, i poczuła przyływ radosnego podniecenia.

Odwrócił się. Wilgotne pasma ciemnych włosów spadły mu na czoło.

Spojrzał na nią.

- Usłyszałam, że ktoś tu jest, i myślałam, że może Verity przyjechała z wizytą - wyjaśniła.

Jego ciemne oczy, jak zawsze, za wiele wiedziały, zbyt dużo widziały i

patrzyły na nią w sposób, który mógł oznaczać tylko jedno.

- Wcale nie myślałaś, że to Verity, Celio.

Może i nie. Może po prostu spodziewała się, że ten pokój zajął dziś ktoś, kto nie mieszka na stałe w tym domu.

- Nie słyszałaś, jak otwierałam drzwi? Myślałam, że uczono cię nieustannej czujności.

- Usłyszałem cię. Czekałem, czy się zdecydujesz tutaj zostać. Nie zdecydowała się, ale teraz już musiała to zrobić. Wiedział o tym doskonale, pozwalając, by się mu przyglądała. Wciąż jeszcze stał półnagi w świetle kominka, które wydobywało z mroku jego postać.

Zatęskniła do objęć jego silnych i władczych ramion. Nie tylko ze względu na cielesną satysfakcję, ale także na bezpieczeństwo i spokój, jakie jej zapewniały.

We własnym łóżku czekał na nią tylko przejmujący smutek. O wiele bardziej wolała być tutaj, w tym pokoju. Wiele ich jeszcze dzieliło, ale domyśliła się, że on rozumiał sporo z tego, co teraz czuła. Daphne nigdy jej tak nie zrozumie.

- Chyba tutaj zostanę. - Podeszła do jego łóżka i położyła się. Ściągnął z siebie resztę odzienia i legł przy niej. Objął ją i przygarnął do siebie.

- Chyba nie będziesz płakać? Nie płakałaś przez całą drogę i myślę, że teraz też nie.

- Łzy nie zmienią niczego. Jest, jak jest.

- Ale może powinnaś zapłakać? Niedobrze o nas świadczy, gdy zaczynamy godzić się ze stratą bez żalu.

Uznała, że to dziwna, ale i rozsądna rada. Może łzy potrafią złagodzić żal?

- A czyś ty płakał kiedyś z żalu, Jonathanie? - Nie mogła sobie tego wyobrazić.

- Mężczyźni nigdy wtedy nie płaczą, tylko się upijają. Albo szukają okazji do bitki i walą na odlew lub sami dostają łomot.

- W takim razie nie udzielaj mi rady. Skoro ty możesz przezwyciężyć rozczarowanie bez płaczu, dlaczego ze mną ma być inaczej?

- Bo jeszcze nikt cię nie okpił ani nie stłukł solidnie. Musiała się roześmiać. Dziwne, jak śmiech potrafi odegnąć to uczucie wewnętrznej pustki. Pocałował ją w czoło.

- Ostatnim razem płakałem pięć lat temu, na wybrzeżu. Fatalnym zbiegiem okoliczności zginął tam chłopiec, który był moim przewodnikiem. Tak bardzo nawykłem do ryzyka, że nie brałem tego pod uwagę, i tyle razy widziałem śmierć, że się nią nie przejmowałem. Ale śmierć tego chłopca wstrząsnęła mną do głębi. Zerwała z mojej duszy żelazny pancerz.

- To musiało być straszne.

- Jego śmierć - tak. Ale mój płacz... Muszę ci wyznać, choć przychodzi mi to z trudem, Celio, byłem nim uszczęśliwiony. Płacz oznaczał bowiem, że jeszcze nie straciłem ludzkich uczuć. Wtedy jakbym odżył na nowo.

- Czy właśnie z powodu tamtego zdarzenia tak uważnie badałeś te herby?

- spytała, unosząc ku niemu twarz.

Otworzył jedno z oczu i spojrzał na nią.

- Albo ty jesteś zbyt sprytna, albo ja okazałem się zbyt nieostrożny. Znów opadła na łóżko.

- Nikomu nic nie powiem. Zresztą niczego nie wiem.

Nie usłyszała odpowiedzi. Jonathan jedynie sprawdził, czy ma ona należycie okryte plecy i ramiona.

- Powinnaś teraz usnąć. Masz za sobą ciężki dzień.

- Nie odważę się. Rankiem Daphne może nas zastać razem i raczej jej się to nie spodoba.

- Nikt tutaj rano nie wejdzie, Celio, i nikt nas nie zastanie razem. Szare oczy Daphne widzą więcej, niż ci się zdaje. Sądzę, że wyznaczyła mi właśnie ten pokój w nadziei, że pomogę ci dojść do siebie, bo ona nie potrafiła.

Czy rzeczywiście stało się tak dzięki Daphne? Być może. Miała szczególny dar rozumienia ludzi.

Celia nie zasnęła jednak szybko. Przede wszystkim czuła przy sobie bliskość Jonathana. Poza tym wciąż rozmyślała o jego słowach. A im więcej o nich myślała, tym bardziej ją niepokoiły.

- Jonathanie, śpisz? - wyszeptwała. Mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi.

- Jonathanie, czy to, co czułeś, kiedy ten chłopiec zginął... czy to doznanie nigdy do ciebie nie wróciło? Czy od tamtej pory już nigdy nie poczułeś się tak, jakbyś odżył na nowo? - Te myśli napawały ją smutkiem.

Jonathan westchnął.

- Miałem szczerzy zamiar być dzisiejszej nocy imponującym przykładem

powściągliwości. Skoro jednak nie chcesz spać...

Przewrócił ją na plecy i wsunął się lędźwiami między jej rozchylone uda.

Wszelkie myśli, rady i wyznania uleciały jej z głowy. Ogarnęło ją ciepło i wypełniło całą. Poczwała narastającą rozkosz.

Całował ją delikatnie, ostrożnie, jakby sondował kruchość powierzonego sobie skarbu. Powoli rozpalał jej namiętność, a rozkosz napływała niczym łagodny, orzeźwiający wietrzyk. Gdy wniknął w nią, zaprzestał na jakiś czas ruchów. Wypełnił ją sobą, obsypując łagodnymi pocałunkami jej usta i szyję.

- Odpowiem ci teraz na twoje ostatnie pytanie - powiedział, delikatnie muskając ustami jej wargi. - Od czasu tamtej nocy na wybrzeżu odżyłem na nowo, kiedy cię po raz pierwszy pocałowałem i po raz pierwszy cię miałem. Czuję się tak w tej chwili i za każdym razem, kiedy to robimy.

Mówiłaś, że do romansu zawsze trzeba jakiejś historii, i to właśnie jest moja. - Pocałował ją mocniej, jakby domagał się od niej czegoś więcej niż ust, i zaczął się w niej poruszać. - Ja się łatwo nie poddam, Celio.

Nie była już w stanie pytać o nic. Troszczył się o nią, a świadomość tego czyniła rozkosz jeszcze pełniejszą. Obopólne spełnienie nadeszło łagodnie i dojmująco zarazem, uśmierzając poryw namiętności, choć nie zdołało unicestwić rozpaczy. Rozkosz i podniecenie istniały w jakimś własnym świecie albo też pragnęła tego mężczyzny bardziej, niż przypuszczała.

Gdy się ocknęła, świeciło słońce, a dzień zapowiadał się lepiej niż poprzedni. Ból i upokorzenie osłabły w ciągu nocy. Daphne oznajmiła, że

cieszy ją poprawa nastroju Celi.

Po śniadaniu Jonathan zaprzął klacz Celi do kabrioletu, swego wałacha uwiązał z tyłu pojazdu i wrócili do domu w Londynie. Marian nic nie powiedziała, gdy Jonathan wszedł tam przez ogrodową furtkę po odprowadzeniu koni do stajni. Przypatrywała mu się jednak uważnie, kiedy szedł do pokoiku na poddaszu.

- Dobrze ci było na wsi? - spytała Celię.

- Trochę tak, a trochę nie.

- Słyszałam, że wieś ludziom służy, bo nabierają tam sił.

- Rzeczywiście, nabrałam ich.

- Powiedziałabym, że pan Albrighton także, jakby mnie kto pytał.

- Chyba tak.

Bella, zaskoczona, uniosła głowę znad kominka, który pucowała.

- Według mnie nie wygląda na zdrowszego.

Bella nie wiedziała, dlaczego Jonathan opuścił dom ani na jak długo, więc jego powrót nie wydawał się jej niczym niezwykłym. Marian spojrzała na nią i westchnęła.

- Nie zdrowszy, Bello, tylko wypoczęty. Wypoczęty i zadowolony.

-Pokiwała głową i poszła do pokoju od frontu z miotełką do ścierania kurzu w ręce. - Że też niektórzy nie widzą tego, co mają pod samym nosem. Czasem to mi cię żal, Bello, naprawdę żal.

- Słyszałem, że oddałeś wielką przysługę panie Pennifold -oznajmił Hawkeswell ni stąd, ni zowąd. Nie miało to nic wspólnego z rozmową toczoną w bibliotece Castleforda.

Wszyscy zamilkli i dwie pary oczu, poza Hawkeswellem, spojrzwały na Jonathana pytająco.

Starzy przyjaciele czasem bywają nieznośni.

- Żadną tam wielką przysługę. Trochę jej tylko pomogłem. To wszystko.

- Sądząc z tego, co mówiła moja żona, uratowałeś ją od śmierci na zapalenie płuc.

Zaciekawienie błysnęło w oczach zamroczonych już nieco alkoholem mężczyzn.

- Uratowałeś kobietę? Masz w takim razie powód do dumy. Słyszałem gdzieś to nazwisko. Czy ja ją może znam? - Castleford zmarszczył brwi, zastanawiając się na tym.

Castleford znalazł się z nimi w bibliotece przypadkowo. Ponieważ był to wtorek, Summerhays i Hawkeswell składali wizytę gościowi księcia, nie jemu samemu, ale księżę wszedł tam i tak, choć mocno zalany i na wpół rozebrany.

Jonathan nie musiał już zresztą mieszkać u księcia, co dodatkowo komplikowało sytuację. Przyszedł, żeby go o tym powiadomić i podziękować mu za gościnność. Fatalnym zbiegiem okoliczności bilety wizytowe Summerhaysa i Hawkeswella przyniesiono jednak Castle-fordowi wcześniej niż bilet Jonathana.

W ten sposób wszyscy czterej spotkali się tego popołudnia w książęcej bibliotece, choć Jonathan miał całkowicie inne plany na ten wieczór.

- Zapewniłem jej tylko bezpieczny powrót do domu niedaleko od Cumberworth. Kobięcie plotki niepotrzebnie to wyolbrzymiają.

- Pennifold, Pennifold... - mrucał książkę, zastanawiając się głęboko.

- Nie zazdrozczę ci noclegu spędzonego w tamtejszej oberży, nawet jeśli zatrzymałeś się tam tylko na kilka godzin - powiedział Hawkeswell. -

Summerhays i ja utknęliśmy w niej pewnej nocy i ta dziura wydała mi się strasznie prymitywna. Choćby z powodu pluskiew.

Summerhays uśmiechnął się dyskretnie.

- Z tego, co słyszałem, on wcale nie spał w oberży.

- Naprawdę? Wpuszczono cię do tego klasztoru? Castleford się nagle ożywił.

- Klasztor? Czyżbyś odkrył jakiś porządny wiejski burdel, Albrighton, i nic mi nie mówisz?

Wszyscy zamilkli i spojrzeli na księcia. Castleford odpowiedział im półprzytomnym uśmiechem.

Hawkeswell przymknął błękitne oczy.

- On mówi o Najrzadszych Kwiatkach, Castleford. O tym domu, gdzie moja żona żyła przez dwa lata, a żona Summerhaysa przez pewien czas.

- Ach, to tylko metafora? Przepraszam was, choć moja pomyłka była niezawiniona. Powinniście wyrażać się bardziej dosłownie.

Summerhays spojrział z ukosa na Hawkeswella.

- Castleford, czy nie powinieneś już pójść do siebie? Pewnie ktoś z niecierpliwością na ciebie czeka.

- Nie ma tam nikogo, ona poszła już dawno temu.

- W takim razie powinieneś wypocząć przed tym, co będziesz robił dziś w nocy.

- To ty powinieneś wypocząć przed tym, Summerhays. Ja zawsze jestem w świetnej formie - odparł zgryźliwie Castleford. - Czy ja tam kiedyś byłem? Najrzadsze Kwiaty? Coś sobie niejasno przypominam... -

Otworzył szeroko oczy. - Już sobie przypominałem. A więc pozwoliły ci się tam przespać, Albrighton? Do diaska, a mnie nawet nie wpuściły za drzwi!

- No, bo on pomógł jednej z nich, a ty byś uwiódł i porzucił wszystkie, gdybyś tylko miał sposobność - wycedził Hawkeswell. - A potem dwaj z nas drogo by musieli zapłacić za spokój w domu.

- Zrobiłeś się wprost niemożliwy, Hawkeswell, odkąd się zakochałeś.

Poza tym wcale nie mamy pewności, czy Albrighton nie uwiódł przynajmniej jednej z nich, kiedy tam był. Zupełnie nie wiem, czemu uważasz mnie za łajdaka, a jego za świętego.

- Naprawdę nie wiesz?

Jonathan spojrzał ostro na Castleforda, a księżę najniewinniej w świecie na niego.

- Wcale nie twierdzę, żeś którąś uwiódł - wyjaśnił księżę - chciałem tylko powiedzieć, że ci - wskazał na pozostałych dwóch - nie wiedzą z całą pewnością, że tego nie zrobiłeś.

- Pewnie, że nie zrobił - stwierdził Hawkeswell. - On by nigdy nie wydał dwóch przyjaciół na pastwę ich żon, rozjuszonych takim jego postępkami. Co więcej, pani Joyes, właścicielka tego domu, ma pistolet i nie zawaha się nim posłużyć w razie czego. Był jednak na tyle uprzejmy, że pomógł panie Pennifold, kiedy nie powiodło się jej w pewnej spra-

wie. Gdyby zachował się niewłaściwie, usłyszelibyśmy o tym, niestety.

- Pennifold, Pennifold. Czemu to nazwisko nie daje mi spokoju? -

mruczał zasepiony Castleford.

Summerhays celowo zmienił temat, kierując rozmowę na najbliższy odczyt w Królewskim Towarzystwie Naukowym. Jak sądził Jonathan, zrobił to, bo zauważył, że jedyny mężczyzna, który znał prawdę, nie protestował, gdy była mowa o uwiedzeniu.

Dwaj goście wkrótce się pożegnali. Summerhays zaproponował Jonathanowi wybranie się z nim na ten odczyt, a Hawkeswell oznajmił, że wkrótce otrzyma od jego żony, Verity, zaproszenie na obiad. Kiedy wyszli, Jonathan postanowił też pożegnać się z księciem.

Podziękował mu więc za gościnność i wyjaśnił, że ma już gdzie mieszkać.

Castleford przestał nagle sprawiać wrażenie pijanego i spojrzał na niego bystro.

- Właśnie sobie przypomniałem, gdzie słyszałem to nazwisko. Czyś ty czasem nie wplątał się w romans z córką tej Northrope?

- Znam ją, oczywiście.

- Sądzę, że znasz ją bardzo dobrze, skoro się bawisz w rycerskiego obrońcę uciśnionej dziewczyny. Pewnie to ona cię wyrzuciła z domu. Jeśli dlatego zostałeś bez wyrka... - Castleford spojrzał na drzwi - ...to nasi zaci przyjaciele wpadną w złość, kiedy się o tym dowiedzą. Hawkeswell ci nie daruje, jeśli to choćby w najmniejszym stopniu zmartwi jego żonę.

- W takim razie nie powinieneś się z nim dzielić swoimi niczym

nieuzasadnionymi podejrzeniami.

- Spróbuję, ale korci mnie to i chętnie bym mu utarł nosa, dowodząc, jak bardzo się myli. - Książę wstał. - Przynajmniej wiem teraz, dlaczego poczynałeś tak szlachetnie. Używaj sobie, ile tylko chcesz, i w ogóle, skoro nie będzie to trwało długo.

- To nie odpowiada prawdzie.

- Przy twoich ambicjach musi odpowiadać. Jestem pewien, że ona o tym wie i oszczędzi ci scen. Matka powinna ją była tego nauczyć, podobnie jak wszystkiego innego.

Castleford ziewnął, przeciągnął się i ruszył ku drzwiom zapewne po to, by odpocząć przed kolejnymi hulankami. Zatrzymał się jednak w ostatniej chwili.

- A jeśli już mowa o twoich ambicjach, to Thornridge wkrótce wraca do Londynu. Jako przywódca torysów musi być obecny na kilku spotkaniach w przyszłym tygodniu. Nie zdoła mnie uniknąć, kiedy tylko się tu znajdzie, bądź więc gotów do bitwy.

Już jest późny ranek. Muszę wstać - wyjąkała wśród chichotów Celia.

Jonathan puścił jej słowa mimo uszu i nadal obsypywał lekkimi,

łaskotliwymi pocałunkami jej wdzięcznie zarysowany bok.

- Dlaczego musisz wstawać? Czy dziś przyjeżdżają wazy z roślinami? -

spytał w końcu, kiedy już ją wszędzie wycalował.

- Dopiero we wtorek.

- W takim razie możesz nie wstawać z łóżka tak długo, jak tylko chcesz.

- Ale zrobiło się późno. Bella i Marian już od paru godzin są na nogach.

- Obydwe cię rozumieją, zwłaszcza kiedy usłyszą, jak pojękujesz.

Zapewne by ją zrozumiały. Nikt dłużej nie udawał, że nie wie,

co się dzieje w tym domu. Marian nawet pozwalała sobie na słone żarciki.

Był to jeden z licznych przejawów zmian, jakie zaszły tu po powrocie

Jonathana.

- Można z tym poczekać do wieczora. - Celia odrzuciła kołdrę. - Muszę

dziś czegoś dopilnować.

- Czego? - Pocałunki Jonathana sięgnęły piersi Celi, a jego ręka na jej

udzie przytrzymała ją w miejscu.

- Przecież ja nie tylko przechowuję rośliny. Muszę także znaleźć

sprzedawców naszych letnich kwiatów. Raczej nie będę sama stać na

targu i głośno ich zachwalać, więc muszę znaleźć kogoś, kto weźmie je

hurtowo.

Ręka Jonathana zsunęła się z jej biodra, poniżej którego pozwalał sobie

na różne swawolne praktyki. Skorzystała ze sposobności, żeby się mu

wyśliznąć.

Schwycił ją za kostkę, nim zdołała uciec. Obejrzała się na niego, balansując na jednej nodze.

- No wróć - prosił z desperackim uśmiechem. - Wiesz, że tego chcesz.

Rzeczywiście chciała, ale obydwójce prawie nie opuszczali łóżka przez całe trzy dni od powrotu z Cumberworth, a tymczasem czekało na nią mnóstwo spraw do załatwienia.

- Wieczorem. Przyrzekam.

- Co przyrzekasz?

Zaśmiała się i usiłowała oswobodzić kostkę.

- Co tylko chcesz. No, a teraz pozwól mi się umyć i ubrać. Puścił ją. Celia podeszła do drzwi i otworzyła je. Po drugiej stronie czekały dwa wiaderka z wodą. To było coś nowego. Nie mogła jednak zżymać się na Marian. Po cóż miałyby nosić wiadro z wodą na poddasze, skoro on sypiał tutaj? Te dwa wiaderka symbolizowały coś, co wykaczało poza właściwe obyczaje.

Zmierzyła temperaturę wody palcem, a potem postawiła obydwie wiaderka przy umywalce.

- Jest ciepła. Wymyj się teraz, jeśli masz rozum. Jonathan usiadł na brzegu łóżka.

- Co za wygoda.

- Prawda? Powinieneś się ogolić, nim wrócisz na górę.

- Ty pierwsza. Ja mogę myć się w zimnej.

Wstał, podszedł do jej ubrań i powąchał używane przez nią mydło. Nalała

wody do miski.

- Powiem Marian, żeby więcej tego nie robiła. Co ona sobie myśli? A ty nie zwlekaj.

- Myślę, że bardzo mi będzie miło oglądać cię przy myciu. - Podszedł do niej i wziął do ręki mydło. - Mogę ci nawet pomóc.

- Ja nie... - Jęknęła, ale on już namoczył myjkę. Długimi pociągnięciami zwilżył jej ramiona, a potem wyżał myjkę, tak że opryskał ramiona i piersi Celi, po których spłynęły strużki wody.

Sięgnął po mydło.

- Zabawne. Jeszcze nigdy dotąd nie myłem kobiety.

- Zalewasz podłogę!

- Będę ostrożniejszy - mruknął, a jego oddech musnął jej ucho, gdy mydlił swoje ręce. - Czego ja bym chciał wieczorem? - spytał,

a jego śliska dłoń ostrożnie sunęła do góry i w dół po jej ramionach.

- Właśnie o to mi chodzi. Żebyś był ostrożniejszy. - Głos jej nieco drżał, bo już traciła przytomność, gdy dokonywał tych ablucji. Najpierw ramiona, potem plecy, pośladki i... Drgnęła i obejrzała się przez ramię. - Jesteś zbyt skrupulatny.

- Nie chciałbym robić tego niedbale. - Nie ustawał w staraniach i nie odrywał od niej niecierpliwych rąk. Zaczęła drżeć na całym ciele, ale to było cudowne. Teraz już z pełną premedytacją dotykiem ją podniecał, a to, że oboje stali, nadawało jej doznaniom niewiarygodnej intensywności. Zbliżył się do niej jeszcze bardziej i napał pobudzonym w całej okazałości członkiem na jej uda, a potem jeszcze wyżej.

Musiała się o niego oprzeć, żeby nie upaść. Jej ciało gwałtownie pulsowało tam, gdzie czuła ów nacisk. Z trudem oddychała. Jonathan namydlił ponownie ręce i powoli pieścił jej plecy, a w końcu piersi. Wsparty podbródkiem o jej skroń, pieścił jej piersi cudownymi okrężnymi ruchami dłoni. Przygryzła wargę, by z jej ust nie wydostały się jęki, bo gdyby się wyrwały, byłyby tak głośne, że usłyszałyby je cała ulica.

- Czego więc bym chciał? Niech pomyślę. - Torturował ją i drażnił pieszczotami, a ona wiała się pod naciskiem jego twardej męskości.

-Chciałbym, żebyś włożyła jedną z tych atłasowych sukien. I żebyś była w łóżku, kiedy do ciebie przyjdę. Wśród poduszek. Mnóstwa poduszek. Chcę, żebyś była już wtedy podniecona. Tak jak teraz.

Przymknęła oczy i w wyobraźni ujrzała to, co opisywał, a także siebie, wyczekującą na niego. Palce Jonathana przyciskały delikatnie jej sutki, a przez całe jej ciało przebiegało gwałtowne drżenie.

- A potem?

- Co tylko zechcę, jak mówiłaś. Odsunął się od niej. Cały.

Uchwyciła się kantu umywalki, żeby utrzymać równowagę.

- Chyba mnie tak nie zostawisz?

- Podobno miałaś dziś załatwiać różne sprawy.

- Jo-na-thanie!

Zaśmiał się, objął ją ramieniem, straciła grunt pod nogami i wylądowała na łóżku. Uniósł się nad nią całym ciałem i wszedł w nią gwałtownie.

Podniósł jej nogę i wszedł powtórnie, jeszcze głębiej. Jej ciało za-

reagowało cudownym dygotem i falą dreszczy na siłę tego natarcia.

Podciągnęła zgięte w kolanach nogi do swoich piersi, żeby mógł się w nią zagłębić jeszcze mocniej, jeszcze pełniej, do końca. Unosił się nad nią na naprzężonych ramionach, a twarz, teraz poważną, wręcz surową, nachylił tak, żeby widzieć, co z nią robi. Wycofywał się z niej powoli, a potem ponownie w nią brutalnie wchodził, łącząc się w całej pełni, tak że traciła oddech w zapamiętaniu, niecierpliwie unosząc ku niemu uda.

To, co robili, stawało się coraz dziksze, a władcza siła, z jaką sprawiał jej rozkosz, pozbawiała ją zdolności panowania nad tym, co się z nią działo.

Dreszcze zalewały ją znów wznoszącą się falą wspaniałych doznań. Nie było im końca, napływały kolejnymi falami spełnienia, raz po raz wyrywającymi krzyk z jej ust. Wreszcie i on zadygotał w dreszczu tak potężnym, że wstrząsnął łóżkiem.

Opadł na nią, wydając gardłowy jęk, a ona objęła go z całej siły, wspólnie z nim przeżywając pełnię zjednoczenia. Jej dusza zatoneła w błogości.

Już nie dbała o to, że szaleństwem było pozwolić sobie na kochanie go w ten właśnie sposób.

- Czy zamierza pan tak figlować co dzień prawie do południa? -Marian postawiła talerz przed Jonathanem i założyła ręce na piersi. -Muszę to wiedzieć, bo nie zdążę pozmywać statków, jeżeli mam robić śniadanie tak późno.

Spróbował zrobić pełną skruchy minę. Celia spostrzegła jego spojrzenie, gdy stawiała kilka roślin pod oknem.

- Chyba w następnych dniach nie będę wstawał tak późno. Bardzo

przepraszam, jeśli przeszkodziłem w pracach domowych.

- Oj, przeszkodził pan solidnie. A jeśli przy ładnej pogodzie otworzymy okna, to przeszkodzi pan całej ulicy.

Marian wróciła do kuchni. Jonathan skończył śniadanie, a potem podszedł do Celi, która obrywała zwiędłe listki z jakiejś rośliny.

Objął ją od tyłu, kiedy była zajęta tą pracą.

- Przeszkodziłem ci w obowiązkach, podobnie jak Marian. Bardzo nieładnie z mojej strony.

- Bardzo nieładnie. A to jeszcze nie wszystko, co nam przyjdzie usłyszeć.

Poczekaj, aż Bella powie Marian o tym, jak porozlewaliśmy wodę. W całym domu nie ma pewnie dość ścierek, żeby wytrzeć podłogę do sucha.

A potem stało się to, co zwykle. Skrupulatne mycie, pieszczoty oraz igraszki z mydłem, nim zrobił z nią w łóżku to, co miał zrobić. Orgazm, podczas którego krzyczała donośnie, był początkiem, a nie końcem.

Tulił jej ciepłe ciało do siebie i znów czuł miękki dotyk tkaniny, którą Celia wycierała go godzinę wcześniej. Widział, jak się nachyliła jej złocista głowa, a umysłem i ciałem znów doznał niemożliwej do zniesienia rozkoszy, jaką potrafiły go darzyć jej usta.

Wspomnienie tego sprawiło, że znów doznał pobudzenia, tuląc się do niej. Odwróciła twarz, tak że widział ją teraz z profilu.

- A już myślałam, że masz dosyć.

Nie miał dosyć. Nigdy nie miał dosyć. Zauważył jednak, że błędziła myślami gdzie indziej, choć ciągle trzymał ją w objęciach.

On też miał o czym rozmyślać, gdyby sobie na to pozwolił. Będzie zresztą

musiał. Cieszył się jednak z kochania się z Celią dziś rano, co pozwoliło mu odsunąć to wszystko w czasie.

Wypuścił ją z objęć.

- Czy wybierasz się do Mayfair w związku z tymi sprawami, które musisz załatwić? Pojedźmy twoim kabrioletem, z moim koniem uwiązany z tyłu.

- Mogę z tym poczekać do jutra. Dziś zajmę się raczej sprawami domowymi. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego podbródka. - Zresztą jeszcze się nie ogoliłeś. Jeśli mam cokolwiek dziś załatwić, muszę wyjechać wcześniej od ciebie.

Pocałował ją i poszedł do siebie ogolić się i ubrać, ale po drodze zatrzymał się jeszcze i popatrzył na nią od drzwi, nim zniknął na schodach. Mimo promiennego uśmiechu i czułych spojrzeń nie była rozradowana. Krzątała się pilnie przy roślinie, którą przycinała, jakby w tej czynności kryła się odpowiedź na jej rozterki życiowe.

Celia zatrzymała kabriolet w City, przed frontem budynku z czerwonej cegły. Chłopiec, który tam stał, obiecał zająć się jej koniem i powozem.

Dała mu kilka pensów i podeszła do drzwi, podczas gdy kabriolet wjeżdżał w boczną uliczkę.

Wyciągnęła z torebki list. Czekał już na nią, kiedy wyszła dziś z sypialni.

Nadszedł z poranną pocztą i leżał tam, w jej domu, żeby zmarnować dzień rozpoczęty tak cudownie.

Weszła do środka i odszukała pokój Harolda Watsona, doradcy prawnego.

Pan Watson żądał w liście, by się tam zjawiła punkt o pierwszej. Teraz

było już po wpół do drugiej. Uważała, że może spóźnić się trochę.

Wolałaby mieć kilka dni na przygotowanie się, choć wątpiła, żeby to było możliwe.

To, co miało się stać, było nieuniknione. Jonathan w to nie wątpił, kiedy ją uwodził. A ona nie protestowała, mimo całego dramatyzowania przed podjęciem niezmiernie ważnej decyzji. Teraz, zamiast zapewnienia sobie bezpiecznej egzystencji, będzie rozpamiętywać namiętność, która nic jej nie dała, prócz kilku tygodni radosnego uniesienia, kiedy była młoda.

Za dziesięć lat co będzie myślała o transakcji, której dokonała, i romansie, który z niej wyniknął? Że zbyt łatwo wybaczyła Jonathanowi jego oszustwo, żeby poznać potęgę miłości? Że w pogoni za rozkoszą zapomniała o rozsądku? Gdy byli razem, nie myślała o nieuniknionym rozstaniu, żeby nie psuć sobie chwil radości, ale nie była aż tak niemądra, żeby całkiem o tym zapomnieć.

Kancelista wprowadził ją do prywatnego gabinetu Watsona. Stała zaszokowana, gdy drzwi zamknęły się za nią, i ledwie do niej dotarły słowa powitania Watsona, żyłastego, siwiejącego, niskiego człowieczka z niemodną już bródką. Nie spuszczała oczu z interesanta, który już tam siedział.

- W liście mnie pan nie uprzedził, że pan Dargent będzie tu obecny.

- Doradziłem mu, żeby poczekał, panno Pennifold. Jako jego doradca prawny mam obowiązek starać się o polubowne rozwiązanie sporu co do nieruchomości.

- Nie chodzi o żaden spór - odparł zniecierpliwionym tonem Anthony. -

Przecież usiłowałem to panu wyjaśnić! Widział pan chyba dokumenty?

Orientuje się pan, że moje roszczenia mają solidne podstawy.

- Pan Watson stara się oszczędzić skandalu, w razie gdyby właściwe znaczenie tej obustronnej umowy stało się szeroko znane, Anthony.

Prawda, panie Watson?

Pan Watson energicznie skinął głową, ale w taki sposób, jakby raczej chciał podkreślić, że przyjmuje to do wiadomości, niż że się z nią zgadza.

- Z doświadczenia wiem, że jeśli dwie zwaśnione strony dojdą do porozumienia, to można uniknąć procesu.

- Nie potrzebuję żadnego procesu! - wybuchnął Anthony. - Tylko cholernego komornika, żeby odebrać cholerny dług.

Wybuch Anthony'ego mocno zażenował Watsona. Wydawało się, że nie wie, co ma począć teraz, kiedy jego rozumna strategia spaliła na panewce.

- Proszę nas zostawić! - warknął Anthony. Watson usłuchał go aż nazbyt skwapliwie.

- Biedny człowiek - powiedziała Celia, gdy zostali z Anthonym sami. -

Chciał jak najlepiej. Czyś ty mu wszystko powiedział, Anthony?

Podejrzewam, że nie. A jednak on chyba wie wystarczająco dużo, by chcieć ci oszczędzić kłopotów.

Anthony zacisnął szczęki. Z jego oczu wyzierała wściekłość. Wyglądał jak ktoś, kto za chwilę gwałtownie wybuchnie.

- Za tydzień miałaś mi dać ostateczną odpowiedź. Tak twierdziłaś.

Tydzień minął, a ja nic dotąd nie usłyszałem!

- Owszem, to moja wina, ale milczenie też może być wymowną odpowiedzią. Gdybym się zgodziła na twoją propozycję, nie robiłabym z tego tajemnicy. Już byś dostał od krawców rachunki do zapłacenia.

Zaczął krążyć po pokoju, rozdrażniony.

- Jesteś nierozważna i niemądra!

- Nie, Anthony, tylko uczciwa. Wobec siebie samej i wobec ciebie.

Mogłam zatrzymać twoje pieniądze i ten piękny dom. Mogłam odegrać przed tobą komedię wielkiego, choć niegodnego szacunku romansu.

Byłoby to kłamstwem, bo już ciebie nie kocham. Chyba kochałam cię kiedyś, ale nie dzisiaj.

- Chcesz się na mnie odegrać, i tyle. Za to, że się z tobą nie ożeniłem. Że postąpiłem tak, jak tego ode mnie oczekiwano, i nie poświęciłem wszystkiego dla ciebie.

- Nie winię cię za to. Wiem, że musiało tak być.

I że nadal musi. Poczula rozgoryczenie i ścisnęło ją w gardle, ale nie miało to nic wspólnego z Anthonym. Opamiętała się. Czas na rozpamiętywanie żalu przyjdzie później.

- Muszę ci coś powiedzieć, Anthony. Może wtedy zrozumiesz, co mam na myśli, mówiąc, że cię nie chcę okłamywać. Chcesz podjąć na nowo romans, który skończył się pięć lat temu. Pytałeś mnie niedawno, i to wyraźnie, czy pozostałam nietknięta. Powinieneś się dowiedzieć, że już nie jestem.

Anthony wytrzeszczył na nią oczy. Trochę jej go było żal, ale to zdumienie źle świadczyło o jego inteligencji. Przecież nie ożenił się z nią

właśnie dlatego, że uważano ją za kobietę bez czci. Czyżby go

zaskoczyło, że jest taką właśnie kobietą?

Szok Anthony'ego ustąpił miejsca gniewowi. To był gniew zazdrosnego mężczyzny, który nie zna nazwiska rywala.

Odwrócił się do niej tyłem.

- Powinniśmy się rozstać jak dawni przyjaciele, Anthony. A nie jak dwie postacie z lichej komedii.

Nie odwrócił się do niej twarzą.

- Nie powinniśmy się byli wcale rozstawać, ale ty nie chciałaś mojej opieki, a ja musiałem się z tym pogodzić. Oddałaś swoje dziewictwo jakiemuś głupcowi, a tymczasem ja bym o ciebie dbał przez całe życie.

Ale pewnych rzeczy nie można naprawić. Jeśli muszę się zadowolić tym, co jest, schowam dumę do kieszeni i uczynię to. Powiedz tylko, czego ode mnie w zamian oczekujesz.

O Boże, on chciał kupić jej względy, tyle że w mniej elegancki sposób!

Pragnął być jednym z jej kochanków!

- Musisz się pogodzić z tym, że to niemożliwe. Przepraszam, jeśli nie dałam ci tego do zrozumienia wyraźniej.

Długo stał bez ruchu. Potem gwałtownie podszedł do drzwi i wezwał Watsona.

- Proszę zawiadomić wykonawcę testamentu pani Northrope o moich roszczeniach co do tej nieruchomości. Spodziewam się, że inwentaryzacja zajmie około tygodnia.

- Witaj, stryju.

Edward drgnął tak gwałtownie, że Jonathan widział, jak podskoczyła mu głowa. Potem stryj, wyginając całe ciało, odwrócił się na sofie bibliotecznej ku wejściu od strony ogrodu, gdzie stał Jonathan.

- Co u dia... Co ty sobie myślisz, wślizgując się cichaczem przez ogród?

Jonathan wszedł i popatrzył na niego uważnie. Stryj uspokoił się już, ale przedtem obrzucił spojrzeniem okna, drzwi i dzwonek na gzymsie kominka, służący do wzywania lokaja.

- Chciałem zobaczyć się z tobą jak najdyskretniej - zaczął Jonathan. -

Myślę, że już czas, żebyśmy szczerze porozmawiali o tym dziwnym zadaniu, które mi zleciłeś, i o poszukiwanej przez ciebie liście protektorów Alessandry.

- Znalazłeś ją?

- Znalazłem.

Edward wyciągnął dłoń. Jonathan obszedł wokół sofę i usiadł na krześle.

- Nie mam jej w ręku, ale widziałem ją. Znam nazwiska. Znam daty. -

Postukał się w czoło, dając do zrozumienia, że wszystko przechowuje w pamięci. - Nie jest to zwykły spis, i nikt się zorientuje, co mu wpadło w ręce, jeśli na niego natrafi.

- Czy ta córka o niej wie?

- Celia, stryju. A dla ciebie panna Pennifold. Będę wdzięczny, gdybyś wreszcie zapamiętał, jak się nazywa.

- Czy panna Pennifold o niej wie?

- Nie. Nie ma o tym pojęcia.

Skłamał bez wahania. Dość często w życiu kłamał, a to kłamstwo było

równie uzasadnione, jak każde inne.

Edward wyraźnie się uspokoił. Rozejrzał się wokoło, jakby czegoś szukał. Czekał.

- Chodzi mi o te plotki dotyczące pani Northrope. Czy markiz Enderby był kiedykolwiek podejrzewany o udział w tej intrydze?

Twarz Edwarda świadczyła o szoku.

- Enderby? To niedorzeczne.

- Dlaczego? Niektórzy z arystokratów angielskich byli wielkimi admiratorami Napoleona. Przypuszczam, że robił na nich wrażenie jego cesarski splendor. Enderby mógł być jednym z nich.

- Enderby? Oszalałeś! Wybij to sobie natychmiast z głowy. Nie wolno ci kwestionować jego lojalności wskutek wysanej z palca teorii.

- Niczego nie wysałem z palca. Uczyłeś mnie lepszych metod. Dobrze wiesz, że jeśli się interesuję Enderbym, to mam powody.

- Nie masz powodu, by interesować się kimkolwiek. Twoim zadaniem nie było węszenie, od kogo Northrope wyciągała sekrety, czy też komu je zdradzała, nawet jeśli od nich się zaczęło. Miałeś tylko przynieść mi tę listę.

- Enderby figuruje na niej.

Edward zaczął gwałtownie wymachiwać rękami.

- Pewnie wielu innych również, tak przynajmniej przypuszczam. Mówię ci, że to nie był on.

- Jesteś pewien?

- Do diaska, tak!

Jonathan uwierzył mu. Były to dobre wieści. Oznaczały, że sumy zauważone przez Celię w książce z rachunkami istotnie były przeznaczone na jej utrzymanie. Istniała bowiem możliwość, że wobec podejrzeń, do których Jonathan zrobił aluzję w liście napisanym na kamiennym stopniu, Enderby wolałby przyznać się raczej do ojcostwa niż do zdrady.

W świetle tego, czego się teraz dowiedział, nie wydawało się to prawdopodobne. Jonathan był rad, mogąc się pozbyć podejrzeń, że to wizyta Celi dała zdrajcy powód do niepokoju, co ona naprawdę wie o przeznaczeniu tych pieniędzy.

- Możesz się o tym upewnić, stryju, tylko w jeden sposób. Zapewne zdajesz sobie sprawę, co się naprawdę kryje za tymi plotkami.

Jeśli nie Enderby był w to wplątany, w takim razie wiesz dobrze, kogo dotyczyły.

- Mylisz się.

- Nie sądzę. Myślę, że zlecono mi to zadanie po to, bym chronił reputację nie wielu mężczyzn, tylko tego jednego. Kto ci kazał mi je zlecić i dla kogo? Powiedz, bo w przeciwnym razie sam pójdę do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i powiem tam wszystko o zleceniu, które nie od nich wyszło, a także o tym, że Enderby płacił Alessan-drze Northrope.

- Chcesz splamić nazwisko niewinnego człowieka, który zawinił tylko tym, że przez krótki czas związany był z jakąś dziwką?

- Spodziewam się, że nie próbujesz apelować do mego sumienia, bo już od dawna go nie mam. Nie jestem życzliwie usposobiony do Enderby'ego

i wcale mnie nie martwi, że może mieć kłopoty z tego powodu.

Edward przymknął oczy. Nagle zaczął wyglądać jak ktoś bardzo stary i zmęczony.

- Nie jest tak, jak myślisz. Nie powiedziałem ci wszystkiego.

- Wcale się temu nie dziwię.

- Ja po prostu coś uprościłem. To było bardziej skomplikowane. Mniej oczywiste. Nie musiałeś o tym wiedzieć i nadal nie musisz.

- Owszem, muszę. Albo mi powiesz, albo znajdę sposób, żeby sam się dowiedzieć.

Edward westchnął głęboko. Wstał, podszedł w zadumie do półki i wyciągnął z pudełka cygaro. Wypuścił kilka kółek dymu i westchnął ponownie.

- Alessandra Northrope nie wyciągała od nikogo informacji. Przekazywała je tylko, ale nie całkiem prawdziwe. Miała dostarczać pewnych informacji komuś, kto szpiegował na rzecz Francji. Były wśród nich i autentyczne, lecz bez większego znaczenia. Wszystko polegało na tym, by się nie zorientowano w tej grze i nie wiadano, w jakim celu jest prowadzona. Inne informacje były natomiast fałszywe i miały działać niczym kije wsadzone w maszynę francuskiej strategii.

Rewelacje te zaskoczyły Jonathana. Poczuł też jednak ulgę. Choć nie domyślił się wcześniej prawdziwej roli Alessandry, rad był, że Celia dowie się prawdy o matce. Przynajmniej mógł oszczędzić jej rozczarowania.

- Nazwiska tego kogoś nie będzie na liście, którą znalazłeś, nie zaprzataj

sobie tym głowy. Ona nie była głupia. Nie zostawiłaby żadnych

świadczeń.

- A więc on był Anglikiem, a nie jej dawnym francuskim kochankiem?

Edward puścił mimo uszu jego pytanie.

- Nie możesz jej tego powiedzieć. To znaczy panie Pennifold. Nie wolno ci.

- Oczywiście.

Tylko że właśnie chciał to zrobić, a Edward całkiem przestał go obchodzić.

- Czy ktokolwiek zginął z powodu tych prawdziwych, choć pozbawionych znaczenia informacji? To była niebezpieczna gra.

- Nikt. Postępowano bardzo ostrożnie. O wszystkim rozstrzygał czas, jak zresztą wiesz.

Alessandra miała temu człowiekowi napomykać o czymś, co jakoby usłyszała od innego swego kochanka. Kiedy szpieg przekazywał to komuś, kto się z nim kontaktował, i tamten wracał do Francji z taką wiadomością, była ona już bezużyteczna, choć się nią nie wydawała.

Kanał, którym przekazywano nieścisle dane, mógł Francuzom przyczynić wielkich kłopotów.

- Kto z nią pracował? Ty? Stryj pokręcił głową.

- Wybrano godnego największego zaufania człowieka, który nie był jednym z zawodowych agentów. Zrobiono to, żeby uniknąć podejrzeń.

Nawet ja dowiedziałem się o tym dopiero po wojnie. Chodziło tu o

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i wojsko. O ludzi z najbardziej

elitarnych kręgów. Przestrzegano największej dyskrecji.

- Ale ktoś z nią musiał pracować. Jakiś „godny największego zaufania człowiek” dostarczał jej informacji, o których miała napomykać.

Jonathan chciał już odejść. Niczego więcej by nie wy dostał od Edwarda, ale dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował.

- Nie potrzeba ci tej listy - powiedział stryjowi. - Masz rację. Żaden z zamieszanych w tę sprawę mężczyzn na niej nie figuruje.

Kiedy wychodził przez francuskie okno, obejrzał się.

Stryj Edward wyglądał na człowieka zdruzgotanego, a jego spojrzenie mówiło o udręce.

Mnóstwo poduszek? Celia nie wiedziała, czy te, które zgromadziła na łóżku, wystarczą. Musiały jednak wystarczyć, bo więcej ich nie miała. W pokoju było gorąco od żaru kominka. Wino czekało na stole. Płowy atlas pieścił jej skórę. Reszta nie była trudna. Jonathan chciał, żeby czuła podniecenie. Już samo oczekiwanie działało na nią podniecająco.

Chciała tej nocy doznać zapomnienia. Ten pokój mógł już wkrótce przestać do niej należeć, ale na razie był jej. Niezależnie od tego, co się potem stanie, zapamięta ten dom i ten pokój, i swoją namiętność.

Położyła się na łóżku wśród miękkich poduszek, które ugięły się pod jej ciężarem. Nie wiedziała, czy Watson przyśle kogoś w celu zrobienia inwentarza już jutro ani czy Anthony'emu potrzebny będzie komornik, by ją stąd wyrzucić. Powinna skontaktować się z doradcą prawnym i przekonać się, czy może chociaż liczyć na zwłokę.

Przeżycia tego dnia powinny ją były przygnębić, a jednak nie zdołały tego dokonać. Po bezwzględnej odmowie danej Anthony'emu poczuła się oswobodzona. Może z powodu tej decyzji, lepszej niż poprzednia, podjęta pod jego naciskiem. Była dumna z tego, jak dzisiaj postąpiła.

Będzie wprawdzie pełna żalu po stracie tego domu i życia, jakie w nim wiodła, ale nie będzie żałować powodu tej straty.

Czy znalazłaby w sobie tyle siły, gdyby nie poznała Jonathana? Gdyby jej nie uwiódł i nie umożliwił wejścia na tamtą, inną drogę życia? Zapewne sądził, że w ten sposób pchnie ją ku matczynej profesji, a tymczasem okazało się, że ona nie chce bronić się przed głębokim

uczuciem zrodzonym z przebywania z nim w tym domu, nawet gdyby miała drogo za to zapłacić.

Ciekawa była, co by o tym powiedziała Alessandra. Zapewne nic dobrego.

Znane jej już odgłosy dochodzące z dołu mówiły, że Jonathan wrócił.

Wkrótce przyjdzie do niej. Przymknęła oczy, czując, że jej ciało budzi się do życia.

„Erotycznie, nie wulgarnie, Celio”. Poprawiła na sobie suknię. Teraz jej wygląd pochwaliby Alessandra.

Jonathan wracał od Edwarda w niewesołym nastroju, nieustannie rozmyślając o rozmowie ze stryjem. Miał ciągle w pamięci wyraz jego twarzy. Zwłaszcza moment, gdy Edward zdał sobie sprawę, że implikacje jego opowieści nie uszły uwagi bratanka.

Przypuszczał wprawdzie, że nic w jego zachowaniu nie zdradziło, co naprawdę o tym myśli, lecz Edward znał go lepiej niż ktokolwiek inny, może z wyjątkiem Celi. Mógł na tej podstawie uznać, że jego wnioski, choć ich nie wypowiedział na głos, nie umkną uwagi jedyne go człowieka, dla którego były niesłychanie ważne.

Wszedł do domu wciąż jeszcze wzburzony. Gdy wchodził na górę, jego nastrój wahał się między wściekłością a przygnębieniem tak głębokim, jak nigdy dotąd.

Na pierwszym piętrze spojrzał ku pokojowi Celi. Najlepiej byłoby, gdyby nie wchodził tam, ciągle jeszcze wzburzony. Podeszedł jednak ku jej drzwiom, chcąc się jakoś usprawiedliwić.

Gdy je otworzył, znalazł się w ciepłym i miłym otoczeniu, które z takim trudem stworzyła. Na kominku płonął jeszcze słaby ogień, pokój oświetlało kilka świec, a wino i dwa fotele czekały przy kominku. Któryś z jej szydełkowych szalów zwisał z oparcia jednego fotela, podkreślając kameralną atmosferę. Różne kobiece drobiazgi, jak wazonik pełen gałązek wiecznie zielonych roślin, mówiły o odprężeniu, jakiego można tu było doświadczyć.

Łóżko zaś mówiło o innym rodzaju odprężenia i innym aspekcie kobiecości. Celia już tam na niego czekała. Leżała na stosie miękkich poduszek. Odblaski światła tańczyły na atłasie sukni wokół jej talii. Poniżej była naga, z krągłymi pośladkami i zgrabnymi, rozchylonymi nogami wystawionymi jawnie na widok.

Był to najwytworniejszy erotyczny obraz, jaki kiedykolwiek ujrzał.

Wsparła się na łokciach. Przy tym ruchu plecy się jej wygięły, a pośladki uniosły ku górze. Spojrzenie świadczyło o tym, że Celia ma świadomość, jak to na niego podziała.

- Mnóstwo poduszek, jak sobie życzyłeś. Marian będzie pewnie miała pretensję, że jej niektóre podkrađłam.

Przypomnił sobie, co robili rano, a także swoje żądanie poduszek i atłasu. Zdawało mu się, że było to całe wieki temu.

- Jesteś tak piękna, Celio, że patrzenie na ciebie wręcz boli. Wyglądasz perfekcyjnie, a ja cię pragnę. A jednak nie będzie to dobra noc po tym, czego doświadczyłem za dnia.

- Co się stało? Mój dzień również był przykry. Nie uważasz, że w takim

razie noc powinna być idealna? Zapomnijmy na chwilę o tym, co nas spotkało.

Zgięła nogę w kolanie i pomachała stopą w powietrzu.

- Zrobiłam wszystko, jak sobie życzyłeś, pamiętasz?

Zrzucił z siebie płaszcz, rozwiązał halsztuk i upił trochę wina, patrząc, jak

Celia kusi go tą stopą i spojrzeniem.

Wszystko było takie, jak sobie życzył. Tylko że teraz chciał dać w jakiś sposób upust rozsadzającej go furii. Pragnął zanurzyć się w objęciach

Celii, póki jej zapach i jęki nie sprawią, że zapomni, co czuje.

Potrzebował jej krzyków, żeby zagłuszyć wstrętą prawdę w swojej głowie.

Nadal się rozbierał.

- Poduszki, atlas i wszystko, czego pragnę. Czy pamiętasz resztę?

- O, tak. Czy nie możesz tego powiedzieć na głos? Jestem gotowa. I to już od dłuższego czasu.

Rzucił się na nią i ukląkł nad nią na łóżku. Wsparł jej biodra na stosie poduszek i szeroko rozsunął kolana. Dotknął jej, a biodra Celii uniosły się w zmysłowym zapamiętaniu. Pieścił delikatnie wilgotne, aksamitnie miękkie zakamarki jej ciała.

Niebawem jęknęła niecierpliwie.

- Teraz!

- Jeszcze nie.

Nachylił się i zanurzył w jej zapachu. Użył języka, póki nie słyszał już niczego prócz jej krzyków i głośnego pulsowania własnej krwi w głowie.

Furia znalazła sobie wreszcie ujście, gdy pieścił ją, bezlitosny, nie zważając na nic. Sprawił, że go błagała, i doświadczała zbyt wielkiej rozkoszy, czyniąc ją całkowicie bezsilną.

Doprowadził ją do orgazmu tak silnego, że dygotała i krzyczała. A potem uniósł się i rzucił na nią ponownie, tak że atłas ześliznął się z jej pleców, a pośladki uniosły ku górze, co podsyciło jego szaleństwo. Wziął ją bezwzględnie, dziko, niezdolny się pohamować, ona zaś, zgodnie z własnymi słowami, dała mu wszystko, czego pragnął.

- Chodźmy do ogrodu - zaproponowała Celia. - Wieczór był ładny i chyba nie jest bardzo zimno.

- Przeziębisz się.

- Włożę moją najcieplejszą nocną koszulę, pantofle i płaszcz. To dużo więcej, niż wiele kobiet wkłada na siebie, idąc wieczorem do teatru.

Podniósł się z łóżka i sięgnął po ubranie.

Celia, ze świecą w ręce, szła już schodami ku wejściu do ogrodu.

Jonathan włożył surdut i kamizelkę. Zauważyła to. Nie chciał z nią zostać na noc.

Powietrze było rześkie, ale niezbyt zimne. Księżyc świecił dostatecznie jasno, by oświetlić rabaty.

- Czy sprawiłem ci przykrość? - spytał po kilku minutach spaceru.

- Nie. Domyśliłam się, co się stanie, kiedy cię zobaczyłam. Przykro mi tylko, że zły humor znów cię ogarnia. Żałuję, że nie udało mi się dać ci moim ciałem choćby chwilowej ulgi.

- Nieprawda. Już sama twoja obecność mi ją zapewnia.

- To już coś.

Szli dalej po mrocznych ścieżkach, wśród słabej poświaty przenikającej zza chmur.

- Celio, czy sobie przypominasz, co ci mówiłem o mojej misji na wybrzeżu przed pięciu laty?

- Podczas której zginął ten chłopiec?

- Doszło do tego, bo ktoś ujawnił, że tam jestem. To była zdrada. Ostatnio próbuję odkryć, kto jest za to odpowiedzialny.

Serce się jej ścisnęło. Powrócili znów do tego tematu. Nie mówili już potem o tym ani razu. Sądziła, że nigdy nie wróca.

- Myślałeś, że mogła to być moja matka, prawda?

- Myślałem, że wiązało się to z plotkami o niej. I tak rzeczywiście było, tylko że plotki okazały się nieprawdziwe, a więc i cała reszta również.

A potem opowiedział jej o tym, jak Alessandra pracowała dla rządu, przekazując pewnemu mężczyźnie otrzymywane informacje, co miało na celu oszukanie Francuzów.

- W takim razie ona wcale nie była szpiegiem, Jonathanie, ale raczej bohaterką.

- Istotnie. Wiązało się z tym jednak pewne niebezpieczeństwo.

- Przecież to dobre nowiny.

- Owszem, jeśli chodzi o nią, i cieszę się z tego. Ale pewnego dnia człowiek, który dostarczał jej informacji, polecił jej powiedzieć temu szpiegowi coś, co dotyczyło spraw angielskich. A to już nie była informacja fałszywa, jak w innych przypadkach. Alessandra nie wiedziała tego i przekazała ją.

No i wtedy Jonathan omal nie został zabity, a chłopiec zginął.

- Czy ją o to obwiniasz? Czy dlatego...

- Bynajmniej. Obwiniam człowieka, który nadużył jej zaufania dla własnej korzyści.

Zatrzymała się i chwyciła go za ramiona.

- Czy sądzisz, że wiesz, kto to jest?

Przyciągnął ją ku sobie i objął, ale patrzył gdzieś za nią, w mrok.

- Tylko mój kuzyn mógł mieć motyw, a także był człowiekiem, któremu zlecono pracę z nią. Widziałem go u niej kiedyś. Nie ma jednak jego herbu wśród wszystkich innych. Nie sądzę, by kiedykolwiek był jej protektorem.

- Czy jesteś pewien, że to on? Czy można zrobić coś tak strasznego tylko dlatego, że kogoś drażni istnienie nieślubnego kuzyna?

- Jestem prawie pewien, a wkrótce zyskam całkowitą pewność.

Przytuliła głowę do jego piersi. Nie westchnął wprawdzie, ale usłyszała coś bardzo do westchnienia podobnego. Chciała samą siebie przekonać, że ulżyło mu uczynione wyznanie, ale nie za bardzo w to wierzyła.

- Nie zadowolili się tym, że mnie nie uznał. Z przykrością muszę przyznać, że mnie to gnębi. Może mu się nie podobać, że jesteśmy tej samej krwi, ale w końcu to prawda. A to, że zamierzał doprowadzić do mojej śmierci...

W ostatnich słowach Jonathana dał się słyszeć gniew, jakby to uczucie wzięło górę nad smutkiem.

- Co teraz chcesz zrobić?

- Powiedzieć mu, że o tym wiem. Stanąć z nim twarzą w twarz. A potem odbyć z nim rozmowę, której unikał, odkąd skończyłem dziewięć lat.

Objął ją ramieniem i zawrócił do domu.

- A twój zły dzień, Celio? Jeśli ja cię nękałem opowieścią o moim, ty musisz mi opowiedzieć o swoim.

- Widziałam się z Anthonyem. I z jego doradcą prawnym. - Wskazała na dom. - Spodziewam się, że wkrótce już nie będzie mój. Doszłam zresztą do wniosku, że skądinąd jest dla mnie za duży. Wiem, jaki zysk przyniosą kwiaty. Pomówię z agentem handlu nieruchomościami i rozejrzę się za wynajęciem innego. - Szturchnęła go żartobliwie. - Upewnię się, czy ma ładne poddasze.

- Ile wynosi twój dług wobec tego łajdaka?

- Osiemset funtów. Kto by pomyślał, że moja matka tak dobrze umiała się targować?

- Żartujesz sobie, ale widzę, że cię to przygnębia.

- Kiedy tylko przygnębia mnie myśl, że stracę ten dom, przypominam sobie minę Anthony'ego, kiedy mu powiedziałam, że nie chcę się z nim wiązać w żaden sposób i za żadną cenę. Sprawia mi to taką satysfakcję, że nie czuję się zanadto zgnębiona.

Jonathan nie otworzył ogrodowej furtki, lecz posadził Celię na pobliskiej ławce, a wcześniej ją pocałował.

- Celio, nim dorosłem na tyle, by odrzucić pensję Thornridge'a, który chciał sobie kupić za nią moje milczenie, zyskałem tą drogą trochę ponad tysiąc funtów. Weź z tego tyle, ile ci potrzeba, i skończ z

tym łajdakiem.

Nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć, a zresztą nie mogła, bo odebrało jej mowę. Jonathan spojrział na nią tak, jakby wcale nie złożył jej tej zdumiewającej propozycji. Paliło ją w gardle, a serce miała ściśnięte, ale ze wzruszenia.

Niewłaściwie zrozumiał jej milczenie.

- To nie to, co myślisz, nie jest to bynajmniej rekompensata, jaką otrzymywała twoja matka.

Ależ była to rekompensata, tylko że zaproponowana w najlepszych intencjach, z chęci jej ochrony.

- Czuję się bardzo zaszczycona tą ofertą, Jonathanie. Pewnie to wszystkie twoje pieniądze, a z odsetków kupujesz sobie zapewne odzienie.

Ujął ją za rękę i pomógł jej wstać.

- Dopilnuję tego jutro.

Wspięła się na palce i pocałowała go.

- Nie. Nie dopilnujesz. Znajdę inny dom. Nie próbuj też zrobić tego bez mojej wiedzy. Nie pozwolę, żebyś zubożał, bo moja matka zaniedbała sprawę spłacenia długu Anthony'emu.

Nie spierał się z nią, tylko otworzył drzwi i pomógł jej przez nie przejść.

- Myślę, że zostaniesz tu jednak trochę dłużej, Celio.

- W takim razie dobranoc, Jonathanie.

Zamknęła drzwi i zostawiła go w ciemności, bez wątpienia rozmyślającego o zamierzonym spotkaniu z Thornridge'em.

Ona też się nad tym zastanawiała i wyobrażała sobie, co by się stało,

gdyby Jonathan stanął twarzą w twarz z tą swoją rodziną i zażądał uznania go. Wątpiła, by podjął taką walkę bez odpowiednich środków. Jeśli w ogóle ją podejmie, to mając pewność zwycięstwa. Miała nadzieję, że takie środki ma. Pragnęła, żeby otrzymał to, co mu się słusznie należało. Wyobraziła sobie, jak towarzyszy w parku swojej kuzynce, zamiast być przez nią ostentacyjnie ignorowany. Przygnębiły ją jednak te rojenia, choć szczerze życzyła mu sukcesu. Aż za dobrze bowiem wiedziała, że gdyby przechadzał się wraz ze swoją kuzynką, lady Chesmont, to nie mógłby wówczas przechadzać się z córką Alessandry Northrope.

Jonathan zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął pisać w swoim dzienniku streszczenie odczytu, jakiego wysłuchał wraz z Summerhaysem w Królewskim Towarzystwie Naukowym. Summerhays postąpił bardzo wielkodusznie, zapraszając go, zwłaszcza że nie interesował się specjalnie chemią. Gdyby chodziło o astronomię, słuchałby wszystkiego z największą uwagą, a nie drzemał, tak jak dzisiaj.

Już prawie kończył, gdy czyjeś kroki zadudniły gwałtownie na kuchennych schodach. Głośne stukanie do drzwi zmusiło go do odłożenia pióra. Za drzwiami stała niesłychanie podniecona Bella.

- Musi pan zejść do niego, proszę pana. On pyta o pana.

- Kto?

- Jakiś mężczyzna, cały zakurzony, w uniformie. Marian mówi, że to tylko służący, ale... - Wręczyła mu niewielką kartkę. - Powiedział nam, żeby to panu dać i że zaczeka. Celi nie ma w domu, a...

Ujął list i przeczytał jedyne słowa, jakie na nim widniały: *Thornridge*.

Przyjdź zaraz.

Jonathan chwycił płaszcz i zszedł na dół. Jak się spodziewał, był to służący w liberii Castleforda. Nikt inny nie napisałby równie zwięzłego listu w przekonaniu, że każdy się domyśli, kto go wysłał.

Lokaj odsunął się na bok i Jonathan wyszedł na ulicę. Powóz Dargenta zrobił wrażenie na sąsiadach, ale karetka Castleforda była w dodatku ozdobiona koroną. Z okien wychylały się liczne głowy, usiłując zajrzeć do wnętrza. Chłopcy podziwiali konie, stojące w idealnym zaprzęgu.

Jonathan otworzył drzwiczki karety i wskoczył do środka.

- Ale urządziłeś pokaz.

Castleford odsunął zasłonkę i wyrzwał.

- To dlatego, że źle wybrałem porę, żeby posłać po ciebie, i musiałem przyjechać osobiście.

- Jak mnie znalazłeś?

- Straciłem na to mnóstwo czasu. Posłałem umyślnego do Hawkes-wella po twój adres, ale okazało się, że to jakiś sklep z rycinami. Potem sobie przypomniałem o panie Pennifold. Mój doradca prawny zna doradcę jej matki, a ten wiedział o tym domu, no i dlatego tu jestem.

Nie tylko tam był, ale w dodatku wyglądał jak księżę. Można byłoby krajać ser jego sztywnym kołnierzykiem. Łańcuszek od zegarka był ozdobiony rubinem, który wystarczyłby na utrzymanie całego hrabstwa przez miesiąc.

- Co tak na mnie patrzysz? - spytał Castleford.

- Wcale nie patrzę. Tylko... dziś nie jest wtorek.

- To nie może czekać do wtorku. Zamierzam się spotkać z jednym znajomym arystokratą na jego żądanie w sprawie, która ma dla mego wielkie znaczenie. Zważywszy poważny ton jego listu, wypada mi być trzeźwym i ubrać się stosownie do mojej pozycji, żeby tak rzec.

Gdy zostawili za sobą ulicę Celi, Castleford odsunął zasłonki. Światło ukazało jego oczy ani w połowie tak zasadnicze jak jego strój i słowa.

- Thornridge chciał się widzieć z tobą, Castleford? Myślałem, że w mojej sprawie.

- Może być i tak. Kiedy już się tam znajdziemy. Po tym, jak mnie przyjmie. Zeby sobie zapewnić tę audiencję, urządziłem wszystko tak, zeby on bardziej chciał się widzieć ze mną niż ja z nim.

- Jak ci się to udało?

Castleford przekrzywił głowę, jakby coś, koło czego przejeżdżali, przykuło jego uwagę.

- Uwiodłem mu siostrę. Dowiedział się o tym, oczywiście, i uznał to chyba za osobistą zniewagę, wnosząc z jego wczorajszego listu. Zażądał rozmowy i właśnie dlatego tam jedziemy.

Jonathan spojrział na niego. Castleford odwzajemnił mu spojrzenie, ogromnie zadowolony ze swojego sprytu.

- Uwiódł pan moją kuzynkę, Wasza Wysokość? - Jonathanowi stanęła przed oczami kobieta, która wyrządziła mu afront w parku

i - o czym wiedział - wiodła nudne, jednostajne życie z nieciekawym mężczyzną. Nie miała cienia szansy.

- Do diaska, chyba rzeczywiście jest twoją kuzynką, skoro tak teraz mówisz. Nieoficjalnie. Ale nigdy z tobą nie rozmawia. Nie sądzę więc, żebym uwiódł szczególnie drogą ci kuzynkę.

- Fatalnie postąpiłeś.

- Tak czy inaczej uwiodłem ją i już, przestań mnie męczyć. Byłoby zbyt śmieszne, gdybyś mnie wyzwał na pojedynek w obronie czci krewnej, która kwestionuje twoje istnienie. Prócz tego trudno mi wybrać kogoś na sekundanta jednego dnia, kiedy drugiego miałbym się z nim pojedynkować z tego samego powodu.

- A więc mam być twoim sekundantem? Czy się spodziewasz, że

Thornridge wyzwie cię na pojedynek za to, co zrobiłeś?

Castleford leniwie wzruszył ramionami.

- Ano cóż, spodziewam się, że ktoś kogoś na jakiś pojedynek wyzwie, nim dzisiejszy dzień dobiegnie końca.

Hrabia Thornridge miał na Grosvenor Square dom, gdzie zwykle mieszkał samotnie, kiedy bywał w mieście. Jego żona, która była sławną pięknoscią przed ślubem, po ślubie nagle uznała, że Londyn jej zubożniał. Przynajmniej tak mówiono. Jonathan przypuszczał, że Thornridge jest po prostu zazdrosny i łatwiej mu w ten sposób utrzymać żonę z dala od pokus.

Zważywszy na przyczynę tej wizyty, nie wyglądało na to, by Thornridge szybko zmienił swoje zdanie o Londynie jako miejscu niebezpiecznych amatorów.

Tylko Castleford posłał swój bilet wizytowy. A że był Castlefordem, służący nawet nie mrugnęli, nie widząc biletu Jonathana, ani też nie pytali go o nic, kiedy wszedł za księciem do salonu chwilę później.

- Czy jesteś gotów? - mruknął Castleford, kiedy zbliżali się do drzwi.

Było jasne, że spodziewał się niezłego przedstawienia w zamian za kłopoty, jakich mu przysporzyło to uwiedzenie.

Drzwi otworzono przed nimi z całym ceremoniałem. Jonathan uznał, że jest bardziej gotów, niż kiedykolwiek przedtem w swoim życiu.

Thornridge nie udawał, że to ma być wizyta towarzyska. Czekał, sztywno wyprostowany, z surową twarzą. Przywitał księcia oschle, w sposób

wymuszony.

A potem dostrzegł Jonathana i spurpurowiał.

Jonathan patrzył na niego z fascynacją, mimo że gniew nie pozwalał mu na bezstronną ocenę. Widywał go całymi latami z daleka. Nie był w stanie powstrzymać się od tego. Nie zaskoczyły go więc ani siwiejące włosy, ani coraz większa tusza. Nigdy jednak, odkąd był dziewięcioletnim chłopcem, nie widział jego twarzy z tak bliska.

Łączyło ich niemożliwe do przeoczenia podobieństwo. Może właśnie dlatego stryj Edward zaoferował mu zajęcie, które całymi miesiącami trzymało go z daleka od Londynu?

- Co on u diabła tu robi? - spytał Thornridge.

- Utrzymuje, że obchodzi go osobiście ta sprawa. Oskarżyłeś mnie o uwiedzenie siostry, a Albrighton o uwiedzenie jego kuzynki. Kiedy sobie zdałem sprawę, że obaj macie na myśli tę samą kobietę, uznałem, że łatwiej mi przyjdzie to wyjaśnić z obydwojema naraz.

Castleford podszedł energicznie do sofy, siadł na niej, skrzyżował nogi i spojrzał na hrabiego z najniewinniejszą w świecie miną.

- Nie ścierpię go tutaj. Nie mógł mieć na myśli tej samej kobiety, bo wcale nie jest jej krewnym. On nie...

- Do diabła, Thornridge, przecież wystarczy na niego spojrzeć, żeby się przekonać, że jakimś krewnym musi być. Połowa dobrego towarzystwa już się tego domyśliła.

- Jak śmiesz się wtrącać?! Castleford udał, że jest zmieszany.

- Jestem tutaj na twoje wezwanie. To ty zacząłeś mówić o czym innym,

czyli o jego pokrewieństwie.

Thornridge odwrócił się od niego i spiorunował wzrokiem Jonathana.

- Jeśli sądzisz, że dziś będziesz mi się narzucać ze swoimi kłamliwymi pretensjami, to się dowiedz, że ani myślę cię wysłuchać.

- Nie po to się tutaj znalazłem. Przyszedłem, żeby się przekonać, czy mam cię zabić.

Thornridge oniemiał. Z tyłu za nim Castleford wyprostował się na sofie.

Był pod wrażeniem.

- Czy ośmielasz się mi grozić?! - mruknął Thornridge.

- Jeśli wiem, że ktoś chętnie by mnie widział nieżywego, to prędzej mnie piekło pochłonie, niż będę czekał na jego następny ruch.

Thornridge, który przedtem niemalże wrzeszczał na cały głos, się pohamował.

- Twoje oskarżenie jest niedorzeczne. Nie mam powodu, żeby ci życzyć śmierci.

Oczywiście, że go miał. Cała reszta byłaby bez sensu, gdyby go nie miał.

- Odbylem ostatnio długą rozmowę ze stryjcem Edwardem. Może zanadto się bał, żeby ci o tym powiedzieć. No bo zwykle o wszystkim ci mówi, prawda? O tym, jak się starał, żebym zawsze miał mnóstwo roboty i znajdował się z dala od ciebie. Koniec wojny mocno to utrudnił, ale on i temu zaradził.

Thornridge wyraźnie zeszywniał.

- Wspominał mi, że masz uzdolnienia użyteczne dla Anglii, ale nie mówił o nich szczegółowo.

- No, bo ty już o nich wiedziałeś. A nawiasem mówiąc, wiem już o roli, jaką odgrywała podczas wojny Alessandra Northrope. I że byłeś jednym z tych, którzy mówili jej, jakie informacje ma przekazywać.

- Nic o tym nie wiesz.

- Nikt inny nie miał powodu, żeby ją informować o moim zadaniu. I to bardzo szczegółowo. Wpadłem w zasadzkę i powinienem już nie żyć.

Któż inny niż ty mógł chcieć, żebym nie żył, a także mieć dostęp do szczegółów tej misji i sposób, żeby je przekazać wrogowi?

- Nie miałem powodu życzyć ci śmierci, a zatem twoja historyjka jest nonsensowna od początku do końca.

- Ależ oczywiście, że miałeś powód. Przedtem nie byłem tego pewien.

Przez całe lata uważałem za prawie niemożliwe, by słowa matki o małżeństwie zawartym z nią przez mego ojca na łożu śmierci były prawdą. Teraz już wiem, że nią były.

Thornridge wyglądał, jakby chciał rzucić się na niego z pięściami, ale prócz gniewu, który wykrzywił mu twarz, wyzierał z niej strach.

- Ośmieliłeś się mówić, że mnie zabijesz. Taki jesteś pewien tego, co wiesz, że chciałbyś mnie wyzwąć na pojedynek? Byłbyś potem sądzony za morderstwo, a to, co - jak twierdzisz - wiesz, nie uchroniłoby cię od stryczka.

- Jeśli uznam, że muszę cię zabić, to nie w sposób honorowy, bo jesteś człowiekiem bez honoru. Zapewniam cię, że niczego by mi, pomimo podejrzeń, nie udowodniono.

Kuzynowi oczy wyszły z orbit. Jonathan był głęboko przekonany, że

mimo wściekłości i oszołomienia Thornridge robi teraz w pamięci przegląd wszystkich misji, podczas których rezygnowano ze skrupułów moralnych w imię wyższej konieczności.

Za nim, na sofie, Castleford uśmiechał się, częściowo z podziwem, częściowo z diabelską wprost satysfakcją, i niemalże mruczał z zadowolenia.

Thornridge przypomniawszy sobie nagle o jego obecności.

- Groziłeś mi w obecności świadka! - warknął do Jonathana.

- Och, ja tylko słyszałem słowa kogoś, kto się wyraził metaforycznie - rzekł Castleford. - Wszyscy przecież tak robią. Przynajmniej jeden raz dziennie grożę mojemu lokajowi, że go posiekam na kawałki.

- Do diabła, w tym nie było nic metaforycznego! Castleford przymknął oczy.

- W takim razie, Thornridge, może należy mu się od ciebie jakieś zadośćuczynienie? Jeśli jednak tak się fatalnie składa, że on mówi prawdę, to wątpię, czy przeprosiny tu wystarczą. Mnie by nie wystarczyły, gdybym się dowiedział, że ktoś chce mnie uśmiercić.

- To haniebne i bezpodstawne oskarżenie ze strony człowieka, który szuka guza! - parsknął Thornridge i pospiesznie wyszedł z gniewną miną.

Jonathan nie zareagował. Castleford rozsiadł się na sofie, ale bez zbytej bezceremonialności.

Thornridge nagle wrócił. Wyglądał teraz całkiem inaczej. Był układny, niemalże przyjacielski.

- Może poczytałem sobie zbyt ostro, ale byłem wstrząśnięty twoimi

podejrzeniami. Coś podobnego nie licuje z charakterem mego stryja.

Zawsze może się zdarzyć, że czyjaś śmierć pociąga za sobą bezpodstawne oskarżenia. Muszę też przyznać, że widzę w tobie sporo podobieństwa. Sądzę, że nadszedł czas, byśmy się jakoś ze sobą ułożyli.

Jonathan czekał na te słowa przez całe życie. A jednak niczego specjalnego teraz nie czuł. Nie ogarnęło go radosne podniecenie czy fala ulgi, a w jego wyobraźni nie zarysowała się perspektywa po-myślniejszej przyszłości. Doznał jedynie głębokiego zadowolenia, że nareszcie jego dwuznaczna dotąd sytuacja osobista się wyklarowała. Nie w pełni, ale pod najistotniejszym względem.

Pomyślał natychmiast o Celi. Przypomniało mu się, jak siedziała w deszczu pod portykiem pałacu Enderby'ego. Pragnął, żeby i jej sytuacja się wyklarowała i żeby stało się to dzięki niemu.

- Zaprosimy cię w tym sezonie do domu - powiedział jego kuzyn. -

Przyjmujemy cię tam i ogłosimy, że uznajemy twoje roszczenia co do pochodzenia. No i, jak przypuszczam, wyznaczy ci się też jakaś pensja.

Trochę wyższą niż tę, którą odrzuciłeś kilka lat temu. W każdym razie pozwoli ci ona żyć na względnie odpowiednim poziomie.

- To bardzo szczodra propozycja. Sam nie wiem, co powiedzieć. Kuzyn nie zwrócił uwagi na jego sarkastyczny ton, Castleford natomiast wyczuł go i uśmiechnął się z ironią.

- No i powinieneś się dobrze ożenić - ciągnął Thornridge. - To rzecz zasadnicza. Znajdziemy ci przyzwoitą, posażną pannę. Wejście w godną szacunku rodzinę o niekwestionowanym statusie znacznie ci ułatwi

wyrobień sobie pozycji i słumi wszelkie plotki o twojej działalności podczas wojny.

- Wolałbym sam wybrać sobie żonę.

- Nigdy nie zdołasz trafić na taką, jakiej ci trzeba. Jeśli cię uznamy i zaczniemy przyjmować, nie możemy ryzykować ośmieszenia się, gdybyś zawarł nieodpowiednie małżeństwo.

Thornridge uśmiechnął się szeroko, jakby rozumiejąc, o co chodzi Jonathanowi.

- Nie martw się. Na pewno będzie ładna.

- A zatem wszystko załatwione. - Rozległ się głos od strony sofy. -Może więc wreszcie porozmawiamy i o naszej sprawie.

Hrabia odwrócił się raptownie, jakby zaskoczyło go, że Castleford wciąż tam jeszcze jest.

- Istotnie. Powiem krótko i węzłowato: coś ty sobie do diabła myślał, bałamucąc moją siostrę?

- Uległem jej przemożnemu wdziękowi. Zgadzam się, że postąpiłem nieładnie, i rozumiem, że zażądałeś satysfakcji, choć zwykle robi to mąż. Jeśli musimy się jednak pojedynkować, to Albrighton zgodził się zostać moim sekundantem. Właśnie dlatego wziąłem go ze sobą. Powiedz mu, kogo ty sobie wybierasz, a on zacznie przygotowania.

- Sekundant? Satysfakcja? - Thornridge nie potrafił ukryć paniki. Ledwie uniknął jednego śmiertelnego zagrożenia, a już zaczęło zagrażać mu następne.

- Wcale cię tu nie zaprosiłem, Castleford, żeby żądać pojedynku. Do

licha, przecież nikt już od dawna nie bije się z takich powodów! Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś w przyszłości trzymał się z dala od mojej siostry.

Castleford wstał.

- Mógłbyś mi o tym napisać w liście, ale tak czy inaczej będę jej odtąd unikał za wszelką cenę. Zostawimy cię teraz, żebyś mógł zacząć wprowadzać w życie twoje plany względem uznania Albrightona za dodatkową gałąź waszego drzewa genealogicznego.

Thornridge po raz ostatni zmierzył Jonathana wzrokiem i zdobył się na coś pośredniego między uśmiechem a szyderczym grymasem.

- I pomyśleć, że z nas dwóch akurat mnie posądzałeś, że przekazałem wrogom informację o twoim pobycie na wybrzeżu. W końcu ja miałem wszystko, czego pragnąłeś, a zdrajcą był stryj.

Jonathan nie potknął się wprawdzie w drodze do drzwi po usłyszeniu tej rewelacji, ale ugodziła go mocniej niż kula z pistoletu.

- Jesteś dziwnie spokojny jak na człowieka, którego los uległ nagle całkowitej zmianie - stwierdził Castleford.

Jonathan chciał się pożegnać z księciem na ulicy, przed domem kuzyna, ale Castleford, jak zwykle nieobliczalny, nalegał, by odwieźć go w to samo miejsce, gdzie po niego przyjechał.

- Przekonałem się, że takie zwycięstwo pobudza raczej do refleksji niż świętowania. A także pociąga za sobą pewne koszty.

- Masz pewnie na myśli ograniczenie swobody. Konieczność bycia kimś szacownym i nudnym. Jeszcze zatęsknisz za dawną egzystencją

człowieka bez znaczenia. A im skromniejsza będzie twoja pozycja w wielkim świecie, tym bardziej może się okazać dławiąca. Pozwól sobie wyznać, że jestem bardzo rad z urodzenia się na samym jego szczycie.

- Nie wiem, czy nie byłoby lepiej pozostać człowiekiem bez znaczenia.

Zamiary kuzyna co do mojego przyszłego życia są bardziej szczegółowe, niżbym sobie tego życzył.

- Domyślam się, o co ci chodzi. Twoje zastrzeżenia wzbudziły jego zamiary co do wyswatania cię, a nie pensja czy uznanie pokrewieństwa.

Istotnie, Jonathan nie był zainteresowany tym typem małżeństwa, niezależnie od zamożności panny. Gdyby aż tak bardzo pragnął lub potrzebował pieniędzy i ludzkiego szacunku, sam by się postarał o taką żonę.

Księżę zdrzemnął się, pozostawiając Jonathana własnym myślom, póki powóz nie zatrzymał się przed domem Celii.

- Czy ani trochę cię nie kusi, żeby poznać prawdę do końca, Albrighton?

Jonathan się obejrzał. Castleford dość nagle oprzytomniał.

- O mało się do niej nie przyznał - powiedział Castleford. - Jeśli chciał cię naprawdę zabić, znaczyłoby to, że czuł się przez ciebie zagrożony, a bękart nie jest zagrożeniem. Na pewno chcesz teraz poznać prawdę.

Jonathan instynktownie obejrzał się przez ramię na dom i spojrzał w okno na piętrze.

- Nie jestem pewien, czy chcę lub czy mogę się o tym dowiedzieć. Mój stryj twierdził, że bardzo długo badał tę sprawę.

- Coś mi się zdaje, że twój stryj bardzo chciał, żebyś się nie dowiedział

niczego. Finał tej historii na wybrzeżu był intrygujący.

- Lepiej tego więc nie mów. Mój kuzyn szukał po prostu sposobu, żeby mnie poróżnić z jedynym krewnym, który przez te wszystkie lata traktował mnie życzliwie. A poza tym nie dowiedziałem się od matki zbyt wiele prócz tego, że hrabia poślubił ją na łożu śmierci. I tyle. Ciekaw byłem, czy to prawda, a teraz sędzę, że tak, ale to nie znaczy, że mogę jej dowieść. - Zamknął drzwiczki powozu. - Dziękuję ci za dzisiejszą pomoc. Mam nadzieję, że uwodzenie mojej kuzynki nie było zbyt kłopotliwe.

Castleford zaśmiał się, wyglądając przez okienko.

- Chętnie bym ci wszystko o tym opowiedział, ale skoro jest teraz oficjalnie twoją kuzynką, byłoby to niestosowne.

- Bardzo niestosowne. Castleford spojrzał na dom Celi.

- Nawet jeśli zgodzisz się na plany Thornridge'a, nie musisz z niej rezygnować. Panna Pennifold cię zrozumie. Zapewne nie spodziewa się niczego więcej poza tym, co teraz przypadło jej w udziale.

Dał znać stangretowi, żeby ruszał. Jonathan wszedł do domu.

Castleford miał zapewne słuszość. Celia Pennifold nie oczekiwała niczego więcej. Już od lat wiedziała, także z własnego doświadczenia, że to, co matka mówiła o małżeństwach mężczyzn z dobrego towarzystwa, było aż za bardzo trafne. Mogła go nawet zachęcać do mariażu proponowanego przez Thornridge'a. A także zgodzić się na to, że nadal będzie jego kochanką.

W ten właśnie sposób załatwiano przecież te rzeczy i takiego obrotu

spraw się spodziewano.

Nocną ciszę przerwały śmiechy i wąski snop światła przeszył mrok. Trzej mężczyźni opuścili razem klub Brooksa i rozeszli się w poszukiwaniu dorożek.

Jonathan czekał, ukryty w cieniu. Wszyscy mężczyźni są niewolnikami swoich przyzwyczajęń, a ten, na którego czekał, był nim nie mniej niż inni. Jonathan poznał większość tych nawyków, trochę z ciekawości, a trochę z innych powodów. Zawsze istniała szansa, że ta wiedza okaże się użyteczna.

Spojrzał na kieszonkowy zegarek w świetle pobliskiej latarni. Jeśli nic nie naruszyło jego zwyczajów, stryj Edward wkrótce opuści klub. Potem zaś pójdzie poszukać dorożki, żeby wrócić nią do domu. Nie lubił czekać, aż mu przygotują jego powóz, i jeździł nim wieczorem tylko wtedy, gdy wybierał się na proszony obiad, do teatru lub na bal.

Jonathan stanął w pobliżu budynku, koło którego stryj musiałby przejść. Nie krył się wcale. W nikim nie wzbudziłby podejrzeń. Za bardzo wyglądał na dżentelmena, by ktoś się go bał.

Drzwi klubu otworzyły się ponownie. W świetle ukazała się twarz stryja. Powiedział coś do służącego, uchylił kapelusza i się oddalił.

Zauważył Jonathana, gdy się do niego zbliżył. Zwolnił wtedy znacznie kroku i chwycił mocniej gałkę laski.

- Kryjesz się w mroku, jak za dawnych czasów, Jon? Tęsknisz może za nimi?

Jonathan zaczął iść z nim. Wybrał tę stronę, gdzie stryj podpierał się

laską, żeby tamten nie mógł się zbytnio nią zamachnąć.

- Uznałem, że chcę się z tobą zobaczyć dzisiejszego wieczoru, nie sprawiając kłopotu twojej służbie.

Edward rozejrzał się, chcąc sprawdzić, czy są zupełnie sami.

- Skończyłem z tym zleconym mi zadaniem, stryju. Rozmawiałem też z

Thornridge'em. Wiem, że właśnie on przekazywał Alessandrze

informacje. Myślę, że to on się krył za twoim zainteresowaniem jej

rachunkami i listą protektorów. Przyczynił się do tego, że chroniłeś w

istocie siebie samego. Miałeś rację, mówiąc, że Alessandra nie byłaby tak

głupia, żeby zapisywać nazwisko zdrajcy w swoich rachunkach. Musiałeś

się jednak upewnić.

Stryj Edward stanął w ciemnym miejscu pomiędzy dwiema latarniami.

- Czy będę się musiał posłużyć moim pistoletem, Jonathanie? Nie miał na myśli pojedynku ani też obrony.

- Nie wiem. A zrobisz to?

- Nie, dopóki ty lub twój kuzyn nie ujawnicie wszystkiego publicznie.

Reszta wie. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Ministrowie. Nic mi nie

mówiono, ale jestem pewien, że wiedzą. Przypuszczam też, że niczego

nie zrobiono, bo zdrajca okazał się dla nich użyteczny.

- Przynajmniej się nie wykręcasz. Muszę ci oddać sprawiedliwość: nazywasz rzecz po imieniu.

- Zawsze wiedziałem, jak to się nazywa.

- Czemu to więc zrobiłeś? Dla pieniędzy?

Edward ruszył z miejsca, nieco przygarbiony i trochę chwiejnym

krokiem.

- Gdzie tam. To była kobieta, mój ty Boże.

Jonathan przewidywał, że zapewne powinien dać wyraz swemu zaskoczeniu w pauzie, która nastąpiła po tym wyznaniu. A tymczasem uznał odpowiedź stryja za fascynującą.

- Znałem ją dziesięć lat. I przez większą część tego czasu kochałem.

Wsadzili ją do więzienia. Myślałem, że zdołam ją uratować. -Wzruszył ramionami. - Alessandra zgodziła się, żebym został jej protektorem, a ja zachęcałem ją, żeby mówiła różne rzeczy innym swoim klientom. Nie przewidziałem, że wzbudzę w niej podejrzenia i pójdzie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. A oni postarali się, żeby to nadal trwało.

- Miałeś dostęp do dużo lepszych informacji niż te, które mogła kiedykolwiek usłyszeć w łóżku.

- Przekazując jej to, co wiedziałem dzięki pracy dla rządu, zdradziłbym się zbyt jawnie i szybko. Uznałem, że lepiej się im przysłużyć w ten drugi sposób i nie będę wówczas prawdziwym zdrajcą. Czułem ulgę, gdy większość z tych informacji okazała się niezbyt użyteczna, a nawet całkiem do niczego.

- Prócz jednej. Edward zeszywniał.

- Przypuszczałem, że szczegóły twojej misji też były niedokładne, bo z pewnością bym wiedział, czy taką planowano. Po jej fatalnym zakończeniu zrozumiałem, że ktoś wszystko przejrzał i zaczął mnie podejrzewać, a potem się mną posłużył. Przez ostatnie kilka lat była to elegancka gra. Udawałem, że nie wiem, że oni wiedzą, i przekazywałem

wszystko, co mi dostarczali.

- W twojej relacji wygląda to niemal jak patriotyzm.

- Do diabła! Wiem, co robiłem. I czym byłem. Ale nie wyrządziłem tym właściwie większej szkody. A wysyłanie wrogom fałszywych informacji okazało się użyteczną taktyką. Nigdy na nic nie naraziłem ani ciebie, ani żadnych innych ludzi, z którymi pracowałem. Przynajmniej nie w sposób świadomy. Przysięgam.

Zatrzymali się przy narożniku i spojrzeli sobie w twarz wśród gęstniejącej mgły. Nie mieli już o co pytać ani o czym mówić. Jonathan nie czuł nawet większego gniewu. Uznał jednak za ponury żart, a nawet skandal to, że Edward aż do tej nocy nie musiał ponieść odpowiedzialności za swoje czyny - ani publicznie, ani prywatnie.

- Czy się nie obawiałeś, że pewnego dnia ktoś będzie chciał wysłać mnie lub kogoś innego z misją, a ty nie będziesz już pociągał za sznurki, tylko sam staniesz się ofiarą?

Edward gwałtownie nabrał tchu, jak ktoś, kto próbuje powściągnąć silne emocje.

- Czy tak właśnie jest teraz, Jonathanie? Czy też znalazłeś się tutaj wyłącznie z własnej inicjatywy?

- Wojna dawno się skończyła, stryju. Jeżeli nadal wysyła się ludzi na tego rodzaju misje, ja wolę o tym nie wiedzieć. A jeśli chodzi o to, czy działałam z osobistych pobudek...

Nie próbował udawać, że Edward był bez winy. Edward utrzymywał jednak, że nie wiedział o misji na wybrzeżu. To ktoś inny dobrze o niej wiedział.

- Mój kuzyn obciąża winą ciebie. Wie o wszystkim; w jego rękach jest twój los, twoje dobre imię, a może nawet wolność. A ja mam zostać jego posłusznym sługą, żyjącym w strachu, że cię wyda, co samo w sobie będzie już dostateczną karą. Nie musisz się obawiać zemsty z mojej strony.

Przechodzili akurat pod latarnią i Jonathan ujrzał w świetle twarz Edwarda. Mówiła o torturze, jaką było dla niego ostatnie pięć minut, pełna ulgi, ale też poszarzała ze strachu. Kiedy minęli krąg światła i znów znaleźli się w mroku, Jonathan przystanął. Edward również. Jego laska, wsparta o bruk, wyglądała niczym kaleka trzecia noga.

- Czy udało ci się ją uratować, stryju? Tę kobietę, dla której to robiłeś?

Edward spojrzał na niego.

- Przeżyła. Żyje teraz gdzieś koło Nicei z jakimś artystą.

A potem odwrócił się i poszedł przed siebie, póki nie zniknął w ciemności.

Jonathan poszedł w innym kierunku. Kto by pomyślał, że Edward zdradzi swój kraj dla ukochanej kobiety? Jednakże tę akurat przyczynę zostania przez niego zdrajcą potrafił zrozumieć.

Dziwne - powiedziała Celia - że znalazłam dwa inne domy, a ciągle nie wiem, co będzie z tym i czy go rzeczywiście odziedziczę.

- Może Anthony Dargent właśnie tego chce, żebyś się czuła niepewna i zmartwiona. Daje mu to możliwość ciągłego pozostawania w kręgu twojej uwagi - stwierdziła Daphne.

Stały obie pośrodku ogrodu po długiej przechadzce między rabatami wraz z Verity i Audrianną. Teraz Audrianna siedziała przy stoliku na tarasie, spisując wszystkie ulepszenia, jakie postanowiły tu wprowadzić, a Verity sporządzała listę roślin. Nikt nie nazwałby ich teraz damami. Wiosenne błoto zachlapało im pantofle i obrąbki sukien, a przed słońcem chroniły ich cerę zwykłe czepki.

- Anthony wie, że nie można tej sprawy przeciągać w nieskończoność, Daphne. Musi zgłosić swoje pretensje do domu, bo inaczej go utraci.

Chciałabym wierzyć, że dokonał słusznej zmiany decyzji, ale obawiam się, że marnuję wasz czas tym dzisiejszym planowaniem.

- Czas spędzony z przyjaciółmi nigdy nie jest zmarnowany. Niech to wystarczy za całe usprawiedliwienie.

Podeszły do tarasu. Audrianna na ich widok odłożyła pióro.

- Wszystko już tu jest, ale ty musisz wykonać rysunki, Celio. Boję się też, że będzie to praca zbyt ciężka dla kobiet, żebyśmy jej podołały.

- Mogę tu przysłać kilku naszych ogrodników - odezwała się Verity, skupiona na swoim wykazie. - Ale może pan Albrighton zechce nam pomóc? Chętnie to przecież robi, Celio. - Uniosła wzrok znad kartki. -

Prace stolarskie i tak dalej.

Na chwilę wszystkie zamilkły, ale nie trwało to długo.

Czepek Verity nie mógł ukryć porozumiewawczego uśmiechu, gdy skończyła pisać. Daphne nagle zaczęła wyglądać na osobę przesadnie opanowaną.

Celia spojrzała groźnie na Audriannę, która poczerwieniała jak burak.

- Tak mi się jakoś wysnęło - wyznała. - Całkiem zapomniałam, że powiedziałaś mi to w zaufaniu. Rozmawialiśmy o jego pobycie w domu Daphne, ona powiedziała jakiś żarcik, a ja... ja...

Była pełna skruchy, ale też z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Daphne objęła Celię ramieniem.

- Nie osądzamy cię. Jeśli jesteś temu rada, to my również.

„Jeśli jesteś rada”. Co za wyrażenie! Pewnie, że była rada. Z pewnością przez ostatni tydzień dobrze się jej układało z Jonathanem. Nie tylko w sprawach łóżkowych, które teraz były przepełnione nowymi emocjami.

Chodziło tu o drobiazgi i sposób, w jaki na nią patrzył przy śniadaniu czy skradziony w przelocie całus.

Czemu więc czasami czuła smutek, jakby żyła wspomnieniami? Miało to pewnie coś wspólnego z domem, który wkrótce mogła stracić.

- Skoro wszystkie wiemy, a teraz również wiesz o tym i ty, to otrzymałam zaproszenie - powiedziała Audrianna. - Idziemy dziś wieczór do teatru.

Celia, Verity i Hawkeswell przyjdą do naszej łoży. Myślę, że pan Albrighton też to zrobi. Chcę, żeby i on tam się zjawił.

- Nie wiem, czy Jonathan dobrze przyjmie moją obecność, Audrianno.

Spodziewa się, że wkrótce ostatecznie rozstrzygnie swój spór z Thornridge'em. Niedobrze by się stało, gdyby akurat teraz łączono ze sobą nasze nazwiska, jeśli on ma nadzieję na realizację swoich oczekiwań.

Przyjaciółki spojrzały na siebie porozumiewawczo. Oczywiście zroszwały, o co chodzi. Lubiły ją, ale nie udawały, że jej pochodzenie i koleje życia są czymś bez znaczenia.

- Ale ty byś tylko siedziała w tej samej łoży, co on, Celio - powiedziała Verity. - Czemu nie pozwolisz mu samemu zdecydować, czy to zaszkodzi jego planom, czy nie?

Verity poprosiła Daphne o pomoc przy sporządzaniu jednej z list.

Audrianna odchyliła głowę do tyłu, wystawiając ją na słońce.

- Jak tu wszystko pachnie, nie uważasz, Celio? Czuje się, że natura wraca do życia.

- Pewnie twój stan sprawia, że odczuwasz wszystko silniej niż większość z nas, ale istotnie wiosna przynosi obietnicę, że wszystko zacznie się na nowo.

Znalazł Celię na tarasie. Siedziała na ławce, koło drzwi wiodących do ogrodu. Słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, powiał chłodny wiatr.

Celia zdjęła czepek. Szkicownik leżał jej na kolanach, ale nie rysowała.

Przekrzywił głowę, żeby spojrzeć na stronę, nad którą pracowała.

- Widzę, że razem z twoimi przyjaciółkami planujesz zmiany w ogrodzie.

- Był to pretekst, żebyśmy się wszystkie spotkały. - Wskazała na szkic. -

Ale to nigdy nie dojdzie do skutku. W końcu pan Watson przyśle kogoś,

żeby sporządzić inwentarz.

Jonathan usiadł koło niej.

- Nie sędzę, Celio. Mam niemal zupełną pewność, że nikogo nie przyśle.

Spojrzała na niego lekko zaintrygowana, a potem twarz jej się rozjaśniła.

- Jonathanie, a więc dałeś Anthony'emu te pieniądze?

- Nie. Byłem posłuszny twemu żądaniu.

- Dziękuję. Nie mogłam wprost znieść myśli o tym.

Wziął od niej szkicownik i przekartkował go, chcąc zobaczyć, co jeszcze narysowała.

- Mówiłem jednak z Anthonym. Kilka dni temu. Kątem oka dostrzegł jej zaciekawienie i sceptycyzm.

- Naprawdę to zrobiłeś?

- Tak.

- Co mu powiedziałaś?

- Pozwól, niech sobie przypomnę. Najpierw się z nim przywitałem. Potem poprosiłem o rozmowę w cztery oczy. Przypomniałem mu, że jestem

dawnym przyjacielem twojej rodziny, i tak dalej. Była to bardzo

serdeczna pogawędka. Wyjaśniłem mu, zdaje się, że żaden dżentelmen

nie zapewni sobie względów kobiety w taki sposób, jak on to zrobił.

Zdaje mi się, że istotnie poruszyłem ten temat. Chyba

też nadmieniłem, że nie przyjmę dobrze żadnej tyczącej tej nieruchomości inicjatywy z jego strony.

- Skoro tak istotnie się stało, musiałeś mu to chyba wyperswadować.

- Mówiono mi, że zdolność perswazji jest jednym z moich talentów. Ujęła

go za podbródek i obróciła jego twarz ku sobie.

- Jonathanie, czyś ty mu zrobił coś złego?

- Skądże. Może mieć tylko trochę zeszywniałą rękę przez kilka dni, zważywszy, z jakim entuzjazmem prowadziłem tę rozmowę, choć może był on trochę nadmierny. Nie zrobiłem mu jednak nic złego w zwykłym znaczeniu tego słowa.

- Czy mu groziłeś?

- Tylko człowiek o nieczystym sumieniu wzięłby to, co mu powiedziałem, za groźby. Podsunąłem mu myśl, by zechciał zapytać o mnie kilku naszych wspólnych znajomych. Jeśli tak uczynił, i dzięki nim zaczął inaczej myśleć o swoim planie, nie ma to nic wspólnego ze mną.

Wyobraził sobie Dargenta usiłującego odszukać ludzi, którym jego ojciec udzielał konsultacji podczas wojny. Anthony zapewne nie sypiał odtąd dobrze.

- Powinnam cię skarcić - powiedziała Celia, zaglądając mu w oczy. - W gruncie rzeczy moja matka przyjmowała przecież oferty co do mojej przyszłości, a on złożył najlepszą. Choć go teraz nie cierpię, to nie on złamał reguły tej gry.

- Całkiem długo mógł się obejść bez tych pieniędzy, więc niech tak będzie dalej. Nie złożył też wcale najlepszej oferty. Po prostu pochodził z dobrej rodziny i wzbudził twoją naiwną miłość. Ale z tym już koniec.

Jeśli Watson dotąd nie napisał do ciebie z żądaniem dokonania inwentaryzacji, to już tego nie robi.

Zasepiła się podczas jego perory tak głęboko, że zwątpił, czy w ogóle

dotarło do niej ostatnie zdanie. Zrozumiał dlaczego. Pomyłki nie leżały w jego naturze. A w naturze Celii nie leżało niedostrzeżenie ich.

- Skąd wiesz, że nie on złożył najlepszą ofertę? Czy moja matka zwierzyła ci się z tego?

- To błahostka, Celio, i już należy do przeszłości. Najważniejsze, że możesz urządzić swój ogród i zamieszkać tu na stałe, jeśli tak postanowisz.

Wskazał na jej rysunek. Spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Potem jednak znów zmarszczyła czoło i przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Celio, wiem, że to nie była najlepsza oferta, bo ja zaofiarowałem więcej. Opuszczałem wtedy Londyn na licho wie, jak długo.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Ty? Po cóż ci to było, skoro opuszczałeś Londyn? Rzeczywiście, po co?

Z późniejszej perspektywy wydawało mu

się to błałym, choć szlachetnym gestem, ale wtedy uważał, że robi rzecz właściwą.

- Był to równie dobrze zrobiony użytek z pieniędzy, jak każdy inny, a ja się spodziewałem, że będę ich miał potem więcej. Byłaś wówczas zbyt niewinna, Celio, wciąż zanadto dziecinna. Sądziłem, że mogę to odwlec o kilka lat. To wszystko. - Wzruszył ramionami. - Twoja matka była innego zdania i wyjaśniła mi, że nie byłbym dla ciebie odpowiednim protektorem, niezależnie od moich intencji.

- Miała rację. Nie byłbyś nim.

Mówiła tylko o przekonaniach, którymi żyła. O regułach, które znała. On

jednak nie dbał o tę nieodpowiedniość, mimo że spotkanie z

Thornridge'em dowiodło, że miała słuszość.

Łzy napłynęły jej do oczu, wargi zadrżały.

- Nie masz pojęcia, jak mnie to ubodło, Jonathanie. Powinieneś mi być o tym wcześniej powiedzieć. Nie zrozumiałabym twoich intencji niewłaściwie. Nie sądziłabym, że próbowałeś kupić mnie sobie jako młodą dziewczynę.

Na wpół płakała, na wpół się śmiała, a oczy błyszczały jej od łez nawet wtedy, kiedy uśmiechnęła się ponownie.

- Uroiłam sobie, że Anthony zamierzał mnie uratować w imię miłości, a tymczasem tajemniczy pan Albrighton próbował to zrobić w imię zwykłej przyzwoitości. Czy to nie cudowne, że ja cię kocham, Jonathanie?

Wytarła nos i oczy chusteczką, być może nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, co przed chwilą powiedziała. On natomiast zdawał ją sobie jak najbardziej i przyglądał się jej radości z powodu tego zadziwiającego wyjaśnienia czegoś, co stało się dawno temu. Zapadał zmrok, ale nie wokół jego ławki.

Nadal jednak był kimś niewłaściwym dla niej. Gdyby w ogóle pragnęła mieć protektora, mogła dokonać dużo lepszego wyboru.

Chyba że go kochała. W takim razie nie zważałaby na swój interes.

Mógłby zapewne zyskać wszystko, co Thornridge mu ofiarowywał, z

Celią na dodatek, całkiem jak mu to przepowiedział Castleford.

- Dobrze, że mnie kochasz, Celio. Miło mi było to usłyszeć. Dobrze też, że o tym mówimy i że miłość stała się częścią tego, co jest między nami.

Wstrzymała dech i spojrzała na niego niemal z przerażeniem, pytająco.

Musiał się uśmiechnąć, ale wzruszyła go jej smutna mina.

- Ja też powiem, że cię kocham, najdroższa. Jesteś bardziej warta bycia kochaną, niż przypuszczasz.

Celia teraz już otwarcie płakała, ale łzy nadawały jej oczom jeszcze większy połysk. Wziął ją w ramiona.

- Sądzę, że chyba już czas, żeby się zdecydować, jaka to ma być historia, Celio.

Jej głowa spoczęła na jego ramieniu. Celia odetchnęła głęboko, chcąc się opanować.

- Myślę, że ta, którą zaczęliśmy. Moje przyjaciółki zgodzą się na nią, a dla mnie tylko ich zdanie się liczy. Skoro mówiłeś z Thornrid-ge'em, skoro on się zgadza, że tak musi z tobą być, będzie to również jedynie dozwolona historia. Tylko że ja nie chcę żadnych prezentów, Jonathanie. Nie życzę sobie, żeby to był akurat taki rodzaj historii.

- W tym, co mówisz, jest sporo mądrości. Tylko że ja nie przywykłem do normalnych rodzajów historii. Zresztą ty również nie, jak tego już dowiodłaś.

Odchylił jej głowę do tyłu, żeby pocałować ją w usta.

- Nie zrezygnuję łatwo ani z ciebie, ani z żadnej części tego, co nas łączy.

Nigdy nie żałuję utraty tej miłości, którą - jak teraz

powiedziałaś - czujesz do mnie. Myślę, że powinniśmy się pobrać, Celio.

Chcę być pewien, że będziesz moja na zawsze.

Rozpromieniła się cała. A potem Celia, edukowana przez Ales-sandrę,

spojrzała na niego nie tylko z miłością i serdecznością, ale ze zbyt

światowym realizmem.

- Dziękuję ci, Jonathanie. Czuję się zaszczycona i pochlebia mi to. Nigdy tej chwili nie zapomnę, to byłoby niemożliwe. Kiedy już się przekonasz, że twój kuzyn zrobi to, co powinien, zaczniesz wreszcie żyć normalnym życiem. Jak mi się zdaje, znacznie bardziej normalnym niż wielu innych.

- Już się z nim spotkałem. Już dokonałem swoich wyborów. Nie oświadczyłem ci się pod wpływem impulsu, Celio. Wiem, co zyskuję w ten sposób i co mogę stracić.

Spojrzała mu uważnie w oczy.

- Naprawdę tak myślisz? Mówisz serio?

- Tak serio, jak tylko mogę.

Zmierzyła go kolejnym długim spojrzeniem, pełnym ostrożnej radości.

Potem jej twarz przybrała najradośniejszy wyraz, a ostrożność znikła.

Objęła go za szyję i mocno pocałowała.

Przechyliła głowę, żeby spojrzeć w okna domu i ujrzeć ostatnie promienie

słońca, które nadawały jej profilowi odcień jaskrawego oran-żu. Z

łobuzerskim błyskiem w oku wstała i usiadła mu na kolanach.

- Pocałuj mnie - szepnęła. - Pocałuj mnie, a potem wypełń mnie, żeby cudowne, błogie zdziwienie, które teraz czuję, nie sprawiło, że serce pęknie mi ze szczęścia.

Pocałował ją. Przytuliła się do niego mocniej, a potem uniosła spódnicę i

halki. W jednej chwili złączyli się i oboje kołysali się w powolnym

rytmie, zmierzając ku ekstazie, a stłumione okrzyki Celii prowadziły go

prosto ku jej świetlistej aurze.

Tego wieczoru poszli do teatru. Celia miała na sobie obszyty futrem gronostaja płaszcz, a pod nim skromną, białą suknię gustownie ozdobioną koronkami. Jonathan zajechał po nią wynajętym powozem, jakby nigdy nie mieszkał u niej na poddaszu.

Zawsze wyglądał na dżentelmena. Nigdy nic nie świadczyło przeciw temu, choć oficjalnie nie miał tego statusu. Celia uznała, że jego sposób bycia i pewność siebie tylko to potwierdzają, gdy siedziała naprzeciw niego w powozie. Tej nocy swobodny sposób bycia gdzieś znikł, a staranny wygląd oparłby się wszelkiej krytyce.

Radość doznana po południu nie opuszczała ich. Śmieli się i żartowali w powozie, otwarcie okazując uczucia, nawet gdy już byli w loży. Jonathan nawet nie próbował udawać, że tylko towarzyszy przyjaciółce zasiadających tam dam, a damy to zauważyły. Celię cieszyło, że poznały już jej sekret, bo nie potrafiła już kryć się ze swoją miłością, nawet gdyby musiała.

Summerhays i jego żona przyjęli ich serdecznie. Lord Hawkeswell wydawał się jednak zaskoczony ich przybyciem.

- Nie jest specjalnie dyskretny - szepnęła jej do ucha Audrianna, kiedy już usiedli i zaczęli oglądać przedstawienie.

Nie, nie był. Nie świadczył o tym wcale sposób, w jaki na nią patrzył ani w jaki się do niej zwracał. Wszystko w nim było na pozór bardzo stosowne, a jednak nie ukrywał oznak zażyłości, które mówiły, że oboje są ze sobą związani.

Usiadł tuż przy niej. Nikt z otoczenia nie próbował nawet go powstrzymać. Zauważyła, że oczy z wielu łóż obok zwracają się w ich kierunku. Widziała, jak bardzo zwraca uwagę widzów obecność w łoży Summerhaysa dwojga bękartów, którzy wcale nie powinni się tam byli znajdować.

„On zwariował. Całkiem zwariował” - odezwał się jakiś głos w jej głowie, kiedy na scenie rozwijała się akcja, a „on” spoglądał czasem na nią z pełną namiętności, zachłanną uwagą, która sugerowała, że niewiele do niego dociera ze spektaklu. „On zaprzepścił i twoją przyszłość, i swoją. Lepiej być bogatą kochanką niż zubożałą żoną”.

To były słowa Alessandry. Słyszała je już, kiedy szykowała się na dzisiejszy wieczór, ale przepędziła wtedy ten upiorny głos. Teraz, w teatrze, wobec całej socjety, która ją wyzywająco obserwowała, nie mogła wymknąć się ostrzeżeniom matczynym.

„Nie zubożała - chciała jej odpowiedzieć. - On ma środki, ma zyski. A ja będę współpracować z Najrzadszymi Kwiatami. Nie umrzemy z głodu”.

„Będzie to romantyczne, szlachetne i dobre w pierwszych porywach nowej namiętności. Po dziesięciu latach, kiedy zatęsknicie za wygodami, które on odrzuca, będzie już za późno, żeby to naprawić, jeśli się teraz pobierzecie. On zbyt często daje za wygraną, podobnie jak ty”.

Poczuła dotknięcie czyjejś ręki. Nie Jonathana. Audrianna siedziała po jej drugiej stronie, a jej palce w białej rękawiczce splotły się z palcami Celi. Nachyliła ku niej głowę.

- Wyglądasz na zmartwioną, a przecież byłaś taka uradowana, kiedy tu

przyszłaś.

Celia powiodła wzrokiem po teatrze. Głowy wciąż jeszcze odwracały się ku nim od czasu do czasu. Audrianna zwróciła na to uwagę.

- Może myślisz, że oni wszyscy wiedzą, kim jesteś, ale ja sędzę, że większość z nich podziwia po prostu twoją urodę.

- Nie przypuszczam.

- Bo nigdy nie zdawałaś sobie sprawy, jaka jesteś piękna. Mimo wszystko chciałabym, żeby do teatru przyszedł także Castleford. Chcieliśmy, żeby się tu znalazł. Wtedy nikt by nie zwrócił większej uwagi na wszystkich innych widzów łoży. Niestety, zawiadomił Sebastiana dziś rano, że zaraz musi wyjechać z Londynu i nie może być tu razem z nami.

- Pewnie uznał, że nie musi, kiedy się dowiedział o reszcie zaproszonych.

Audrianna uznała, że to zabawne.

- Ale on nigdy nie miał zamiaru cię unikać, Celio, a jesteś akurat jedyną osobą, której nie zna. Przyjaźni się ze wszystkimi dżentelmenami, a Verity i mnie okazuje wyjątkową uprzejmość.

Mąż powiedział coś do Audrianny, puściła więc rękę Celi.

Ta krótka rozmowa sprawiła, że Celi przestały rozbrzmiewać w uszach upomnienia matki i już więcej jej nie przeszkadzały. Oglądała przedstawienie, stale jednak pamiętając o przystojnym mężczyźnie u jej boku, tak jawnie okazującym jej swoje zainteresowanie. Od czasu do czasu spoglądała też serdecznie na przyjaciółki, wzruszona ich troską.

Domyśliła się, że całą tę wizytę w teatrze zaaranżował Jonathan wraz z

Summerhaysem, a może nawet Audrianna i Verity. Jej obecność w loży będącej własnością markiza została zaplanowana, tak by Jonathan mógł okazać wobec całej socjety, że kocha kobietę znaną wszystkim jako Celia Pennifold i nie dba o to, że była córką Alessandry Northrope.

Wsparła się o parapet. Pierwsze promienie słońca wyrzały zza szczytów drzew w ogrodzie, sprawiając, że poranna mgiełka nabrała nieziemskiej wręcz piękności. Napłynęła ku niej woń świeżości wraz z wietrzykiem, który jednocześnie chłodził i łaskotał jej skórę.

Silne ramię Jonathana objęło ją od tyłu i podtrzymało, a jego dłoń ujęła jej pierś. Podtrzymał ją, tak by mogła wytrzymać jego ruchy.

Zalała ją rozkosz. Przeobraziła ją. Wyostrzyła wszystkie jej zmysły, tak że dostrzegała więcej, więcej też odczuwała i słyszała najcichsze dźwięki.

Dreszcz spełnienia wzmógł się, a potem objął ją całą, aż do momentu ulgi.

Potem wstrząsnął nią z niewiarygodną siłą i trwał, ciągle trwał, podczas gdy on zagłębiał się w nią coraz mocniej, coraz głębiej i szybciej. Ekstaza wypełniła ją całą, a później wydostała się poza nią, lecąc ku mgle, światłu i dźwiękom. Celia miała niezachwianą pewność, że z nim dzieje się podobnie.

Przygarnął ją ku sobie i otoczył uściskiem tak pełnym, że przylgnęła do niego całym ciałem, i razem odczuli zamierające echo tej cudownej intymności.

- Niedługo przyjadą wozy - wyjąkała, kiedy wreszcie poczuła, że stoi na ziemi, a ich oddechy zwolniły tempo. - Muszę się ubrać.

Ucałował ją w kark, ale nie ruszał się z miejsca, jakby wciąż pragnął wdychać jej zapach. Rozluźnił uścisk.

- Pomogę ci, więc nie potrwa to długo.

Wróciła do swojego pokoju, żeby się umyć i ubrać. Nim zeszła na dół, otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju. Nie olśniewał luksusem, ale był przestronny i dużo wygodniejszy niż ten na poddaszu.

Chciała, żeby Jonathan się do niego przeniósł, bo nadszedł już czas, skoro przestał być lokatorem, a wkrótce miał się stać panem tego domu.

Przechadzała się po nim, dumając, jakie jeszcze meble należałoby tam wstawić, kiedy usłyszała, że Marian oznajmia Jonathanowi o przybyciu gości.

Celia wróciła do własnego pokoju i wyjrzała przez okno. Ujrzała dwóch mężczyzn przywiązujących lejce do słupka, i dosłyszała, co mówią.

- Ja tylko powiedziałem, że on trochę przedobrzył, wysyłając nas gdzieś niczym parę lokajów - narzekał Hawkeswell.

- Wcale nas nie wysyłał, tylko prosił, żebyśmy mu pomogli.

- Zrobił się zanadto tajemniczy. A jeśli się okaże, że to jakaś podejrzana historia...

- Przestań narzekać, Hawkeswell. Kiedy on sobie wyznaczy jakiś cel, to nie spocznie, póki go nie osiągnie, obojętne, w jaki sposób, dobry czy zły.

Hawkeswell zbliżył się do drzwi.

- Obawiam się, że chodzi o zły. - Spojrzał na dom, a potem rozejrzał się po ulicy. - Co to za miejsce? Czy Albrighton tu mieszka?

- Jeśli wierzyć mojej żonie, to tak. Powinienem był cię uprzedzić, że to jest dom panny Pennifold.

Hawkeswell pokręcił głową.

- Naprawdę? Jeśli twoja żona o tym wie, to moja też. Czy jestem jedyny,

który nie miał pojęcia o tym romansie?

- Myślę, że chyba tak, ale doprawdy nie rozumiem, jak mogłeś tego nie zauważyć. Przecież on na nią tak łakomie patrzył zeszłego tygodnia w teatrze, jakby ją chciał schrupać.

Summerhays uniósł dłoń. Pukanie rozległo się w całym domu. Dwaj mężczyźni znikli z jej pola widzenia i znaleźli się wewnątrz domu.

Rozległy się głośne słowa powitania. Potem głosy przycichły.

Celia wyszła ze swego pokoju i zaczęła schodzić na dół. Rozmowa urwała się, kiedy tylko mężczyźni usłyszeli jej kroki.

Zatrzymała się, gdy mogła już dosłyszeć ich, a oni ją. Hawkeswell wyglądał na niezadowolonego ze swego zadania. Summerhays usiłował pogodzić obu pozostałych.

Jonathan był nie tylko zły, ale wręcz wściekły. Jeszcze nigdy go takim nie widziała.

Spojrzał na nią, a potem spiorunował wzrokiem Summerhaysa. Celia przeprosiła ich i wycofała się stamtąd.

- A więc wróć i powiedz mu „nie”!

Jonathan nie zadawał sobie trudu, żeby zniżyć głos. Słyszała każde słowo.

- Nie powinien się wtrącać! Nie prosiłem go o to.

- On nie jest człowiekiem, który by sądził, że musi o cokolwiek prosić, nie mówiąc już o wtrącaniu się - tłumaczył Hawkeswell. - Byłbym tak samo zirytowany, jak ty. Również uważam, że posunął się za daleko.

- Czy powinien był to zrobić, czy nie, stało się - powiedział Summerhays.

- Powinieneś się w końcu dowiedzieć, co odkrył.

- Nie obchodzi mnie, co on odkrył!

- Powinno cię jednak obchodzić - perswadował mu Summerhays. - Dla twojego dobra i twoich dzieci.

Potem wszyscy zamilkli. Celia podeszła do półki i przesunęła kilka ostatnich doniczek z kwiatami na bok. Upłynęło jednak sporo czasu, a żaden dźwięk do niej nie dotarł. Może zaczęli mówić szeptem, żeby służba ich nie słyszała?

- Przyznaję, że Summerhays ma swoją rację, Albrighton - mówił Hawkeswell. - Możesz go potem posłać do diabła, ale powinieneś wysłuchać, co ma do powiedzenia.

Po kolejnej długiej chwili ciszy rozległ się w korytarzu odgłos kroków.

Jonathan wszedł do bawialni na tyłach domu i zamknął drzwi. Nadal był rozgniewany, choć mniej oburzony niż przedtem.

- O co chodzi? - spytała. Westchnął zniecierpliwiony.

- Pewien znany mi człowiek uzyskał ważną dla mnie wiadomość bez mojego pozwolenia, a teraz chce się nią ze mną podzielić. Jeśli do niego nie pójde, on może tu kiedyś przyjść pijany jak bela i zrobić scenę.

- A hrabia Hawkeswell i brat markiza są jego wysłannikami? Czy chodzi o Castleforda? Wprawdzie jest znany z robienia scen i pijaństwa, ale przecież jesteście przyjaciółmi.

Jonathan zaśmiał się zgryźliwie.

- Przyjaciółmi! Powinnaś raczej powiedzieć, że czymś w rodzaju przyjaciół.

- Nie wiem zbyt dużo o wielkim świecie, Jonathanie, ale jeśli księżę

zrobił coś w imię przyjaźni, niemądrze byłoby okazywać mu

niewdzięczność. - Celia zostawiła doniczki i podeszła do niego.

Spojrzał na nią w zadumie, bardzo łagodnie. Przestraszyło ją to. W ten sposób mógłby patrzeć jakiś mężczyzna na swoją ukochaną przed wyruszeniem w daleką podróż.

- On szukał informacji dotyczących mojego urodzenia, Celio. Chciał znaleźć dowody, czy jestem bękartem, czy też nie.

Dopiero po chwili dotarło do niej w pełni znaczenie tego, co powiedział.

Zaszokowało ją to.

- Czy wiedziałeś choćby o cieniu możliwości, że nim nie jesteś.

- Moja matka utrzymywała, że hrabia ją poślubił, ale mogła to być bajeczka zmyślona po to, żebym łatwiej znosił swój los.

Poczuła zamęt w głowie.

- Czy Thornridge wiedział o tych jej roszczeniach? Czy dlatego chciał cię...

- Tak.

Nadal patrzył na nią w ten dziwny sposób. Jakby ją zachęcał do dania wiary narastającym w niej złym przeczuciom.

Wkrótce mogła go utracić. Był szalony, ale nie pod tym względem. Nikt by nie rezygnował z czegoś, co znalazło się w zasięgu jego ręki jako dar losu.

Uśmiechnęła się najradośniej, jak mogła.

- Ależ to cudowne, Jonathanie! Jeśli dowiedział się czegoś tak ważnego, że posyła po ciebie o tej porze, to myślę, że może chodzić tylko o

najlepsze wieści.

Nie zaprzeczył jej, ale to milczenie sprawiło, że ścisnęło się jej serce.

- Chodź ze mną, Celio.

Pragnęła tego ogromnie. Choćby po to, żeby być z nim choć trochę dłużej, nim wszystko ulegnie zmianie. Nie była jednak w stanie tego znieść. Nie mogłaby spokojnie słuchać wyjaśnień księcia dotyczących knowań Thornridge'a.

- Nie mogę. Wozy przyjadą. Chyba sobie przypominasz?

- Oczywiście.

Dotknął jej twarzy i pocałował ją.

- Wrócę niedługo. Pewnie jeszcze zdążę ci pomóc, jak obiecałem. A potem odszedł, kierując się ku mężczyznom, którzy na niego czekali, i ku swemu prawdziwemu przeznaczeniu.

- Co to ma znaczyć, że księżę jest w łóżku?! - spytał Hawkeswell tak ostro, że służący cofnął się przestraszony.

- Tylko tyle, co powiedziałem, milordzie. Księżę polecił, żeby mu nie przeszkadzano aż do południa.

Summerhays wyjął z kieszeni zegarek.

- Jeszcze czterdzieści minut.

- Do diabła z twoim zegarkiem! - parsknął Hawkeswell. - Jego posłaniec zbudził mnie - mnie! - punkt o dziewiątej z pilnym żądaniem, żebym razem z tobą i Albrightonem stawił się u niego bezzwłocznie w sprawie niezwykle ważnej dla parlamentu i narodu. Diabli mnie wezmą, jeżeli... -

W tejże chwili spostrzegł, że służący cofnął się jeszcze bardziej,

uderzając plecami w drzwi. - Gdzie ty idziesz?

- Nigdzie, milordzie! Czy milord czegoś żąda? Hawkeswell zmierzył go groźnym spojrzeniem.

- Nie byłem w jego pokoju - dodał pospiesznie sługa.

- Hawkeswell... - upomniał go Summerhays.

- Idź tam zaraz i kaź lokajowi natychmiast powiadomić księcia, że przyszedł tu hrabia Hawkeswell w niecierpiącej zwłoki sprawie, która dotyczy ich obu.

Hawkeswell energicznym gestem kazał służącemu się oddalić. Potem, gdy już zamknęły się drzwi miłego, przestronnego pokoju za salonem, gdzie wszyscy czekali, zwrócił się do Summerhaysa:

- Całkiem to do niego podobne, a ty o tym wiesz. Wysłał mnie, żebym jechał przez całe miasto, wiedząc, że zyska w ten sposób kilka godzin, żeby się przespać.

- No i tak się stało - powiedział Jonathan. Hawkeswell okręcił się na pięcie w jego kierunku.

- Niech to diabli, on sobie żarty stroi, Summerhays! To nawet trochę nieprzystojne. No, czujesz się już trochę lepiej, Albrighton? Nie gniewasz się dłużej?

- Nie.

- Spodziewam się, że po pół godzinie rozważań nad możliwością zostania hrabią większość ludzi by się uspokoiła. Nawet ty.

Rozważania bynajmniej tego nie dokonały. Wątpił, czy Castleford byłby zdolny wymyślić coś naprawdę użytecznego, prócz przystawienia

Thornridge'owi do głowy pistoletu. Wysłucha relacji księcia, jak sprytny się tamten okazał, podziękuje mu za starania, zabroni mu na przyszłość mieszać się w jego sprawy i wróci do Celi.

- Jeśli Castleford wywęszył coś, co może okazać się użyteczne, to również i ty mógłbyś to zrobić - narzekał Summerhays. - Ale nie zrobiłeś.

Co musi znaczyć, że wcale nie próbowałeś.

- Zleciłem poszukiwania komuś innemu, przez cały czas wątpiąc, czy w ogóle można się będzie czegoś dowiedzieć.

Błąd w pierwszych rachubach, w drugich też, jak się okazało.

- Przypuszczałem, że gdyby nic się za tym nie kryło, Thornridge rzuciłby mi ochłap w postaci uznania, żeby mnie zniechęcić do ważniejszych roszczeń.

- A zamiast tego postarał się uczynić cię niewidzialnym. Całkowicie niewidzialnym.

- W rezultacie było mi z tym dość wygodnie.

- Oznacza to, że nie chce brać na siebie odpowiedzialności - powiedział do Hawkeswella Summerhays. - No cóż, nie masz tu nic do decydowania czy dokonywania wyboru, Albrighton. Jeśli się do tego urodziłeś, to jesteś tym obarczony.

- Wątpię, żeby tak było. Dowody musiałyby wytrzymać próbę bardzo krytycznych i podejrzliwych egzaminatorów. Mogłoby to trwać latami.

Nie zniechęca mnie wcale czekanie, Hawkeswell. Nie chcę poświęcić mojego życia na walkę o to ani też rozpatrywać każdego innego wyboru pod kątem tego, czy byłby mi w takim wypadku przydatny.

Drzwi znów się otworzyły. Wszedł inny służący, w liberii jeszcze hojniej ozdobionej galonami.

Hawkeswell przyjął postawę oficera armii.

- Jego Wysokość kazał wprowadzić pana do swych apartamentów, milordzie. Inni panowie niech raczą pójść za mną.

- Jestem po prostu wściekły - oznajmił Castleford, gdy weszli gęsiego do jego gotowalni.

Lokaj, który właśnie zapinał na nim poranny strój z ciemnobłękitnego brokatu, zdrętwiał cały i spojrzał na nich z przestrawieniem.

- Nic tu po tobie. Zabieraj się z tym! - parsknął Castleford i spojrzał wściekle ponad jego głową na Hawkeswella. - Przez tydzień nie schodziłem z konia i ledwie przywlokłem mój obolały tyłek do domu dziś po północy. Czy nie mogę się chociaż przez parę godzin przespać?

Hawkeswell wyglądał na zmartwionego, ale nie za bardzo.

- Czemu nie pojechałeś we własnym powozie, co by oszczędziło twój tyłek? Ja właśnie w ten sposób odbywam długie podróże.

- Musiałem się szybko przemieszczać z miejsca na miejsce.

Castleford odepchnął ze zniecierpliwieniem lokaja, nim ten zdołał zapiąć mu wszystkie guziki, po czym z rozmachem siadł na sofie i podparł głowę dłonią. Zadowolenie z siebie zastąpiło irytację.

- To ja powinienem był pracować dla wywiadu podczas wojny, a nie ty, Albrighton. Mam smykałkę do śledztwa. Moja wnikliwość zrobiła na mnie wielkie wrażenie w tym tygodniu.

- To, że jesteś księciem, też ci pewnie pomogło.

- W śledztwie? Pewnie tak.

- A także w robieniu wielkiego wrażenia na sobie i przekonywaniu siebie, że wolno ci wtrącać się w czyjeś sprawy.

Castleford spojrział na Summerhaysa.

- Co tych dwóch dziś ugryzło?

- Może powinieneś wyjaśnić, po co nas tu wzywałeś, a wtedy przestaną się czuć urażeni.

- Niech to licho - mruknął Hawkeswell. Castleford zignorował go.

- Zrobione, Albrighton. Wiem wszystko i mam dowody, że twój kuzyn przywłaszczył sobie należny ci tytuł.

Jonathan się roześmiał.

- Wybacz, ale jestem pewien, że przesadzasz.

- Ani trochę. Wszystko, czego potrzebowałem, kryło się w tym jednym jedynym zdaniu twojej matki. Powiedziała, że ostatni hrabia poślubił ją na łożu śmierci. Oznaczało to, że albo uzyskał specjalne zezwolenie - a mój radca prawny udał się Kolegium Cywilistów i zapewnił mnie, że nie ma tam żadnych świadectw - albo wzięli ślub w Szkocji lub też był to pozbawiony znaczenia, dokonany ze względów uczuciowych gest człowieka kochającego swoją brzemienną kochankę.

- Najprawdopodobniej, niestety, chodzi o tę ostatnią możliwość

-powiedział Summerhays.

- Ja też tak przypuszczałem, ale postanowiłem sprawdzić drugą z nich, na wszelki wypadek. - Spojrział jeszcze bardziej ironicznie na Jonathana. -

Czy wiedziałeś, że w twoich posiadłościach tuż nad szkocką granicą stoi

uroczy zameczek myśliwski? Musisz obiecać, że nas tam zaprosisz podczas sezonu na kuropatwy. Będziemy pić, strzelać i świetnie się bawić! Hawkeswell też może tam być, jeśli przyrzeknie, że nie będzie nas ciągle upominał niczym bona dziecko.

Jonathan nagle poczuł się dziwnie. Castleford tonem zadowolonego z siebie, egoistycznego pyszałka mówił tak, jakby wszystko było już rozstrzygnięte. A jednak coś w jego wzroku zdawało się mówić, że naprawdę w to wierzy.

- No i? - spytał z irytacją zniecierpliwiony Hawkeswell.

- No i udałem się tam. Stąd tak mnie boli tyłek. Nie chciałem tracić zbyt wiele czasu i uznałem, że najlepiej będzie pojechać na przełaj. Zadałem kilka uprzejmych, a dyskretnych pytań i...

- Nie potrafisz być dyskretny i zmyślasz bajeczkę, żeby lepiej wypaść - powiedział Hawkeswell.

Castleford westchnął i zwrócił się Summerhaysa:

- On jest dzisiaj doprawdy nieznośny. Bardziej niż zwykle. A wiesz, dlaczego?

- Kiedy przyszedł po mnie, psioczył na twojego bardzo głośnego i bardzo namolnego sługę, który wyciągnął go z łóżka w bardzo nieodpowiednim momencie.

Castleford zrobił zmartwioną minę.

- Bardzo cię przepraszam, Grayson. Nic dziwnego, że jesteś w złym humorze. Nie powstało mi w głowie, że żonaci mężczyźni robią to za dnia. Specjalnie czekałem do świtu, żeby posłać do ciebie mojego człowieka,

właśnie z tego powodu.

Nie ułagodziło to bynajmniej pretensji żonatego mężczyzny. Spojrzał na księcia groźnie.

- Mów dalej. Zanim przerwałeś po raz ostatni, targaleś zdaje się obolały tyłek po szkockich rubieżach, mając w nosie swój tytuł i własne prerogatywy, i przystawiałeś ludziom pistolety do skroni, żeby się dowiedzieć, czego chciałeś.

- Do diaska, można by myśleć, że tam byłeś razem ze mną. No, krótko mówiąc, znalazłem ich tam, gdzie szukałem.

- Jakich ich? - spytał Jonathan.

- Świadków. Dzięki Bogu, obaj jeszcze żyją. Wszyscy zamilkli na chwilę ze zdumienia.

- Jeśli twoje pytania nie były zbyt uprzejme lub jeśli sypnąłeś pieniędzmi, nie znaczy to jeszcze, że oni mówili prawdę, Castleford -powiedział Summerhays. - A gdyby nawet tak było, mogą zacząć mówić co innego, jeśli Thornridge zrozumie, co się dzieje, i zagrozi im albo ich przekupi.

- On ich już przekupił! Właśnie dlatego przywiozłem ich ze sobą.

Przypomniałem sobie, jak twój kuzyn próbował cię zabić, Albrighton, i uznałem, że tym dwóm może coś grozić, póki nie zaczniesz się starać o odziedziczenie swojej spuścizny.

Dwie pary oczu spojrzały na Jonathana. Zapadła cisza. Castleford rozejrzał się wokoło, zaskoczony, że przestał być ośrodkiem zainteresowania. Wreszcie zrozumiał dlaczego.

- Aha. Oni o tym dotąd nie wiedzą, co? Powinienem być chyba być

bardziej dyskretny, Albrighton. - Wzruszył ramionami. - Nie ma czego żałować. Wszystko i tak musiało w końcu wyjść na jaw.

- Gdzie są ci świadkowie? - spytał Jonathan, a własny głos zabrzmiał mu w uszach obco. Wszystko stało się dziwnie nierealne, jakby stał pośród niewidzialnej mgły, która nieznacznie, ale w sposób niezaprzeczalny zmieniła jego widzenie.

- Gdzież to ja ich zostawiłem? Pamiętam, że starszy z nich okropnie śmierdział i właśnie dlatego wolałem jechać konno niż w wynajętym powozie. - Księżę wstał. - Całkiem zapomniałem, co kazałem rządcy z nimi zrobić. Pozwólcie, że pójdę ich poszukać.

I wyszedł, a za nim wszyscy inni. Jonathan zamykał ten pochód. W głowie i piersi czuł pulsowanie, nad którym nie mógł zapanować.

Jeśli istnieli świadkowie i Castleford ich odnalazł, zmieniało to wszystko.

Daphne zamknęła książkę rachunkową. Potem otworzyła torebkę i wyjęła z niej kilka funtów.

- Mam całkowitą pewność, że w przyszłości będzie ich więcej, Celio.

Wpływy za przywożone tutaj rośliny już znacznie zwiększyły zyski firmy. Będzie doprawdy kwitnąć, jak przewidywałaś, dzięki letnim kwiatom, które zakontraktował pan Bolton, i sprzedaży owoców zimą.

Celia wsunęła pieniądze do kieszeni fartucha.

Zewsząd otaczały ich kolory. Wozy przywiozły mnóstwo doniczek z pędzonymi kwiatami, które w najbliższych dniach miały wnieść wiosenne aromaty i blask do mnóstwa domów.

A jednak nie cieszyło jej to, podobnie jak towarzystwo Daphne. Jonathan długo nie wracał. Nie było go już od ponad pięciu godzin. Zaczęła się niepokoić, czy w ogóle powróci.

Jakże była niemądra. Oczywiście, że wróci! Wróci i spojrzy na nią w ten nowy, tęskny sposób, jak zrobił rano. I wyjaśni, że spodziewa się teraz czegoś, co mu nie pozwoli się zenić z byle kobietą. Wy tłumaczy jej, że...

Miała nadzieję, że usłyszał dobre wieści. Naprawdę tak uważała.

Zachwycało ją, że mogła na niego cudem spaść taka łaska losu. Prócz radości czuła jednak żal, którego nie potrafiła przemóc.

- Cieszy mnie, że mój plan się powiódł, Daphne. Żałuję tylko, że będę musiała wciąż tkwić tutaj. Chciałabym dziś wrócić z tobą do

Cumberworth, ale muszę najpierw skończyć pracę przy tych doniczkach.

- Czemu pragniesz wrócić ze mną? Twoje życie jest teraz związane z tym

miejszem. I z człowiekiem, którego kochasz.

Celia milczała. Daphne zrozumiała ją od razu, jak zwykle.

- A więc dlatego jesteś dziś taka nieswoja. Sprawy sercowe. Czy on się źle z tobą obchodzi?

- Ależ skąd. To była cudowna, wspaniała miłość. Tak porywająca, że całkiem się w niej zatopiłam. - Musiała się uśmiechnąć, przypomniawszy sobie, jak potrafił ją sobie ująć. - Ale to właśnie było, jak sądzę, błędem.

Daphne ze współczuciem nakryła jej dłoń swoją. Nie pytała o szczegóły, ale zaofiarowała jej pociechę, którą może zapewnić tylko przyjaźń.

Pewnie się zresztą domyślała, że Celia pamiętała, kim jest, nawet jeśli zapomnieli o tym wszyscy inni.

Choć nie usłyszały nic od strony ogrodu, obydwie jednocześnie spojrzały w okno. Pośród krzewów zamajaczył ciemny kształt i na ścieżkę wyszedł z nich po chwili Jonathan. Celia odruchowo chwyciła dłoń Daphne.

Daphne wstała i objęła ją.

- Pójdę już teraz. Przyjedź do nas, jeżeli chcesz, zostaw tylko wiadomość Drummondowi, jak ma wyładowywać towar. A Verity i Audrianna też są niedaleko, gdybyś potrzebowała w najbliższych dniach rady albo pociechy.

Ucałowała Celię na pożegnanie i wyszła frontowymi drzwiami w tej samej chwili, gdy Jonathan wchodził tylnym wejściem.

Poczuł zapach hiacyntów, nim jeszcze zobaczył jakiegokolwiek kwiaty. W miarę jak szedł, woń nasilała się coraz bardziej, przenikała wszystko wokoło. W oknie dostrzegł jednak tylko jeden kwiat. Najpiękniejszy za to

i najrzadszy ze wszystkich. Złotowłosy, jasnoskóry i z oczami tak

świecącymi, że mogły iść w zawody z gwiazdami.

Powitała go uśmiechem, ucałowała, a potem wskazała gestem gąszcz zieleni i feerię barw na półkach.

- Wiosna zawitała do pewnego londyńskiego pokoju.

- Czemu właściwie ludzie mieliby od ciebie kupować coś, czego będą mieli pod dostatkiem za kilka tygodni?

- Ludzie nie mogą się doczekać kwiatów, które zaczynają wschodzić.

Kiedy nadejdzie ładna pogoda, nie oprą się pokusie. Jedni kupią sobie pojedynczą doniczkę, a inni będą ich chcieli aż trzydzieści.

Jonathan podziwiał kwiaty, których nazwy i odmiany mu wyliczała.

Mówiła pospiesznie, jakby niecierpliwiła ją ta pogawędka, ale jednocześnie bała się zacząć mówić o czym innym.

Wreszcie zamilkła. Stali ramię w ramię, patrząc na ogród. Wyczuwał jej ożywienie, a nawet podniecenie, które zawsze ich łączyło, gdy się znajdowali tuż przy sobie. A jednak była przygnębiona. Podobnie jak on.

- Czy nie ciekawi cię, Celio, co takiego odkrył Castleford?

- O niczym innym nie myślałam po twoim odejściu. Czy są jakieś dobre wieści?

- Najlepsze z możliwych. Ledwie zapytał, a ludzie zaczęli go wprost zasypywać wiadomościami. Mnie by to zajęło całe lata, a może bym się i tak niczego nie dowiedział. Odnalazł świadków zastraszonego przez mojego kuzyna, którym skądinąd solidnie zapłacił za milczenie.

Castleford zdołał jednak zastraszyć ich jeszcze skuteczniej, a oni wyznali

prawdę.

Celia rzuciła mu się na szyję.

- Jaka jestem szczęśliwa, Jonathanie! Bardziej, niżbyś się domyślał.

Patrzyłam na ciebie, kiedy szedłeś teraz ścieżką, i myślałam sobie:

„Oczywiście on jest hrabią! Jak można tego nie widzieć od razu?”

Twój kuzyn bez wątpienia to widział. Nieważne, że miałeś dopiero dziewięć lat, on pewnie i tak zrozumiał, że właśnie tobie należy się tytuł, ledwie na ciebie spojrział.

Może i tak, a może powiedziała mu o tym determinacja kobiety, siedzącej pod jego domem przez całe trzy dni. Ale świadkowie, czeladź z myśliwskiego zameczku, zostali przekupieni już na samym początku, zanim jeszcze kuzyn osiągnął pełnoletność. Pewnie cała rodzina brała w tym udział. Może nawet i stryj Edward.

Zapraęnął raz na zawsze pozbyć się związanego z tym uczucia straty oraz rozczarowania. Usiadł i wziął Celię na kolana, żeby pocieszyło go bijące od niej kobiece ciepło. Otaczały ich kwiaty, ale choć jej uśmiech mówił o radości, oczy wyrażały coś innego.

- Pewnie będziesz teraz chciał zamieszkać gdzie indziej - odezwała się.

- Jeśli takie jest twoje życzenie. Znajdziemy jakiś dom, skąd będziesz miała bliżej do przyjaciółek.

Zwilżyła językiem wargi i usiłowała wyglądać na rozsądną, a nie na oszołomioną.

- Ależ powinieneś przenieść się stąd, Jonathanie. Nie możesz dawać ludziom pretekstu do krytykowania twego charakteru, kiedy wszystko już

zostanie ostatecznie załatwione.

- Może to potrwać lata. Mój kuzyn robi, co tylko może, żeby mnie powstrzymać.

- Musisz więc zachowywać się nienagannie, bo inaczej może mu się to udać. Ma wielu możliwych przyjaciół i...

Uciszył ją pocałunkiem.

- Widzę, że podczas mojej nieobecności rozpamiętywałaś nauki

Alessandry i doszłaś do wniosku, że nie mogę się z tobą ożenić. Czy nie tak, Celio?

- Nasze poprzednie plany nie mają przyszłości. Wiesz o tym. Nie możesz poślubić kogoś takiego jak ja. A co do mojej miłości, to póki się nie ożenisz...

- Niech mnie diabli porwą, jeśli ożenię się z inną kobietą, albo poślubię tę, którą kocham, dopiero na łożu śmierci, jak mój ojciec.

Ujął ją za podbródek.

- Nie wracałem tak długo, bo poszedłem do Kolegium Cywilistów z prośbą o specjalne zezwolenie na ślub. Summerhays był tak uprzejmy, że użył swoich wpływów, otrzymam ją zatem już za parę dni. Weźmiemy ślub, nim jeszcze zacznie się cała reszta.

- Mówisz jak szaleniec! Tych ludzi obowiązują pewne reguły.

- Celio, każdy lord w królestwie jest zainteresowany tym, by parami zostawali tylko ludzie wysokiego urodzenia i żeby tytuł nie dostał się nikomu dzięki oszustwu. Właśnie to jest główną regułą. Istnieją pewne procedury przy rozpatrywaniu skarg podobnych do mojej. Będzie się w

nich liczyć moje urodzenie i legalność tego małżeństwa. Mój charakter ich nic nie obchodzi. Mógłbym być nawet wariatem, co sypia z owcą, a im i tak byłoby wszystko jedno.

Chciała coś powiedzieć, ale położył jej palec na ustach, żeby powstrzymać recytację dalszych rad Alessandry.

- A jeśli nawet ktoś zechce zapoznać się z moim życiem, dowie się tylko tego, że poślubiłem uczciwą kobietę, która zawsze mnie szczerze kochała.

W jej oczach dojrzał miłość, ale też pewne wahanie.

- Nie możesz tego wiedzieć z całą pewnością, Jonathanie. A jeśli się mylisz?

- Sama nie wiesz, ile dla mnie znaczysz, i może nigdy tego nie pojmiesz.

Powiem ci jedno: nigdy z ciebie zrezygnuję. Nawet za cenę zostania Thornridge'em.

Przestała się martwić, jej trzeźwe rachuby poszły w ką. Objęła go za szyję i roześmiała się z całego serca.

- Już ci się więcej nie sprzeciwię, skoro jesteś taki stanowczy. Jestem dumna z twojej miłości i z tego, że będziesz mój. To jest niezwykle podniecające, ale też przerażające. Podobnie jak to, że się nie cofasz przed niczym. Mogliby ci przecież przyznać to dziedzictwo, ale naszego związku by nie pochwalali.

- Znamy jednak kilkoro ludzi, którzy myślą inaczej. Oni już się z tym pogodzili. A o innych możemy zanadto nie dbać.

Pocałowała go. Przepięknie. Po mistrzowsku. Przytuliła się do niego

policzkiem i odetchnęła głęboko z zadowoleniem.

- Jestem tak szczęśliwa, Jonathanie, że wprost nie posiadam się z radości.

O mało mi serce nie pęka, ale tylko z nadmiaru miłości. Znadto się raduję, żeby płakać, ale nie wiem, co innego mogłabym teraz robić!

Wstał i wziął ją na ręce, a potem skierował się ku schodom.

- Ja za to dobrze wiem co.

Epilog

Celia siedziała na ławce przy wejściu do ogrodu, grzejąc się w słońcu.

Kwietniowe tulipany lśniły kolorami koło kępy krzewów, kołysane lekkim wietrzykiem.

Czekała na powrót Jonathana. Poszedł na kolejne spotkanie w związku ze swoją petycją. Jak się spodziewał, Thornridge zagroził, że oprotestuje jego roszczenia. Legalność małżeństwa starego hrabiego i prawo do dziedzictwa znalazły się jednak na ustach wszystkich. Sprawę komplikowały najróżniejsze przepisy prawne, po większej części dla niej niezrozumiałe. Artykuły w gazetach przychyłały się jednak do zdania, że Jonathan prawdopodobnie otrzyma w końcu przynajmniej majątek.

Na razie mieszkali na Wells Street, a ona wcale tego nie żałowała.

Zdążyła polubić swój dom i dumna była ze współpracy z Daphne. Uznała, że ogród jest naprawdę piękny, patrząc na nowe, świeżo skopane grządki oraz inne ulepszenia. Doszła też do wniosku, że będzie tam sporo miejsca również dla dzieci.

Ręka jej instynktownie sięgnęła ku łonu na tę myśl. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Wzięli z Jonathanem ślub w sam czas.

Właśnie wszedł do ogrodu i zbliżył się do niej. Wyglądał na zadowolonego, co zresztą zdarzało mu się coraz częściej. Siadł koło niej z uśmiechem, wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował je.

- Czy jest ci dostatecznie ciepło? Powinnaś uważać na siebie. Słońce wprawdzie przygrzewa, ale w powietrzu wciąż jest chłód.

- Czuję się doskonale.

Otoczył ją ramieniem, chcąc, żeby było jej jeszcze cieplej. Wsparła o nie głowę.

- Wszystko idzie dobrze? - spytała.

- Dosyć dobrze. Ale też jest to męczące i nudne, czego się zresztą spodziewałem. Było tam w sumie dwudziestu prawników, jeden biskup, dwaj książęta, trzech hrabiów i więcej pergaminu, niż widziałem przez całe życie.

- Co za okropność.

- Może nawet nie okropność, ale musi to jeszcze potrwać. Najpierw udam się do sądów kościelnych w sprawie małżeństwa. Potem do innych sądów w sprawie dziedzictwa, kiedy tylko małżeństwo zostanie uznane za ważne. A później do Izby Lordów. Prawnicy mego kuzyna powtarzają:

„Kto raz został parem, ten nim będzie zawsze”. Kanclerz jednak jest zdania, że ta tradycja nie może się odnosić do ludzi, którzy uzurpowali sobie tytuł dzięki czynom przestępczym. Jeden z biskupów zgłosił sprzeciw. Inny orzekł, że lordowie mogą uznać takie czyny za zdradę. No i wałkowano to wszystko przez całe popołudnie. - Roześmiał się. - Mogę nie dożyć końca tych sporów.

- Nie wydajesz się tym zbyt przejęty.

- Trochę przesadzam. Ale to potrwa jednak ładne parę lat. Kiedy stamtąd wychodziłem, zdarzyło się jednak coś, co lepiej zapamiętałem i co poprawiło mi nastrój. - Uśmiechnął się dyskretnie. - Doradca prawny mego kuzyna podszedł do mnie i poprosił o rozmowę.

- O czym?

- O dyskusji nad moją pensją.

Celia zeszywniała i spojrzała na niego z niepokojem.

- On chce ci dać pieniądze?

- Niesłychane, co? Nie sądzę zresztą, żeby naprawdę chciał. Pewnie myśli, że źle by wyglądało, gdyby tego nie zrobił. Wszyscy wiedzą, że tak czy inaczej jestem synem jego stryja. Może się bał, że jeśli nie zrobi tego gestu, źle to do niego usposobi większość.

Znów wzruszył ramionami i przymknął oczy.

- A może, widząc, że dziedzictwo mu się wymyka, chce cię zachęcić, żebyś był tak szczodry wobec niego, jak on względem ciebie?

- Jakaś ty cyniczna! - Ucałował jej nos. - Jestem pewien, że robi to z dobrego serca.

Wtuliła się w niego.

- Ile on ci chciał dać?

Jonathan nie uniósł powiek i wystawił twarz ku słońcu.

- Wcale sporo.

- Jak dużo?

- Całe mnóstwo. Potrząsnęła jego ramieniem.

- Mów zaraz, ile.

- Dwa tysiące funtów.

- Rocznie?

- Hm, tak.

- To niemało, Jonathanie.

- Też jestem tego zdania. Gdyby jego doradca przyszedł z tym do mnie na

samym początku, może bym się zgodził. Ale po kilku godzinach tej nudy
uznałem, że zasługuję na więcej, i zażądałem siedmiu tysięcy.

Ostatecznie stanęło przeszło na połowie.

Ponad cztery tysiące funtów rocznie.

- Co my z tym wszystkim zrobimy?

- Będziesz sobie mogła kupić nowe suknie. No i trochę biżuterii.

- A może by tak powóz z doborową parą koni?

- Jeśli się dobrze przyłożymy, to wkrótce nic nam z tego nie zostanie! -

Objął jej szyję ramieniem i przygarnął do siebie, żeby ją pocałować. -

Możesz wziąć wszystko, Celio, i zrobić z tym, co tylko chcesz.

- To, czego najbardziej pragnęłam, mam koło mnie. Dotknął delikatnie jej
łona i piersi.

Ktoś dyskretnie kaszlnął przy wejściu do ogrodu, każąc się obojgu
odwrócić. Stała tam Bella, zmieszna tym, co zobaczyła.

- Bardzo przepraszam, ale jest tu jakiś pan i chce się widzieć z Celią. To
jego bilet wizytowy.

Jonathan wziął go, przeczytał i uniósł brwi. Podał bilet Celii. Przyszedł do
niej z wizytą pan Mappleton.

Pan Mappleton przywitał się z nimi cały w uśmiechach. Ukłonił się Celii
niżej niż kiedykolwiek przedtem i w paru słowach złożył Jonathanowi
gratulacje. Celia domyśliła się, że musiał przeczytać w gazetach o
ambitnych roszczeniach Jonathana.

Kiedy wszyscy usiedli, doradca uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Przyszedłem tu z kilku powodów. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Pomyślałem, że oszczędzi to państwu wizyty u mnie.

- Jak to miło z pańskiej strony. - Celia zawsze lubiła Mappletona. Był wiernym pomocnikiem matki.

- A więc, po pierwsze, chcę panią powiadomić, że ustalono już wysokość spadku. Wszystko jest w porządku. Nikt nie zgłosił dodatkowych pretensji i ten dom należy już niezaprzeczalnie do pani.

- Cieszę się z tego.

Celia oparła się chęci zerknięcia na Jonathana. Powiedział jej przecież, że tak będzie.

- Przyszedłem również jako emisariusz. - Mappleton powiedział to poważniejszym już tonem. - Mam nadzieję, że zechce mnie pani wysłuchać. Powtórzę teraz słowa pewnego dżentelmena, który mnie o to prosił.

- Jakiego dżentelmena? - spytał Jonathan.

- Nie wolno mi tego powiedzieć. Zapewniono mnie jednak, że panna Pennifold... przepraszam, pani Albrighton domyśli się źródła i znaczenia tego przesłania. - Oczy błysnęły mu figlarnie. - Sądzę, że nie uchybię jego żądaniom, mówiąc, że jest to bardzo szacowny dżentelmen.

- W takim razie słuchamy - powiedział Jonathan.

- Poproszono mnie, pani Albrighton, żebym powiedział, że jeśli zechce go pani znów odwiedzić, zostanie przyjęta. To wszystko.

Jonathan dostrzegł jej spojrzenie. Nie był zbyt uradowany tą próbą ponownego nawiązania stosunków. Czuł w gruncie rzeczy to samo, co Celia. Jeśli znów wybierze się do Enderby'ego, nie nastąpi to prędko.

Nieważne że tamten się w końcu namyślił. Może dojdzie jednak kiedyś do tego. W końcu był jej ojcem.

- Dziękuję, panie Mappleton. Zrozumiałam przesłanie i cenię sobie oddaną mi pod tym względem usługę - powiedziała Celia.

- A więc to już załatwione. Ale jest jeszcze coś. - Sięgnął w zanadrze i wyciągnął stamtąd list. - Zostawiła mi go pani matka. Otrzymałem polecenie, żeby go oddać, jeśli wyjdzie pani kiedykolwiek za mąż z miłości. - Mappleton spojrzał na nią, na Jonathana i zarumienił się. - Całkiem jakbym mógł być tego pewien! Powiedziałem to jej. Zapewniła mnie, że córka odpowie mi na to pytanie uczciwie. - I nagle, skonsternowany, spytał: - Może powinienem był pomówić z pańską żoną w cztery oczy, panie Albrighton. Zapewne tak właśnie byłoby najlepiej. Postąpiłem nierozważnie. Nie nawykłem jednak do takich misji i może...

- Niech się pan nie martwi - odparła Celia. - Obecność męża nie przeszkodzi mi w udzieleniu szczerzej odpowiedzi na żadne pytanie.

Zapewniam pana stanowczo, że wyszłam za mąż z miłości.

Mappleton spojrzał na nią przyjaźnie.

- Wierzę pani.

A potem ceremonialnie wręczył jej list, po czym się pożegnał. Celia siedziała bez ruchu, z listem na kolanach. Nie wyglądał na stary. Musiano go napisać niedawno.

- Czy nie zamierzasz go przeczytać? - spytał Jonathan.

- Sama nie wiem, czy tego chcę. Na pewno znajdę tam wyrzuty, że nie zadbałam o swoją przyszłość, zawierając takie małżeństwo.

Jonathan spowaźniał.

- Jeśli tak, byłoby to okrutne i samolubne. Po cóż chce straszyć cię zza grobu? Byłem o niej lepszego zdania.

Niespokojnie obracała w palcach list, a potem szybko go otworzyła.

Przeczytała treść i aż zamrugła z przejęciem, zaskoczona jego treścią.

Przeczytała go po raz drugi. Serce się jej ścisnęło ze wzruszenia i zaczęła płakać.

Jonathan wziął ją w objęcia, a potem sięgnął po list i zmiął go w pięści.

- Spalimy go, a jeśli znajdzie się jeszcze jakiś, nie przeczytamy go. Nie chcę, żebyś się martwiła, bo ona nie mogła znieść, że jej plany co do twojej przyszłości nie były twoimi.

Celia pokręciła głową, usiłując się opanować.

- To całkiem co innego, niż myślałeś. Wcale nie była samolubna ani okrutna. Napisała do mnie piękny list.

Wyjęła kartkę z jego zaciśniętej dłoni i rozprostowała ją.

- Musisz go koniecznie przeczytać razem ze mną. Musisz!

Z głową przy głowie, objęci ramionami, przeczytali wspólnie.

Moja najdroższa Celio,

jeśli czytasz teraz ten list, oznacza to, że jesteś już mężatką, a prócz tego odrzuciłaś wszystkie moje rady, wybierając sobie męża z najmniej

praktycznego powodu. Postawiłaś na jedną kartę swoją przyszłość,

bezpieczeństwo, a nawet własną osobę w imię uczucia, które w przypadku

większości kobiet bywa przemijające i zmienne.

Chcę jednak, żebyś wiedziała, że cię rozumiem. Ja również raz kogoś

kochałam. Choć złamało mi to serce, było cudowną namiętnością, dopóki

*trwało. Gdybyś zyskała sposobność doświadczenia czegoś podobnego,
nie sprzeciwiałabym się temu. Mam też nadzieję, że tak właśnie będzie.*

*Jeśli bowiem czytasz ten list, oznacza to, że znalazłaś mężczyznę nie tylko wartego twojej miłości,
ale też na tyle mądrego, że zdołał docenić twoje*

*wewnętrzne piękno, i pragnącego podjąć takie samo ryzyko, jak i ty, byle
tylko cię mieć na zawsze przy sobie.*

*Pragnęłabym, abyś o mnie pamiętała, a kiedy twoje dzieci dorosną na
tyle, by zrozumieć pewne rzeczy, opowiesz im być może o mnie. Mogłaby z
ciebie być najwspanialsza kurtyzana, jaką Londyn kiedykolwiek widział,
ale płaczę z radości na myśl, że znalazłaś szczęście na innej drodze życia.*

Daję ci moją miłość i błogosławieństwo

Alessandra